



JESTEŚ ŁOWCĄ
ALBO ZDOBYCZĄ

POLOWANIE

ANDREW FUKUDA

fabryka słów®

ANDREW FUKUDA

POLOWANIE

tłumaczyła
Małgorzata Koczańska

fabryka słów®

Lublin 2014

dla Ching-Lee



Kiedys było nas więcej. Bez wątplenia. Nie tylu, żeby wypełnić stadion czy salę kinową, ale na pewno więcej niż teraz. Po prawdzie sędzę, że nikt już nie został. Oprócz mnie. Tak to jest z rzadkimi okazami. Są wysoko cenione i pożądane. I dlatego wymierają.

Jedenaście lat temu taki okaz pojawił się w przedszkolu. Dziewczynka. To był jej pierwszy dzień. Została pożarta w okamgnieniu. Co jej strześliło do głowy? Może do przedszkola przywiodła ją samotność (samotność bywa groźna), smarkuła uroiła sobie, że pewnie znajdzie tutaj przyjaciół. Kiedy nauczycielka ogłosiła drzemkę i cała klasa posłusznie skoczyła pod sufit nogami w górę, na podłodze została tylko dziewczynka, ściskająca kurczowo pluszowego misia. I to był jej koniec. Koniec. Równie dobrze mogłaby wyjąć swoje sztuczne kły i położyć się na stole jako danie główne. Uczniowie spod sufitu wytrzeszczyli na nią oczy. *Hej, co my tu mamy?* Dziewczynka się rozplakała, jak słyszałem, rozryczała na całego. Nauczycielka dopadła ją pierwsza.

Po przedszkolu drzemki się kończą, zaczyna się szkoła. Co nie znaczy, że zagrożenie mija. Raz trener pływania tak się wściekł na ospałość drużyny, że kazał nam uciąć sobie drzemkę w szatni. Chciał nam dać nauczkę, a ja omal nie przypłaciłem tego życiem. Tak na marginesie – pływanie jest w porządku, ale lepiej nie uprawiać innych sportów. Pot zawsze nas zdradzi. Pocimy się, gdy jest gorąco – krople wody spływają nam po skórze jak ślina po wargach niemowlaka. Wiem, ohyda. Ludzie przecież pozostają chłodni i czysti, skórę mają nieskazitelnie suchą. A ja? Ze mnie cieknie jak z kranu. Więc lepiej zapomnieć o biegach przełajowych, o tenisie, nawet o rozgrywkach w szachy. Ale z pływaniami nie ma problemu, woda ukrywa pot.

To tylko jedna z zasad. Istnieje o wiele więcej – ojciec wbijał mi je do głowy chyba od dnia moich narodzin. Nigdy nie wolno się śmiać, uśmiechać czy choćby chichotać, nie wolno płakać, ani nawet łzawić. Zawsze należy zachować pusty, spokojny wyraz twarzy – ponieważ u ludzi jedyne okazywane emocje to głód krwi albo romantyczne pożądanie, co mnie oczywiście nie powinno dotyczyć. Zawsze należy pamiętać, żeby przed wyjściem na słońce posmarować się grubo masłem. W tym świecie trudno wytłumaczyć się z opalenizny, nawet lekko. Zasad było tak wiele, że mogłyby wypełnić gruby zeszyt. Nie żeby mnie ciągnęło do ich spisania. Nie pożyłbym długo, gdybym został przyłapany z taką ściągą.

Zresztą ojciec przypominał mi o zasadach bez ustanku. Powtarzał po kilka o zachodzie słońca, przy śniadaniu. Na przykład: nie próbuj się z nikim zaprzyjaźnić; nie zaśnij przypadkiem w klasie (nudne lekcje i długie przejazdy autobusem są wyjątkowo niebezpieczne); nie chrząkaj; nie zdawaj za dobrze sprawdzianów, nawet jeżeli poziom pytań obraża twoją inteligencję; nie pysznij się własną urodą – nawet gdyby dziewczyny się o ciebie biły, nigdy nie ulegaj pokusie. Musisz pamiętać, że twój wygląd to przekleństwo, nie dar. Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć. Powtarzał mi to, a potem szybko sprawdzał, czy nie mam połamanych paznokci. Zasady stały się dla mnie równie oczywiste i niepodważalne jak prawa fizyki. I nigdy mnie nie kusiło, żeby którąś złamać.

Poza jedną. Kiedy zacząłem jeździć do szkoły konnym autobusem, ojciec zabronił mi oglądać się i machać mu na pożegnanie. Ludzie nigdy tego nie robią. Początkowo przychodziło mi to z trudem. Przez parę pierwszych nocy po wejściu do autobusu starałem się ze wszystkich sił tylko znieruchomieć. Pragnienie, żeby się pożegnać, to przecież odruch, jak kaszel, którego nie można powstrzymać. A że byłem wtedy jeszcze dzieckiem, znosiłem to o wiele gorzej.

Złamałem tę zasadę tylko raz, siedem lat temu. Tamtej nocy ojciec zatoczył się w progu, ubranie miał podarte jak po bijatyce, a na szyi ślady ukłuć. Chwila nieuwagi, drobna pomyłka i został ukąszony. Pot spływał mu po twarzy, przesiąkał koszulę. Ojciec wiedział, co się stanie.

Rozejrzał się nerwowo, potem objął mnie mocno. Czuję jego pulsujący strach.

– Zostałeś sam, synu – wydusił przez zaciśnięte zęby. Pierś mu drżała. Potem gdy zaczął się trząść, a twarz zrobiła mu się lodowata, cofnął się. Wybiegł z domu prosto w promienie wschodzącego słońca.

Zamknąłem drzwi, jak mi nakazał, i ukryłem się w pokoju. Przycisnąłem twarz do poduszki, a potem krzyczałem i krzyczałem. Wiedziałem, co robi ojciec – ucieka jak najdalej ode mnie, zanim dopadnie go przemiana, a światło słoneczne jak żrący kwas przepali mu włosy, skórę, mięśnie, kości, nerki, płuca i serce.

Złamałem zasadę następnej nocy. Szkolny autobus ruszył spod domu, para buchała z końskich chrapów, rozdętych i wilgotnych. Nie mogłem się powstrzymać, po prostu się odwróciłem i popatrzyłem. Ale wtedy nie miało to już znaczenia. W zapadającym zmierzchu podjazd wydawał się pusty. Nie zobaczyłem tam ojca i wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę.

Miał rację. Zostałem sam. Kiedyś nasza rodzina liczyła cztery osoby, ale to było dawno. Potem zostaliśmy tylko my dwaj, ojciec i ja. Tęskniłem za matką i siostrą, ale nie zdążyłem się do nich tak naprawdę przywiązać, byłem za mały. Pamiętałem je mgliście. Czasami jednak, nawet teraz, słyszę śpiew kobiety. Zawsze mnie to dopada znienacka. Myślę sobie wtedy: Mama miała naprawdę ładny głos. Lecz ojciec... Ojciec bardzo tęsknił. Nigdy nie widziałem, żeby płakał, nawet gdy musieliśmy spalić wszystkie zdjęcia i albumy. Czasem jednak, gdy budziłem się w ciągu dnia, widziałem, jak patrzy w okno. Okiennice były przymknięte, promień słońca oświetlał jego kamienną twarz, a szerokie ramiona drżały.

Ojciec przygotował mnie do życia w pojedynkę. Wiedział, że ten dzień nadejdzie, chociaż w głębi duszy chyba liczył, że to nie ja, lecz on będzie ostatni. Latami wbijał mi do głowy zasady, znam je lepiej niż własne myśli. Nawet teraz, gdy o zachodzie słońca przygotowuję się do szkoły, gdy się dokładnie myję, piluję paznokcie, golę ręce i nogi, a od niedawna również tors, wcieram maść, żeby zamaskować zapach, oraz poleruję sztuczne kły, z pamięci wraca jego głos powtarzający raz po raz zasady.

Podobnie jak dzisiaj. Właśnie kiedy zakładam skarpetki, rozlegają się słowa ojca. Te same przestrogi co zazwyczaj: *Nie przysypiaj, nie nuć ani nie pogwizduj*. Ale potem słyszę zasadę, którą powtarzał tylko raz lub dwa razy do roku. Wspominał o niej tak rzadko, że może to nie była zasada, lecz coś innego – życiowe motto? *Nigdy nie zapominaj, kim jesteś*. Nie mam pojęcia, po co ojciec to mówił. To tak, jakby powtarzał, że woda jest mokra, słońce jasne, a śnieg biały. Jak mógłbym kiedykolwiek zapomnieć, kim jestem? Przypomina mi o tym każda chwila codzienności. Gdy golę nogi lub wstrzymuję kichnięcie, opanowuję śmiech lub udaję, że krzywię się na światło. Właśnie to nie pozwala mi zapomnieć, kim naprawdę jestem.

I kim nie jestem.

Narodowa loteria

Ponieważ w tym roku skończyłem siedemnaście lat, nie obowiązuje mnie już jeżdżenie do szkoły autobusem. Z przyjemnością chodzę pieszo. Konie – ciemne, gigantyczne bestie, dawnej cenione za przydatność w łowach, lecz dziś zdegradowane do ciągnięcia powozów i autobusów – mogły wyczuć mój wyjątkowy zapach. Niejeden raz odwracały do mnie łby i węszyły, rozszerzając chrapy w wilgotnym, milczącym krzyku. Wolę samotne przechadzki pod ciemniejącym niebem.

Co noc wychodzę wcześniej. Gdy docieram do frontowych drzwi, uczniowie i nauczyciele strumieniem wjeżdżają konno lub w powozach do szkoły – szare cienie w mroku nocy.

Dziś jest pochmurno i wyjątkowo ciemno. „Ciemno” to określenie, jakiego ojciec używał do opisu pory, kiedy wszystko spowija czerń. Ciemność sprawia, że mrużę oczy, dlatego stanowi takie zagrożenie. Wszyscy inni mrużą oczy tylko wtedy, gdy zjedzą coś kwaśnego lub poczną zapach zgnilizny. Nikt nie mruży oczu tylko z powodu ciemności – to podejrzane. Nie wolno mi nawet lekko zmarszczyć brwi. Na każdej lekcji siadam przy lampie jarzeniowej, która daje ledwie złudzenie światła (większość ludzi woli szarawą ciemność zamiast całkowitego mroku). To zmniejsza ryzyko, że odruchowo zmrużę oczy. Ludzie nie znoszą siedzieć blisko lamp – za jasno – więc tam bez trudu znajdują sobie miejsce.

Nie lubię, gdy jestem odpytywany. Moje przeżycie zależy od tego, jak dobrze wmieszam się w tłum. A gdy nauczyciel wywołuje mnie do odpowiedzi, uwaga wszystkich skupia się właśnie na mnie. Dziś chciał mnie odpytać nauczyciel trygonometrii. Robi to częściej od innych belfrów, dlatego go nie cierpię. Na dodatek bazgrze jak kura pazurem, jego niedbałe pismo ledwie widać na tablicy w półmroku.

– No, H6? Jak myślisz?

H6 to mój numer. Siedzę w rzędzie H na szóstym miejscu. Numer zmienia się w zależności od miejsca. Na przykład podczas zajęć z wychowania obywatelskiego mówi się do mnie D4.

– A mógłbym nie odpowiadać? – pytam.

Nauczyciel spogląda na mnie beznamiętnie.

– Nie. Słyszę to od ciebie już drugi raz w tym tygodniu.

Patrzę na tablicę.

– Mam chyba zaćmienie. – Nawet nie próbuję przeczytać liczb na tablicy w obawie, że odruchowo zmarszczyłbym brwi.

Nauczyciel przymyka oczy.

– Tylko bez wymówek. Wiem, że potrafisz. Zawsze dobrze wypadasz na sprawdzianach. Mógłbyś rozwiązać to równanie nawet przez sen.

Uczniowie na mnie patrzą. Tylko paru, ale i tak zaczynam się denerwować. Zwłaszcza że jedną z nich jest Ashley June. W tej klasie ma numer G6, ale dla mnie zawsze to Ashley June. Od pierwszego naszego spotkania przed laty.

Zwraca na mnie błyszczące jasnozielone oczy. Wydaje się wszystko rozumieć. Jakby wiedziała, że często z tylnej ławki przyglądam się jej długim kasztanowym włosom (co za wspaniały, oszałamiający kolor!) i wspominam tęsknie, jak wiele księżyców temu udało mi się ich dotknąć – były jak jedwab. Ashley June wytrzymuje moje spojrzenie. W jej oczach błyska

zdumienie, gdy nie odwracam wzroku. Zwykle umykam spojrzeniem – odkąd wyczułem jej zainteresowanie, odkąd poczułem, że do niej serce mi się rwie.

– H6? – Nauczyciel zaczyna stukać kredą w tablicę. – Przynajmniej spróbuj, co ci szkodzi?

– Naprawdę nie wiem.

– Co się z tobą dzieje? Przecież to dla ciebie łatwizna. – Wbija we mnie wzrok. Wie, że jestem jednym z lepszych uczniów. Szczerze powiedziawszy, mógłbym bez trudu znaleźć się wśród najlepszych, gdybym chciał (dostaję dobre oceny, choć prawie się nie uczę), ale celowo zaniżam swój poziom. Najlepsi uczniowie przyciągają zbyt wiele uwagi. – Przyjrzyj się. Spróbujmy rozwiązać to razem. Najpierw przeczytaj zadanie.

Sytuacja się pogarsza, ale nie ma co panikować. Jeszcze nie.

– Chyba mózg mi się jeszcze nie obudził.

– Więc tylko przeczytaj zadanie – w głosie nauczyciela pojawia się surowość.

Przestaje mi się to podobać. Belfer zaczyna się w to za bardzo angażować. Wbija się we mnie coraz więcej oczu.

Ze zdenerwowania omal nie odchrząknąłem. Opanowałem się w ostatniej chwili. Ludzie nigdy nie chrząkają. Biorę głęboki oddech, żeby zwolnić zbyt szybkie bicie serca. Powstrzymuję odruch, żeby wytrzeć górną wargę, gdzie jak podejrzewam, zaczynają się zbierać maleńkie krople potu.

– Ile razy mam cię prosić?

Ashley June wpatruje się we mnie uważniej. Zastanawiam się, czy przygląda się mojej górnej wardze. Widać tam już lekkie lśnienie potu? A może nie ogoliłem się dokładnie? I wtedy dziewczyna podnosi rękę – smukłe, blade ramie jak szyja łabędzia nad taflą jeziora.

– Chyba wiem, jak to zrobić – oznajmia i wstaje z ławki. Bierze kredę od nauczyciela, nieco oburzonego taką śmiałością. Uczniowie zwykle nie zbliżają się do tablicy, o ile nie zostaną wywołani do odpowiedzi. Ale to Ashley June, której niemal wszystko uchodzi płazem. Przygląda się równaniu, a potem pisze płynnie i czytelnie rozwiązanie. Na zakończenie dodaje „ptaszka” i dopisuje sobie ocenę: 6+, po czym wraca na miejsce, otrzepując ręce z kredy. Paru uczniów zaczyna drapać się w nadgarstek, podobnie jak nauczyciel.

– Zabawne – stwierdza. – Podoba mi się.

Drapie się w nadgarstek bardziej demonstracyjnie i coraz więcej uczniów się do niego przyłącza. Słyszę skrobanie paznokci po skórze.

Sam również się przyłączam, drapię nadgarstek długimi paznokciami. Nienawidzę tego. Moje nadgarstki mają defekt. Nie swędzą, gdy coś mnie rozbawi. Naturalnym dla mnie odruchem jest uśmiech – rozciągnięcie warg i wyszczerzenie zębów – a nie drapanie się w nadgarstki. Mam tam wrażliwe połączenia nerwowe, a nie poczucie humoru.

Z radiowęzła rozlega się zapowiedź. Wszyscy natychmiast przestają się drapać i siadają. Głos jest automatyczny, ani męski, ani żeński, autorytarny.

– Uwaga, ważny komunikat – huczy z głośników. – Dzisiejszej nocy, za trzy godziny, czyli o drugiej nad ranem, w całym kraju zostanie nadane Obwieszczenie Władcy. Wszyscy obywatele mają obowiązek go wysłuchać. W związku z tym zajęcia odbywające się o tej porze zostają odwołane. Uczniowie, nauczyciele oraz reszta personelu mają się zebrać w audytorium, aby obejrzeć transmisję Obwieszczenia naszego ukochanego Władcy na żywo.

I tyle. Po dzinglu kończącym komunikat nikt się nie odzywa. Zbyt nas to zaskoczyło. Władca nie pokazywał się publicznie przez dekady i niemal nigdy nie występował w telewizji. Zwykle pozostawiał ogłoszenia pałacowe oraz administracyjne swoim czterem ministrom (techniki, edukacji, żywności, prawa) lub podległym im piętnastu dyrektorom (gospodarki

konnej, infrastruktury miejskiej, badań nad heperami i podobnym).

Nikt nie pozostaje obojętny na wieść, że Władca wygłosi Obwieszczenie. Wszyscy zaczynają się zastanawiać, czego będzie dotyczyć przemówienie. Odezwy narodowe wygłaszane są niezwykle rzadko. Przez ostatnie piętnaście lat zdarzyło się to tylko dwa razy – gdy Władca się ożenił i gdy zapowiedział Wielkie Łowy. Ta druga odezwa o wiele lepiej wryła się w pamięć ogółu.

Chociaż łowy odbyły się dziesięć lat temu, ludzie nie przestali o nich mówić. Opinię publiczną zaskoczyła wieść, że w murach Pałacu trzymano heperów. Osiem żywych, pełnokrwistych okazów. Dla podniesienia podupadającego po kryzysie ekonomicznym morale społeczeństwa Władca postanowił wypuścić swoje okazy. Więzieni przez lata heperzy byli tłuści i powolni, bezradni i przerażeni. Wyprowadzono ich jak jagnięta na rzeź, nie mieli najmniejszych szans. Dano im dwanaście godzin na ucieczkę. A potem grupa szczęściarzy, która wygrała na loterii, ruszyła w pościg. Łowy zakończyły się w dwie godziny. Wydarzenie podniosło znacząco popularność Władcy.

W drodze na stołówkę słyszę szum podnieconych głosów. Wiele osób liczy na ogłoszenie kolejnego polowania. Znowu się mówi o loterii dla obywateli. Niektórzy jednak mają wątpliwości – przecież heperzy wymarli. Ale nawet sceptykom ślina cieknie z ust i po brodzie. Od dawna nikt nie pił krwi hepera, nie kosztował jego mięsa. Możliwość, że rząd więzi jeszcze paru heperów, a każdy obywatel ma szansę na wygraną w loterii i wzięcie udziału w polowaniu... W szkole robi się gorąco od przypuszczeń.

Pamiętam polowanie sprzed dziesięciu lat. Potem przez wiele miesięcy bałem się zasnąć z powodu koszmarów – wynaturzonych obrazów pełnych przemocy i krwi. Wśród nocnej ciszy niosły się mrozące krew w żyłach wrzaski przerażenia, jęki rozdieranych żywcem ofiar i trzask łamanych kości. Budziłem się z krzykiem i nie mogłem się uspokoić nawet w silnych, bezpiecznych ramionach ojca. Powtarzał, że wszystko w porządku, że to tylko sen, że to nie działo się naprawdę, ale nie wiedział, że w uszach nadal dźwięczy mi echo rozdierającego krzyku matki i siostry. Ich przeciągłe jęki przesączały się z koszmarów w ciemność mojego aż nazbyt realnego świata.



W zatłoczonej stołówce panuje gwar. Nawet personel kuchni dyskutuje o Obwieszczeniu podczas nakładania na talerze jedzenia – syntetycznego mięsa. Lunch zawsze stanowił dla mnie wyzwanie, ponieważ nie mam przyjaciół. Ze względów bezpieczeństwa jestem samotnikiem – im mniej kontaktów z ludźmi, tym mniejsze szanse, że zostanę zdemaskowany. Na dodatek możliwość pożarcia żywcem przez tak zwanych przyjaciół odbiera mi chęć do jakichkolwiek zbliżeń. Pewnie jestem wybredny, ale perspektywa nieuchronnej śmierci z rąk (albo raczej kłów) przyjaciela, który wysałałby mnie do ostatniej kropli krwi... Cóż, to nieco utrudnia zawieranie bliskich znajomości.

Dlatego zazwyczaj jadam sam. Ale dzisiaj, gdy już dopchałem się do kasy i zapłaciłem za lunch, nie znalazłem prawie żadnych wolnych miejsc. Wypatrzyłem jednak siedzących razem F5 i F19 z matematyki i przyłączyłem się do nich. Obaj to kretyni, ale F19 bardziej. W duchu nazywam ich Głup i Głęb.

- Hej, chłopaki – rzucam na powitanie.
- Hej. – Głupowi nie chce się nawet podnieść oczu znad talerza.
- Wszyscy gadają o Obwieszczeniu – zagajam.
- No... – mruczy Głęb z pełnymi ustami.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Tak to jest z Głupem i Głębem, to maniacy, którzy tkwią przy komputerach do świtu. Kiedy z nimi siedzę na stolówce – nie częściej niż raz na tydzień – prawie wcale nie rozmawiamy. Czasami mam wrażenie, że jest między nami jakaś więź.

– Zauważyłem coś – rzuca Głęb.

Zerkam na niego.

– Co takiego?

– Ktoś chyba ma na ciebie oko. – Odgryza kawałek mięsa, krople krwi spływają mu po podbródku do miski.

– Chodzi o belfra od matmy? Racja. Facet zwyczajnie się na mnie uwziął z tą trygonometrią...

– Nie. Chodziło mi o dziewczynę.

Tym razem nie tylko ja wbijam w niego wzrok, Głup też.

– Serio? – pyta.

Głęb kiwa głową.

– Przygląda ci się od paru minut.

– Nie mnie. – Unoszę kubek do ust. – Pewnie patrzy na jednego z was.

Głup i Głęb wymieniają spojrzenia. Głup drapie się w nadgarstek.

– Zabawne – stwierdza Głęb. – Mógłbym przysiąc, że od dawna ma na ciebie oko. Już parę tygodni temu zauważyłem, że na ciebie patrzy w przerwie na lunch.

– Skoro tak twierdzisz. – Udaję obojętność.

– Teraz też. No popatrz. Za tobą, stolik przy oknie.

Głup się odwraca, żeby spojrzeć. A potem zaczyna drapać się w nadgarstek, coraz szybciej i mocniej.

– Coś cię tak bawi? – Biorę łyk i opanowuję ciekawość, która każe mi się odwrócić. Głup tylko szybciej drapie się po nadgarstku.

– Powinieneś popatrzeć. On nie żartuje.

Obracam się powoli i zerkam. Przy oknie znajduje się tylko jeden stolik. Siedzi tam grupka dziewczyn. Pieszczoszki – tak się je nazywa. A stolik należy tylko do nich i na mocy niepisanego prawa wszyscy go omijają. To królestwo Pieszczoszek, popularnych dziewczyn, które chodzą z przystojnymi chłopakami i noszą markowe ciuchy. Nie można się tam przysiąść bez pozwolenia, nawet chłopakom Pieszczoszek. Nieraz widziałem, jak grzecznie czekali w pobliżu, aż któraś z dziewczyn ich przywoła.

Żadna nie patrzy na mnie. Rozmawiają, pokazują sobie błyskotki i ogólnie nie zwracają uwagi na świat poza ich małym kręgiem. Ale potem jedna rzuca mi powłóczyście spojrzenie i nasze oczy się spotykają. Ashley June. Patrzy na mnie z utęsknieniem i zrozumieniem. Pamiętam, że podobnie patrzyła wiele razy przez minione parę lat.

Odwracam się szybko. Głup i Głęb szaleńczo drapią się po nadgarstkach. Czuję, że na policzki wypływa mi zdradziecki rumieniec, ale na szczęście ci dwaj są zbyt zajęci drapaniem, żeby to zauważyć. Opuszczam głowę i biorę parę głębokich oddechów, dopóki gorąco z twarzy nie ustąpi.

– A tak w ogóle – rzuca Głup – ta dziewczyna chyba już wcześniej się tobą interesowała? Od paru lat, jak mi się zdaje.

– I nadal jej się podobasz – rzuca złośliwie Głęb, po czym zaczynają z Głupem jak szaleni drapać się nawzajem po nadgarstkach.



Trening pływacki po lunchu – tak, trener to maniak – niemal został odwołany. Nikt z drużyny nie potrafi się skoncentrować. Szatnia huczy od najnowszych plotek o Obwieszczeniu. Czekam, aż zostanę sam, żeby się przebrać. Właśnie rozpinam ubranie, gdy wchodzi Pozer.

– Jo.

Pozer, kapitan drużyny, zrzuca ciuchy i szybko zakłada obcisły strój pływacki. Potem opada na podłogę, żeby zrobić parę pompek na rozgrzewkę. W szafce trzyma hantle i pewnie też ich użyje. Jego Pozerska Mość zawsze ćwiczy dodatkowo, chce wykorzystać trening na maksa, wyrzeźbić sobie klatę i bicepsy. Pozer ma nawet fanklub, głównie wśród dziewczyn z pierwszej i drugiej klasy. Widziałem, jak pozwalał im dotykać swoich mięśni. Tamte dziewczyny gapiły się też na mnie, a bardziej śmiało próbowały nawet zagadywać po treningach, dopóki nie dałem im do zrozumienia, żeby zostawiły mnie w spokoju. Na szczęście Pozer odciągnął ode mnie ich uwagę.

Teraz zrobił dziesięć szybkich pompek i zatrzymał się w pół ruchu.

– Na pewno chodziło o Wielkie Łowy – stwierdza. – Szkoda tylko, że znowu zaczniesz się to zamieszanie z loterią. Do polowania powinno się wybierać najsilniejszych. Czyli – dokończył pompkę – mnie.

– Niewątpliwie – przyznaję. – Łowy to zawsze siła nad rozumem. Przeżywają najsprawniejsi...

– ...a zwycięzca bierze wszystko – kończy Pozer, po czym robi jeszcze dziesięć pompek, ostatnie trzy na jednej ręce. – Życie sprowadzone do surowej esencji. Uwielbiam to. Przeważa brutalna siła. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Z satysfakcją przesuwa dłonią po bicepsie, po czym wychodzi. Dopiero wtedy kończę się przebierać.

Wskakuję do basenu. Trener warczy na nas za brak skupienia, gdy przepływamy kolejne długości toru. Woda, zawsze dla mnie za zimna, dzisiaj jest lodowata. Paru zawodników nawet narzeka, choć prawie nigdy tego nie robią. Na mnie tak zimna woda działa inaczej niż na resztę. Trzęsę się, dostaję – jak określał to ojciec – gęziej skórki. To tylko jedna z wielu różnic między mną i pozostałymi. Chociaż wyglądam prawie tak samo, pod tym kruchym i zwodniczym podobieństwem kryją się diametralne rozbieżności.

Dziś wszyscy są powolni. Niewątpliwie roztargnieni. A mnie potrzeba więcej ruchu, więcej wysiłku. Nawet gdy temperatura nie jest tak niska, a wszyscy mącą wodę, i tak musi minąć dobre dwadzieścia minut, zanim się rozgrzeję. Dzisiaj jednak wcale nie robi mi się cieplej, wręcz przeciwnie, coraz bardziej marzną. Muszę pływać szybciej.

Po rozgrzewce, gdy odpoczywamy na płyciźnie, ogarnia mnie nieprzeczona ochota, żeby odbić się od bandy i popłynąć pod powierzchnią.

To zakazane. Tylko mój ojciec widział, jak to robię – podczas jednej z naszych wycieczek nad staw za dnia. Bez powodu zanurzyłem się wtedy z głową. A kiedy nos i uszy znajdą się pod powierzchnią, jest to pierwszy symptom tonięcia. Ratowników szkoli się, żeby wypatrywali właśnie takich oznak. Gdy tylko dostrzegają na wpół zanurzoną głowę, bez namysłu zaczynają gwizdać i ruszają do akcji. I dlatego właśnie woda nawet w najgłębszym miejscu basenu sięga nam najwyżej do piersi. Głębia to dla ludzi śmiertelne zagrożenie, sprawia, że stają się całkowicie bezradni. Kiedy nie mogą dotknąć stopami dna, a woda sięga im podbródka, wpadają w panikę. To instynktowny odruch. Zamierają, topią się i toną. Dlatego pływanie uważa się za sport dla uzależnionych od adrenaliny idiotów, którzy lubią igrać ze śmiercią, choć to nieprawda. Na basenie przy najmniejszych oznakach problemów wystarczy po prostu stanąć – woda jest tak płytka, że nawet pępek nikomu nie utonie.

Jednak tamtego dnia na wycieczce... Nie wiem, co mnie opętało. Po prostu zanurzyłem

głowę i zrobiłem coś z oddechem. Nie wiem, jak to określić lepiej – wstrzymałem go. Uwięziłem w płucach i za zamkniętymi ustami. I przez parę sekund, więcej niż dziesięć, wszystko było dobrze. Dziesięć sekund, głowa pod wodą, i wcale nie tonąłem.

Nawet się nie bałem. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem swoje ręce, blade i rozmazane. Usłyszałem krzyki ojca i plusk wody w pobliżu. Powiedziałem, że nic mi nie jest, a potem pokazałem ojcu, jak to robić. Początkowo nie wierzył, ciągle pytał, czy dobrze się czuję. W końcu jednak odważył się i zrobił to samo co ja. I wcale mu się nie spodobało, ani trochę.

Jednak kiedy poszliśmy pływać parę dni potem, znowu się zanurzyłem. I nie tylko. Tym razem, gdy głowę miałem pod wodą, wyciągnąłem ramiona, a potem odgarnąłem nimi wodę. Kopnąłem nogami i zacząłem płynąć. Pod powierzchnią. To było niesamowite. A potem musiałem się wynurzyć, bo zadławiłem się wodą. Musiałem ją wykaślać. Zmartwiony ojciec brnął do mnie, ale zanurzyłem się jeszcze raz, machnąłem ramionami i nogami, przepchnąłem wodę pod sobą i oddaliłem się. Czułem, jakbym latał.

Kiedy jednak wróciłem, ojciec kręcił głową – z gniewem i ze strachem. Nie musiał nic mówić (choć mówił, i to bez przerwy), wiedziałem, o co chodzi. Ojciec powiedział, że to zakazane nurkowanie. Nie chciał, żebym tak pływał. Więc nigdy więcej tego nie zrobiłem.

Ale dzisiaj zamierzam. Inni zawodnicy pływają jak zwykle – utrzymują głowy nad powierzchnią wody, trochę nawet rozmawiają i uśmiechają się podczas machania zanurzonymi kończynami. Wyglądają jak kaczki w stawie. A ja chcę zagarniać mocno wodę, kopać ją, rozgrzać się.

I wtedy to czuję. Dreszcz, który targa moim ciałem.

Unoszę prawą rękę. Jest pokryta gęsią skórą jak u oskubanego kurczaka. Macham szybciej nogami i rękami, nabieram szybkości. Za bardzo. Wpadam głową na nogi pływaka przede mną. Kiedy to się powtarza, zawodnik rzuca mi groźne spojrzenie przez ramię.

Zwalniam.

Zimno przenika mnie do szpiku kości. Wiem, co powinienem zrobić. Jak najszybciej wyjść z basenu i uciec do szatni, dopóki jeszcze mogę opanować drżenie. Unoszę ręce pokryte gęsią skórą, obrzydliwą jak wysypka, pewnie każdy może ją zauważyć. Z moją szczęką też dzieje się coś dziwnego. Zaczyna się poruszać, wibrować tak, że górne i dolne zęby zaczynają o siebie uderzać. Zaciskam mocno usta.

Kiedy drużyna kończy okrążenie, odpoczywamy, zanim zaczniemy następną. Narzuciliśmy sobie za szybkie tempo, więc mamy dwanaście sekund, zanim zaczniemy kolejną rundę. To będzie chyba najdłuższe dwanaście sekund w moim życiu.

– Zapomnieli włączyć ogrzewanie – narzeka jeden z zawodników. – Woda jest za zimna.

– Pewnie obsługa techniczna zajęta była gadaniem o Obwieszczeniu.

Woda sięga nam do pasa, ale kucam, żeby ciało mieć pod wodą. Przesuwam palcami po skórze. Wszędzie małe krostki. Zerkam na zegar. Jeszcze dziesięć sekund. Dziesięć sekund, po których nikt na mnie nie spojrzy i chyba uda się...

– Co z tobą? – Pozer przygląda mi się uważnie. – Źle wyglądasz.

Reszta drużyny też zwraca na mnie wzrok.

– N-nic – szczękam zębami. – Nic.

– Na pewno? – powtarza Pozer.

Kiwam głową, bo nie ufam głosowi. Zerkam szybko na zegar. Jeszcze dziewięć sekund. Mam wrażenie, że wskazówki utknęły w miejscu, jak posmarowane Super Glue.

– Trenerze?! – woła Pozer, machając prawą ręką. – Coś z nim nie tak.

Trener odwraca się błyskawicznie, czujnie. Jego pomocnik już idzie w naszą stronę.

Wyciągam ręce spod wody, tylko do nadgarstków.

– Nic mi nie jest – zapewniam, choć głos mi drży. – Czuję się dobrze. Płynmy.

Dziewczyna obok mnie przygląda mi się bacznie.

– Dlaczego jego głos jest taki dziwny? Czemu się trzęsie?

Po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz. Mam wrażenie, że coś mi się w brzuchu przelewa, jakby wykręcił mi się żołądek.

Rób wszystko, co pozwoli ci przeżyć – doradziłby mi ojciec, głaszcząc mnie po włosach.
Wszystko.

I właśnie wtedy, gdy trener już się zbliża, a cała drużyna się na mnie gapi, znajduję sposób na przeżycie. Wymiotuję do basenu. Żółto-zielonkawa breja zmieszana z kleistą mazią i śliną ląduje w wodzie. Nie ma tego dużo, większość od razu rozplywa się na powierzchni jak plama oleju. Parę bezbarwnych kawałków jedzenia spada na dno.

– To obrzydliwe! – piszczy dziewczyna. Pryska, żeby odepchnąć moje wymiociny, po czym odskakuje. Inni pływacy też się cofają, rozpryskując wodę. Zielonkawe pasmo kołysze się i zawraca do mnie.

– Wyłaż z wody! Ale już! – wrzeszczy trener.

Wykonuję rozkaz bez wahania. Większość jest zbyt zajęta wymiocinami, więc nie zauważa, że mam gęsią skórkę. I że się trzęsę. Trener i jego pomocnik ruszają w moją stronę. Unoszę rękę, udając, że znowu mnie mdli. Zatrzymują się.

Przygarbiony gnam do szatni. W środku wydaję odgłosy, jakbym znowu wymiotował, a tymczasem szybko się wycieram i ubieram. Zostało mi najwyżej kilkanaście sekund, zanim przyjdzie reszta. Pomimo ubrania nadal się trzęsę. Słyszę, że pływacy z drużyny podchodzą. Rzucam się na podłogę i zaczynam robić pompki. Byle tylko się rozgrzać.

Ale to na nic. Wciąż się trzęsę.

Więc kiedy słyszę pierwsze czujne głosy z szatni, chwytam swoją torbę i ruszam do wyjścia.

– Nie czuję się najlepiej – rzucam na odchodnym do zawodników. Odraza sprawia, że odwracają głowy i odstepują na krok, ale to dobrze. Przywykłem do tego. I do grymasów obrzydzenia.

Nie przywykłem jedynie do grymasu, jaki zobaczę w lustrze, gdy już znajdę się sam w domu.

Zbyt długie udawanie wywołuje nienawiść. Nienawiść do tego, kim się jest naprawdę.



Na zajęciach z angielskiego, tuż przed zapowiadzianym Obwieszczeniem, nikt nie może się skoncentrować. Klasa chce rozmawiać tylko o odezwie. Nawet nauczycielka przestaje udawać, że prowadzi lekcję.

Siedzę cicho i próbuję odtajać, nadal czuję zimno w kościach. Nauczycielka upiera się, że odezwa dotyczyć będzie polowania.

– Przecież Władca nie ożeni się drugi raz – argumentuje. Raz po raz zerka na zegar odmierzający minuty do drugiej nad ranem.

Nareszcie za piętnaście druga wyprowadza nas do auli. Sala aż wrze z podniecenia. Nauczyciele stają pod ścianami, przestępują z nogi na nogę. Nawet woźni kręcą się bez celu na tyłach.

A potem nadchodzi wiekopomna chwila. Zegar wskazuje drugą, a na ekranie nad sceną pojawia się nasze godło – dwa białe kły oznaczające Prawdę i Sprawiedliwość. Po czym przez parę przerażających sekund projektor trzeszczy i gaśnie. Po rzędach krzeseł roznosi się jęk,

technicy gnają do aparatury, ciężkiej i niezgrabnej, jak wszystkie urządzenia audiowizualne, która stoi na środku audytorium. W minutę opanowują usterkę i projekcja może się zacząć.

W samą porę. Na ekranie ukazuje się Gabinet Ovalny. Władca siedzi za biurkiem, długie palce ma splecione i oparte na blacie, paznokcie lśnią mu w świetle reflektorów.

– Drodzy obywatele! – rozpoczyna przemówienie. – Kiedy ogłoszono wcześniej, że będę przemawiał, wielu z was, może wszyscy – przerwał dramatycznie – było co najmniej zaintrygowanych. Moi doradcy poinformowali mnie, że w naszym wspaniałym kraju zapanowała nieuzasadniona nerwowość, a wielu z was dręczą przypuszczenia i spekulacje. Wybaczcie, jeżeli tak się stało, nie miałem zamiaru nikogo niepokoić. Przemawiam dzisiaj nie po to, żeby obwieścić wojnę lub smutek, lecz żeby przynieść radosną nowinę.

Na te słowa wszyscy w auli pochylają się do ekranu. W całym kraju ponad pięć milionów obywateli tłoczy się przy telewizorach albo ekranach i dyszy płytko.

– Drodzy obywatele! Pragnę obwieścić, że w tym roku nastąpi najwspanialsze z wydarzeń. – Władca wysuwa język, żeby zwilżyć sobie wargi. – Po raz pierwszy od dekady znowu odbędzie się polowanie. Ogłaszam Wielkie Łowy!

Na ten okrzyk wszystkie głowy unoszą się i opadają, kiwają i kręcą, a z nosów dobywa się głośne prychnięcie. Widownię wypełnia staccato poruszających się głów i płytkich oddechów wibrujących z podniecenia.

– Zanim jednak przekażę głos dyrektorowi Instytutu Badań Heperystycznych, żeby wprowadził was w szczegóły, niech mi będzie wolno powiedzieć, że to wydarzenie symbolizuje to, kim jesteśmy. Odzwierciedla to, co czyni nasz naród tak wyjątkowym: siłę charakteru, jedność i wytrwałość. Niech zwyciężą najlepsi!

Salę wypełnia łomot stóp. Zrywamy się na równe nogi, gdy Władca wstaje, i przyciskamy dłonie do szyi, gdy obraz zaczyna się rozmywać. Potem przemawia dyrektor instytutu. To żyłasty mężczyzna o ostrych rysach, który zachowuje się bardzo oficjalnie i ma nieskazitelny garnitur. Oznajmia, że grupa łowców liczyć będzie w tym roku od pięciu do dziesięciu osób.

– Żyjemy w demokracji, gdzie każdy się liczy i każdy ma znaczenie. Dlatego *każdy* obywatel w wieku od lat piętnastu do sześćdziesięciu pięciu otrzyma cztery losowo wytypowane liczby. W ciągu doby odbędzie się losowanie transmitowane na żywo w telewizji. Od pięciu do dziesięciu obywateli będzie zwycięzcami.

Głowy uniosły się, karki trzasnęły. *Od pięciu do dziesięciu obywateli!*

– Zwycięzcy loterii zostaną przewiezieni do Instytutu Badań Heperystycznych na szkolenie, które potrwa cztery dni. Potem rozpocznie się polowanie.

Widownia reaguje sykiem i warknięciami. Dyrektor przemawia dalej:

– Zasady polowania są proste. Rozpocznie się na pustyni, heperom dane będzie dwanaście godzin na ucieczkę, potem wypuszczeni zostaną łowcy. Cel? Dogonić heperów i zjeść ich więcej niż inni myśliwi. – Rzucił spojrzenie w obiektyw kamery. – Ale chyba za bardzo wybiegamy naprzód, nieprawdaż? Najpierw trzeba wygrać w loterii. Życzę zatem wszystkim powodzenia.

Głośniejsze tupanie stóp ucisza uniesiona dłoń.

– Jeszcze jedno – mówi dyrektor. – Wspomniałem o heperach?

Widownia znowu pochyla się do ekranu.

– Większość z nich była za młoda na poprzednie polowanie. Po prawdzie wtedy były to jeszcze dzieci. A co za przyjemność polować na dzieci? To okrutne, barbarzyńskie i zwyczajnie nieuczciwe. – W oczach dyrektora błysnęło okrucieństwo. – Ale obecnie heperzy już dorośli. Hodowaliśmy ich w kontrolowanym dokładnie środowisku, żeby mieć pewność, że nie tylko dostarczą nam soczystego mięsa i krwi, ale będą też bardziej... sprawni niż ci z poprzednich

łowów. Dzisiaj są już dojrzały i gotowi do pościgu oraz konsumpcji.

Zgromadzeni zaczęli się drapać w nadgarstki i ślinić.

– Szanowni obywatele, nadeszła pora. Większość z was w ciągu paru minut będzie mogła odebrać losy z przydzielonymi wam numerami w miejscu pracy. Matki, które pozostają w domach, otrzymają swoje numery pocztą elektroniczną na adresy swoich skrzynek. A na uczniów i studentów losy już czekają na ławkach. Raz jeszcze życzę wam szczęścia. – I obraz dyrektora znika.

Zwykle wyprowadza się nas w ścisłym porządku, rząd po rzędzie. Ale dzisiaj wybucha pandemonium. Uczniowie – przepychając się i śliniąc – rzucają się do drzwi. Nauczyciele, którzy zwykle pilnują, żeby wszystko odbywało się sprawnie i bez kolizji, teraz wybiegają pierwsi, żeby czym prędzej dotrzeć do pokoju nauczycielskiego.

W klasie wszyscy maniakalnie logują się do swoich kont, długie paznokcie uderzają o szklane pulpity na ławkach. Udają podobne podniecenie i nerwowość, ślinię się i kręcę głową. W skrzynce odbiorczej wielkimi literami na czerwonym tle jarzy się oficjalny e-mail.

Re: TWOJE NUMERY DO NARODOWEJ LOTERII ŁOWIECKIEJ

Otrzymałem numery: 3 16 72 87.

Jakby mnie to obchodziło.

Wszyscy wykrzykują swoje numery na prawo i lewo. Szybko okazuje się, że pierwsza liczba mieści się w zakresie od 1 do 9, a pozostałe trzy od 0 do 99. Na tablicy pojawia się mało znaczące zestawienie.

Pierwszy numer w sekwencji

Liczba uczniów z danym numerem

1

3

2

4

3

4

4

5

5

3

6

2

7

4

8

3

9

2

Pojawiają się wstępne hipotezy. Z niezrozumiałych powodów numer cztery, najczęściej występujący w mojej klasie, zostaje uznany za najlepszy, a jego posiadacze mają podobno największe szanse na wygraną. Trójka, którą dostałem między innymi ja, zyskuje od razu miano pechowej. Czyli: zero szans na loterii.

Mnie to jak najbardziej odpowiada.



Kiedy wracam do domu, jest jeszcze ciemno, ale na niebie widać już zwiastuny szarości. Za godzinę zza gór na wschodzie wyrzy słońce. Zawyją syreny. Jeżeli ktoś przebywa wtedy na otwartej przestrzeni, ma najwyżej pięć minut na znalezienie schronienia, zanim światło go zabije. Ale o tej porze rzadko ktokolwiek jeszcze przebywa poza domem. Lęk przed słońcem sprawia, że gdy rozbrzmiewają syreny, ulice dawno są puste, a okiennice zatrzęsnięte.

Gdy wsuwam klucz do zamka, wyczuwam coś dziwnego. Zapach? Nie umiem określić. Rozglądam się po podjeździe i ulicy. Poza paroma powozami z ludźmi śpieszącymi do domów nikogo nie dostrzegam. Węszę. Ciekawe, czy to tylko złudzenie...

Nie. Ktoś tu był przed chwilą. Tuż przed moim przyjściem.

Mieszkam sam. Nikogo tu nie zapraszałem. Poza mną nikt nawet nie stał w progu przed drzwiami. Do dzisiaj.

Czujnie sprawdzam dom, szukając oznak obecności intruza. Wszystko wydaje się w porządku. Stos pieniędzy pozostawiony przez ojca i ukryty pod deskami podłogi, choć powoli maleje, również jest nietknięty.

Zamykam drzwi i zamieram w bezruchu. Wsłuchuję się w ciemności domu. Nikogo tu nie ma. Ktoś stał w progu, ale nie wszedł. Dopiero wtedy zapalam świecę. Otoczenie wybucha feerią barw.

To moja ulubiona pora dnia. Czuję się wtedy jak więzień, który właśnie wyszedł na wolność, albo nurek, który wypłynął z głębin mitycznego morza i wziął pierwszy oddech. Po długich godzinach szaro-czarnej nocy wokół rozkwitają barwy i w tęczowych pasmach rozpraszają się po pomieszczeniu.

Wkładam obiad do mikrofalówki. Muszę podgrzewać go dwadzieścia razy, bo minutnik można nastawić najwyżej na piętnaście sekund. Gorący posiłek, lekko przypalony, jak lubię, nie ta zimna breja, którą muszę jeść w szkole. Zdejmuję kły, chowam je do kieszeni, a potem wbijam zęby w burgera, delektując się ciepłem na języku i smakując solidne, chrupiące kęsy. Przymykam oczy z przyjemności.

I czuję się brudny, zawstydzony.

Potem biorę prysznic – czyli smaruję się mydłem i polewam wodą, żeby zmyć pianę i zapach – kładę się na sofie. Opieram głowę na stosie złożonych koszul. Pali się tylko jedna świeca, rzuca pełgające cienie na sufit. Kołyszą się tam pętle do spania, powieszono wiele lat temu, na wypadek gdyby jednak pojawił się jakiś nieproszony gość. Radio jest włączone, ale głos ściszony.

– Wielu specjalistów spekuluje, że do polowania wypuszczonych zostanie od trzech do pięciu heperów – mówi spiker. – Ponieważ jednak dyrektor milczy w tej sprawie, można tylko zgadywać...

Audycja trwa z kilkoma przerywnikami na rozmowy ze słuchaczami. Jakaś piskliwa kobieta podejrzewa, że „zwycięzcą” w loterii okaże się na pewno ktoś bogaty i mający przyjaciół na wysokich stanowiskach. Rozmowa szybko zostaje przerwana. Kolejni słuchacze zastanawiają się nad liczbą heperów na tegorocznych łowach. Jedno jest pewne – będzie ich przynajmniej dwóch, ponieważ dyrektor – fragment przemówienia odtwarzany jest raz po raz w tle – użył liczby mnogiej.

Słucham jeszcze paru rozmów, po czym wstaję i wyłączam radio. W ciszy, która wtedy zapada, słyszę tylko cichy stukot deszczu o okiennice.

Ojciec zabierał mnie za dnia na dwór. Poza wycieczkami nad staw, gdzie mogłem pływać, nienawidziłem tych wypraw. Nawet w okularach przeciwsłonecznych jasność była oślepiająca. Słońce płonęło na niebie jak złośliwe oko, rozlewało żrące jak kwas światło i zmieniało miasto w wieczną błyskawicę. Wszystko zastygało w bezruchu.

Ojciec zabierał mnie na puste stadiony i do centrów handlowych. Nic nie było zamknięte, ponieważ słońce zapewniało najlepszą ochronę przed włamaniem czy kradzieżą. Mieliśmy dla siebie cały Core Park, gdzie puszczałyśmy latawce, albo pusty basen, gdzie mogłem popływać. Ojciec powtarzał mi, że odporność na promienie słońca to nasza siła, która czyni nas wyjątkowymi. *Możemy wytrzymać to, co ich zabija.* Ale dla mnie była to nie zaleta, lecz wada. Chciałem być taki jak inni, żyć pod osłoną ciemności. Mrok mnie uspokajał. Ojca raniło, gdy to mówiłem, ale nie komentował. Stopniowo nasze wyprawy stały się coraz rzadsze, aż w końcu przestaliśmy wychodzić za dnia.

Chyba że naprawdę musieliśmy.

Jak ja teraz. Otworzyłem drzwi. Przestało padać.

Wyszedłem.



Miasto pograżyło się już w głębokim śnie za zamkniętymi okiennicami. „Pożyczam” konia z sąsiedniego podwórza i ruszam pustymi ulicami pod błękitnym niebem.

Wyszedłem dzisiaj, ponieważ co parę tygodni ogarnia mnie nieodparta chęć, żeby się wyrwać. Kiedy żył ojciec, wychodziliśmy razem. I obaj czuliśmy wstyd, ponieważ nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie mogliśmy sobie wtedy nawet spojrzeć w oczy. Jechaliśmy daleko poza granice miasta, na Bezkres Ziem Niepewnego Końca. Długa nazwa, więc większość ludzi skraca ją i używa po prostu określenia Bezkres. To przestwór pustynnych równin. Nikt nie wie, jak daleko sięga ani co leży za nim.

Ponieważ mieszkam na przedmieściach, z dala od wysokich biurowców dzielnicy finansjery i jeszcze dalej od centrum metropolii, gdzie krajobraz przesłaniają rządowe drapacze chmur, opuszczenie miasta nie zajmuje mi wiele czasu. Nie ma wyraźnej granicy, żadnego muru wyznaczającego, gdzie zaczyna się Bezkres. Po prostu się do niego dociera. Pojedyncze domy

zmieniają się w farmy drobiu, a te ustępują miejsca zrujnowanym, dawno porzuconym chatom. A potem wokół rozciąga się tylko pusta równina. Bezkres. Nie ma tu nic. Żadnej kryjówki. Tylko trzy najbardziej okrutne elementy: pustynia, samotność i śmierć.

Nie możemy się tutaj ukrywać – mawiał ojciec. Nie ma tu żadnego schronienia, żadnej nadziei, żadnego życia. Niech ci nie wpadnie do głowy, że mógłbyś tu uciec.

Nie zatrzymuję się, tylko od razu skręcam na północ. Po godzinie spośród piaszczystych wzgórz Bezkresu wyłania się plama zieleni – anomalia odkryta jeszcze przez moich rodziców. I właśnie tego mi trzeba, zieleni. Wreszcie mogę zanurzyć stopy w miękkiej trawie, a potem podbiec do zagajnika. Wyciągam rękę po czerwony owoc wiszący na gałęzi. Zrywam, zamykam oczy i wbijam zęby w woskową skórę. Owoc chrupie mi w zębach, soczysty i słodki, gdy metodycznie go przeżuwam. Kiedy jedliśmy owoce z ojcem, odwracaliśmy się do siebie plecami. Byliśmy zawstyżeni, gdy gryźliśmy i żuli, kęs po kęsie, a sok spływał nam po brodach. Ale nie mogliśmy przerwać.

Po zjedzeniu czwartego owocu zmuszam się, żeby zwolnić. Zrywam kilka i wrzucam do torby. Przerywam na chwilę, żeby spojrzeć w niebo. Wysoko nad moją głową szybuje ptak o dziwnie prostokątnych skrzydłach. Krąży nade mną, a jego kształt budzi we mnie niepokój. Wreszcie ptak kieruje się na wschód i znika w oddali. Zbieram jeszcze trochę owoców, a potem idę do naszego ulubionego miejsca – wielkiego drzewa o rozłożystej, wysokiej koronie i gęstych liściach. Siadaliśmy tutaj z ojcem, opieraliśmy plecy o gruby pień i jedliśmy owoce. W oddali miasto było ciemne i płaskie. Jak brudna kałuża.

Wiele lat temu szukaliśmy na zielonej polanie śladów innych podobnych do nas osób. Choćby wyrzuconych ogryzków lub pestek, zgniecionej trawy, połamanych gałęzi. Ale prawie nigdy niczego nie znajdowaliśmy. Nasi pobratymcy starannie zacierali ślady. Jednak od czasu do czasu natrafiałem na nieunikniony dowód, że nie tylko ja tutaj zaglądam – mniej owoców na gałęziach. Ktoś jeszcze przychodził tu po zaopatrzenie i poczęstunek. Ale nikogo nigdy nie spotkałem.

Kiedyś między jednym kęsem a drugim zapytałem ojca:

– Dlaczego nie widzimy tu innych heperów?

Przestał gryźć, obrócił się nieco w moją stronę.

– Nie używaj tego słowa.

– Jakiego? Heper? A co złego w...

– Nie używaj tego słowa – powtórzył ojciec surowo. – Nigdy więcej nie chcę go słyszeć z twoich ust.

Byłem młody, łzy napłynęły mi do oczu. Ojciec odwrócił się do mnie i spojrzał przenikliwie. Miał duże, bystre oczy. Odchyliłem głowę, żeby powstrzymać płynące łzy. Dopiero gdy wyschły, ojciec odwrócił wzrok. Aby opanować gniew, wpatrywał się długo w odległy horyzont.

– Człowiek – odezwał się w końcu łagodnie. – Kiedy jesteśmy sami, nazywaj nas ludźmi, dobrze?

– Dobrze – zgodziłem się, a potem zapytałem jeszcze raz: – Dlaczego nie widzimy innych ludzi?

Nie odpowiedział, ale nadal pamiętam chrupnięcie, gdy odgryzł duży kawałek jabłka i głośno pogryzł. Siedzieliśmy potem długo w milczeniu pod gałęziami uginającymi się od owoców.

A teraz, po latach, na gałęziach jest jeszcze więcej owoców. Odcinają się barwami od soczystej zieleni. Jakie to smutne, że te głębokie barwy świadczą o wyginięciu, o śmierci. Właśnie dlatego jestem sam w tej oazie, plamka szarości wśród czerwieni, oranżu, żółci

i purpury.



Zbliża się zachód słońca i noc losowania. W każdym domu młodzi i starzy już czekają, nerwowi z podniecenia. Kiedy rozlegają się nocne rogi, trzaskają okiennice, a potem otwierają się okna i drzwi. Ludzie wcześniej śpieszą do pracy lub do szkoły, żeby porozmawiać ze znajomymi albo niecierpliwie poklikać w panele komputerów.

W szkole nikt nawet nie próbuje utrzymać pozorów normalności. Po długiej przerwie nauczycielka nie sprawdza obecności, zerka na nas tylko i postukuje w komputer na swoim biurku. W połowie lekcji przez interkom przekazane zostaje ogłoszenie władz: ponieważ produktywność w mieście spadła drastycznie, postanowiono przyspieszyć losowanie o kilka godzin. A dokładniej – losowanie odbędzie się za parę minut.

– Miejcie swoje numery przed oczyma – zakończyła radośnie spikerka, jakby nie zdawała sobie sprawy, że wszyscy znają je na pamięć.

Klasa popadła w delirium. Uczniowie pognali na miejsca i znieruchomieli nad ekranami.

– Gotowi na loterię? – odzywa się parę minut później spiker telewizyjny, jak wszyscy niezdolny do opanowania własnej ekscytacji. – Mam tu swoje numery. – Unosi arkusz z przydzieloną mu sekwencją liczb. – Może to będzie właśnie moja noc? Mam przecucie...

– Jak każdy obywatel tego wielkiego miasta – wtrąca towarzysząca mu spikerka, smukła kobieta o kruczoczarnych, długich włosach. – Wszyscy jesteśmy tacy podnieceni. Połączmy się z instytutem, gdzie zaraz odbędzie się losowanie.

Przerywa, przyciska palcem słuchawkę. Dziki błysk rozświetla jej oczy.

– Dostaliśmy właśnie niespodziewaną informację. To prawdziwa bomba, niech lepiej wszyscy usiądą.

W klasie głowy się odchylają z szarpnięciem, a potem uczniowie przysuwają się bliżej monitorów. Nikt nawet nie mruknie.

– Pałac zdecydował, że zamiast dyrektora numery wylosuje złapany heper.

Ktoś prychnął głośno, paru uczniów wskoczyło na ławki.

– Tak właśnie będzie – podejmuje spikerka, a jej głos robi się wilgotny, słychać w nim syczące nuty. – Zobaczymy żywego...

Przerywa znowu.

– Właśnie dowiedziałam się, że losowanie transmitowane będzie z ukrytego pomieszczenia w instytucie. Łączymy się.

Obraz studia wiadomości znika i pojawia się widok pustej sali. Żadnych okien ani drzwi. Na środku stoi krzesło, a obok szklana misa i jutowy worek. Jednak wszystkie oczy wbijają się w niewyraźną postać skuloną w kącie – heper.

Jest dość stary, żylasty, ale biały brzuch ma wzdęty i nieproporcjonalnie duży w stosunku do chudych kończyn. Ramiona i nogi porastają mu włosy, co budzi wśród widzów w klasie falę cmoknięć.

Kamera robi zbliżenie, potem cofa się od hepera. Urządzenie z pewnością sterowane jest automatycznie, autopilotem. Gdyby ktokolwiek jeszcze pojawił się w sali, heper zostałby pożarty w okamgnieniu. Najnowsze kamery – ważące dobrze ponad dwie tony – mogą automatycznie robić zbliżenia, ulepszenie, o jakim jeszcze dekadę temu nikomu by się nie śniło.

Kamera znowu przybliża obraz hepera, który niepewnie zerka w górę, poza ekran. A potem, jakby otrzymał instrukcje, heper wstaje i podchodzi do krzesła. W każdym jego kroku znać niezdecydowanie i czujność. Emocje wyraźnie malują się na jego twarzy.

Uczniowie gwałtownie potrząsają głowami, ślina pryska na wszystkie strony, parę kropel pada na mnie. Na blatach widać niewielkie kałuże wilgoci, pod ławkami również. Wszyscy mają odchyłone głowy, ciała napięte jak struny, zmysły wyostrzone. Łowiecki trans.

Spikerzy milczą.

Heper siada na krześle. Ponownie podnosi wytrzeszczone oczy, jakby czekał na polecenia. A potem pochyla się, sięga do worka i wyjmuję kulę. Jest na niej numer: 3. Heper przytrzymuje kulę przed kamerą, po czym odkłada do szklanej misy.

Nie od razu dociera do mnie, co właśnie zaszło. Spikerzy przerywają milczenie, ich głosy zniekształca spływająca ślina.

– Mamy pierwszy numer, drodzy państwo, mamy pierwszy numer. To trzy!

Wokół głośnie warknięcia i szelest gniecionych arkuszy. Nauczycielka z tyłu klasy syczy przekleństwo.

Spoglądam na swój arkusz. 3, 16, 72, 87. Spokojnie skreślam pierwszą cyfrę. Tylko kilka osób nie odpadło jeszcze z losowania – oczy im błyszczą w oczekiwaniu, ślina spływa z obnażonych kłów. Pozostali już się rozluźniają, wycierają usta, garbią w swoich ławkach.

Heper nerwowo wyjmuję kolejną kulę.

16.

Więcej jęków i warknięć. Unoszę pióro i skreślam szesnaście, palce lekko mi drżą. Muszę mocniej ścisnąć oprawkę, opanować drżenie.

O ile się orientuję, drugi numer wyeliminował z loterii większość klasy. Ale nie mnie. Nikt jeszcze tego nie zauważył. Nadal biorę udział w losowaniu. Zbieram więcej śliny w ustach, pozwalam jej spłynąć po brodzie. Syczę cicho, odchylam głowę. Inni odwracają się do mnie. A chwilę potem wokół mojej ławki gromadzi się tłum.

Heper wyjmuję kolejny numer.

72.

Zapada zaskoczona cisza. A potem głowy zaczynają się kiwać, kłykcie trzaskać. Mój następny numer – 87 – jest skandowany jak mantra. Ktoś wybiegł, żeby przekazać wieści w sąsiednich klasach. Zaraz też słyszę skrzypienie odsuwanych krzeseł i tłum wokół mnie gęstnieje. Na ramiona i głowę spływa mi ślina, parę osób wisi na suficie i spogląda z góry na mój monitor. Wieść niesie się po korytarzach budynku jak pożar.

Moje serce, jak cierpiący na klaustrofobię szczur w klatce, wyrwało się spod kontroli i ścisnęło ze strachu. Ale nikt nie patrzy jeszcze na mnie, wszyscy wbijają oczy w monitor. Z heperem jest niedobrze. Kręci głową, gwałtownie, a oczy ma wytrzeszczone z przerażenia. Oszałamiający pokaz czystych emocji. Nagle z małego otworu w suficie spada owoc. Czerwony, dojrzały owoc. A heper rzuca się do niego i pożera w okamgnieniu.

– Ohyda – mówi ktoś z klasy.

– No. Patrzeć nie można.

Heper robi parę kroków do worka, już ma wyciągnąć następną kulę, ale zamiera. Potem upuszcza worek i cofa się do kąta, gdzie kuca, zasłania uszy i zaciska powieki. Zaraz jednak zerka w górę, za ekran, po czym wytrzeszcza oczy i potrząsa głową. W końcu kuli się znowu.

– Nie chce wyciągnąć ostatniego numeru – szepcze jakiś uczeń.

– Mówiłam wam – wtrąca nauczycielka. – Heperzy są mądrzejsi, niż się wydaje.

Domyślają się pewnie, że losowanie ma związek z łowami.

Ekran ciemnieje. Potem pojawia się studio, spikerzy chyba nie byli na to przygotowani.

– Zdaje się, że mamy drobne problemy techniczne – rzuca mężczyzna i szybko wyciera sobie usta. – Za chwilę dalszy ciąg programu.

Ale to trwa dłużej niż chwilę. Nagranie z heperem wyciągającym kolejne trzy kule

z numerami powtarzane jest raz po raz. Wieść o mnie niesie się po całej szkole, coraz więcej uczniów tłoczy się w mojej klasie. Dochodzi też druga sensacyjna informacja: nie odpadła jeszcze jedna osoba oprócz mnie. Gdy wylewam z ust ślinę i kiwam rytmicznie głową, próbuję z grubsza policzyć w pamięci, jakie mam szanse na trafienie ostatniego numeru. 1 do 87. Trochę ponad jeden procent.

Uspokajająco niskie prawdopodobieństwo, powtarzam sobie w duchu.

– Patrzcie! – Ktoś wskazuje na monitor.

Obraz studia znika, zastąpiony widokiem otwartej przestrzeni. Nie ma starego hepera, jest młoda heperka. Siedzi na krześle, a obok na ziemi stoi misa i worek. Obraz lśni i błyszczący, jakby między heperem a kamerą znajdowała się szklana ściana. W tle widać góry pod paroma gwiazdami na nocnym niebie. W przeciwieństwie do swojego poprzednika ta heperka nie zerka ani nie rozgląda się nerwowo, lecz patrzy prosto w obiektyw kamery. Znać w tym spojrzeniu opanowanie i pewność siebie, nietypową dla jeńca.

Niektórzy uczniowie wskakują na ławki. Heper płci żeńskiej jest smaczniejszy niż płci męskiej, jak powszechnie wiadomo. Mięso bardziej kruche, więcej tłuszczu. A młode, nastoletnie heperki – chyba takie jak ta na ekranie – są najlepsze, smaku nie da się z niczym porównać.

Zanim jednak zaczną się znowu syki i ślinienie, heperka sięga do worka. Spokojnie wyjmuje kulę i wyciąga rękę do kamery. Mnie jednak uderza jej spojrzenie – skupione jakby właśnie na mnie, jakby heperka mogła mnie zobaczyć przez obiektyw.

Nie muszę nawet patrzeć na ekran, żeby wiedzieć, jaki numer został wylosowany.

87.

W klasie eksploduje syk, a potem staccato cmoknięć. A potem zaczynają się gratulacje: najbliżej stojący pochylają się do mnie, pocierają uchem moje ucho. Zerkam na ekran. Zdumiewające, ale heperka nadal trzyma przed sobą kulę i spogląda wyzywająco w obiektyw kamery. Obraz ciemnieje, ale zanim zniknie, dostrzegam jeszcze, że heperce wilgotnieją oczy. Opuszcza głowę, włosy opadają jej na twarz, a wyzywające spojrzenie roztapia się w nieoczekiwanym, głębokim smutku.



Pojawiają się niedługo potem. Nawet w hałasie gratulacji słyszę stukot urzędniczych butów na korytarzu. Kiedy jednak czteroosobowa grupa pojawia się w drzwiach klasy, każdy uczeń i uczennica czujnie czeka już w swojej ławce. Przybysze są nienagannie ubrani w jedwabne, dopasowane i odprasowane na kant garnitury.

– F3? – rzuca przywódca grupy zza biurka nauczyciela. Głos ma jedwabisty jak jego garnitur, pretensjonalny, ale i władczy.

Podnoszę rękę.

Cztery pary oczu wbijają się we mnie, ale nie są to wrogie spojrzenia, lecz profesjonalnie obojętne.

– Gratulacje, dostałeś zestaw zwycięskich numerów – mruczy przywódca. – Pójdiesz teraz z nami, F3. Zostaniesz zabrany prosto do Instytutu Badań Heperystycznych. Powóz czeka przed szkołą. Ruszaj.

– Dziękuję – odpowiadam. – Chyba jestem najszcześniejszym facetem na świecie. Ale muszę zabrać z domu trochę rzeczy...

I golarkę, zestaw do pielęgnacji paznokci, szczoteczkę do sztucznych kłów...

– Nie. Ubranie dostarczy instytut. Chodź.

Nigdy nie jechałem takim długim, eleganckim powozem, zwłaszcza zaprzężonym

w czwórkę ogierów. Rumaki są lśniące i czarne, niemal doskonale wtapiają się w noc. Odwracają łby, gdy się zbliżam, rozwierają chrapy. Szybko wchodzę do powozu. Uczniowie i nauczyciele wysypują się z zachodniego i wschodniego skrzydła budynku, gromadzą się, żeby popatrzeć, ale trzymają się na dystans i zachowują pełną szacunku ciszę oraz spokój.

Okna powozu są przyciemnione, w środku panuje denerwująco nieprzenikniony mrok. Opanowuję odruch, żeby wyciągnąć ręce lub wytrzeszczyć oczy. Opuszczam głowę i uginam powoli kolana, dopóki nie dotkną miękkiego skórzanego siedziska. Słyszę, jak inni wchodzą za mną, powóz kołysze się, gdy zajmują miejsca.

– Pierwszy raz w limuzynie? – słyszę głos obok.

– Tak.

Zapada cisza. Wreszcie rozlega się inny głos.

– Czekamy na jeszcze jednego zwycięzcę loterii.

– Innego ucznia? – pytam.

Chwila milczenia, wreszcie:

– Tak. To nie potrwa długo.

Patrzę w przyciemnione okno, starając się nie zdradzić, że nic nie widzę.

– Jeszcze tylko dokumenty do podpisu – rozlega się kolejny głos. Cichy szelest papieru, rozpoznawalny zawsze trzask zapięcia teczki. – Proszę.

Z oczyma wbitymi w okno wyciągam prawą rękę na oślep, dopóki nie natrafię na podaną mi teczkę.

– Auć, niezdara ze mnie.

– Podpisz, proszę, tutaj i tutaj. Tam, gdzie jest „x”.

Patrzę na papiery. Nic nie widzę.

– Dokładnie przy „x” – wtrąca kolejny głos.

– Możemy chwilkę zaczekać? Chciałbym się nacieszyć...

– Podpisz, proszę – w tym głosie brzmi stanowczość. Wyczuwam, że urzędnik wpatruje się we mnie uważnie.

Na szczęście wtedy otwierają się drzwi.

– Drugi zwycięzca loterii – szepcze jeden z urzędników. Do wnętrza wpada słaba, szara poświata. Nie ma chwili do stracenia. Wbijam wzrok w dokumenty, ledwie udaje mi się znaleźć rubryki zaznaczone krzyżykiem, po czym szybko bazgrzę swój podpis. Powóz ugina się pod dodatkowym ciężarem, drzwi zatrząskują się i zapada znowu nieprzenikniona ciemność. Nie wiem, kto wszedł.

W łydkę wbija mi się stopa.

– Uważaj z tymi nogami, dobra?! – dziewczęcy głos, jakby znajomy.

Gapię się w okno. Nawet nie próbuję na nią spojrzeć.

– Wy dwoje się znacie? – pyta ktoś.

Wybieram bezpieczną opcję, wzruszam ramionami i drapię się w nadgarstek. Taką odpowiedź można zinterpretować na wiele różnych sposobów. Słyszę, że inni też drapią się w nadgarstki. Czyli na razie mi się upiekło.

– Podpisz, proszę, dokumenty. Tutaj, tutaj i tutaj.

Zapada cisza. A potem dziewczyna oznajmia z naciskiem:

– Moi znajomi tam stoją. Cała szkoła tam stoi. To najwspanialsza chwila w moim życiu. Można opuścić te okna, żeby przyjaciele mogli mnie zobaczyć? To będzie też dobre dla szkoły i tutejszej społeczności.

Milczenie ciągnie się jak wieczność, wreszcie jednak okna osuwają się powoli i do limuzyny wpada szara poświata.

Naprzeciw mnie siedzi Ashley June.



Jedziemy w ciszy i mroku, urzędnicy nie próbują nas zagadywać. Rumaki zatrzymują się na światłach, tętent ich podków urywa się równocześnie. Do limuzyny przenikają stłumione, grzmiące odgłosy tłumu zgromadzonego na zewnątrz – trzask stawów, zgrzytanie zębów, posykiwania. Setki, jeśli nie tysiące osób ustawiło się wzdłuż ulic, żeby zobaczyć nasz przejazd.

Ashley June jest cicha, ale wyraźnie podniecona. Przynajmniej o ile mogę się zorientować. Słyszę naprzeciw trzask kręgów, gdy dziewczyna potrząsa głową. Sam też trzaskam kłykciami raz czy dwa.

Nie pierwszy raz znajdujemy się razem w ciasnym, ciemnym wnętrzu. Rok lub dwa lata temu było podobnie, jeszcze zanim stałem się zupełnym odludkiem, a Ashley June przebojem weszła do zamkniętego kręgu Pieszczoszek. Tamtej nocy padało i klasa tłoczyła się w sali gimnastycznej. Nauczyciel się nie pojawił, nikt jednak nie pofatygował się, żeby zawiadomić dyrekcję. Jakoś tak się złożyło – jak zwykle w takich przypadkach – wszyscy zaczęliśmy grać w butelkę. Cała klasa, trzydzieści osób. Podzieliliśmy się według płci na dwie grupy, usiedliśmy w kręgach. Już miałem powiedzieć: *To głupie, wychodzę*, gdy jeden z chłopaków zakręcił butelką i gra się zaczęła.

Butelka zawirowała, po czym zwolniła przed uczniem naprzeciw mnie. Nie zatrzymała się jednak, lecz cał po calu jak przyciągana obróciła się, aż szyjka niczym pysk śniętej ryby wycelowała we mnie. Dokładnie i bezapelacyjnie we mnie.

– Niech cię ssie – mruknął z goryczą chłopak obok. – Było tak blisko.

Zdawało się, że przez krąg dziewcząt przemknęła iskra elektryczna. Pochyliły głowy i zaczęły szeptać, rzucając mi podniecone spojrzenia. Jedna sięgnęła szybko po butelkę i zakręciła. Przy ostatnich obrotach butelki dziewczyny prostowały się rozczarowane, gdy szyjka je mijała. Jednak nie Ashley June. Ashley June wysunęła stopę i zatrzymała butelkę.

– Łał – rzuciła. – Udało się.

A ponieważ była to Ashley June, nikt nie zaprotestował.

Chwilę potem znaleźliśmy się oboje w schowku. Staliśmy może o cal od siebie w ciasnych objęciach czterech ścian. Unosił się tam ciężki aromat sosny, ciemność była absolutna.

Żadne z nas nawet nie drgnęło. Słyszałem, jak inni rozmawiają za drzwiami, ich głosy zdawały się odległe o mile. Patrzyłem na czubki swoich butów i oddychałem przez nos, powoli i z opanowaniem.

Zastanawiałem się, czy do niej nie przemówić. To była idealna – jedyna zresztą – okazja, żeby wyznać to, co wzbierało we mnie przez lata.

Ashley June, od dawna coś do ciebie czuję. Od pierwszego wejrzenia. Ciągnie mnie tylko do ciebie, codziennie o tobie myślę.

– Chyba powinniśmy się ruszyć – rzuciła w mroku zaskakująco niskim szeptem. Moja okazja, jakże ulotna, właśnie minęła.

Objaliśmy się niezdarnie w ciasnym pomieszczeniu, starając się obnażyć ramiona. Szarpnąłem zamek i poczułem, że ustąpił.

Potem zamarliśmy. Chwila nadeszła. Czy Ashley June czekała, żebym wykonał pierwszy ruch? Wtedy usłyszałem głośny trzask stawów szyi, gdy poruszyła głowę. Niski, gardłowy pomruk, potem warknięcie – tak blisko mnie – wreszcie wilgotny syk, który zdawał się przyskać na ściany, podłogę i sufit schowka.

Oczyściłem umysł, odrzuciłem wszelkie myśli. Zastąpiło je pierwotne pragnienie, instynktowne, podsypane obrazami z mojej wyobraźni. Otworzyłem usta i warknąłem. Dzikość i żądza, która w tym zabrzmiała, zaskoczyła nawet mnie. Wyciągnąłem ramiona i nasze ręce się zderzyły, paznokcie przesunęły się po skórze. Przeszył mnie dreszcz strachu – gdyby pojawiła się choć kropla krwi, żarliwość Ashley June w okamgnieniu zmieniłaby się w zupełnie inne pragnienie i dziewczyna rzuciłaby się mi do gardła, jej ostre jak brzytwa kły wbiłyby mi się w skórę, a reszta za drzwiami schowka znalazłaby się przy nas w parę sekund i zaczęłaby orgię. Ale ogarnięty podnieceniem nie myślałem wtedy i nie przestałem, oboje nie przestaliśmy. Odśloniłem ramiona, cofnąłem łokcie, starając się przybrać odpowiednią pozycję. Nasze łokcie i kolana obijały się o niewidzialne ściany z tęnym łomotem.

Byłem pierwszy. Zanim Ashley June odzyskała równowagę, wbiłem jej łokieć pod pachę. Tak jak czytałem i widziałem na filmach. Miałem ją. Jej ciało, napięte w oczekiwaniu, teraz po prostu się rozluźniło. Zakręciłem ramieniem, nieśpiesznie, zmysłowo, a dziewczyna poruszyła się do rytmu. Srebrzyste pasemka śliny spływały po jej obnażonych kłach, jak sobie wyobrażałem. Skupiłem się na utrzymywaniu pozorów, starałem się warczeć w odpowiednich momentach i ze stosownym rozgorączkowaniem, poruszać się z pasją i namiętnością.

Potem Ashley June i ja pochyliliśmy się, żeby znaleźć nasze bluzy. W ciemności znowu nasze ramiona się dotykały, aż w niefortunnej chwili zetknęły się nasze dłonie – musnęliśmy się palcami. Oboje cofnęliśmy się szybko – ja zaskoczony, Ashley June z odrazą. Potem znieruchomiała, pewnie żeby wziąć się w garść. Już miałem otworzyć drzwi schowka, kiedy się odezwała:

– Czekaj.

Zamarłem posłusznie.

– O co chodzi?

– Czy możemy... po prostu przez chwilę postać?

– Dobra.

Minęła może minuta. Nie widziałem dziewczyny w mroku, nie wiedziałem, co robi.

– Czy ty... – zaczęła, ale urwała. Czekałem na ciąg dalszy, ale dziewczyna nie dokończyła. – Myślisz, że ciągle pada? – zmieniła temat.

– Nie wiem. Może.

– Podobno ma padać całą noc, słyszałam prognozę pogody.

– Naprawdę?

I znowu milczała długo, zanim podjęła:

– Zawsze chodzisz pieszo do szkoły, prawda?

Zamarłem.

– Tak.

– Wziąłeś parasol?

– Owszem.

– Dzisiaj też poszłam pieszo – oznajmiła, ale oboje wiedzieliśmy, że to kłamstwo. – Ale parasol zostawiłam w domu.

Nie odpowiedziałem.

– Mógłbyś odprowadzić mnie do domu? – szepnęła Ashley June. – Nie chcę przemoknąć, nie znoszę tego.

Zapewniłem, że chętnie ją odprowadzę.

– Spotkajmy się przed frontowym wyjściem po lekcjach, dobrze? – powiedziała.

– Dobrze.

A potem otworzyła drzwi schowka. Nie spojrzeliśmy na siebie, gdy dołączyliśmy do

reszty. Chłopaki zerkali na mnie wyczekująco, więc dałem im to, czego chcieli – rzuciłem cicho: *Lal!* i obnażyłem kły. Zaczęli się drapać po nadgarstkach.

Tej nocy po ostatnim dzwonku zostałem w ławce. Siedziałem w klasie, dopóki światła w korytarzu nie zgasły, a ostatni uczniowie i nauczyciele nie wyszli z budynku. Czekałem, aż ucichnie w oddali tętent kopyt. Deszcz padał mocno, grube krople rozpryskiwały się na oknach. Dopiero wiele godzin później, gdy rozległy się syreny ostrzegające przed świtem, ruszyłem do wyjścia. Przy frontowych drzwiach było pusto, jak się tego spodziewałem. Przemarłem, gdy przemoczyła mnie ulewa, która chyba próbowała wypełnić pustkę na ulicach. Nie rozłożyłem parasola. Pozwoliłem, aby deszcz przesiąkł mi przez ubranie, spłynął po karku, polizał tors. Zimne krople kąsały mnie w skórę i mroziły serce.

Instytut Badań Heperystycznych

Podróż trwa długo. Po paru godzinach staje się niewygodna i nużąca – limuzyna nie została stworzona do długiej jazdy. Zresztą dalekie podróże to rzadkość, ogranicza je pojawianie się śmiertelnie groźnego słońca co dwanaście godzin. Gdyby nie słońce, technologia lokomotyw zapewne wydłużyłaby dystans przejazdów i wyparła konie. Jednak w świecie, gdzie jak mówi przysłowie: *Śmierć co dzień spogląda na nas z nieba*, a odległości nie są duże, konie sprawdzają się doskonale.

Nikt się nie odzywa, gdy mijamy przedmieścia. W pobliżu pustyni droga robi się wyboista. Wreszcie, jakieś pięć godzin później, zatrzymujemy się przed szarym budynkiem rządowym. Wsiadam. Nogi mam sztywne i niepewne. Pustynny wiatr, chłodny i orzeźwiający, śwista nad ciemnymi równinami i mierzwi mi włosy.

– Pora iść.

Ruszamy do budynku w eskorcie urzędników i mundurowych. Pył wzbija się spod ich butów przy każdym kroku. Parę innych powozów parkuje z boku. Konie są żwawe pomimo podróży, od wysiłku chrapy mają rozwarłe, z grzbietów bucha para. Szybko przeliczam powozy. Poza tym, którym przyjechałem z Ashley June, jest jeszcze pięć. Co oznacza siedmiu zwycięzców loterii.



Skromna fasada budynku ukrywa bogactwo wnętrza. Lśniące marmurowe posadzki, spękane elegancko tynki, strzeliste kolumny jońskie ze zwojami u dołu i na zwieńczeniu, nieopisane wysokie sklepienia i zdobione akantem naroża. W labiryncie przecinających się korytarzy i schodów można dostać zawrotów głowy. Idziemy luźną grupą, paru oficjeli z przodu, rząd mundurowych ciągnący się za nami w szpalerze jarzeniowych lamp. Stukamy obcasami po marmurze. Ashley June kroczy dokładnie przede mną, na wyciągnięcie ręki. Jej włosy są jak pochodnia oświetlająca drogę.

Korytarz wiedzie do podwójnych, intarsjowanych srebrem drzwi między korynckimi kolumnami. Jednak do nich nie dochodzimy, urzędnik nagle skręca w lewo. Procesja zatrzymuje się, gdy mężczyzna puka, a zaraz potem otwierają się drzwi.



Przestronne pomieszczenie jest ciemne. Na środku w kręgu stoją obite pluszem krzesła niczym cyfry na tarczy zegara – wszystkie poza dwoma już zajęte. Ashley June podprowadzona zostaje do jednego z nich, ja zajmuję drugie obok. Urzędnicy i mundurowi wycofują się pod ścianę i zamierają w czujnym oczekiwaniu. Siedzimy w głębokiej szarości z rękoma na kolanach, wzrokiem wbitym przed siebie i lekko odsłoniętymi kłami. Łowcy. Utrzymujemy kamienny bezruch, jakby wtopieni w powietrze, nagle zmienione w zestaloną żywicę.

Zaskakuje nas pojawienie się jeszcze jednej urzędniczki. Zamiast typowego uniformu przybyła nosi sukienkę w kwiaty, długie rękawy zdobią dmuchawce i róże. Z gracją wpływa niemal z mroku do środka kręgu, gdzie powoli z podłogi wznosi się krzesło z wysokim oparciem.

Nieznamą bardziej przypomina boginię płodności niż przedstawicielkę władz. Zasiada wdzięcznie na obracającym się powoli siedzisku, spogląda każdemu z nas w oczy, przenikliwie, lecz uprzejmie. Kiedy nasze oczy się spotykają, spływa na mnie życzliwość jak blask zachodzącego latem słońca.

Gdy się odzywa, jej głos jest cichy, lecz czysty:

– Gratuluję wam wszystkim. Weźmiecie udział w spektakularnym i wspaniałym wydarzeniu, o jakim reszta świata może tylko pomarzyć – urywa i wydaje się, jakby czegoś nasłuchiwała. – Wszyscy potem będą chcieli usłyszeć opowieści o łowach. Czeka was sporo spotkań z mediami, szczególnie tego, który upoluje najwięcej heperów.

Zakłada nogę na nogę, kwiecista sukienka lekko faluje.

– Dlatego przygotowaliśmy dla was plan zajęć po polowaniu. Będziecie mieli co opowiadać mediom. A i przed łowami czekają was zajęcia od zmierzchu do świtu. Możecie zrobić się nerwowi, wszak do łowów zostało tylko pięć nocy. Rozumiem to. – Parę głów drgnęło niemal niedostrzegalnie. – Podkreślam jednak, że w tym krótkim okresie od teraz do łowów najważniejsze jest skupienie. Na szkoleniu. Nauczeniu się niezbędnych umiejętności, przyjęciu rad, jakich możemy wam udzielić. Nie będziecie mieć do czynienia ze zwykłymi heperami, o jakich tradycyjnie się mówi i czyta. Ci są inni, wyjątkowi. Zostali wyszkoleni do ucieczki, uników i jeżeli wymaga tego sytuacja, ataku. Parę miesięcy temu zaopatrzyliśmy ich w broń, prymitywną, tylko włócznie i noże, ale przekonacie się, jak sprawnie ci heperzy jej używają. Dlatego musicie pozostać skupieni. Jeżeli zaczniecie zbyt wiele myśleć o ich krwi, o smaku ich ciepłego ciała, dotyku ich serc bijących pod waszymi paznokciami, o ich skórze na szyi, którą tak łatwo można przebić kłami... – Spojrzenie urzędniczki staje się rozmarzone. – O smaku pierwszej strugi krwi w waszych ustach, o cieplej czerwonej strudze...

Kobieta potrząsa głową, żeby oczyścić myśli.

– Właśnie tego musicie unikać. Skupcie się na treningu, co pomoże wam odnieść zwycięstwo. Pamiętajcie bowiem: szkolicie się nie tylko w polowaniu na heperów, lecz także by przewyższyć innych łowców. Podczas poprzednich Wielkich Łowów odkryliśmy, że zwykle tylko jeden myśliwy dominuje i to on pożera większość, jeśli nie wszystkich heperów. Tam, na pustyni, nie liczy się duch wspólnoty, nie ma nic. Ruszycie na heperów i na pewno nie zechcecie dzielić się zdobyczą. Nie. Nieuchronnie jednak okaże się, że nie zdołacie jej przejeść. Chcecie być takim łowcą, chcecie zostać zwycięzcą. Dlatego trenujcie ciężko. Skupcie się. Łupy zdobywa najlepszy.

A potem jej twarz rozbłyskuje jak tęcza.

– Zostaniecie niedługo odprowadzeni do swoich pokoi. Odpocznijcie, ponieważ jutro czeka was prawdziwa uczta wrażeń. Wystawne śniadanie i wycieczka po tym kompleksie. Zobaczycie tereny treningowe, arsenał, Centrum Kontroli, salę medytacji, jadalnię. A na zakończenie nocy zabierzemy was do... osady heperów.

Mundurowi występują z mroku i każdy staje za jednym z łowców. Ten po prawej za mną to tylko szara, ponura statua. Trzyma paczkę.

– Właśnie – mówi kobieta siedząca w kręgu i obracająca się powoli na swym siedzisku. – Weźcie pakunek. Zapoznajcie się z jego zawartością w swoich pokojach. Znajdziecie tam sporo ważnych informacji. Zostaniecie teraz odprowadzeni do kwater. Mieliście długą i ekscytującą noc. Spróbujcie wypocząć. Połóżcie się wcześniej spać.

Wstaje i znika w mroku. A my zrywamy się z krzesel i ruszamy za przydzielonymi nam mundurowymi. Strażnicy kierują nas w różne strony, do różnych drzwi, a w sali pozostaje tylko pusty krąg krzesel ustawionych jak numery na tarczy pozbawionego wskazówek, zepsutego zegara.



Mój ochroniarz prowadzi mnie dziarsko korytarzem, potem schodami w górę, przez kolejny korytarz, schodami w dół. Nie odzywa się. Przecinamy jeszcze jeden korytarz rozjaśniony nieco płomykiem świecy i wreszcie stajemy przed wielkimi drzwiami. Mundurowy odwraca się do mnie.

– Kazano mi przekazać ci przeprosiny. W imieniu instytutu. Zaszły wyjątkowe okoliczności... Ze względu na liczbę zwycięzców loterii oraz brak odpowiednich pomieszczeń jeden z was musiał zostać zakwaterowany gdzie indziej. Któryś z najmłodszych członków grupy, czyli ty lub twoja znajoma, a uprzejmość wymagała, aby dziewczyna dostała ostatni pokój gościnny w głównym budynku. Twoje lokum znajduje się w mniejszym budynku niedaleko stąd. Niestety, żeby tam dotrzeć, trzeba wyjść na zewnątrz. Pod otwarte niebo.

I zanim zdążę wymyślić odpowiedź, mundurowy otwiera drzwi i przekracza próg. Zaskakuje mnie bezkres nocnego nieba nad pustynną równiną. Gwiazdy, punkciki srebra, rozrzucone są na czerni jak kryształki soli. Mój ochroniarz mamrocze przekleństwo i zakłada okulary przeciwsłoneczne. Księżyc w ostatniej kwadrze unosi się tuż nad pasmem gór na wschodzie, omal się nie uśmiecham z czystej przyjemności przebywania na otwartej przestrzeni. Szczerze powiedziawszy, cieszę się, że zostałem odseparowany od tamtych w głównym budynku.

Ruszamy brukowaną ścieżką wiodącą do niskiego betonowego baraku.

– Właściwie co się tam mieści? – pytam.

– To konwersatorium – odpowiada mundurowy, nie patrząc na mnie. – Znajdowała się tutaj mała biblioteka. Ale przemeblowaliśmy ją i zmieniliśmy w wygodne pomieszczenie mieszkalne. O wiele lepsze od pozostałych.

Zerkam na główny budynek. Fronton oświetlają słabo pojedyncze jarzeniówki, reszta bryły tonie w całkowitym mroku.

– Słuchaj – rzuca ochroniarz, który musiał mnie obserwować. – Wiem, że zastanawiasz się, dlaczego nie mogliśmy cię umieścić z innymi. Przecież jest tu więcej nieużywanych pomieszczeń niż włosów na głowie hepera. Też się nad tym zastanawiałem. Ale robię, co mi się każe. I ty też powinienesz. Poza tym te kwatery mają pewną zaletę.

Czekam, aby wyjaśnił, ale tylko potrząsa głową.

– Kiedy tam będziemy. Nie tutaj. Spodoba ci się, przyrzekam. I na pewno będziesz chciał, żebym pokazał ci, jak to działa, rzecz jasna.

Każda kostka na ścieżce łśni żywą czerwienią niczym przejrzyste zbiorniki świeżej krwi.

– Tę ścieżkę ułożono dwa dni temu – wyjaśnia mój towarzysz – żeby ten spacer był dla ciebie bardziej przyjemny.

Robi pauzę dla lepszego efektu, po czym rzuca:

– Nigdy nie zgadniesz, kto to zrobił.

– Nie mam pojęcia.

Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie po raz pierwszy.

– Heperzy.

Opanowuję odruch, żeby wytrzeszczyć oczy.

– Niemożliwe. – Potrząsam lekko głową. Trzask.

– Owszem – zapewnia mundurowy. – Zagoniliśmy ich do pracy. Za dnia, rzecz jasna.

Nasi pracowali w nocy, ale kiedy było jasne, że nie zdążymy, wzięliśmy heperów do pomocy. Pracowali dwa dni pod rząd. Nagrodziliśmy ich dodatkowym pożywieniem. Heperzy zrobią

wszystko za jedzenie.

– Kto ich nadzorował? Kto mógłby... Pozwoliliście im chodzić wolno?

Mundurowy kręci głową i patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: *Musisz się jeszcze wiele nauczyć, dzieciaku.*

Potem otwiera frontowe drzwi i wchodzimy do budynku. Wnętrze jest zaskakująco przestronne i przewiewne. Jednak przemeblowanie, które miało zmienić bibliotekę w pokój gościnny, nie zostało dokończony. Tak naprawdę to nadal biblioteka, tylko na suficie zamontowano pętle do spania, a w rogu pomieszczenia ustawiono skórzaną sofę. Księgozbiór wydaje się nietknięty – na półkach znajdują się tomy i stare, pożółkłe gazety, a na środku stoją biurka i stoliki dla czytelników. Unosi się tu wilgotny zapach.

– Pętle do spania. – Mundurowy podnosi głowę. – Zamontowane wczoraj.

– Też przez heperów?

Potrząsa głową.

– Sami to zrobiliśmy. Heperzy nigdy by tu nie weszli. Zbyt się boją pułapek. Są tępi, ale nie głupi, rozumiesz, co mam na myśli?

Oprowadza mnie, gnając na złamanie karku, pokazując aneks, wyłączniki jarzeniówek i schowek wypełniony ubraniami tylko dla mnie, wyjaśnia, że okiennice zasuwają się automatycznie dzięki czujnikom światła.

– Bardzo ciche okiennice – zapewnia mnie. – Nie obudzą cię.

Mówi szybko. Oczywiście jest, że co innego zajmuje mu myśli.

– Chcesz wypróbować pętle do spania? Powinniśmy sprawdzić, czy pasują.

– Na pewno. Nie jestem przeczulony na tym punkcie.

– To dobrze. – Mundurowy się zatrzymuje. – A teraz chodź za mną. Spodoba ci się.

Jego pośpieszne kroki zdradzają gorliwość, gdy prowadzi mnie wąskim przejściem, a potem skręca na tyły biblioteki. Na biurku przy małym, kwadratowym oknie leży lornetka. Mundurowy podnosi ją i zerka w okno, z otwartych ust zaczyna mu spływać ślina.

– Pokazuję, jak użyć tej lornetki, ponieważ mnie o to poprosiłeś. Odpowiadam na twoje pytanie – mówi jak automat, palcem wskazującym obraca pokrętło powiększenia. – Tylko dlatego, że mnie poprosiłeś.

– Hej, daj popatrzeć.

Nie odpowiada, tylko patrzy przez lornetkę. Brwi ma uniesione jak orle skrzydła.

– Możesz dopasować zbliżenie tym pokrętłem – mamrocze. – W górę lub w dół, w górę, w dół, w górę, w...

Głos mu cichnie, zamiera.

– Hej! – powtarzam głośniej.

– A po tej stronie jest pokrętło ostrości – mundurowy nadal mamrocze, jego smukłe palce przesuwają się po tarczy. – Pozwól, że wytłumaczę ci, jak to działa. Skoro pytałeś. To skomplikowane, pozwól, że dokładnie wyjaśnię. Może to chwilę potrwać.

Wreszcie udaje mi się wyrwać mu lornetkę.

Jego ręka zaciska się na moim przedramieniu. Ruch był tak szybki, że nawet go nie dostrzegłem. Paznokcie mundurowego wbijają mi się w skórę i przez jedną przerażającą chwilę boję się, że popłynie krew. Ochroniarz cofa się oczywiście, odstępkuje na krok lub dwa. Oczy ma nadal szkliste i półprzytomne, ale szybko odzyskuje koncentrację.

Na moim przegubie pozostają trzy ślady po paznokciach, niebezpiecznie głębokie. Ale żadnej krwi.

– Przepraszam – rzuca mundurowy.

– Nie przejmuj się tym. – Trzymam rękę za plecami, macając palcami ślady. Żadnej

wilgoci, czyli żadnej krwi. Gdyby spłynęła choćby najmniejsza kropelka, mundurowy już by się na mnie rzucił.

– Dobrze ci to zademonstrowałem? – pyta błagalnie. – Rozumiesz już, jak używać lornetki?

– Myślę, że jakoś to opanuję.

– Może dodatkowa demonstracja będzie...

– Nie, poradzę sobie.

Trzymając lornetkę za plecami, odwracam się, żeby wyjrzeć przez okno. Księżyc lśni za cienką warstwą chmur, stłumiona poświata pada na ziemię.

– Czego mam wypatrywać?

Mundurowy nie odpowiada, więc odwracam się, żeby na niego popatrzeć. Oczy ochroniarza znowu robią się zamglone, nitka śliny, której jeszcze nie wytarł, spływa po brodzie.

– Heperów – szepcze.



Nie chcę, żeby wisiał nade mną ani nakłaniał do kolejnej „demonstracji”, więc czekam, aż odejdzie. Ogarnia mnie strach, ale i podniecenie, gdy unoszę lornetkę. Nigdy nie widziałem innych heperów poza moją rodziną.

Początkowo nie jestem pewien, czego powinienem szukać. Potem blask księżyca oświetla spłacheć ziemi. Powoli przesuwam lornetkę, wypatruję – kilka małych kaktusów, głąz, nic...

Niewielkie skupisko glinianych chat skryte w oddali. Osada heperów. Chyba o milę stąd. Pomiedzy nimi jakby staw – bez wątpienia zbudowany, żadna woda naturalnie nie przetrwałaby w tym terenie. Żadnego ruchu. Chaty są równie mało interesujące jak pustynia.

I wtedy coś dostrzegam.

Księżycowa poświata lśni nad lepiankami i dobywa z mroku wklęsłą krzywiznę. Wtedy do mnie dociera – osadę okrywa przezroczyta kopuła. Wznosi się wysoko, pewnie z pięćdziesiąt jardów nad dachami chat.

Teraz oczywiście wszystko zaczyna nabierać sensu.

Bez kopuły heperzy byliby dostępni dla wszystkich. Co powstrzymałoby wygłodniałe rzesze przed przybyciem do osady, gdy heperzy są bezbronni i pogrążeni we śnie? Kto powstrzymałby przybyszów przed wyssaniem krwi i objedzeniem zdobyczy do kości? Heperzy nie przeżyliby godziny w nocy, gdyby nie osłona.

Przybliżam obraz lepianek w poszukiwaniu oznak życia. Ale nic się nie rusza. Heperzy śpią. Nie mam szans, aby któregoś dzisiaj zobaczyć.

Z lepianki wychodzi heper.

Nawet przez lornetkę niewiele widzę. Chuda postać podchodząca do zbiornika z wodą, kobieta. Chyba niesie wiadro albo coś podobnego. Przy brzegu heperka pochyla się, napełnia wiadro. Poruszam pokrętlami, aż obraz się wyostrza. I wtedy rozpoznaję: to heperka z telewizji, ta, która wyciągnęła ostatni numer podczas losowania.

Przyglądam się, jak wstaje. Jest odwrócona do mnie plecami, chyba przygląda się górom na wschodzie. Długo się nie rusza. A potem pochyla się, składa dłonie, nabiera wody i pije. Jej ruchy, nawet tak proste, są pełne wdzięku i pewne. Nagle heperka unosi głowę i obraca się w moją stronę. Cofam się szybko. Może dostrzegła odbicie światła w soczewkach lornetki. Ale heperka patrzy dalej, nie na mnie, lecz na budynek instytutu. Reguluję ostrość, żeby zobaczyć jej twarz. Te oczy... Pamiętam je z wieczoru, z obrazu, jaki widziałem na monitorze szkolnego komputera. Są brązowe jak kora starego drzewa.

Niedługo potem heperka odwraca się i znika w lepiance.

Cztery noce do polowania

Ciekawi mnie biblioteka, w której zostałem zakwaterowany. Zamierzam lepiej się jej przyjrzeć za dnia, ale nie po tej nocy – jestem wykończony. Tylko usiadłem, żeby poczytać materiały, które dostałem, a ocknąłem się wiele godzin później.

Ktoś wali do drzwi. Zrywam się zaskoczony, serce mi łomocze.

– Daj mi chwilę! – krzyczę. Słyszę niewyraźną odpowiedź.

Strach sprawia, że opada ze mnie ospałość. I wtedy sobie uświadamiam. Nie jestem gotowy. Odruchowo dotykam policzka – lekko szorstki, zarost już przebija skórę. Wystarczająco, żeby zauważyć. I co z moimi oczami? Czy nabiegły krwią ze zmęczenia? I czy nie muszę wyszorować sztucznych kłów? Nie wspominając, że powinienem się też umyć...

Nigdy nie zapominaj o goleniu. Wysypiaj się, żebyś nie miał zaczerwienionych oczu. Nigdy nie zapomnij o umyciu kłów przed wyjściem, muszą być śnieżnobiałe. I myj się codziennie, zapach potu jest najbardziej niebezpieczny...

Nauki mojego ojca. Byłem im posłuszny przez całe życie. Ale golarka, krople do oczu i wybielacz do kłów, a także maść pod pachy zostały wiele mil stąd w domu. Mógłbym zmieszać odpowiedni zestaw innych substancji, żeby zastąpić to, czego potrzebuję. Na przykład trzy arkusze folii aluminiowej zanurzone w szamponie dla koni ze sporym dodatkiem sody oczyszczonej mogłyby po dwóch tygodniach zmienić się w kostkę niezłego dezodorantu. Niestety, nie mam pod ręką takich składników. Ani też dwóch tygodni na czekanie.

Łomot do drzwi robi się głośniejszy, bardziej natarczywy. Nie pozostaje mi nic innego, tylko działać. Chwytam nóż do papieru i szybko golę policzki. Byle się nie skaleczyć, to byłby fatalny błąd. Potem zakładam okulary i ruszam otworzyć. W porę jednak się zatrzymuję. Ubranie. Jest pogniecione od spania, rozpoznawalny znak, że nie używałem pętli. Gnam do szafki, narzucam szybko nowy strój.

Ochroniarz nie jest zadowolony.

– Pukałem pięć minut. Co z tobą?

– Przepraszam, zasnęłam. Pętle były takie wygodne.

Mundurowy odwraca się, żeby odejść.

– Chodź już. Pierwszy wykład zaraz się zacznie. Musimy się śpieszyć. – Zerka na mnie uważnie. – I możesz zdjąć okulary. Noc jest pochmurna.

Ignoruję tę radę.



Trudno uwierzyć, ale dyrektor Instytutu Badań Heperystycznych jest równie sterylny i suchy jak jego otoczenie. Twarz ma lśniąca jak plastik i lubi stać w najciemniejszych zakamarkach. Bije od niego autorytet i surowość – ciche, lecz śmiertelnie groźne. Mógłby zabić szczura tylko szeptem, słowami ostrymi jak brzytwa, starannie dobranymi i równie starannie wymówionymi.

– Heperzy są powolni, heperzy lubią trzymać się za ręce, heperzy lubią wydawać głos, heperzy muszą pić sporo wody. Posiadają duży zestaw tików nerwowych twarzy, śpią w nocy, mają nadnaturalną odporność na światło słoneczne. To rudymენტarna wiedza o heperach –

dyrektor wysławia się z wypraktykowaną płynnością mówcy. Robi dramatyczną pauzę, a w ciemności białe lśnienie jego oczu znika, a potem pojawia się znowu, gdy dyrektor unosi powieki. – Przez dekady dogłębnych badań dowiedzieliśmy się o nich znacznie więcej. Większość tych informacji znana jest tylko nielicznym tutaj, w Instytucie Badań Heperystycznych. Ponieważ jednak za cztery noce będziecie polować na heperów, uznano, że wam również powinno się udostępnić wyniki najnowszych badań. Dowiedcie się o heperach wszystkiego, co sami wiemy. Ale najpierw deklaracja zachowania tajemnicy.

Wszyscy podpisujemy, rzecz jasna. Dokumenty rozdają urzędnicy w szarych garniturach, którzy wychodzą z ciemności za naszymi plecami.

Żadne informacje uzyskane przez następane noce nie mogą zostać po Wielkich Łowach rozpowszechniane ani ujawnione osobom trzecim bez oficjalnego zezwolenia Instytutu Badań Heperystycznych.

Parafuję obok.

Zabroniona jest sprzedaż uzyskanych informacji dla celów wydawniczych oraz innych publikacji, jak również odstąpienie praw do widowisk publicznych i produkcji medialnych bez oficjalnego zezwolenia Instytutu Badań Heperystycznych.

To również parafuję.

Podpis oznacza nieodwołalne zobowiązanie do posłuszeństwa powyższym zasadom.

I tutaj stawiam parafę.

Pod karą śmierci.

Podpisuję się i dodaję datę.

Dyrektor obserwował uważnie każdego łowcę po kolei, gdy składaliśmy podpisy. Jego oczy są jak czarne dziury, które wciągają zaobserwowane obrazy w swoją śliską, przenikliwą głębię. Zdaje się, że dyrektorowi nie umknie żaden szczegół, a jego domysły zawsze są trafne. Gdy oddaję podpisane zobowiązanie, czuję jego spojrzenie, które zaciska się na mnie jak zszywacz. Kiedy unoszę dokument, dłoń drży mi lekko, niemal niezauważalnie. Oczy dyrektora skupiają się na arkuszu i na ruchu. Bez patrzenia wiem, gdzie zatrzymał się wzrok tego mężczyzny – czuję palące zimno na nadgarstku. Zaciskam palce i opanowuję drżenie.

I wtedy czuję, że palące zimno na nadgarstku znika. Dyrektor przeniósł spojrzenie na kolejnego łowcę.

Po zebraniu dokumentów dyrektor bez zwłoki podejmuje wykład.

– Wiele z tego, co powszechnie wiadomo o heperach, to bardziej fikcja niż rzeczywistość. Pora odmitologizować tę wiedzę. Mit pierwszy: heperzy to z natury dzikie bestie skłonne do ryzykownej walki. Fakt: łatwo dają się udomowić i bardzo boją się nieznanego. Prawda jest taka, że za dnia, gdy kopuła się chowa, pozostają bez nadzoru i mogą poruszać się swobodnie. Wokół rozciągają się równiny jak okiem sięgnąć i jeszcze dalej, więc heperzy mogą uciec. Jeżeli tak zdecydują. Ale nigdy tego nie robią. Oczywiście łatwo zrozumieć dlaczego. Każdy heper, który opuści bezpieczną kopułę, z nadejściem nocy staje się zdobyczą. W ciągu dwóch godzin zostałyby wywieszony, złapany i pożarty. W rzeczy samej, tak się stało. Raz czy dwa.

Nie dodaje żadnych wyjaśnień.

– Mit drugi: Heperzy są bierni i ulegli, gotowi raczej poddać się, niż walczyć. Jak na ironię ten mit rozpowszechnił się po wcześniejszych łowach, podczas których heperzy nie wykazali choćby śladu oporu. Historyczne źródła dotyczące tych polowań świadczą, jak byli bezużyteczni. Po pierwsze w początkowej walce okazali się powolni i nieorganizowani, a po drugie ulegli od razu, gdy tylko zostali otoczeni przez łowców. Nawet gdy znajdowaliśmy się jeszcze od nich o dwie mile, heperzy po prostu się poddali. Przestali biec. A kiedy podeszliśmy, ani jeden nie próbował walczyć, żaden nie podniósł nawet ręki. Praktycznie położyli się

i pozwolili się zjeść. Nasze badania dowiodły jednak, że heperów można wytresować, żeby byli agresywni. Okazali się zaskakująco pojętni, gdy dano im broń. Prymitywną broń, podkreślę, tylko włócznie, noże, sztylety, topory. A co ujmujące, wytworzyli nawet skórzane obroże, którymi owijają sobie szyje dla ochrony. Naiwne biedactwa.

Dyrektor zaczyna drapać się po nadgarstku, ale zaraz przestaje. Zaznacza coś w swoim notesie.

– Nie wiadomo, skąd wzięli skórę. Potrafią być zaskakująco zaradni.

Siedzimy nieruchomo, dopóki nie skończy pisać. Z trzaskiem zamyka notes i zaczyna znowu mówić.

– Mit trzeci: heperzy tworzą stada pod przewodnictwem samców. To kolejny mit rozpowszechniony po wcześniejszych łowach. Wszyscy na pewno słyszeliście, że to zawsze samce heperów przejmują dowodzenie, bezskutecznie; że mężczyźni podejmują wszystkie decyzje, te złe, jak powszechnie wiadomo. A kobiety tylko słuchają mężczyzn. Posłuszne. Poddańcze. Sądziłyśmy, że to po prostu cecha genetyczna: mężczyźni dominują, kobiety ulegają. Ale wyniki naszych badań okazały się zaskakujące. Obecnie mamy pięciu złapanych heperów, w tym tylko jedną samicę. Czterech heperów, jedna heperka. Nie zgadniecie, kto przejął przywództwo.

Oczy dyrektora iskrzą z podniecenia.

– To jedno z najbardziej zdumiewających odkryć. Nie chwając się, to ja dostrzegłem prawidłowość. Jeszcze we wczesnej fazie rozwoju, gdy heperzy byli zaledwie dziećmi, zauważyłem, że to właśnie samica wydaje się zachęcać resztę do różnych działań. Urodzona przywódczyni. Dzisiaj bez wątpienia to ona właśnie przewodzi stadu. Reszta zawsze się na nią ogląda... właściwie we wszystkim. Gdy heperka gdzieś idzie, pozostali ruszają za nią. Jeżeli coś rozkaże, wykonują. Podczas łowów, jeżeli chcecie pozbawić stado przywódcy, ruszajcie najpierw za nią. Bez niej grupa szybko się rozpadnie. I stanie się łatwą zdobyczą.

Oblizuje usta.

– Ta dziewczyna. Wszyscy już ją widzieliście. W telewizji. To ona wylosowała ostatni numer. Oczywiście nie tak miało się zdarzyć. Nigdy nie postawilibyśmy samicy przed kamerą, zwłaszcza tak młodej. Wiemy, jak wpływa na ludzi widok młodej heperki. To miał być chłopiec. Ale ona... cóż, zanim się zorientowaliśmy, dziewczyna przejęła kontrolę nad sytuacją i sama stanęła przed kamerą. Ta dziewczyna... – Wyrażną wymowę dyrektora zakłóca sphywająca ślina. W kącikach jego ust gromadzi się wilgoć. Spogląda w dal, odpływa w marzenia. Gdy znowu zaczyna mówić, głos ma cichy z pożądania. – Będzie smakować tak nadzwyczajnie...

Szarpnąwszy głową, powraca do rzeczywistości.

– Odbiegam od tematu. Przyjmijcie moje przeprosiny. Urzędnika, który sobie na to pozwolił, nie ma już wśród nas. – Drapie się po nadgarstku raz czy dwa. – Są inne mity i nowe odkrycia, którymi podzielimy się z wami w najbliższych dniach. Ale teraz postarajcie się zapamiętać to, co już wam przekazano. Użyjcie tej wiedzy na łowach. Po pierwsze heperzy boją się uciekać w nieznanne. I po drugie można ich wytresować, żeby byli agresywni. I nie mają nic przeciwko przywództwu kobiety. Przynajmniej nie przeciwko tej kobiecie.

Dyrektor wycofuje się głębiej w ciemny kąt, mrok pochłania go całkowicie. Przez kilka minut nic się nie dzieje. Nikt się nie rusza, nikt nie rozmawia. Siedzimy z kamiennymi twarzami i wzrokiem wbitym w dal. Czekamy, aż ktoś lub coś przerwie ciszę.

I wtedy to czuję. Ukłucie na karku – ktoś z tyłu wpatruje się we mnie. *Najgorsze, co można zrobić* – słyszę ojca uczącego mnie zasad – *to się odwrócić. Tak drastyczny ruch, gdy wszyscy inni są nieruchomi, tylko przyciągnie uwagę. Niechcianą uwagę. Jakby była jeszcze inna...*

Ale mrowienie się nasila i nie mogę już tego znieść. Upuszczam długopis, a kiedy powoli pochylam się, aby go podnieść, zerkam czujnie.

To Ashley June. Jej oczy są toksycznie zielone w jarzeniowym świetle. Siedzi dokładnie za mną. Niemal się wzdrygam – wzdrygnięcie się to taki odruch, gdy się nas zaskoczy – ale w porę się opanowuję. Przymykam powieki – sztuczka, której nauczył mnie ojciec, żeby mieć pewność, że nie będę za bardzo wytrzeszczał oczu – i odwracam się powoli.

Czy widziała, jak się wzdrygnąłem? *Czy widziała, że się wzdrygnąłem?*

Ktoś wszedł do sali. Kwiecista Sukienka z wczorajszego spotkania.

– I jak się dzisiaj czujemy? Dobrze się bawicie?

Wyciąga czytnik, przegląda informację na ekranie, po czym podnosi na nas radosny wzrok.

– Mamy na dzisiaj sporo zaplanowane. Po pierwsze wycieczkę po budynku. To powinno zająć większość nocy. A potem, jeżeli czas i ciemność pozwolą, wpadniemy z krótką wizytą do osady heperów. To tylko dwie mile od głównego budynku. Jeżeli nie zostanie nam dość czasu przed wschodem słońca, odłożymy to na jutrzejszą noc. – Kobieta spogląda na nas po kolei, jakby chciała wyczytać emocje z naszych nieruchomych twarzy. – Mam jednak głębokie przekonanie, że do tego nie dopuścicie. To co? Zaczynamy!



Następne kilka godzin to nużące i otepiające zwiedzanie instytutu. Nic tutaj nie ma, tylko niknące w mroku korytarze bez końca. I pustka. Właśnie to zaskakuje mnie najbardziej – wszystko tutaj jest nieruchome i opustoszałe, pomieszczenia, korytarze, nawet wilgoć w powietrzu, którym oddychamy. To zaledwie pozostałości, echa pełniejszej, bardziej zatłoczonej i aktywnej, żwawszej epoki. Nasi ochroniarze bezszelestnie postępują za nami krok w krok. Personel i łowcy mieszkają na drugim piętrze, tutaj więc nie zaglądamy. Piętro wyżej mieści się dział naukowy. Z oczywistych powodów – znajdują się tam laboratoria. Powietrze przesiąknięte jest zapachem formaliny. Chociaż przewodniczka wyraża się z dumą o każdej pracowni – tutaj prowadzi się analizy włosów heperów, tutaj badania nad śmiechem, a tam nad śpiewem heperów – widać gołym okiem, że większość pozostaje nieużywana.

– Zdajesz sobie sprawę, że to tylko pozory, prawda?

– Słucham? – Odwracam się do starszego mężczyzny, który stoi obok mnie. Jeden z łowców. Znajdujemy się w laboratorium używanym wcześniej do badań nad owłosieniem i paznokciami heperów. Mężczyzna pochyla się do mnie, jego chuda sylwetka przypomina złamany ołówek. Stoimy przy próbce paznokcia hepera zamkniętej w szklanej szalce. Łysina mężczyzny jest lśniąca i gładka jak szkło, tylko nad czołem widoczne są oznaki starości. Widać też parę przecinających gładką glacę włosów, niczym cienkie pasma chmur przesłaniające księżyc. Zostaliśmy sami z tyłu pracowni, wszyscy inni tłoczą się z przodu, gdzie (najwidoczniej) prezentowane są o wiele bardziej interesujące próbki owłosienia heperów.

– Pozory – szepcze mój towarzysz.

– Te paznokcie?

Potrząsa głową.

– Ta cała wycieczka. I to szkolenie.

Ośmielałam się na niego zerknąć. Pierwszy raz mogę mu się lepiej przyjrzeć. Jest starszy, niż myślałam. Ma mniej włosów, głębsze zmarszczki i wyraźnie przygarbione plecy.

– Po co nam trening? – głos brzmi ochryple. – Niech się nam pozwoli ruszyć na heperów. Pożremy ich w minutę. Do tego szkolenie jest niepotrzebne. Mamy nasz instynkt, mamy nasz

głód. Czego więcej nam trzeba?

– Trzeba przedłużyć zabawę. Napawać się chwilą. Oczekiwanie to połowa przyjemności.

Jego kolej, żeby mi się przyjrzeć. Tylko zerknięcie, ale tyle wystarczy. Niemal czuję, jak jego mózg wysysa informacje z tego, co uchwyciły oczy. A potem czuję aprobatę swojego sąsiada.

Popatrywałem na niego trochę zeszłej nocy. Trzyma się z boku, ale teraz wiem dlaczego. Nie chce tu być. Wszyscy łowcy (poza mną, rzecz jasna) nie skrywają nawet podniecenia, przecież wygrali los na loterii, dostali szansę, jaka trafia się tylko raz w życiu. Ale ten mężczyzna powłóczy nogami, oczy mu nie błyszczą radośnie jak pozostałym, a z jego postawy przebija niechęć. Krótko mówiąc, ten facet wygląda tak, jak ja się czuję. Przez głowę przemyka mi myśl, którą szybko odrzucam. Niemożliwe, żeby to był heper. Prawdziwy heper – taki jak ja – skrywałby te uczucia – tak samo jak ja, nie obnosiłby się z nimi jak z brudną bielizną, którą jakże łatwo przyuważyć.

Gdy mu się przyglądam – jego sztywnym ruchom, spowalnianym przez reumatyzm i starość – zaczynam rozumieć, dlaczego jest taki ponury. Wie, że nie ma szans. Młodszy łowcy łatwo go prześcigną. Kiedy dotrze do heperów, nie zostanie nawet kostka do przegryzienia. Dla tego faceta Wielkie Łowy to męka – być tak blisko, a zarazem za daleko. Nic dziwnego, że odczuwa gorycz. Jest jak wygłodzony człowiek, który spóźnił się na ucztę i wie, że zanim dotrze na miejsce, nie zostaną dla niego nawet okruszki na podłodze.

– Dzieje się tu więcej, niż widać na pierwszy rzut oka – rzuca mój towarzysz, nadal pochylony nad próbką paznokcia na szalce.

Nie bardzo wiem, co na to odpowiedzieć, więc milczę i czekam na ciąg dalszy. Ale facet nie dodaje ani słowa. Powłócząc nogami, dołącza do reszty, pozostawiając mnie samego.

Po zwiedzaniu laboratoriów na trzecim piętrze ruszamy na następne. Mijamy je szybko – tak naprawdę nie ma tu nic ciekawego, tylko szereg nieużywanych sal z ustawionymi na biurkach odwróconymi krzesłami. Na końcu korytarza znajduje się aula. Zaglądamy tam tylko przez uchylone drzwi. Wyczuwam zapach starego kurzu. Nikt nie ma ochoty wejść, więc idziemy dalej.

Wreszcie docieramy do ostatniego, piątego piętra. Centrum Kontroli rozciąga się wzdłuż i wszerz. Panuje tu zgiełk jakże różny od śmiertelnej pustki niższych kondygnacji. Bez wątpliwości to ośrodek nerwowy całej operacji. Wszędzie jarzą się monitory i ekrany telewizyjne. Personel krząta się z czytnikami, przechodzi między biurkami i boksami, pochyla nad terminalami komputerów. Przebywają tu tylko mężczyźni ubrani w granatowe jednorzędowe marynarki ze spiczastymi, podwójnymi klapami, mocno dopasowane do ciała. U wszystkich guziki lśnią w przytłumionym blasku jarzeniówek. Mężczyźni są zaciekawieni, zerkają na nas ukradkiem. Nic dziwnego, jesteśmy łowcami. To my będziemy polować na heperów, my będziemy spożywać ich ciało i krew.

Zamiast betonowych ścian sufit i ściany tworzą wielkie szklane tafle, przez które rozciąga się widok na okolicę. Wydaje się, jakbyśmy unosili się nad skapaną w blasku księżycy pustynną równiną.

Grupa podchodzi do okna skierowanego na wschód. Kopuła. Wszyscy chcą zobaczyć kopułę.

Z daleka wydaje się mała, przecięta na pół i lśniąca lekko w poświacie gwiazd.

– Nie ma tu nic do oglądania – stwierdza ochroniarz z naszej eskorty. – Heperzy teraz śpią.

– Nigdy nie wychodzą?

– Prawie nigdy w nocy.

– Nie lubią gwiazd?

– Ludzi. Nie lubią przyglądających im się ludzi.

Spoglądamy w milczeniu.

– Może wiedzą, że są obserwowani – szepcze jeden z łowców.

– Założę się, że grupka heperów też się nam przygląda. Z tych chat. Właśnie teraz, gdy rozmawiamy.

– Nie, na pewno śpią – oponuje ochroniarz.

Wszyscy wyciągamy szyje w nadziei, że jednak uda nam się wychwycić jakiś ruch. Ale na próżno.

– Słyszałem, że kopuła otwiera się o wschodzie słońca.

Członkowie naszej eskorty spoglądają po sobie niepewni, czy wolno im ujawniać tę informację.

– Tak – odpowiada w końcu jeden z nich. – Sterują nią czujniki światła. Kopuła wysuwa się z ziemi dwie godziny przed zachodem słońca, a chowa się z powrotem godzinę po świcie.

– Więc kopuły nie można otworzyć ręcznie? – dopytuje się Ashley June. – Na przykład stąd? Nie ma guzika ani dźwigni, która może otworzyć kopułę o innej porze?

Zapada przeciągła, głęboka cisza.

– Nie. Wszystko jest automatyczne – zapewnia ochroniarz. – Nie mamy nad tym żadnej kontroli.

Bez wątpienia wie więcej, niż mówi, ale gryzie się w język.

– Macie tu lornetki?

– Tak, ale nie ma nic do oglądania. Heperzy teraz śpią.

Wszyscy są tak zajęci kopułą, że nikt nie zauważa, jak Ashley June wyslizguje się z grupy.

Oprócz mnie.

Śledzę ją kątem oka, odwracam lekko głowę, gdy dziewczyna znika mi z pola widzenia.

Przekrada się na tył sali, gdzie na ścianie wiszą trzy rzędy monitorów ochrony. Pod nimi siedzi członek obsługi. Obraca powoli głowę – z prawa na lewo, z góry na dół – gdy obserwuje obrazy z monitoringu. Ashley June staje tuż za nim, przysuwa się coraz bliżej, powoli, aż jest tak blisko, że pasmo jej włosów muska mu skroń.

Mężczyzna porusza się szybko, odsuwa w prawo. Ashley June drapie się w przegub, przepaszając, drapie się coraz mocniej, żeby zapewnić, że to nic takiego, przypadek. Facet na fotelu obraca się do niej, po czym wstaje. Ma dziecianną twarz, zdradzającą brak doświadczenia. I potrzebuje chwili, żeby zrozumieć, co ma przed swoimi kaprawymi oczkami. A raczej kogo. Młodą kobietę, do tego wyjątkowo piękną. Ale ten facet, żyjący w świecie nieustannie zmieniających się obrazów na monitorach, wzdraga się na samą myśl o kontakcie z żywym ciałem. Ashley June drapie się znowu w przegub, robi wszystko, żeby się rozluźnić. Mija chwila, zanim koleś od monitoringu też zaczyna się drapać, najpierw czujnie, potem szybciej i pewniej. Jego spojrzenie skupia się już tylko na dziewczynie.

Ashley June mówi coś, ale jestem za daleko, żeby usłyszeć. Facet odpowiada, wyraźnie nabiera wigoru, po czym wskazuje na kilka różnych monitorów. Dziewczyna zadaje kolejne pytanie, obróciwszy się nieco do ekranów i przybliżywszy do faceta. A on to zauważa. A kiedy odpowiada, kiwa entuzjastycznie głową i prostuje wąskie ramiona.

Trzeba przyznać, Ashley June umie flirtować. I bez wątpienia coś knuje.

Unosi długie ramię i wskazuje na jeden z monitorów. Ramię prostuje bez wysiłku jak wykrzyknik po zdaniu oznajmującym: *Jestem zachwycająca!* To ramię niejedną raz zawróciło mi w głowie przez te wszystkie lata, gdy siedziałem za Ashley June, zwłaszcza latem, gdy nosiła koszulki bez rękawów i miałem pełny widok na jej cudowne, doskonale wyrzeźbione ciało. Jej

ramię nie jest ani za chude, ani za grube, po prostu ma idealny rozmiar i kształt, który emanuje zarówno pewnością, jak i wdziękiem. Nawet jasne piegi na skórze, rozrzucone kropki znikające pod koszulką, są uwodzicielskie.

Powoli podkradam się bliżej do Ashley June, kryjąc się za niewielkim filarem. Zerkam stamtąd ostrożnie. Ashley June przysunęła się bliżej do faceta. Nad nimi obrazy z kamer monitoringu lśnią przyciemnioną poświatą. Przynajmniej połowa przekazuje widok na środek terenu pod kopułą.

- Nie do wiary, że są włączone cały czas.
- Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu – odpowiada facet z dumą.
- I zawsze ktoś obserwuje przez monitory?
- No, mieliśmy tu personel. Ale to się zmieniło... Nowe przepisy bezpieczeństwa...
- Zmiana przepisów?

Długa pauza.

- Och, przestań, możesz mi powiedzieć – zapewnia Ashley June.
- Tylko nikomu nie mów – ostrzega facet cicho.
- Dobrze. To będzie nasz sekret.
- Niektórzy ochroniarze tak zatracili się w obrazach heperów, że...

– Tak?
– Stracili zmysły, pożądanie doprowadziło ich do szaleństwa. Wybiegli do osady heperów.

- Ale osada jest zamknięta pod kopułą.
- Nie, nie rozumiesz. Wybiegli za dnia.
- Co?
- Właśnie z tego miejsca. Patrzyli na monitory, a potem nagle zbiegali po schodach do

drzwi.

- Choć światło słońce?
- Jakby zapomnieli. Albo przestało się to dla nich liczyć. – Kolejna pauza. – I właśnie dlatego zmieniono przepisy bezpieczeństwa. Po pierwsze żadnych nagrań. Nielegalne kopie wpływały na czarnym rynku. A po drugie wszyscy opuszczają piętro przed świtem.
- To znaczy, że nikogo tu nie ma za dnia?
- Nie tylko. Popatrz na okna. Nie ma okiennic. Zostały zdjęte. Więc teraz słońce oświetla tu wszystko. To najlepszy system ochrony. Nikt nie wejdzie tu po świetle. Nikt.

Znowu zapada cisza. Wydaje mi się, że to koniec rozmowy, ale Ashley June zadaje kolejne pytanie:

- A co to za duży okrągły przycisk? Ten niebieski?
- Właściwie nie powinienem o tym mówić.
- Och, przestań, mnie możesz powiedzieć.

Jeszcze jedna pauza.

– Jak wszystko, co wcześniej ujawniłeś i za co mógłbyś wylecieć z pracy. Dochowam sekretu – tym razem w głosie Ashley June pobrzmiwają nutki groźby.

- To przycisk awaryjnego odcięcia – stwierdza surowo facet po chwili namysłu.
- Czyli co dokładnie?

– Przycisk, który zamyka wszystkie drzwi i okiennice. Po odcięciu nie da się wyjść z budynku. Trzeba przycisnąć guzik raz, żeby uruchomić system, a drugi raz, żeby anulować...

Jego głos tonie w zgiełku rozmów zbliżającej się reszty grupy, która odeszła od okna i teraz przesuwiała się na tyły sali do monitorów ochrony. Dołączam do nich. Nikt nie zauważył mojej nieobecności. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Kiedy łowcy podchodzą do ekranów, facet od Ashley June jest już na fotelu i znowu kręci głową w prawo, w lewo, w górę i w dół. Jeden z eskorty wyjaśnia nam monotonicznie funkcje ekranów i podkreśla, że każdy cal instytutu znajduje się w zasięgu przynajmniej jednej z kamer. Nikt jednak nie słucha, wszyscy obserwują obrazy przekazywane spod kopuły – chcą zobaczyć heperów.

Oprócz mnie. Ja obserwuję Ashley June.

Znowu się wymknęła i zaczęła wędrować po sali. A przynajmniej próbuje udawać beztroską przechadzkę. Jej zachowanie – może sposób, w jaki odwraca głowę na tyle, żeby przeczytać jakiś dokument na biurku albo przyrzuć się przełącznikom i przyciskom – sprawia wrażenie celowego i zaplanowanego. Na dodatek Ashley June próbuje robić to niezauważenie, ale to po prostu niemożliwe. Jest łowczynią, jest kobietą i jest piękna. Chce czy nie chce, zwraca na siebie uwagę. W krótkim czasie wszyscy faceci z obsługi centrum wodzą za nią wzrokiem. Ashley June szybko to sobie uświadamia i w końcu rezygnuje. Dołącza do nas przy monitorach, unosi lekko głowę. Stoi w bezruchu – nieporuszona, nieprzenikniona.

Wpatruję się w jej plecy, w kaskadę włosów, ciemnych w stłumionym świetle. Nie mogę się pozbyć przekonania, że Ashley June coś knuje, chce zrobić coś tutaj, w Centrum Konroli. Wyciągała informacje. Szukała potwierdzenia. Ale nie jestem tego pewien. Za to jestem pewien, że Ashley June pogrywa z nami, choć pozostali nie zauważyli, że gra się rozpoczęła.

Tej nocy lunch jest późno. Mija północ, gdy ochroniarze doprowadzają nas do dużej sali na parterze i sadzają przy okrągłym stole. Mundurowi do nas nie dołączają, zajmują własny stółik dalej w ciemności. Bez ich nieustannej obecności za plecami czujemy się swobodniej – łowcy rozluźniają ramiona i stają się bardziej rozmowni. Dopiero przy posiłku mogę po raz pierwszy lepiej się zaznajomić z pozostałymi.

Początkowo rozmawiamy o jedzeniu. Podano nam mięso, jakiego wcześniej nigdy nie próbowaliśmy, co najwyżej o nim czytaliśmy. Zając wielkouchy, hiena, surykatka, szczurowskokoczek. Świeżo ubite na Bezkręsie. A przynajmniej tak nam powiedziano. Danie główne to wyjątkowy przysmak: gepard, zwykle jadane tylko przez wysoko postawionych przedstawicieli władzy na weselach. Gepardy trudno upolować. Nie dlatego, że są szybkie – nawet dziecko łatwo prześcignie biegnącego geparda – ale ze względu na swoją rzadkość.

Każde danie, rzecz jasna, podawane jest na surowo i krwiście. Komentujemy konsystencję różnych mięs i smak przewyższający syntetyczne potrawy, jakie zwykle jadamy. Krew spływa nam po brodach i zbiera się w miseczkach, jakie sobie podsuwamy. Wypijemy ją na zakończenie posiłku jak zupę z tężejącej zwierzęcej krwi.

Na stole nie ma jednak tego, czego najbardziej potrzebuję – wody. Ostatnio piłem poprzedniej nocy w domu i czuję, że moje ciało się wysusza. Język, suchy i nabrzmiały, przypomina kłęb waty wepchnięty w usta. Od ponad godziny mam lekkie zawroty głowy. Moja miseczka powoli napęla się krwią. Wypiję ją do dna, ponieważ to wilgoć. Płyn. W pewnym sensie.

– Słyszałem, że umieszczono cię w bibliotece – rzuca mężczyzna około czterdziestki, który siedzi obok mnie. Przysadzisty, umięśniony. Przewodzi Towarzystwu Ochrony i Humanitarnego Traktowania Koni (TOiHTK). Jego wydatny brzuch dotyka stołu. Nadaję mu przyzwisko: Brzuchacz.

– No – odpowiadam. – Nieprzyjemna sprawa, muszę przechodzić przez plac. Wy pewnie balujecie cały dzień, a ja siedzę sam w zamknięciu. Nudy na pudy.

– Mnie wkurza cisza dzienna – wyznaje Brzuchacz z pełnymi ustami. – Musiałem wszystko zostawić, włożyć kapelusz i wyjść. A teraz jesteśmy tu sami, otoczeni pustynią i słońcem przez cały dzień.

– Ty przynajmniej masz książki – rzuca Ashley June obok mnie. – Na co narzekasz? Możesz poczytać o technikach łowieckich i przygotować się lepiej od nas.

Dostrzegam, że starszy mężczyzna, z którym zamieniłem parę słów w laboratorium, lekko drapie się w nadgarstek, po czym wkłada sobie do ust kawał hieniej wątroby. Dla niego mam przezwisko: Ponurak.

– Słyszałam – wtrąca jedna z łowczyń – że ta biblioteka należała do jakiegoś szalonego naukowca, który wymyślił sporo pokręconych teorii o heperach.

Łowczyni siedzi naprzeciw mnie i wygląda na nieźle wysportowaną, jak na swój wiek – dają jej jakieś trzydzieści parę lat, bardzo niebezpieczny wiek, szczytowy okres sprawności fizycznej i intelektualnej. Kobieta ledwie podnosi wzrok znad talerza, gdy mówi. Ma przetłuszczone kruczoczarne włosy, które podkreślają jej ostry, bladej podbródek. Wydaje się, jakby jej pełne usta krwawiły, a nie tylko spływały krwią przy jedzeniu. Kiedy mówi, odsłania zęby i krzywi się tak, jakby nie chciało jej się poruszać prawą stroną twarzy. Przypomina to leniwy grymas. Myślę o niej: Czerwonousta.

– Gdzie to słyszałaś? – pytam.

Czerwonousta podnosi oczy znad talerza i wbija je we mnie, jakby szacowała, czy warto odpowiedzieć.

– O bibliotece? Zapytałam o ciebie. – Głos ma zimny, trudno wyczytać z brzmienia jej nastroj. – Zapytałam, dlaczego zostałeś tam zakwaterowany. Mój ochroniarz wie wszystko. I sporo mówi, jak się go zachęci. Powiedział mi też, żebyśmy za bardzo cię nie żalowali, bo masz kwaterę ze wspaniałym widokiem.

– Z takim samym jak wy. Tyle że na odludziu.

– Ale jesteś bliżej! – oburza się Brzuchacz. Krew pryska mu z ust i wylewa się na podbródek. Kawalek na wpół przeżutej wątroby zająca ląduje w pobliżu talerza Czerwonoustej. Zanim Brzuchacz wyciągnie rękę, żeby go podnieść, kobieta wkłada kąsek do własnych ust. Brzuchacz rzuca jej groźne spojrzenie, po czym ponownie wraca do rozmowy. – Jesteś bliżej kopuły. Bliżej heperów.

Na te słowa wszystkie oczy wbijają się we mnie.

Szybko nadgryzam kawałek mięsa i przeżuвам powoli, celowo, żeby zyskać na czasie. A potem drapię się krótko w nadgarstek.

– Bliżej? O mile w słońcu za dnia, a w nocy za osłoną nieprzenikalnej szklanej kopuły. Heperzy równie dobrze mogliby znajdować się na innej planecie.

– To miejsce jest przekłete – oznajmia Czerwonousta. – To znaczy biblioteka. W końcu cię dopadnie, doprowadzi do szaleństwa. To przez bliskość. Gdy się jest tak kusząco blisko, można ich wyczuć, ale nie dopaść. Każdy, kto tam przebywał, zatracił się. Wcześniej czy później. Zwykle wcześniej niż później.

– Słyszałem, że to właśnie przytrafiło się temu naukowcowi – dodaje Brzuchacz. – Pewnej nocy dostał świra. Parę miesięcy temu. O zachodzie słońca poszedł pod kopułę i przycisnął twarz do szyby jak dziecko przy wystawie sklepu mięsnego. A potem po prostu stracił poczucie czasu i... cóż, witaj, słońce! – Wzrusza ramionami. – Tak przynajmniej głosi legenda. Nikt nie widział, co się stało. Znalaziono stos jego ubrań w połowie drogi między biblioteką a kopułą.

– I dobrze się stało, tak przynajmniej słyszałam. Ten naukowiec był beznadziejny. Po jego zniknięciu przejrano badania, którymi się zajmował. Notatniki i dzienniki wypełniał tylko bełkot.

Podano deser, lody. To jedno z niewielu dań, które wzbudza we mnie prawdziwy apetyt i nie muszę udawać, że mi smakuje. Zaczynam jeść szybko, dopóki nie czuję ostrego bólu za

czołem. Pozostali łowcy dalej się napychają, zwłaszcza para siedząca po lewej stronie ode mnie.

Mają po około dwadzieścia lat, uczą się w college'u. On studiuje fizykę, ona jeszcze nie wybrała specjalizacji. Oboje cenią sobie kondycję fizyczną, jeśli można tak powiedzieć. Młodemu muskuły przebijają przez ubranie, ale za bardzo się z tym nie obnosi. Młoda bardziej lubi się popisywać – nosi krótką bluzkę, która odsłania jej umięśniony brzuch. Piękni, bez wątpienia, o czystej, bladej cerze, prostych nosach i wysokich kościach policzkowych. Oboje, Fizol i Pokazówka, poruszają się z wrodzonym wdziękiem świadczącym o giętkości i sile. Ale oboje są też tępi jak kołki. Jedno jest pewne: to faworyci. Któreś z nich wygra w tych łowach. Pozostali będą musieli się zadowolić resztkami. Nic dziwnego, że Ponurak jest taki nieszczęśliwy.

Kwiecista Sukienka wyskakuje znikąd, jej przenikliwy głos dźwięczy w sali jak potłuczone szkło.

– No, i czyż to nie pyszny lunch? – Dla niej na pewno, jak widać, na brodzie ma jeszcze resztki świeżej krwi. – Pora ruszać na dalszą wycieczkę. Szliśmy tak szybko, że zrealizowaliśmy prawie cały plan na dzisiaj. No, no! Naprawdę powinniście trochę zwolnić. Niczego się nie nauczycie, gdy będziecie gnać na złamanie karku!

Podchwytując porozumiewawcze spojrzenie Ponuraka, jakby chciał powiedzieć: *A nie mówilem? To całe szkolenie to pic.*

– A zatem – ciągnie Kwiecista Sukienka – na dzisiaj zostały nam tylko odwiedziny pod kopułą. To będzie prawdziwa niespodzianka. Pamiętajcie, zapewne nie uda się nam zobaczyć żadnego hepera, bo o tej porze już śpią, ale ich zapach jest tam wyjątkowo wyraźny. Na pewno umieracie z ciekawości.

Głowy łowców uniosły się natychmiast znad stołu.

– To co? Możemy ruszać?

I tyle. Wstajemy wszyscy, czekamy na eskortę i wychodzimy.



Nasze stopy łomoczą na schodach, drzwi otwierają się pchnięte z całej siły, nawet na twarzy Ponuraka maluje się ekscytacja, nasze głowy drżą i kręcą się lekko, lecz spazmatycznie – po tym poznaję, że jesteśmy podnieceni. Wiem, że dręczy nas pragnienie.

Na mocy milczącego porozumienia nikt się nie odzywa. Nasze podeszwy tupią najpierw na marmurowych płytach posadzki, a potem, na dworze, szemrzą na bardziej miękkiej czerwonej ścieżce. Kiedy mijamy bibliotekę, nie pada ani jedno słowo. Tylko Ponurak zagląda ciekawie do środka, potem zerka na mnie i pewnie zastanawia się, dlaczego właśnie ja zostałem tutaj zakwaterowany. Kiedy ceglana ścieżka się kończy, nasze buty uderzają w twarde podłoże Bezkresu. Jesteśmy tak cisi, że wydaje się, jakby nikt nie śmiał nawet odetchnąć.

– To się nigdy nie znudzi – przerywa ciszę ktoś z eskorty. Na te słowa tempo marszu robi się tylko szybsze.

Martwi mnie, że zbiorowe podniecenie pchnie grupę do biegu. Nie minie wiele czasu, gdy zostanę z tyłu. Jeżeli tak się stanie, wszystko się wyda. Ponieważ ja nie mogę biegać, a przynajmniej nie tak szybko jak inni. Nie dorównuję im nawet w połowie szybkością czy wytrzymałością. Wciąż pamiętam z podstawówki, jak moi koledzy z klasy przemykali obok, a ja mogłem tylko wlec się niezdarnie, jakbym przebijał się przez rtęć. *Zawsze się przewracaj – zwykł powtarzać ojciec. Zawsze udawaj, że skręciłeś kostkę lub stuknęłeś sobie kolano. Będziesz mógł usiąść i przeczekać.*

– Hej – rzucam, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Nie ma sposobu, żeby

dostać się do kopuły, prawda?

- Nie – zapewnia mój ochroniarz.
- I pewnie nawet nie zobaczymy hepera, co?
- Pewnie nie. O tej porze nocy heperzy śpią.
- Więc zobaczymy tylko to, co widzimy teraz, tylko z bliska?
- Co?
- No, tylko lepianki, staw, sznury na pranie. I tyle, tak?
- Tak.
- Nuda – rzucam wyzywająco.

Ale grupa to kupuje, przynajmniej na tyle, żeby pohamować swoje podniecenie. Tempo marszu spada.

Piętnaście minut później znajdujemy się już blisko kopuły. To, co zaskakuje mnie najbardziej, gdy się zbliżamy, to rozmiar. Kopuła wznosi się nad nami i obejmuje znacznie większy obszar, niż mi się wcześniej wydawało. Czerwonousta zaczyna drżeć, idzie tuż przede mną. Pokazówka prostuje ramiona, napinając się z podniecenia. Fizol, który kroczy obok niej, zadziera nos i węszy.

– Czuję go. Wyczuwam zapach hepera – rzuca Ponurak. Jego ochrypły głos rozdziera ciszę nocy. Głowy pozostałych odchylają się z głośnym trzaskiem, wciągają powietrze nosami, węszą z przodu i na boki.

Około pięćdziesięciu jardów od kopuły grupa traci opanowanie i rzuca się do biegu. Ciągnę za nimi, biegnę najszybciej jak potrafię. Ale reszta rozmywa się, zmienia w splątana menażerię oscylujących czernią i szarością smug, rytmicznie poruszających się kończyn. Nie ma w tym ani wdzięku, ani porządku, tylko przypadkowe pchnięcia, kroki i skoki.

Kiedy udaje mi się do nich dołączyć, wszyscy już tkwią przy barierze, jakby przykleili się do szyby, zbyt skupieni na wiosce heperów, żeby dostrzec moje późniejsze przybycie. Pod kopułą znajduje się z dziesięć lepianek. Rozrzucone są bez porządku po całym terenie, połowa blisko stawu. Ale staw to coś nadzwyczajnego. Przede wszystkim przez samo swoje istnienie – to przecież tafła wody na środku pustyni. Ma też zdumiewający kształt – doskonale symetryczny, okrągły. Bez wątplenia to nie dzieło natury.

Przy takich technicznych cudach, jak staw czy kopuła, lepianki wyglądają jak prehistoryczne relikty. Nierówne ściany mają małe otwory okienne pozbawione szyb. Każda chata stoi na dwóch rzędach kamieni dopasowanych tylko zgrubnie i niezbyt równo.

– Nie widzę nic w środku – stwierdza Brzuchacz.
– Bo pewnie wszyscy śpią – wyjaśnia ktoś z eskorty.
– Ale powąchaj. Można ich wyczuć. Mocniej niż zwykle – dodaje mój ochroniarz, który stoi obok mnie.

- Tylko trochę – mruży jeszcze ktoś z eskorty na końcu grupy.
- Bardziej niż trochę – oponuje mój ochroniarz. – Zapach jest dziś wyjątkowo silny.

Musieli sporo się tutaj nabiegać i napocić.

Jednak wyraźnie marszczy brwi. Odwraca się w moim kierunku, węszy.

– Bardzo silny zapach. Dziwne.

Zmuszam się, żeby zachować spokój. To ja wydzielam ten zapach, wiem to, ale nie mogę się ruszyć ani zrobić czegoś zbyt drastycznego. Próbuje więc zmienić temat.

- Jak głęboki jest ten staw? – pytam.
- Nie wiem – odpowiada mój ochroniarz. – Zdaje się, że dość głęboki, żeby się utopić.

Ale żaden heper nigdy nie utonął. Oni są jak ryby...

– Niemożliwe, żeby taki staw powstał naturalnie.

– Mamy wśród nas geniusza – prycha Ponurak, po czym spluwa na twardą, pylistą ziemię.
– Czy szkło kopuły jest porowate? – wtrąca się Pokazówka. Wcześniej była cicha, więc teraz nie od razu do mnie dociera, że ten piękny głos należy właśnie do niej. – Bo ja też czuję hepera. I to o wiele wyraźniej niż w tych sztucznych zapachach, które można kupić.

– Rzeczywiście, od paru minut zapach robi się coraz bardziej wyraźny – mówi Fizol.
– Musi być porowata, bo naprawdę ich czuję! – wykrzykuje Pokazówka z podnieceniem.
– Nie sędzę, ale powietrze rzeczywiście jest przesiąknięte zapachem hepera... – mruczy z namysłem mój ochroniarz. – Dzień skończył się wiele godzin temu. Prawie osiem godzin. Zapach nie powinien być tak wyraźny...

Jego nozdrza poruszają się teraz szybciej, robią się niebezpiecznie wilgotne. Te nozdrza zaczynają obracać się w moją stronę jak oczy wytrzeszczone przy rozpoznaniu prawdy.

Cofam się nieco od grupy.

– Zamierzam obejść kopułę i sprawdzić, czy uda się coś zobaczyć z drugiej strony.

Na szczęście nikt nie rusza za mną. Po drugiej stronie pod osłoną lepiank spluwam na rękę i zaczynam żwawo trzeć się pod pachami. Obrzydliwe, ale jaki mam wybór? Albo to, albo zostanę rozerwany na strzępy w ułamku sekundy.

Kiedy znowu dołączam do grupy, łowcy są gotowi do powrotu.

– Zapach znikł – oznajmia Ponurak z miną zbitego psa. – I nic nie widać. Heperzy śpią. Ruszamy z powrotem, melancholijnie powłócząc nogami. Nikt się nie odzywa. Staram się iść z tyłu grupy, pod wiatr.

– Gwiazdzista noc – słyszę. Ashley June zerka na mnie przez ramię.

– Trochę za jasna, jak na mój gust – odpowiadam.

Drapie się w nadgarstek, choć nie wiem, co to ma znaczyć, zerka w niebo.

– Ci heperzy są jak zwierzęta w zoo – podejmuje rozmowę. – Cały czas tylko śpią.

– Ci z eskorty mówili, że heperzy są z natury nieśmiali.

– Głupie zwierzęta – prycha. – Ich strata.

– Jak to?

Zaskakuje mnie, ponieważ zwalnia i zrównuje się ze mną.

– Pomyśl – tłumaczy mi protekcjonalnie. – Im więcej zdobycz wie o myśliwym, tym większą może uzyskać przewagę taktyczną. Gdyby heperzy nie spali, dowiedzieliby się, ile nas jest, ilu mężczyzn i kobiet, w jakim wieku...

– Zakładasz, że wiedzą o łowach.

– Muszą. Przecież dostali broń.

– To nic nie znaczy. Poza tym „przewaga taktyczna” w niczym im nie pomoże. Bez względu na ich wiedzę to polowanie potrwa najwyżej dwie godziny.

– Godzinę, jeżeli będę miała coś do powiedzenia – szepcze Ashley June. Wyraźnie tylko ja miałem to usłyszeć. Zerkam na nią zaskoczony. Od naszego przyjazdu do Instytutu Badań Heperystycznych Ashley June jest jakby mniej śmiała, mniej przyciąga uwagę niż gwiazda, jaką znałem ze szkoły. W rzeczy samej nie zachowuje się, jakby była pępkiem świata. Oczywiście nadal przyciąga wzrok ze względu na swoją atrakcyjność, ale nie obnosi się z tym jak w szkole.

Bezkręś muska lekki wiatr, targa pasemkami włosów przy jej policzkach. Oczy Ashley June ciemnieją w burej poświacie nocy. Wydają się zmęczone. Dziewczyna pochyla się, żeby zawiązać sznurowadło. Przystaje. Nie śpieszy się, rozwiązuje i zawiązuje również sznurówkę drugiego buta.

Kiedy się podnosi, grupa się oddala.

– Wiesz, cieszę się, że tu jesteś – mówi cicho Ashley June. – Dobrze jest mieć po prostu... przyjaciela.

Świst wiatru wypełnia ciszę, która między nami zapada.

– Chyba powinniśmy zostać zespołem – dodaje dziewczyna. – Myślę, że możemy sobie pomóc.

– Wolę działać sam.

Zamiera.

– Dużo czytałeś o łowach sprzed dziesięciu lat?

– Jasne. Jak każdy. – To beczelne kłamstwo. Unikałem każdej książki, każdego artykułu, nawet zdania o polowaniu. Każdego słowa.

– No... A ja studiowałam tamte łowy. O wiele dokładniej niż inni. Czytałam książki, prenumerowałam czasopisma, szperałam po bibliotece, żeby wyszukać najmniejsze skrawki informacji na ten temat. Nawet słuchałam w radiu wywiadów ze zwycięzcami. Większość była silna, ale dość tępa. Nieważne. Chcę powiedzieć, że to, czego się dowiesz przez najbliższe pięć dni, ja poznałam już wcześniej. Wiele lat temu.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadam niepewny, dokąd zmierza ta rozmowa. Ale Ashley June nie kłamie. Należy do wszystkich stowarzyszeń i klubów szkolnych związanych z heperami.

– Słuchaj, to powszechnie znana tajemnica. Większość to wie, ale zdaje się, że ty się jeszcze nie domyślasz. Tu chodzi o sojusze. Zwycięzca zawsze wywodzi się z najsilniejszych sojuszy. Zawsze. Potwierdziły to poprzednie łowy i tak samo było z jeszcze wcześniejszymi. Jeżeli znajdzie się dobrego partnera, wszystko się uda. To proste.

– Dlaczego nie dołączysz do któregoś z pozostałych łowców? Wszyscy wiedzą, że brutalna siła i kondycja fizyczna zawsze pozwala zwyciężyć w łowach. A inni łowcy pod tym względem są ode mnie lepsi. Choćby tych dwoje studentów, są atletyczni i silni. Nawet ten starszy facet jest ode mnie silniejszy, a chociaż może brakuje mu kondycji, nadrabia to sprytem i doświadczeniem. A co z tą kobietą? Na oko widać, że dba o siebie. Ma obie zalety, jest w świetnej kondycji i na pewno niegłupia. Na pewno będziecie razem nie do przebiccia.

– Chodzi o zaufanie. Tylko tobie tutaj mogę ufać.

– Więc zaufaj, gdy ci powiem, że ze mną na pewno przegrasz.

– Dlaczego? Nie zamierzasz nawet próbować?

– Oczywiście, że zamierzam! Chcę dopaść tych heperów jak każdy. Ale jestem realistą.

– Słuchaj. – Ashley June zatrzymuje mnie, kładąc mi dłoń na piersi. – Możesz iść sam i na pewno przegrać albo zostać moim partnerem i przynajmniej zyskać szansę. Ale jeżeli chcesz ruszać na łowy bez żadnego planu, skończysz z pustymi rękami.

Ma rację, choć nie tak, jak jej się wydaje. Bardziej niż ktokolwiek zdaje sobie sprawę, że bez planu nie mam szans. I wcale nie chodzi o łowy, lecz o moje życie. Bez strategii łowy ujawnią, kim naprawdę jestem.

Dlatego mam plan, i to dość prosty: przeżyć. I tyle. Przez najbliższe kilka nocy muszę tylko trzymać się z boku i nie przyciągać uwagi. A potem, w noc przed polowaniem, udać, że jestem niedysponowany. Że złamałem nogę. Właściwie będę musiał zrobić coś więcej niż udawanie – będę musiał *naprawdę* złamać nogę. A potem wystarczy rozpaczać i użalać się na swój pech, przez który wypadłem z łowów. Walić, kopać i drapać w ściany, gdy łowcy wyruszą, a ja zostanę w łóżku z usztywnioną nogą. A potem wrócić do zwykłego życia. O, tak, Ashley June się nie myli – potrzebny mi plan. I już go mam. Ale ten plan nie przewiduje udziału Ashley June.

– Rozumiem. Ale... wolę działać sam.

Wydaje się, że jej oczy błysnęły, jakby się załamała.

– Dlaczego zawsze mi to robisz?

– Co?

– Odpychasz mnie. Przez te wszystkie lata.
– O czym ty mówisz? Przecież prawie się nie znamy.
– A dlaczego tak jest? – rzuca i odchodzi, żeby dołączyć do grupy. Jej włosy falują na wietrze.

Wbrew rozsądkowi przyśpieszam, żeby ją dogonić.

– Hej, zaczekaj.

Odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale idzie dalej.

– Masz rację. Powinniśmy porozmawiać.

– Dobrze – odpowiada po chwili. – Ale nie tutaj. Za wiele wścibskich oczu i ciekawskich uszu. Zatrzymajmy się w bibliotece.

Nasza eskorta nie jest z tego ani trochę zadowolona.

– Wszelkie naruszenia protokołu są zabronione – recytują niemal równym chórem.

Ignorujemy ich. Kiedy łowcy mijają bibliotekę, odrywamy się od grupy i przechodzimy przez frontowe drzwi. Eskortę z urazą rusza za nami. Wie, że niewiele więcej może zrobić, żeby nas powstrzymać.

Mijamy foyer, zatrzymujemy się przy półokrągłym biurku. Ochroniarze stają obok. Spoglądamy na siebie.

– No – rzuca wreszcie Ashley June, przerywając milczenie. – Sytuacja robi się trochę niezręczna.

Przekrzywia głowę i spogląda na mnie, a jej oczy zdają się błyszczeć.

– Oprowadź mnie – nakazuje, po czym rzuca groźne spojrzenie eskortcie. – Samą.

Odchodzi między stoły i krzesła ku środkowi sali, przyglądając się wystrojowi wnętrza i meblom.

– A zatem tak wygląda ów kurort Szangri-la, o którym tyle żeśmy słyszeli. – Staje na spłowiałym kwiecistym dywanie na środku pomieszczenia.

– Jak do tego doszło? – pytam spokojnie. – Parę godzin temu wszyscy nazywali to miejsce piekielną samotnią, a teraz nagle zmieniło się w kurort? Nonsens. O wiele lepiej czułbym się w głównym budynku – kłamię, idąc za Ashley June. Eskortę na szczęście nie próbuje nam towarzyszyć.

– Uwierz mi, wcale nie. Ciągłe przepychanki, narzekania, nieuprzejmość, czujność, małostkowość, podglądanie... i ciągła obecność personelu. To dość uciążliwe. Nie miałabym nie przeciwko temu, żeby się wyrwać. I uciec od ciągłych pytań.

– Pytań?

– O ciebie. Wszyscy się zastanawiają, dlaczego umieszczono cię osobno, dlaczego jesteś traktowany na specjalnych prawach. A skoro wiadomo, że chodzimy do tej samej szkoły, oczywiste jest, że muszę cię dobrze znać. Więc zostałam zasypana, albo raczej zbombardowana, pytaniami. Co lubisz, skąd pochodzisz, czy jesteś sprytny i inteligentny... I tak w kółko.

– I co odpowiedziałaś?

Spogląda na mnie najpierw z powagą, potem z zaskakującą łagodnością. Wreszcie podchodzi do wysokiego okna, jak najdalej od eskorty, i zerka na mnie zapraszająco. Zbliżam się, oboje stajemy przy szybie. I teraz, z dala od naszych strażników, jesteśmy tylko my dwoje skąpani w srebrzystym blasku księżyca. W piersiach już nas nie gniecie, oddycha nam się lżej.

– Powiedziałam wszystko, co wiem – stwierdza, spoglądając w okno, a potem na mnie. Jej oczy są jasne w księżycowej poświacie, błyszczące i wyraziste. – Czyli niewiele. Powiedziałam, że jesteś trochę zagadkowy, samotnik, zawsze na uboczu. I szalenie inteligentny, mimo że próbujesz to ukryć. A chociaż dziewczyny o tobie szepczą, nigdy z żadną nawet nie próbowałeś się umówić. Pytano, czy się spotykaliśmy, i odpowiedziałam, że nie.

Zerkam na nią. Wytrzymuje moje spojrzenie z cichą desperacją, jakby w obawie, że mógłbym się cofnąć zbyt szybko. Atmosfera wokół nas zmienia się drastycznie. Nie umiem tego wyjaśnić inaczej niż uczuciem narastającego gorąca i zarazem kojącej delikatności.

– Żałuję, że nie mogłam powiedzieć więcej – szepcze Ashley June. – Szkoda, że nie znam cię lepiej.

Opiera się o okno, jakby nagle przygnieciona niewidzialnym ciężarem.

I ta pozycja – tak bardzo przypominająca kapitulację – sprawia, że coś we mnie pęka jak lód w pierwszych dniach wiosny. W księżycowym blasku skóra Ashley June lśni jak alabaster. Ogarnia mnie pragnienie, żeby przesunąć dłońmi po jej ramionach, poczuć ich chłodną, porcelanową gładkość.

Długi czas tylko patrzymy w dal. Nic się nie porusza. W oddali majaczy kopuła, iskrząca się jak klejnot.

– Dlaczego dopiero teraz tak naprawdę ze sobą rozmawiamy? – Dziewczyna unosi dłoń i odgarnia kosmyk włosów za ucho. – Przecież wiesz, że od dawna tego chciałam. Tyle okazji uciekło nam sprzed nosa.

Patrzę w dal, niezdolny do spojrzenia jej w oczy. Ale serce od dawna nie biło mi tak szybko.

– Czekałam na ciebie tamtej deszczowej nocy – mówi Ashley June ledwie słyszalnie. – Prawie przez godzinę przy frontowych drzwiach. Przemokłam do suchej nitki. Wymknąłeś się tylnym wyjściem po szkole? To było parę lat temu, wiem, ale... zapomniałeś?

Przesuwam wzrok na wschodnie pasmo gór. Nie mam odwagi spojrzeć tej dziewczynie w oczy. Chciałbym jej wyznać, że wcale nie zapomniałem i nie ma tygodnia, żebym się nie zastanawiał, czy powinienem podjąć wtedy inną decyzję. Ile razy wyobrażałem sobie, że wychodzę z klasy po dzwonku, spotykamy się przy głównej bramie, a potem odprowadzam Ashley June do domu – deszcz moczy mi spodnie, nasze buty rozchlapują kałuże, razem trzymamy parasol, beużyteczny przy takiej ulewie, ale to nam wcale nie przeszkadza.

Lecz zanim odpowiem, słyszę w pamięci głos ojca. *Nigdy nie zapominaj, kim jesteś*. I po raz pierwszy uświadamiam sobie, co to znaczy. To po prostu inny sposób, aby powiedzieć: *Nigdy nie zapominaj, kim są oni*.

Nie mówię nic, tylko spoglądam w gwiazdy migoczące samotnie na odległym nieboskłonie. Te w skupiskach są tak blisko siebie, ich światło się splata, dotyka, ale ta bliskość to tylko złudzenie, ponieważ w rzeczywistości dzieli je od siebie niewyobrażalny dystans miliardów lat świetlnych pustki.

– Nie wiem... Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wybacz.

Nie odpowiada od razu. A potem gwałtownie przechyla głowę na ramię, płomienne włosy opadają jej na twarz.

– Noc jest dzisiaj zbyt jasna – rzuca ostro, po czym nakłada duże ciemne okulary. – Nie znoszę pełni.

– Odejdźmy od okna – proponuję i cofamy się na dywan, znowu w zasięg słuchu obserwującej nas eskorty. Stoimy naprzeciw siebie w niezręcznym milczeniu. Na szczęście mój strażnik podchodzi bliżej.

– Musimy wracać do reszty. Pora na posiłek.



Podczas obiadu większość z nas ogarnia znużenie. Jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby mówić, konwersacja przy stole w niczym nie przypomina tej podczas lunchu. Martwię się o swój zapach

i dyskretnie wacham się, żeby sprawdzić, czy mi nie śmierdzi pod pachami. Jem szybko, świadomy bliskości łowców. Ponurak siedzący obok trochę się wierci. Nic nie mówi, ale od czasu do czasu odwraca głowę w moim kierunku, rozchylając nozdrza.

Z drugiej strony mnie siedzi Ashley June. Mam świadomość każdego jej ruchu, bliskości jej łokcia, gdy unosi i opuszcza sztućce, kosmyków włosów, które zwinęła na karku, żeby nie wpadły do miski na krew. Przede wszystkim jednak zauważam jej milczenie. Pragnę na nią patrzeć. Ale muszę się trzymać z dala, pilnować, żeby nic ode mnie nie poczuła.

Im dłużej trwa posiłek, tym bardziej zaczynam się martwić. A im bardziej robię się nerwowy, tym silniejszy zapach wydzielam. Muszę czym prędzej wyjść, po cichu i spokojnie. Wstaję. Wszystkie oczy przy stole zwracają się na mnie. Cofam się i rozglądam za swoim ochroniarzem, który siedzi przy własnym stole gdzieś w ciemności. Pojawia się zaraz potem.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Ale powinienem już iść do siebie. Martwię się o wschód słońca.

Spogląda na zegarek.

– Została jeszcze godzina.

– Nawet jeżeli, jestem panikarzem. Nie chcę, żeby dzień zaskoczył mnie na dworze.

Teraz wszyscy już gapią się na mnie.

– Zapewniam cię, że nigdy nie było błędu w wyliczeniach czasu wschodu i zachodu – stwierdza ochroniarz.

Spuszczam wzrok. Dopiero teraz dociera do mnie, że wcale nie muszę udawać zmęczenia. Naprawdę jestem śmiertelnie zmęczony.

– Jeżeli na dzisiaj nie zaplanowano nic więcej, to chyba wrócę do siebie wcześniej. Lecę z nóg.

Wyczuwam, że ochroniarz przygląda mi się uważnie, próbując zrozumieć.

– Ale jedzenie... Będzie jeszcze wiele świeżego mięsa...

Teraz dopiero uświadamiam sobie, o co chodzi.

– Wiesz, nie musisz mnie odprowadzać. Zostań i jedz do syta. Naprawdę, znam drogę. Schodami w dół, korytarzem w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, do dwuskrzydłowych drzwi z logo instytutu.

– Nie chcesz zostać na deser?

– Nie, mam dość, dzięki.

– Ale jeszcze nie podano najlepszych, najbardziej krwistych gatunków mięs!

– Zmęczyłem się i tyle. Nie martw się.

– Na pewno dasz radę wrócić bez eskorty?

– Pewnie. – I zanim ochroniarz zdąży zaprotestować, wychodzę. W progu rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie na stół łowców.

Powinni się opychać i nie zwracać uwagi na moją rozmowę z ochroniarzem. Ale oni patrzą na mnie bez zrozumienia. Nie, to nie to. Patrzą z *niedowierzaniem*. Takim, jakie zostaje w pamięci i zmusza do myślenia.



– Głupi, głupi, głupi – mamroczę do siebie, gdy schodzę z drugiego piętra.

Kretyn, kretyn, kretyn, napominam się w duchu, gdy mijam korytarze.

– Matoł, matoł, matoł – powtarzam głośno, pchając dwuskrzydłowe drzwi instytutu, i wychodzę na dwór. A potem z pamięci powraca głos mojego ojca: *Nie rób nic, co wyróżni cię z tłumu, nic nietypowego. Unikaj wszystkiego, co przyciągnie do ciebie uwagę.*

Nawet gdy docieram do drzwi biblioteki, nadal robię sobie wyrzuty.

– Imbecyl, głupiec, tępak, matol.

W bibliotece przeszukuję zakamarki, nisze i kąty, cal po calu. Ale na próżno. Nie ma tu nigdzie nadającego się do picia płynu, ani kropli. A w łazience, jak we wszystkich innych, natrafiam tylko na papierowe ręczniki i kosz na śmieci. Zaczynam się martwić. Wszystkie moje przybory zostały w domu, wszystko, co służy do utrzymania mojego kamuflażu – golarki, butelki wody, dezodoranty maskujące zapach, wybielacz do zębów, pilnik do paznokci. Nie piłem już tak długo, że mam zawroty głowy. Nie mogę się skupić. Na niczym. Myśli mi się rwą. W pół słowa. W głowie łupie.

Unoszę ramię, żeby powąchać się pod pachą. No nie. Nawet ja mogę teraz wyczuć swój zapach. A jeżeli ja mogę, tym bardziej oni. Nic dziwnego, że Ponurak i Brzuchacz byli tak roztrzępani przy posiłku.

Nie wiem, czy ktoś zaczął już mnie podejrzewać. Ponurak i Brzuchacz mogli coś wyczuć, ale chyba jeszcze nie domyślili się, że to ja. Ale do jutra będę cuchnął.

Podchodzę do skórzanej sofy i opadam na siedzisko. W głowie ciągle mi się kręci i łupie. Za oknami widać już pierwsze zwiastuny świtu. Wkrótce zamkną się okiennice.

Zasłaniam oczy przedramieniem. Nie chce mi się myśleć, chociaż wiem, że powinienem. Plan wydawał się tak doskonały – nie zwracać na siebie uwagi podczas szkolenia i złamać nogę tuż przed polowaniem. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie doczekam Wielkich Łowów za cztery noce. Wydzielam zapach pod nazwą: *Zjedz mnie*, a język mam suchy i szorstki jak papier ścierny – albo umrę z pragnienia, albo zostanę pożarty. Zapewne wcześniej nastąpi to drugie.

Leżę na sofie przytłoczony rzeczywistością. Zaczynam odpływać. A raczej spadać w czarną otchłań snu.



Budzi mnie pragnienie. Kasłam, tysiące drzazg wbija mi się w gardło.

Powoli zsuwam ramię z twarzy. W bibliotece jest ciemno, okiennice się zamknęły. Ale coś mnie niepokoi. Nadal widzę otoczenie, niewyraźnie, ale jednak... Jakby paliła się tu świeca.

Niemożliwe. Opadają ze mnie resztki senności. Rozglądam się. I znajduję źródło światła.

Jest tutaj. Cieniutki promień słońca przesączający się przez okiennicę za mną. Smuga pada na przeciwległą ścianę. To przeszywające światło, jak laserowe – wydaje się namacalne, ciężkie. Wczoraj go nie zauważyłem. Ale wczoraj byłem po drugiej stronie biblioteki i spałem jak kamień przez cały dzień.

Podchodzę do okiennicy. Ostrożnie sięgam do dziury. Niemal spodziewam się, że promień słońca przepali mi rękę. Ale czuję tylko ciepło w miejscu, gdzie pada na skórę. Otwór w okiennicy ma doskonale okrągły kształt, gładką krawędź. Bardzo dziwne. To nie przypadek, nie efekt działania czasu. Ten otwór został celowo zrobiony – *wywiercony* – we wzmocnionej stalą okiennicy dwucalowej grubości. Ale po co? I przez kogo?

Przez szalonego naukowca. Tego akurat nietrudno się domyślić. Tylko on tu mieszkał. Ale dlaczego to zrobił? Taki promień światła nie tylko nie pozwoliłby nikomu zasnąć, ale też wywołałby nieodwracalne uszkodzenia siatkówki i organów wewnętrznych. To bez sensu.

Może zatem szalony naukowiec nie miał z tym nic wspólnego? Może otwór został wywiercony później, po jego zniknięciu. Ale dlaczego? Skoro zaplanowano, żeby zakwaterować mnie w bibliotece, na pewno ktoś wcześniej zakleiłby tę dziurę. Znowu bez sensu.

I wtedy wpadam na myśl, od której przechodzi mnie dreszcz.

Potrząsam głową, jakbym chciał się pozbyć tego wniosku. Ale przykleił się do mnie

i nie chciał zniknąć. A im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje się słuszny.

Ktoś wywiercił tę dziurę. Dzisiaj w nocy.
Żeby mnie sprawdzić. Żeby mnie odsłonić.
Żeby się dowiedzieć, czy jestem heperem.



To ma sens. Dzisiaj w nocy moje niemyte ciało wydzielalo zapach potu, a to wzbudilo podejrzenia. Żeby mnie jednak oskarżyć, potrzeba więcej dowodów. Wpuszczenie odrobiny światła do biblioteki to idealne posunięcie. Subtelne, ale rozstrzygające. Tak niewielki promień światła nie obudzi hepera, ale normalnym ludziom nie pozwala zasnąć. W takiej sytuacji każdy po prostu umknąłby w najciemniejszy kąt biblioteki, a zaraz po zachodzie słońca zażądałby innego pomieszczenia. Test doskonały jak papierek lakmusowy.

Zaczynam spacerować między biurkami, żeby opanować strach. Opuszkami palców muskam zakurzone grzbiety ksiąg w skórzanych oprawach. Dociera do mnie, że moja dedukcja nie jest bezbłędna. Tylko łowcy mogliby mieć coś przeciwko mnie. Łowcy i eskorta. Ale oni przebywali ze mną całą noc – nigdy nie znikali mi z oczu. Nikt nie miał okazji, żeby się wymknąć na dłużej i wywiercić otwór w dwucalowej grubości stali.

Wracam do otworu i przyglądam mu się dokładniej. Krawędź jest oszlifowana i tępa, nie ostra jak po świeżym wierceniu. Opadam na podłogę, szukając opiłków. Nic. Ten otwór znajdował się tutaj od dłuższego czasu.

To mnie trochę uspokaja. Jeżeli jutro udam gniew i zacznę narzekać na dziurę, personel instytutu przyjdzie, żeby obejrzeć uszkodzenie, zanim je naprawi. Ale otwór zrodzi również szereg pytań i podejrzeń dotyczących mojego pierwszego dnia w bibliotece. Dlaczego wtedy nie zgłosiłem skargi? Czyżbym nie zauważył światła? A jeżeli nic nie powiem, a to rzeczywiście jest zastawiona na mnie pułapka, prawda o mnie wyjdzie na jaw.

Ale wtedy coś wpada mi do głowy. Może promień słońca to tylko efekt uboczny, a chodzi o coś ważniejszego? Może to otwór, nie światło, jest kluczem do rozwiązania tej zagadki.

Przyglądam się uważnie każdemu zadrapaniu przy dziurce, jej położeniu nad podłogą, jej niewielkim rozmiarem.

No oczywiście. Ten otwór idealnie się nadaje do podglądania.

Kiedy jednak zerkam przez dziurkę – światło jest oślepiające – nic nie dostrzegam. Tylko pusty, monotony Bezkres, rozciągający się bez końca przede mną i skąpany w gorącym, oślepiająco jasnym słońcu. Nawet kopuły nie ma w zasięgu wzroku. Tylko pył, piach i słońce – nic ciekawego do oglądania.

Przez następną godzinę spaceruję w kółko, patrzę na promień słońca, zerkam przez dziurkę – wszystko na próżno. Nic nie potrafię wymyślić. Na dodatek dobija mnie, że jestem tak blisko rozwiązania, odpowiedź na pewno mam przed oczami. Wreszcie siadam, bo od chodzenia zaczynają mnie boleć stopy. Zamykam oczy, żeby się skupić, i... otwieram je parę godzin później. Światło zniknęło, okiennice się otworzyły, a do drzwi rozlega się pukanie.

Nadszedł zmierzch.

Trzy noce do polowania

Uważa się, że w stosunku do nas heperzy są ewolucyjnie zacofani o pięć do dziesięciu milionów lat – aseptyczny i zdystansowany głos dyrektora instytutu płynie z katedry. – Z pewnością heperzy wykazują bardziej prymitywne zachowania, jakie nasi przodkowie odrzucili już przed wieloma wiekami. Pomyślcie choćby o wyjątkowej umiejętności pływania u heperów. To cecha wskazująca, że w nie tak dalekiej przeszłości byli jeszcze płazami i żyli w morzu, skąd wyszło wszelkie życie. Ta podobna do ryb umiejętność zanurzania się i manewrowania pod wodą świadczy o braku ewolucyjnych postępów od opuszczenia oceanu. Pomyślcie również o ich zwierzęcej wytrzymałości na słońce. Ta odporność na promieniowanie słoneczne stanowi genetyczny relikw z czasów przedjaskiniowych, kiedy ziemię przemierzały zwierzęta, którym brakowało inteligencji pozwalającej znaleźć schronienie w jaskiniach. Wytworzyły zatem odporność na słońce, chociaż ta odporność wstrzymała ewolucyjny rozwój mózgu. Wielka szkoda.

Jego słowa przepływają obok mnie jak glony w mętnej wodzie. Siedzę przy końcu sali wykładowej, jak najdalej od reszty. Zdążyłem zmienić ubranie, gdy mój ochroniarz walił w drzwi, ale nadal martwi mnie mój zapach. Zdaje się, że nikt go jeszcze nie wyczuł – wszyscy siedzą w bezruchu, ani drgną. Przeżyłem śniadanie, wykład wczesnym wieczorem, zwiedzanie okolicy i lunch. Nikt na razie nie zauważył nic podejrzanego. Na szczęście wysokie okno po lewej stronie podium jest otwarte, stały podmuch rozwiewa wszelkie zapachy. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Zmiany wyrazu ich twarzy, tak ohydny pokaz nieopanowanych emocji, sięgają korzeniami do epoki przedjęzykowej, pralingwistycznej, kiedy mimika służyła za sposób porozumiewania się, swoisty język znaków. Następny slajd.

Fotografia nóg hepera pokrytych włosami. Wszyscy się pochylają. Ślina zaczyna spływać z ich kłów jak babie lato opadające na ławki.

– Genetyczny szczątkowy relikw z okresu przed odkryciem ognia. Bez umiejętności rozpalania ognia włosy stanowiły jedyną ochronę przed zimowym chłodem. Najwybitniejsi naukowcy twierdzą nawet, że sierść jest wcześniejsza niż epoka kamienna, sprzed czasów, gdy wynaleziono prymitywną broń, której używano do polowania, co pozwoliło wykorzystać futra innych zwierząt jako ubranie. Napisałem na ten temat książkę, pierwsze opracowanie z tej tematyki, aby poprzeć tę dość dobrze już udowodnioną teorię. Następny slajd.

Zdjęcie hepera jedzącego owoc z czerwoną skórką i żółtym miąższem. Widzę, jak głowy audytorium odwracają się z odrazą.

– A, tak. Niepojęte, żeby nie powiedzieć: ohydne. Cecha ta świadczy o braku drapieżnych instynktów u heperów, ich niezdolności do zabicia czegokolwiek większego od robaka. Dlatego muszą zdobywać to, co nie ucieka – płody ziemi, warzywa i owoce. Z czasem stało się to ekstremalną koniecznością, ciała heperów nie mogą się obejść bez warzyw i owoców. Jeżeli w ich diecie zabraknie płodów ziemi, tracą zdrowie. Na skórze występują czerwone plamy, wargi pękają, pojawiają się na nich rany, potem te same uszkodzenia przechodzą na dziąsła, co w ostateczności doprowadza do utraty zębów. Heperzy nieruchomieją, popadają w depresję i stan wegetatywny. Następny slajd.

Fotografia grupy heperów pod kopułą. Siedzą wokół ogniska, usta mają otwarte, głowy

przechylone, oczy zamknięte.

– Nic bardziej nie zdumiało i nie zaskoczyło badaczy jak zdolność heperów do modulacji głosu w słowa z tak wyjątkową synchronizacją. Badania wykazały, że heperzy potrafią odtwarzać, duplikować to wycie, nazywają to „śpiewem”, z zadziwiającą dokładnością. W rzeczy samej śpiew może zostać powtórzony po minucie, dniu, miesiącu, nawet po latach od pierwszego wykonania, i to w niemal identycznych częstotliwościach dźwięku. Istnieje wiele hipotez na temat tej zdolności, ale żadna nie wydaje się satysfakcjonująca, może poza tą, którą przedstawiłem na ostatniej Corocznej Konferencji w sprawie Badań Heperystycznych. W skrócie, heperzy wynaleźli śpiew w fałszywym przekonaniu, że wspomaga to wzrost owoców i warzyw. Właśnie dlatego widywano ich, jak śpiewali najczęściej podczas zajmowania się polami warzyw lub zrywania owoców z drzew. Niektórzy naukowcy wysunęli również przypuszczenie, że według heperów śpiew wspomaga też podtrzymywanie ognia i oczyszczanie ciała. Stąd zapewne tendencje heperów, żeby śpiewać wokół ogniska lub podczas kąpieli w stawie.

Siedzę nieruchomo, skrywając swoje rozbawienie. Wszystko, co mówi dyrektor, brzmi jak prawda i naukowo potwierdzone teorie, ale podejrzewam, że to tylko spekulacje i brednie. Przypuszczam, że łatwo przeoczyć, co istotne, gdy chodzi o heperów, zbyt łatwo przechodzi się bowiem od szczerzej badawczej wnikliwości do niepotwierdzonych wymysłów. Gdyby role się odwróciły i to ludzie znajdowaliby się na wymarcu, teorie heperów na ich temat również zahaczałyby o przesadę i fałsz, na przykład: nie śpią w pętłach, lecz w trumnach, stworzenia nocne, które mogą być niewidzialne, nie mają nawet odbicia w lustrze, blade i mizerne istoty mogące w pokoju koegzystować wraz z heperami, o ile powstrzymają się od rozdzierania heperom wnętrzości i wysysania im krwi, wszystkie wyglądają niewiarygodnie dobrze i mają idealne włosy. Zapewne powstałyby teorie niepoparte żadnymi faktami, jak choćby o umiejętności pływania *pod* wodą z niesamowitą szybkością, oraz bezsensowne i śmieszne opowieści o ludzko-heperskich romansach.

Dwa rzędy przede mną Fizol odwraca gwałtownie głowę. Cienka nitka śliny odrywa się od jego kłów i spada mu na policzek. Fizol potrząsa głową.

– Przepraszam – mruczy.

Dyrektor rzuca mu groźne spojrzenie, po czym podejmuje wykład.

– Kolejna aberracja to raczej groteskowa tendencja do wytwarzania na skórze maleńkich kropeł słonej wody, gdy heperzy odczuwają gorąco lub są w stresie. W tych ekstremalnych warunkach wydzielają również wyraźny zapach, szczególnie w okolicach pach, który przechowywany jest, zwłaszcza u samców, na włosach pod pachami. To typowe dla heperów...

Fizol znowu odchyła gwałtownie głowę.

– Przepraszam, przepraszam – rzuca. – Nie chciałem przerywać. Ale czy nikt tego nie czuje? Zapachu hepera?

Odwraca się i przez krótką, straszną chwilę jego oczy zatrzymują się na mnie.

– Ty nie czujesz?

– Troszeczkę, tylko troszeczkę – odpowiadam szybko.

Oczy dyrektora wbijają się we mnie od razu. Po plecach przemyka mi fala zimna.

Kontrolowany oddech, na wpół przymknięte powieki, żadnego zerkania na boki.

– Jest naprawdę mocny, uderzył mi do nosa i do głowy, nie mogę się skupić. – Fizol wskazuje w okno. – Możemy zamknąć okno. Naprawdę nie można się skupić.

Pokazówka, siedząca dwa miejsca od niego, odrzuca głowę w tył, a potem opuszcza.

– O, właśnie. Też to wyczułam. Heper. Dość silny zapach. Pewnie wiatr go niesie przez otwarte okno. Co to jest, okres godowy heperów?

Dyrektor rusza do okna. Jego twarz jest spokojna, nieprzenikniona, ale z pewnością facet teraz się zastanawia.

– Ja również coś wyczuwam. Wiatr to niesie tutaj? – w jego głosie brzmi niezdecydowanie. – Dobrze, zamknijmy okno i sprawdźmy, czy to pomoże. Heperzy musieli się naprawdę mocno pocić za dnia. Ciekawe, co kombinują.

Wykład zostaje podjęty, ale mało kto go słucha. Wszyscy węższą ciekawie. Zamknięcie okna nie pomogło, to ja przecież wydzielam ten zapach. Ile potrwa, zanim reszta sobie to uświadomi? Z każdą minutą wiercą się coraz bardziej, coraz szybciej i gwałtowniej obracają głowy. A ja tylko pogarszam sytuację – swoją sytuację – odruchowo naśladuję ich zachowanie, kręcę głową i wiercę się, przez co zapach staje się jeszcze silniejszy.

Wtedy odzywa się Ashley June.

– Może heperzy wkradli się tutaj za dnia? Myszkowali po budynku? Dlatego ich zapach jest wszędzie.

Spoglądamy w stronę podium, czekając, co powie dyrektor. Ale dyrektor zniknął.

Zadziwiająco. Jego miejsce zajęła Kwiecista Sukienka, która, jak zwykle, pojawiła się znikąd.

– Niemożliwe – jej głos brzmi bardziej piskliwie niż zazwyczaj. – Nie ma sposobu, aby heperzy przyszli tutaj, do gniazda szerszeni. To pewna śmierć.

– Ale zapach – śliniąc się, oponuje Ashley June. – Zapach jest tak wyraźny.

Nagle odchyła głowę, potem opuszcza ją, obracając się powoli. Spogląda po kolei na każdego z nas, na mnie.

– A jeżeli któryś z heperów wślizgnął się tutaj? Możliwe, że nadal ukrywa się w budynku...

I na te słowa rzucamy się do drzwi, eskorta depcze nam po piętach. Początkowo próbuje nas skłonić do powrotu na salę, ale kiedy skręcamy za róg i zbiegamy po schodach, a Czerwonousta obok mnie wykrzykuje, że zapach jest tu wyraźniejszy, ochroniarze przyłączają się do naszych szaleńczych poszukiwań. Obnażone zęby, nitki spływającej śliny, uniesione ręce i paznokcie drapiące ściany.



Cięzko mi oddzielić się od grupy. Taki mam plan – odsunąć się, zakraść do biblioteki i mieć nadzieję, że nikt nie zauważy mojej nieobecności. Ale gdy tylko odwrócę się, żeby odejść, reszta zaraz do mnie dołącza. To zapach. A przez to bieganie w kółko jest tylko gorzej. Liczyłem, że łowcy pognają przodem, dzięki czemu zyskam okazję, żeby zbiec po schodach i wyjść, zanim wrócą. Ale trzymają się blisko mnie. A bliskość ich kłów i pazurów jest przerażająca. Długo nie uda się ich zwodzić.

To, co wreszcie skłania grupę, żeby mnie zostawiła samego, wychodzi przypadkiem, nie ma w tym celowego działania ani planowania. Mdleję – najwyżej na sekundę lub dwie. Jeszcze przed chwilą biegłem, aż nagle leżę na ziemi, a łowcy mijają mnie i gnają za róg korytarza. To brak wody. Wysuszyło mi gardło i mięśnie, otumanilo mózg. Wyczerpałem swoje siły.

Kiedy wraca mi przytomność – właściwie to było zaćmienie bardziej niż omdlenie – wiem, że muszę się ruszyć. Grupa wróci, gdy straci trop, więc łowcy cofną się po tropie prosto do mnie, leżącego bezwładnie na podłodze, ze spoconym czołem, wydzielającego coraz silniejszy zapach.

Naprzód, nakazuję sobie w duchu, pora się ruszyć.

Ale trudno mi się nawet podnieść. Czuję się wysuszony jak pył na pustyni, ale ciężki jak worek kamieni.

W korytarzu panuje cisza, a potem rozlega się coraz głośniejszy tupot stóp. Łowcy zaczynają się domyślać. Wracają.

Strach zmusza mnie do zerwania się na równe nogi. Przekręcam się, wstaję. Drzwi. Muszę pozamykać jak najwięcej drzwi między nimi a mną. To ich spowolni, nieco zmniejszy moją woń. Nawet odrobinę mniej ma znaczenie.

Pcham i zamykam najbliższe drzwi, a sekundę później słyszę, jak te same drzwi otwierają się z hukiem niczym wystrzał z broni palnej. Nie próbuję nawet zbiegać po schodach, przeskakuję je wszystkie naraz. Ból przeszywa mi nogi, rozchodzi się po kręgosłupie.

Łowcy mnie doganiają. Nieważne, jak bardzo bym się starał, nieważne, jak ryzykownie pokonywałbym kolejne schody, grupa i tak mnie dogoni. Jest coraz bliżej. Wychwytuje chrapliwe oddechy i cichy szmer ubrań. To już tylko kwestia czasu.

Chyba że...

– Tędy! – krzyczę. – Zapach dochodzi stąd, jest wyraźny! Chyba mam trop!

– Jak mu się udało tak nas wyprzedzić? – woła ktoś z piętra niżej.

Przebijam się przez parę drzwi, biegnę kolejnymi korytarzami, po czym pokonuję kolejne drzwi i zaczynam wspinać się po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz.

– Zaczekaj na nas! – woła ktoś z dołu.

– Ani myślę! Jestem na tropie hepera!

– Jak taki powolny dzieciak nas pobił?

Zbliżają się tak szybko, że dogonią mnie w parę sekund.

Kolejne drzwi, dziki sprint przez długi korytarz. Zerkam przez ramię. Horda gna za mną jak wezbrana fala – Ponurak skacze po ścianach i suficie, Fizol galopuje na ich styku, pozostali biegną nierówno, z beznamiętnymi twarzami i obnażonymi kłami. Trzy sekundy.

Rzucam się do najbliższych drzwi. Otwierają się z dziwnie znajomym oporem. Już wiem dlaczego. Trafiłem do sali wykładowej. Zatoczyłem pełne koło. Sala jest całkowicie pusta. Wszyscy przyłączyli się do pogoni.

Gdzie chcę umrzeć? – zastanawiam się. Na tyłach? Dramatycznie stojąc na ławce? Pod katedrą?

I wtedy mój wzrok pada na okno.

Doskakuję, otwieram je szybko.

Dosłownie milisekundę później grupa wlewa się do pomieszczenia jak czarna fala. Łowcy są doskonale zsynchronizowani: skaczą na ściany, na sufit, nie ma żadnego przepychania się łokciami, żeby sobie wywalczyć lepszą pozycję – skoordynowaną ławą wdzierają się do sali wykładowej. Oczy mają czujne, nozdrza rozszerzone.

– Wskoczył! Wskoczył przez okno! – wrzeszczę i wychylam się przez parapet, wskazując w dół. Jeszcze zanim kończę krzyżeć, czworo łowców już przepycha się na parapet i wychyla z okna razem ze mną. Ich głowy są niepokojąco blisko mnie. Na szczęście wieje silny wiatr i rzuca nam w twarze kłęby kurzu.

– Wszędzie tutaj wyczuwam jego zapach! Jakby się tu ukrywał, tylko gdzie?

– Wskoczył...

– Możemy dogonić go na dole, nie mógł odbiec daleko...

– Może – stwierdzam. – Jeżeli szybko wyruszymy, łatwo go dopadniemy.

Uginają nogi, gotowi do skoku przez okno, ale wtedy szept zatrzymuje ich w miejscu.

– Tak wam się zdaje – spokojny, złośliwy szept przesączony groźbą.

To dyrektor.

Nie patrzy na nas, ogląda obojętnie swoje paznokcie, jakby zachwycał się ich pastelowym lśnieniem w blasku księżyca. Jego głos jest beznamiętny, pozornie obojętny, jakby dyrektora nie

obchodziło, czy ktoś słucha.

– Niektórym z was wydaje się, że są tacy sprytni – mruczy dyrektor. – Myślicie, że nauczyliście się już wszystkiego i wiecie lepiej niż eksperci, co robić. Parę nocy w *moim* instytucie, a już sądzicie, że jesteście mądrzejsi niż naukowcy, którzy poświęcili życie prowadzonym tutaj badaniom. Naprawdę wam się wydaje, że instytut, którym kieruję, będzie tak beztrojski, aby pozwolić heperowi wejść tutaj lub chodzić po okolicy bez nadzoru? – Nadal ogląda swoje paznokcie.

Mija chwila, po czym podejmuje przemowę, a jego głos jest jeszcze cichszy.

– I czy naprawdę sądziliście, że heper byłby tak głupi, żeby dać się złapać po zachodzie słońca poza kopułą? – Opuszcza prawą dłoń. – Może heperzy to zwierzęta, ale na pewno nie głupie. W przeciwieństwie do niektórych tutaj zgromadzonych.

Zapada śmiertelna cisza.

– Kierowała wami arogancja i ignorancja. Zabawne, jak często jedno łączy się z drugim. Musicie pamiętać, kim jesteście. Wyłonił was ślepy los, nie zalety, nie nadzwyczajne umiejętności ani osiągnięcia. Tylko *głupi* przypadek. A jednak ganiacie po *moim* instytucie jak po swoim przeklętym podwórku. Nie ma tu żadnego hepera. Tak, można wyczuć wyraźny zapach, przyniesiony przez wiatr. Bardziej wyraźny niż zwykle, nie przeczę. Ale nie ma tu hepera, nie w środku, a przynajmniej nie tak, jak wam się wydaje. Popadliście w masową histerię.

Brzuchacza wbrew słowom dyrektora przechodzi dreszcz. Z pożądania. Nie może się powstrzymać, tak samo jak nie może zaprzeczyć, że czuje w nozdrzach zapach hepera. Ślina spływająca po kłach Fizola, który wisi na suficie, spada na krzesło. Nadal czują mój zapach. Nie mogą się powstrzymać.

– Ach. – Dyrektor obserwuje ich reakcje. – Oto siła masowej hysterii. Wystarczy powiedzieć wam, że w korze drzewa widać twarz hepera, a nie możecie się pozbyć tego obrazu z wyobraźni, prawda? Nieważne, co wam się powie, nadal będziecie widzieć hepera. To przekonanie okazuje się... niebezpieczne. Nie tak łatwo pozbyć się skojarzeń, gdy już się pojawią. Spójrzcie na siebie. Prawie mnie przekonaliście.

Wilgoć spada mi na włosy, klejąca i nieco żrąca. Zerkam w górę. Pokazówka też wisi na suficie. Patrzy na dyrektora i próbuje się opanować. Na podłogę spływa więcej śliny, srebrzystej i lśniącej jak nici pajęczyny.

– Wasza podatność na masową histerię jest zrozumiała. Nie przywykliście do heperów, nigdy ich nie widzieliście z bliska, nie czuliście zapachu, nawet nie słyszeliście ich głosów, przynajmniej nie na żywo. Dlatego na najdrobniejszą sugestię zrywacie się do biegu na oślep jak lemingi na krawędź przepaści. Ale nie będzie żadnej pogoni. Widzieliśmy to wielokrotnie w instytucie, gdy zatrudnialiśmy nowych pracowników. Ślinili się jak szaleni. Niektórzy zaczęli widzieć hepera w każdym cieniu i tracili umiejętność normalnego funkcjonowania. W końcu nie byli zdolni do wykonania nawet najprostszych zadań.

Dyrektor obraca głowę i spogląda na każdego z nas po kolei.

– Mamy jednak na to sposoby.

Z tymi słowami wycofuje się w mrok, a jego miejsce zajmuje Kwiecista Sukienka.

Uśmiecha się promiennie.

– To program, jaki udało się opracować. Nowi pracownicy robią się zbyt roztrzepani i zdekoncentrowani, więc musieliśmy znaleźć sposób, żeby... cóż... zmniejszyć ich wrażliwość. Rozważano początkowo wążanie kwasowego proszku, żeby wyłączyć nerwy odbierające zapachy w nozdrzach, ale to się nie przyjęło. Mój plan był bardziej humanitarny. – Skinieniem głowy wskazuje tył sali wykładowej.

Pomieszczenie przecina promień jarzeniowego światła. Nad głową Kwiecistej Sukienki pojawia się obraz. Widzimy wielką jak arena salę. Na obrzeżu stoją drewniane słupy. Z każdego zwisają grube skórzane rzemienie. Choć to tylko obraz na ekranie, wyczuwa się namacalną niemal grozę wiszącą w powietrzu, strach i gorycz wypełniające arenę.

Tam stanie się coś złego, myślę. Ścisną mi się wnętrzności, ogarnia mnie chłód.

Pomieszczenie wydaje się dziwnie znajome. Przeszukuję pamięć, próbując sobie...

I już sobie przypominam. Losowanie. Stary, wychudzony heper wyciągający kule z numerami. Transmisję puszczano właśnie z tamtej sali.

Kwecista Sukienka, wyczuwszy, że wszyscy są skupieni, robi dramatyczną pauzę. Pociąga się za ucho.

– Ta sala została przekształcona z pomieszczeń badawczych. Teraz pieszczotliwie nazywana jest Prezentatorium. Nazwa mówi wszystko. Właśnie tam zapoznacie się z waszym pierwszym żywym heperem. Z krwi i kości, na własne oczy.

Czerwonoustej wyrzywa się niskie warknięcie. Brzuchacz zaczyna pomrukiwać. Z sufitu ślina leje się teraz strugami.

– Uspokójcie się. Nie będzie jedzenia hepera. Przynajmniej nie dzisiaj. Nikt nie tknie go nawet kłębem czy palcem. Zapewnią to skórzane pętle, którymi zostaniecie przywiązani do słupów.

– Podnosi długą linijkę i wskazuje na ekranie okrągłą klapę, która bardzo przypomina właz. – Heper przejdzie tym włazem do pomieszczenia. Pojawi się dopiero wtedy, gdy będziecie bezpiecznie przywiązani do słupów. Przez około pięć minut będziecie mogli posłuchać, zobaczyć i powąchać hepera. Na razie nie będziecie mogli go dotknąć ani posmakować, rzecz jasna. Ale heper będzie wystarczająco blisko, żebyście poczuli jego zapach. Prawdziwy zapach, nie historyczne wyobrażenie. To pozwoli wam dojść do siebie. Prezentatorium doskonale sprawdziło się w przypadku nowych pracowników. Po takim spotkaniu nie byli już heper-dziewicami i heper-prawiczkami. Ich zdolność do koncentracji i niezwracania uwagi na słabą woń heperów bardzo się poprawiła. Sądzimy, że ten program przyda się również wam.

– Więc jednak w tym budynku jest heper! – rzuca Ponurak z głośnym oburzeniem. – To dlatego zapach jest tak silny!

– Jest tu jeden heper. I nie mogliście wyczuć jego zapachu. Heper pozostaje w swoich kwaterach. A te drzwi, które widzicie na zdjęciu, są wzmocnione stalą i zamykane od środka. Heper jest za nimi całkowicie bezpieczny. Był przez minione trzy lata. Na dodatek ten głuptysek ma tam dość zebranego jedzenia, żeby przetrwać nawet miesiąc.

– Ale jak go zachęcacie, żeby wszedł do Prezentatorium? Skąd mamy wiedzieć, że wyjdzie do nas?

Kwecista Sukienka drapie się po nadgarstku.

– Powiedzmy, że dajemy mu wybrane przysmaki, których nie może sobie odmówić. Owoce, warzywa, czekoladę. Zresztą ten heper wie, że nic mu nie grozi. Robił to wiele razy, przekonał się, że wszyscy są bezpiecznie przywiązani do słupów. O ile nie wyjdzie poza strefę bezpieczeństwa i nie zbliży się za bardzo do słupów, wszystko jest dobrze. Nikt go nie tknie. Może swobodnie zabrać tyle jedzenia, ile zechce.

– Czy to ten, który...

– Doprawdy – przerywa pytanie Kwecista Sukienka. – Chcecie zadawać pytania czy wolicie raczej ruszyć na dół, do Prezentatorium?

Sądząc po szybkości, z jaką gnamy do wyjścia, pytanie jest retoryczne.



Jesteśmy podnieceni jak dzieci na wycieczce do parku rozrywki. Dotarcie do areny zajmuje nam pięć minut, a raczej zejście pod drzwi pomieszczenia. Okazuje się, że pięć pięter nad ziemią to tylko wierzchołek przysłowiowej góry lodowej – bardzo ciemnej i zimnej góry lodowej. Pod ziemią znajduje się flotyła kondygnacji. Im głębiej schodzimy, tym robi się zimniej i ciemniej. Nie ma śladu, żeby ktokolwiek mieszkał, pracował na tych podziemnych poziomach czy choćby tu zaglądał. Zanurzamy się w głąbiny ziemi, a mnie ogarnia klaustrofobia.



Kiedy docieramy do najniższej kondygnacji, jestem wykończony. Kolana się pode mną uginają, a w głowie kręci się szaleńczo od wędrówki po spiralnych schodach. Nikt inny nie jest zmęczony, wręcz przeciwnie – łowców rozpira energia i wyczekiwanie. Rozmawiają radośnie, słysząc zgrzytanie zębów.

– Czy jest dość słupów, żebyśmy wszyscy mogli tam wejść? – pyta Ashley June.

Wszyscy przepychają się, aby znaleźć się jak najbliżej dwuskrzydłowych drzwi.

– Nie martwcie się – odpowiada Kwiecista Sukienka. – W środku jest dziesięć słupów.

A was tylko siedmioro. Słupy znajdują się w takiej samej odległości od środka, nikt nie zostanie pokrzywdzony. Jedzenie zostanie ustawione przed każdym ze słupów, więc każdy dostanie szansę, żeby zobaczyć hepera z bliska i na własne oczy.

Pomimo jej zapewnień wszyscy się przepychają. Na wszelki wypadek odsuwam się nieco na bok.

– Na co czekamy?

– Jeszcze tylko chwilka. Na górze trzeba wypełnić dokumenty. Zostaniemy powiadomieni, kiedy można wejść.

– Jak?

Kwecista Sukienka potrząsa głową.

– Zobaczycie.

– To naprawdę takie wspaniałe, jak powiedziała? – pyta Fizol swojego ochroniarza.

– Lepsze, niż mówiła. O wiele lepsze.

– Mogę go wyczuć! – stwierdza Brzuchacz. – O wiele mocniej niż wcześniej!

– Nonsens – napomina Kwecista Sukienka. – Heper nadal jest w swoich kwaterach.

Ale i ona wydaje się niepewna, nozdrza jej się rozszerzają i wilgotnieją.

– To ten sam zapach! Wyczuwaliśmy tego hepera cały czas!

Cofam się o dwa kroki, powoli odsuwam od grupy.

– Robi się z każdą sekundą wyraźniejszy. – Płynie więcej śliny, częściej słysząc trzaskanie karków.

Udaję, ale lepiej niech te drzwi szybko się otworzą, ponieważ czekamy w niewielkim przedsiönku, a w tak ciasnej przestrzeni bez wentylacji mój zapach czuć coraz mocniej.

Głowa Ponuraka zwraca się w moją stronę. Mężczyzna nie syczy, lecz pluje śliną. Jak głupiec krzyżuję z nim spojrzenie. Ponurak patrzy na mnie i powoli zaczyna do niego docierać prawda, mruga, mruga, mruga z coraz większym zrozumieniem...

I właśnie w tym momencie rozsuwają się dwuskrzydłowe drzwi, otaczają nas kłęby pary.

Okrzyki podniecenia towarzyszą naszemu wejściu do sali. Jest wielka, z wysokim, kopulastym sklepieniem, pylistym podłożem, okrągła jak stadion i bardzo szeroka. Zaskakuje mnie jej ogrom. Właz dla hepera znajduje się na ziemi, na samym środku areny. Wokół wznosi się dziesięć drewnianych słupów. Rozpraszamy się od razu, każde z nas biegnie jak dziecko, które wybrało sobie konia na karuzeli. Jak zapewniała Kwecista Sukienka, miejsc wystarczy dla

wszystkich, ale to nie chroni przed zamieszaniem. To przez przysmaki. Łowcy walczą o miejsca przy smakołykach, które ich zdaniem będą najbardziej atrakcyjne dla hepera. Pokazówka i Ashley June spięły się niczym kocice przy słupie obok kiści bananów.

– Byłam tu pierwsza! – warczy Ashley June.

– Ale ja już się przywiązałam – syczy w odpowiedzi Pokazówka. Zaciska pęta wokół swojej kostki. – Właśnie. Spętana. Nie mogę odejść, nawet gdybym chciała. A nie chcę.

Naprzeciw mnie Fizol i Czerwonousta sprzeczą się o słup za paroma kolbami kukurydzy. Zwracam uwagę na Ponuraka, którego oczy wbijają się we mnie i lśnią jak u nietoperza. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy, ale wyczuwam zmieszanie. Ponurak wciąż jeszcze próbuje odgadnąć, czy zapach hepera naprawdę pochodził ode mnie, czy mu się tylko wydawało. Wiem, że ogarniają go wątpliwości, im dłużej się zastanawia.

Ignoruję go, zajmuję się więzami. Do słupa przymocowane są cztery metalowe obręcze, które należy zacisnąć na kostkach i przegubach. Każdą obręcz łączy ze słupem mocny, gruby rzemień. Nawet związani nadal mamy sporą swobodę ruchów – prawie na długość ciała od słupa. O ile jednak heper nie przekroczy kręgu wyznaczonego przez przysmaki, pozostanie bezpieczny i poza naszym zasięgiem.

Wchodzi ochroniarz ze stoickim wyrazem twarzy i podają każdemu z nas okulary przeciwsłoneczne.

– Za chwilę zostanie zapalone światło – mruczy strażnik. – Żeby heper mógł widzieć.

Sprawdza nasze więzy. Najwięcej czasu spędza przy Ponuraku, którego pęta są zbyt luźne. Ponurak protestuje i unosi ramię. Kiedy to robi, koszula wysuwa mu się zza paska, więc mężczyzna szybko wciska ją na miejsce.

Ale nie dość szybko, żeby ukryć przede mną stłumione lśnienie przy pasku, zakrzywione i długie jak sztylet.

Na karku czuję nieprzyjemne mrowienie. Kiedy ochroniarz sprawdza moje więzy, na końcu języka mam ostrzeżenie, ale mężczyzna odchodzi, zanim zdążę się odezwać. Staje na środku areny i oznajmia:

– Witam w Prezentatorium, panie i panowie.

Na odchodnym tupie mocno trzy razy w okrągły właz. Rozlega się głęboki, tępy odgłos. Nad areną zapalają się jasne światła. Zakładamy okulary.

I czekamy.

Spod włazu zaczyna rozbrzmiewać mechaniczne skrzypienie, następnie seria automatycznych popiskiwań. Kłapa się unosi, tylko odrobinę. A potem równie szybko się zatrząskuje, wzbijając tuman kurzu. Łowcy przekrzywiają głowy. Właz otwiera się sekundę później, tym razem nieco szerzej. Wystarczająco, żeby dostrzec zarys głowy i parę oczu.

Łowcy rzucają się na hepera. Niemal równocześnie ciała odrywają się od ziemi w skoku, napinają i... uderzają w ziemię.

Właz ponownie się zatrząskuje.

W okamgnieniu wszyscy wstają i wyciągają się, na ile pozwalają im pęta. Wychylam się w swoich, szczerzę zęby i dziko potrząsam głową. Spadają mi okulary.

Mrugam. Oślepiają mnie światła areny. A potem zalewają mnie żywe, jaskrawe kolory. Widzę łowców z niezwykłą wyrazistością. To zwierzęta, bestie ogarnięte żądzą pożarcia hepera. Fizol i Czerwonousta uciekają się do rozdrapywania sobie szyi, na skórze pozostają białe, długie linie – ślady po paznokciach. Kłapią ustami, wydając niemal metaliczny trzask. Ostry, ciężki odgłos zębów uderzających o zęby wypełnia zatęchłe powietrze.

Kłapa unosi się jeszcze raz, podtrzymywana wyciągniętym ramieniem. Potem wychyla się głowa i heper się rozgląda. Wyraźnie przekonany, że nic mu nie grozi, wychodzi. Kłapę

zostawia otwartą – w razie czego szybciej będzie mógł uciec.

Na chwilę wszystko zamiera. Łowcy przestają się nawet ślinić, cichną trzaski kręgów przy gwałtownych ruchach głów, palców i kręgosłupów. Przyglądamy się heperowi z dziecinną ciekawością, jakbyśmy wcale nie pragnęli wyrwać i pożreć mu wnętrzności, wyssać krwi do ostatniej kropli. To ten sam heper, który wystąpił w telewizji, kruchy i stary. Mruga, przyglądając się stosom przysmaków porozkładanych na obwodzie strefy bezpieczeństwa.

I wtedy Ashley June wyrывa się przerażający wrzask pragnienia. W sekundę później wszyscy wyjemy i skamlamy.

Hepera nie wzrusza ta kakofonia. Podchodzi do jednego ze stosów przysmaków. Dwa bochenki chleba ułożone przed słupem z Czerwonoustą. Heper bierze chleb, odrywa kawałek, wkłada sobie do ust. Bierze kolejny bochenek, wrzuca go bez wysiłku do włazu. Nawet nie raczy zerknąć na syczącą Czerwonoustą. Porusza się z wprawą, jak zawodowiec – robił to już wcześniej. Podchodzi do kolejnego stosiku, tym razem butelek z wodą. Otwiera jedną, przechyla i pije. Ale nie zwleka. Zbiera resztę butelek i niesie je w zagięciu ramienia, po czym wrzuca do włazu. A potem podchodzi do następnego stosiku. Pomimo rozbrzmiewających wokół warknięć i wrzasków heper nawet nie podnosi głowy. Na spokojnie zajmuje się własnymi sprawami.

Heper mija teraz notatniki przed Ponurakiem w drodze do słodczy. Dostrzegam błysk u pasa Ponuraka. Sztylet. Ponurak właśnie go wyciąga. Białe żyły na jego kościstej ręce nabrzmiwiają, gdy zaczyna przecinać rzemienne pęta. Wie, że musi działać szybko, heper przecież nie rozłożył koca i nie zaczął pikniku na środku kręgu z przywiązanych łowców. Zamierzał po prostu wrzucić całe jedzenie i picie oraz notesy do swojej kryjówki, po czym zniknąć za bezpiecznym włazem. Za minutę już go nie będzie. Przez arenę przetacza się wściekłość, eksplozja frustracji i poczucie, że to oszustwo. Ashley June znowu wydaje mrozący krew w żyłach wrzask. Napina się w pętach, desperacja wzmacnia jej pragnienie.

Ponurak atakuje więzy z dodatkową energią. Naciąga lewą rękę, podczas gdy prawą piłuje rzemień. I tak po prostu rzemień pęka. Ponurak patrzy na zerwaną skórę jak głupi. A potem dociera do niego, co się stało, i widzę, jak jego ciało się prostuje. Fantazja zmienia się w mroczną rzeczywistość. Ponurak pochyla się, żeby uwolnić z więzów nogi, jego prawa ręka rozmazuje się w szybkich jak błyskawica ruchach.

Heper nie ma pojęcia, co się dzieje. Stoi nad stosem słodczy. Nieświadomy, co się dzieje za jego plecami, rozpakowuje lizaka i zaczyna ssać.

Ponurak przeciął już rzemień krępujące obie nogi. Zmienia rękę, zaczyna piłować ostatnie pęta na prawej dłoni.

Heper nieruchomieje, unosi głowę jak pies, który złapał trop.

A potem pochyla się i podnosi batonik.

Ostatni rzemień sprawia nieco trudności Ponurakowi. Może w podnieceniu nie potrafi się skupić albo nie przywykł do używania lewej ręki. Jest wolniejszy, a to go denerwuje. Z tej frustracji wydaje tak przenikliwy wrzask, że prawie pękają mi bębenki w uszach.

Heper krzywi się, a potem odwraca. Dostrzega Ponuraka i przecięte więzy. Od razu pojmuje sytuację. W okamgnieniu zrywa się, porzuca słodczy i pędzi do włazu. Przebiera szybko nogami. Pięć kroków i będzie bezpieczny.

Ale w tej samej chwili Ponurak przecina ostatni rzemień. Wyrывa się. Znajduje się dwadzieścia kroków od włazu. Heperowi zostały trzy kroki.

Zanim jednak zrobi choć jeden, zostaje przywalony ciężarem Ponuraka.

Przetaczają się w kurz, impet zderzenia rzuca ich parę jardów dalej. Rozdzielają się na krótko – heper zrywa się na równe nogi i skacze do włazu.

Ponurak przecina mu drogę, posyła na ziemię. Heper drapie o podłogę jak umykający

krab, Ponurak przysiada na nim. Obaj są podobnych rozmiarów, ale siły bynajmniej nie są wyrównane. Ani trochę. Palce Ponuraka wbijają się w plecy zdobyczy, krew rozlewa się po koszuli hepera.

Widok krwi hepera tak blisko, jej zapach wypełniający powietrze sprawiają, że pozostali łowcy wpadają w hiperdelirium. Wrzaski rozdzierają mi uszy, niemal je rozrywają.

Tylko nie zasłaniać uszu! Byle nie zasłonić uszu! Byle nie zasłonić uszu!

Więc robię to, co mogę – unoszę głowę, spoglądam w sufit i krzyczę. Mój wrzask tonie w krzykach pozostałych. Ale przez chwilę słyszę tylko własny krzyk, który zagłusza podobne do wycia szakali lub hien wrzaski wokół mnie. Tylko tego pragnę. Żeby choć na chwilę uwolnić się od ich krzyków.

I wtedy po raz pierwszy heper wydaje głos. Tak inny od wrzasków pragnienia i głodu, jakie dotąd rozbrzmiewały w pomieszczeniu. To krzyk grozy i skrywanej rezygnacji. Rezonuje we mnie. Wzmaga to, co żyło we mnie skrywane od lat.

Słyszę trzask miażdżonej kości. Ponurak złamał heperowi nogę. Bawi się ze zdobyczą jak kot ze zranioną myszą, nie śpieszy się. I robi to także, aby drażnić pozostałych łowców, pokazując im nagrodę, która znajduje się tak blisko, ale poza naszym zasięgiem, nie jego. Heper pełźnie teraz na obu rękach i jednej nodze, ciągnie w kurzu tę złamaną. W jego oczach widać deliryczne i niewyobrażalne cierpienie.

– Rzuć mi nóż – krzyczy Pokazówka. Patrzy na Czerwonoustą, której udało się chwycić porzucony przez Ponuraka sztylet. Kończyny Czerwonoustej rozmazują się, dopiero teraz reszta zauważa, że łowczyni tnie rzemienie.

– Rzuć mi nóż!

– Nóż! Słuchaj mnie, rzuć mi nóż! – krzyczy ktoś jeszcze.

Ponurak unosi głowę, orientuje się w sytuacji. Nie ma już czasu na igraszki. Za parę sekund Czerwonousta uwolni się z więzów i ruszy na hepera. Z okrzykiem wściekłości Ponurak doskakuje i zatapia kły w karku swojej ofiary. Czerwonousta rozcina czwarty rzemień. Zanim jeszcze skóra opadnie, łowczyni już obraca się i rzuca na hepera jak kot. Źle wycelowwała, zwała z nóg Ponuraka i oboje przetaczają się i oddalają od nagle uwolnionego hepera.

Heper dźwiga się na ręce i nogi, krew spływa mu na plecy. Szaleńczo próbuje znaleźć właz. Jego oczy to studnie gorączkowego przerażenia i bólu. Heper jest zdezorientowany, oślepiiony spływającą mu z czoła krwią. W tym stanie pomieszania zmysłów idzie prosto na mnie. Czerwonousta i Ponurak już zrywają się na równe nogi, gnają do hepera. Spadają na niego dokładnie w tej samej chwili i przewracają. Prosto na mnie.

Głowa hepera uderza mnie w ramię, potem opada na mnie reszta ciała. Dziwne, ale heper mnie obejmuje, jego ramiona zaciskają się na mojej talii. Instynktownie zamykam go w objęciach. Trzymam go w pionie, a Czerwonousta i Ponurak stoją tuż za jego plecami, wbijają mu paznokcie w skórę, obnażają zęby. Zaraz uderzą.

Heper podnosi głowę i przez krótką, pełną grozy chwilę nasze spojrzenia się krzyżują. Nigdy nie dowiem się, dlaczego wtedy szerzej otworzył oczy. Może stało się tak przez ból, który szarpnął jego ciałem. Albo wtedy właśnie mnie rozpoznał. Innego hepera.



Kiedy w końcu jest po wszystkim, łowcy zostają uwolnieni. Ktoś z personelu z surową powagą nakazuje nam wrócić do swoich pokoi na resztę nocy. Wtedy nie ma już prawie śladu po heperze, poza jego poszarpanym ubraniem. Krew hepera została wylizana z miejsc, gdzie się rozprysła. Nawet brud na podłożu, gdzie zakrzepły czerwone krople, został wykopany, włożony

do ust, przeżuty i wyssany.

Mój ochroniarz czeka przed Prezentatorium.

– Idź i zmień ubranie – rzuca, a nozdrza mu drgają. – Czuć od ciebie hepera.



Właśnie tego mi trzeba, otwartej przestrzeni Bezkresu. Po przejściu niezliczonych schodów, wlokąc się z dala od pozostałych, w końcu docieram na parter. Łowcy ruszają na górę, do swoich kwater, a ja wychodzę na ceglana ścieżkę, pod otwarte niebo pełne gwiazd. Wiatr ze wschodu targa ubraniami i mierzwi mi włosy. Kuśtykam do biblioteki wdzięczny, że mogę być sam. Piasek i kurz uderzają mnie w twarz, ale ledwie to zauważam.

W połowie drogi osuwam się na ziemię.

Jestem tak wyprany z sił, że nie mogę wstać. Opieram czoło na ceglach ścieżki. To przez brak wody. Mój mózg przypomina pewnie wysuszoną, gorzką śliwkę. Ogarnia mnie szarość.



Parę minut później – a może godzin? – dochodzę do siebie. Czuję się lepiej, wróciły mi siły. Niebo jest mniej ciemne, ubyło gwiazd. Widzę wszystko wyraźniej. Zerkam na budynek instytutu. Nikt mnie nie zauważył.



Chociaż wiem, że to bezcelowe, ponownie przeszukuję bibliotekę w nadziei, że znajdę coś do picia. Pół godziny później opadam na fotel z uczuciem, że ciało mam wyschnięte na wiór – zero wody w organizmie. Serce mi łomocze, jakby nie godziło się na pragnienie. Wiedziałem, że znalazłem się w naprawdę rozpaczliwej sytuacji. Nie przetrwam kolejnej nocy. A jeżeli nie pojawię się po zachodzie słońca, eskorta, która po mnie przyjdzie, znajdzie mnie bezwładnego na podłodze. I to będzie koniec.

Metaliczny brzęk niesie się po bibliotece, potem mechaniczne chrobotanie. Okiennice opadają, a wraz z nimi moje powieki. W mroku robi się zimniej. Czuję w nozdrzach swój zapach, obrzydliwą woń hepera. Unoszę ramiona, wacham się pod pachami. Cuchnę. Jutro, gdy słońce skryje się za widnokregiem, a na niebie zabłyśnie księżyc, będę martwy.

Będę martwym heperem.



Wspomnienia śmierci starego hepera wypełniają moje sny – gorączkowe i powtarzające się wizje, w których krzyki są głośniejsze, barwy wyrazistsze. W koszmarach heper rzuca mi się w ramiona, jego krew spływa mi po policzkach. Czuję pragnienie, więc wysuwam ostrożnie sparciały język i zlizuję czerwone krople. Wysysam krew, która zwilża mi usta jak krystaliczna woda z górskiego strumienia, spływa do suchego gardła i napędza moje wysuszone ciało siłą. Gdy po członkach rozlewa mi się ciepło, heper krzyczy głośnie. I wtedy dociera do mnie, że to nie heper wrzeszczy, lecz pozostali łowcy, przywiązani nadal do słupów. Wyciągają do mnie szpony, wyją, gdy pochylam się nad martwym heperem w moich ramionach. Jego skóra jest ziemista i sina.

Budzę się z drżeniem, pod powiekami czuję drapiący piasek.

Nie minęło jeszcze południe. Promień słońca znowu przecina bibliotekę, świecąca linia łączy okno i ścianę. Wydaje się jaśniejsza i grubsza niż poprzednim razem.

Jestem zbyt zmęczony, aby zrobić coś więcej poza bezmyślnym patrzeniem. Myśli mam rozproszone, nieskładne i splątane. Na nic więcej nie mam sił, więc tylko przyglądam się tępo promieniowi światła. Trwa to minuty, może godziny... Wraz z mijającym czasem świetliste pasmo nieznacznie się przesuwa, zmienia się jego kąt padania na ścianę biblioteki.

I wtedy dzieje się coś naprawdę intrygującego. Przesuwający się promień odbija się i kieruje na ścianę obok. W pierwszej chwili mam wrażenie, że to wyobraźnia płata mi figle. Mrugam. Promień nadal tam jest, odbity, choć mniej wyraźny.

Tyle wystarczy, aby skłonić mnie do porzucenia wygodnego siedziska. Podchodzę do najdalszej ściany, bolące kolana trzeszczą i kłują przy każdym ruchu, jakby stawy ocierały się o beton. Na ścianie wisi lusterko, nie większe od mojej dłoni. Jest nieco odchylone, żeby odbijało promień słońca pod kątem.

Kiedy podchodzę do ściany po prawej, na którą pada odbita wiązka światła, sytuacja się powtarza. Promień znowu zostaje odbity i teraz trzy linie przecinają pomieszczenie. Ten trzeci promień jest słaby i trwa tylko przez chwilę – robi się jaśniejszy, ale po najwyżej dziesięciu sekundach zaczyna niknąć. Pędzę do miejsca, na które pada światło. To grzbiet książki. Wyjmuję ją z półki. Dotykam ciepłej, gładkiej i nieco zniszczonej oprawy. Wracam w pobliże światła padającego z otworu w okiennicach. Drugi odbity promień również zaczyna znikać. Unoszę tom do światła, otwieram i zerkam na stronę tytułową.

Wielkie Łowy – głosi tytuł.

Wiele księżyców temu w populacji heperów – w dawniejszych epokach, jak głoszą niepotwierdzone i niewiarygodne teorie, dominującej na ziemi – liczebność niebezpiecznie spadła. Z Pałacowego Rozkazu nr 56 heperzy zostali odizolowani i umieszczeni w nowo wybudowanym Instytucie Badań Heperystycznych. Aby uspokoić niezadowolone społeczeństwo, zdecydowano, że pełnoprawni obywatele będą losowo wybierani do wzięcia udziału w corocznych Wielkich Łowach na heperów. Okazało się to niepodważalnym sukcesem.

Pierwsze oznaki korupcji dało się zauważyć, gdy spadła liczba heperów podczas corocznych łowów. Zwyczajowo liczba ta wahała się między dwudziestoma a dwudziestoma pięcioma heperami, wkrótce jednak było ich najwyżej piętnastu. Potem wypuszczano już tylko dziesięciu heperów, wreszcie siedmiu, aż pewnej nocy tylko paru. Wówczas Pałac ogłosił, że nie ma więcej heperów przetrzymywanych w Instytucie Badań Heperystycznych.

A jednak... Krążyły pogłoski o utrzymywanych w sekrecie wyprawach łowieckich, tajnych spotkaniach w Instytucie Badań Heperystycznych, zarezerwowanych tylko dla najwyższych rangą urzędników pałacowych, o konwojach powozów udających się do instytutu we wczesnych godzinach po zachodzie słońca, o dziwnych jękach i wyciu niosących się po Bezkresie. Pogłoski krążyły i powtarzały się coraz częściej, głosząc, że korupcja sięgnęła szczytu, najwyższych kręgów władzy.

Lecz po paru latach plotki ucichły.

W jedenastym dniu szóstego miesiąca czwartego roku panowania Władcy XVIII ogłoszono, że heperzy wyginęli.

Oprawa dziennika zrobiona jest z czarnej jagnięcej skóry z drobnymi pęknięciami. Jest jednak gładka, choć uszkodzona, przymocowana dodatkowym szyciem. Karty mają srebrzyste, lśniące krawędzie, są porozginane tak, że łatwo je można otwierać i obracać. Tysiące stron zapisanych ręcznie, starannym i czytelnym charakterem pisma. Ale nie zawierają nic nowego. I wbrew tytułowi niewiele wnoszą do mojej wiedzy o Wielkich Łowach. Znajduje się tu tylko krótka historia łowów opisana na pierwszych stronach, potem temat jest zarzucony, jakby autor

stracił zainteresowanie. Na pozostałych kartach odkrywam ręcznie przepisane i wtórne materiały z tysiąca książek w bibliotece. Długie listy genealogii, starożytne poematy, dobrze znane baśnie. Nawet szczegółowe diagramy, których przerysowanie musiało zająć wiele dni.

Szalony naukowiec. Z pewnością to właśnie on jest autorem dziennika. Ale dlaczego spędził tysiące godzin na niepotrzebnym wypełnianiu kart tymi bredniami, pozostaje zagadką. Przypominam sobie, czego się o nim dowiedziałem – że był niespełna rozumu i zniknął w tajemniczych okolicznościach.

I jeszcze ten promień światła, który błędnie właśnie przed nadchodzącym zmierzchem. Dlaczego naukowiec poświęcił tyle pracy, aby stworzyć ten dziennik? Dziennik miał zostać znaleziony, to nie ulega wątpliwości, ale o wiele mniej oczywiste jest, kto i dlaczego miałby go szukać.

Już mam zamknąć dziennik, gdy dostrzegam w środku pustą stronę. Co za dziwne przeoczenie. Setka kart wcześniej i drugie tyle dalej są zapisane od góry do dołu, jednak ta strona pozostaje czysta. Nawet jednej kropki, żadnego znaku. Jej biel niemal krzyczy. Ostatnie zdanie na wcześniejszej stronie urywa się w połowie i jest dokończony na następnej po tej pustej. Pukam w grzbiet książki, zaskoczony i zmieszany. Podobnie jak odbity promień światła, który naprowadził mnie na dziennik, tak i ta karta wydaje się celową wskazówką, która ma przyciągnąć moją uwagę. Ale choć przyglądam jej się dokładnie, nie potrafię się domyślić, co powinienem wywnioskować z tej białej strony.

Opadam zmęczony na fotel. Pomieszczenie mnie przytłacza. Masuję sobie kark, pod palcami wyczuwam zaschnięty pot i kurz. Nie muszę nawet podnosić ręki, żeby wyczuć smród, który wydzielam.

Odkryje mnie z pewnością ochroniarz. Kiedy przyjdzie po zachodzie słońca, wyczuje mój zapach wydobywający się przez szczeliny pod drzwiami. Pogna pewnie do okna, żeby zajrzeć do biblioteki – okiennice będą już otwarte. Ochroniarz zobaczy mnie w fotelu, ponurego i zmęczonego. Mój tors będzie się unosił i opadał, oddech będę miał ciężki, oczy wytrzeszczone – ponieważ choć zrezygnowany, będę także przerażony. Ochroniarz dostrzeże na mojej twarzy fale emocji. I wtedy zrozumie. Nie wezwie innych. Zachowa mnie tylko dla siebie. W skoku rozbije szybę – tak kruchą przy jego pragnieniu – i zanim jeszcze opadną odłamki, rzuci się na mnie. I pożre, rozerwie mnie kłami i paznokciami w okamgnieniu...

I wtedy doznaję olśnienia.



Oślepiająca jasność otwartej przestrzeni jest jak kwas wypalający mi oczy. Pozwalam, aby światło przesączało mi się przez powieki, uchylam je na krótko, nim się przyzwyczaję. Wreszcie mogę patrzeć bez nieustannego mrugania, a potem bez mrużenia powiek.

To czas przed zmierzchem, gdy słońce zaczyna chylić się nad horyzontem. Nie jest to spokojne zejście – słońce przesyca niebo czerwienią, a pustynię feerią odcieni oranżu i purpury. Bez kopuły nad osadą heperów lepianki wydają się obnażone i nieważne jak kamyki wśród bezkresnej równiny. Wkrótce czujniki światła wykryją zbliżenie się nocy i szklana ściana podniesie się z ziemi, aby oddzielić heperów od niebezpiecznej reszty świata. Muszę się pośpieszyć.

Między lepiankami widać lśnienie jakby tysiąca diamentów migoczących w blasku zachodzącego słońca. Staw. Miałem go przed oczyma przez cały czas, podczas gdy dręczyło mnie pragnienie i wydzielający się zapach potu. Jak mogłem być tak ślepy? Mnóstwo wody do picia i mycia w zasięgu ręki. Jedyne zagrożenie stanowili oczywiście heperzy, którzy mogliby nie

przyjąć życzliwie intruza. Będą, rzecz jasna, zaskoczeni i zdumieni pojawieniem się obcego, który jest odporny na światło słoneczne. Ale wiem, jak sobie z nimi poradzić. Wyszczerezę kły, poruszę głową, trzasnę stawami – przecież jestem mistrzem kamuflażu. Pewnie umkną na cztery wiatry.

Pełen energii brnę do osady heperów. Stopniowo lepianki stają się bardziej wyraźne i większe. A potem dostrzegam heperów, grupkę patykowatych postaci poruszających się powoli nad brzegiem stawu, zatrzymujących się, po czym idących dalej. Ich widok zarówno mnie podnieca, jak i niepokoi. Jest ich piątka. Jeszcze mnie nie zauważyli – i nic dziwnego, przecież nikt nie zbliżał się do nich przed zachodem słońca.

Dostrzegają mnie, dopiero gdy jestem jakieś sto jardów od osady. Jeden z heperów, który kucał przy stawie, zrywa się i wyciąga rękę, wskazując na mnie palcem. Pozostali odwracają się szybko i wbijają we mnie wzrok. A potem reagują, pędzą do lepianek. Widzę, jak zamykają się okna, zatraskują drzwi. W pośpiechu porzucili garnki i wiadra. Na to właśnie liczyłem.

Żadnego ruchu. Ani jednej otwartej okiennicy czy uchylonych drzwi. Zaczynam biec, wysuszone kości klekoczą mi pod skórą, a przynajmniej mam takie wrażenie, bo słyszę trzask przy każdym kroku. Nawet nie próbuję oderwać oczu od stawu, jakbym chciał wzrokiem przyciągnąć wiadro i napić się jak najszybciej. Jestem coraz bliżej, zostało mi pięćdziesiąt jardów.

Drzwi jednej z lepianek otwierają się.

Heperka, ta heperka, wychodzi. Na jej twarzy maluje się gniew, ale też strach. W prawej dłoni ściska włócznię. Na biodrach nosi luźny, szeroki pas z ciemnej, niewyprawionej skóry. Wystaje z niego rząd śmiertelnie groźnych sztyletów o dziwnie zakrzywionych klingach.

Unoszę otwarte ręce. Nie jestem pewien, na ile heperka mnie zrozumie, więc używam prostych słów.

– Nie chcę cię skrzywdzić! Nie chcę krzywdzić! – próbuję zawołać, ale udaje mi się tylko dobyć ochrypty, nieartykułowany charkot. Próbuję jeszcze raz, ale brakuje mi śliny, żeby zwilżyć gardło.

Zachodzące słońce za moimi plecami maluje osadę heperów kolorami jak z malarskiej palety. Poprzedzający mnie cień, długi i nienaturalnie smukły, sięga guzowatymi palcami do heperki. Pewnie widzi tylko moją niewyraźną sylwetkę. Nie, nie tylko. Jestem wrogiem, drapieżnikiem, łowcą – dlatego właśnie pozostali uciekli. Ale jestem też kimś więcej – zagadką. Zaskakującymi przeciwieństwami, ponieważ choć świeci słońce, nadal żyję. I właśnie dlatego heperka nie uciekła, lecz stoi przede mną zaskoczona, ale i zaciekawiona.

Nie na długo jednak. Z pierwotnym okrzykiem rusza na mnie, napięta, z odchylonym w tył ramieniem. Wypycha je naprzód z gwałtowną siłą.

Nie od razu do mnie dociera, co się dzieje. A gdy dociera, jest już za późno. Słyszę świst, gdy włócznia przecina powietrze, widzę nawet drewniany pręt wibrujący lekko podczas lotu w moją stronę. Prosto we mnie. Mam jednak szczęście. Nie próbuję zrobić uniku – nie ma czasu – ale broń przelatuje tuż między moją głową a lewym ramieniem. Słyszę i czuję podmuch powietrza, gdy mija mnie o włos.

A potem heperka sięga do swojego pasa z nożami. W ułamku sekundy dobywa sztylet i rzuca, unosząc rękę. Ostrze błyska w słońcu. Ale daleko. O wiele za daleko. Sztylet nawet mnie nie draśnię, jest o mile ode mnie.

Głupcy, myślę. Ci heperzy to tylko głupie...

Ale wtedy sztylet zaczyna skręcać w moją stronę jak bumerang. Ostrze migocze złośliwie, gdy się zbliża. Jakby mrugało porozumiewawczo i ironicznie. I zanim się obejrzę, już leci na mnie, prosto na mnie. Rzucam się w prawo, uderzam o ziemię. Sztylet śwista nad moją

głową i brzęczy niczym zwolniona cięciwa łuku. Niezgrabny upadek pozbawił mnie tchu. Ziemia jest twarda pomimo warstwy żwiru i pyłu.

Ta heperka – dobrze wiedziała, co robi. To nie jest na pokaz. Naprawdę chce mnie dopaść, może nawet zabić.

Zrywam się z uniesionymi rękoma i wyraziście rozcapierzonymi palcami. Heperka sięga już do skórzanego pasa, gdzie przywiązane są jeszcze trzy sztylety – jak ogary niestrudzenie ciągnące smycze. W okamgnieniu heperka wyjęła nóż i cofnęła ramię. Do kolejnego rzutu. Tym razem nie chybi.

– Przestań! Proszę! – krzyczę i nareszcie udaje mi się wymówić wyraźnie słowa. Heperka zatrzymuje się w pół ruchu.

Nie tracę czasu. Ruszam do niej, zdejmując koszulę. Musi zobaczyć moją skórę, słońce na skórze, przekonać się, że nie stanowią zagrożenia. Zrzucam ubranie. Jestem na tyle blisko, żeby dostrzec, jak jej spojrzenie podąża za odrzuconą koszulą, a potem wraca do mnie.

Mruży oczy. Zatrzymuję się. Nigdy nie widziałem nikogo, kto mruży oczy. To takie... *ekspresywne*. Cień skrywający się pod opuszczonymi powiekami, zmarszczki w kącikach oczu jak delta, ściągnięte razem brwi, nawet usta zamarłe w grymasie zaskoczenia. To dziwny wyraz twarzy, ale też ładny. Heperka znowu unosi ramię, ostrze błyska w słońcu.

– Czekaj! – krzyczę, choć głos rwie mi się ochryple. Heperka zamiera, jej palce bieleją, gdy mocniej zaciska je na broni. Rozpinam spodnie, zdejmuję. Buty, skarpety również. Zostałem tylko w majtkach.

Staję tak przed heperką, a potem powoli ruszam naprzód.

– Woda. – Wskazuję na staw. – Wody.

Gestem pokazuję, że chcę się napić.

Heperka mierzy mnie od stóp do głów spojrzeniem, niepewna i podejrzliwa, a przez jej twarz przetaczają się emocje – pierwotne i wyraziste.

Nie spuszczając jej z oka, mijam heperkę szerokim łukiem i podchodzę do stawu. Bardziej przypomina basen pływacki przez metalowe bandy i doskonały kształt koła. Klękam odruchowo i zanurzam złożone dłonie. Woda, gdy spływa mi do gardła, jest niebiańsko chłodna i mokra, koi moje wysuszone i piekielnie rozpalone wnętrza. Sięgam znowu do basenu, ale zaraz porzucam maniery. Wkładam głowę pod powierzchnię i piję boski, zimny nektar, wilgotne fale obmywają mi uszy.

Prostuję się, by złapać oddech. Heperka się nie ruszyła, a zdumienie i zmieszanie jeszcze wyraźniej odbijają się na jej twarzy. Ale nie ma już gniewu. Przynajmniej jeszcze nie. Zanurzam znowu głowę pod wodę, tym razem po szyję. Moje wysuszone włosy wciągają wilgoć jak gąbka. Pory na karku początkowo mi się zamykają, ale zaraz rozchylają pod tą akwanautyczną pieszczotą.

Kiedy prostuję się, żeby nabrać powietrza, heperka zdążyła podejść bliżej. Kucnęła na brzegu, z dłońmi na kolanach jak małpa. Skojarzenie. Heperka nadal trzyma sztylet wiszący u pasa, ale o wiele mniej kurczowo.

Woda pomaga mi niemal natychmiast. Synapsy w moim mózgu znowu zaczynają iskrzyć, zanika wrażenie, że umysł mam jak z waty, czuję się jak dobrze naoliwiona maszyna. Zaczyna do mnie docierać, w jakiej znalazłem się sytuacji. Przede wszystkim że zmierzch niedługo zmieni się w noc. I bardzo niedługo – za parę minut – kopuła zacznie się wysuwać spod ziemi.

Ściągam majtki i skaczę do basenu.

Początkowo woda jest przytłaczająca, zimno zapiera mi dech w piersi. Ale nie ma czasu do stracenia. Pozwalam, by moje ciało zanurzyło się głębiej, chociaż lodowaty chłód to wstrząs dla organizmu. Woda, nawet w stłumionym świetle zmierzchu, jest zaskakująco przejrzysta.

Mogę stanąć. Dno opada łagodnie, gładkie i metalowe pod stopami. Nie zwlekam. Myję się szybko – twarz, pachy, wszystkie zagięcia i zakamarki skóry. Szoruję się mocno. Zginam palce i przeczesuję mokre włosy, starając się pozbyć brudu jak najszybciej i jak najdokładniej.

I wtedy to czuję. Niską wibrację z dna basenu, początkowo słabą, ale wzbierającą z każdą chwilą.

Heperka wstaje. Spogląda na skraj osady, a potem na mnie. Rozumiem od razu. Kopuła zaraz zacznie się zamykać. Muszę czym prędzej odejść.

Wyskakuję z basenu, rozpryskując wodę udami i kolanami, po czym rzucam się do biegu.

Wibracje zmieniły się już w głęboki pomruk, który wstrząsa ziemią. Potem trzask i pomruk rośnie do głośnego jęku. Taflę szkła unoszą się spod ziemi, otaczają mnie.

Kopuła zamyka się szybciej, niż się spodziewałem. O wiele za szybko. Jej części są na wysokości kostek, a po paru sekundach sięgają mi kolan. Pędzę do wznoszącego się fragmentu ściany, skaczę, gdy dzielą mnie od niej jeszcze jardy. Dłonie zaciskam na krawędzi taflę, z trudem znajduję oparcie na gładkiej powierzchni. Przebieram nogami i kopię, żeby się przetrzucić na drugą stronę, nawet jeżeli osłona wciąż się unosi. Ale szkło jest gładkie i śliskie od spływającej ze mnie wody. Utrzymuję się z trudem. Jeżeli spadnę, nie zdołam się wspiąć ponownie. I znajdę się w pułapce.

Zamykam oczy, krzyczę w duchu, a potem robię zamach. Sięgam na drugą stronę, na zewnętrzną powierzchnię szklanej taflę. Teraz jest trochę łatwiej. Wciągam się, przetaczam na zewnątrz i spadam po drugiej stronie bariery.

To nie jest elegancki upadek. Ląduję na boku, ból mnie oślepia. Tafla jest już dwa razy wyższa ode mnie i nadal się wznosi.

Heperka stoi przy basenie. Podnosi moje majtki, jakby chciała się lepiej im przyjrzeć. Marszczy nos – heperzy marszczą nosy, czyli unoszą mięśnie twarzy przy nosie – z lekką odrazą. I przez jej twarz przemyka jeszcze jedno uczucie, niuans. Nie tylko odraza, ale i cień czegoś jeszcze – śmiechu? Nie, to za mocne. Cień uśmiechu czający się w kącikach ust, ledwie dostrzegalny. Jakby uśmiech nie miał dość siły, aby się przebić na twarz.

Heperka nabija majtki na jeden ze swoich sztyletów. Zerka na mnie, po czym rzuca. Nóż tnie powietrze, moje majtki powiewają jak flaga i muskają krawędź zamykającej się kopuły. Sztylet ląduje parę jardów ode mnie, przyszpilając majtki jak upolowaną zdobycz.

Kopuła zamyka się zaskakująco cicho.

Ściągam majtki z noża. Rzeczywiście śmierdzą. Teraz gdy się umyłem, czuję wyraźny smród. I wtedy robię coś, czego nigdy wcześniej się nie odważyłem – marszczę nos. Tylko trochę, żeby sprawdzić, jak to jest. Na mojej twarzy wydaje się to wymuszone, jakbym sztucznie rozszerzał sobie nozdrza.

Heperka podchodzi do szklanej ściany. Nie widzę jej już wyraźnie, fioletowe niebo odbija się w taflę kopuły. Podchodzę bliżej, aż stajemy oddaleni tylko o parę jardów, rozdzieleni szkłem. Heperka stoi blisko, jej oddech paruje na przezroczystą taflę. Mały, mglisty owal pojawia się i znika.

Na jej twarzy widzę strach, a także gniew i ciekawość. I coś jeszcze. Gdy spoglądam w jej oczy, nie napotykam plastikowej, lśniącej pustki, do jakiej przywykłem od dziecka. Widzę coś innego. W oczach heperki tańczą iskry jak płatki śniegu w szklanej kuli.

Odwracam się i odchodzę. Po drodze szybko zakładam slipy. Zerka jeszcze za siebie, aby po raz ostatni zobaczyć kopułę. Heperka nie drgnęła. Stoi nieruchomo i tylko patrzy.

Zakupione w nexto: 1729277

Dwie noce do polowania

Wydarzenia z zeszłej nocy w Prezentatorium – mówi dyrektor instytutu – były nieco agresywne.

Siedzimy w sali wykładowej po szybkim, posępnym śniadaniu. Ponurak i Czerwonousta wiercili się nerwowo przy osobnym stole, reszta trzymała się od nich z daleka. Sądząc po wyglądzie samotnej pary, żadne nie spało. Niezręczna cisza wisiała w powietrzu, nad stołami i krzesłami, nad krwistymi daniami, niczym kwaśna mgła. Na dodatek jadalnia była bardziej pusta niż zwykle, rzucał się w oczy brak naszej eskorty. Prawie spodziewaliśmy się, że mundurowi wkroczą podczas posiłku i wyprowadzą Ponuraka z Czerwonoustą. Nic takiego nie nastąpiło. Co chyba sprawiało, że oboje poczuli się swobodniej, gdy ruszaliśmy po śniadaniu do sali wykładowej.

Ja także czuję ulgę, lecz z innych powodów – już nie śmierdzę. A przynajmniej nie wydzielam woni, która przyciągałaby uwagę. Zdaje się, że pośpieszne szorowanie w basenie pomogło, nikt nie wygląda na zaniepokojonego zapachem. Albo po zabiciu jednego hepera łowcy przestali być wrażliwi na mniej intensywnej woń innego. Tak czy siak – wygrałem.

Dyrektor stoi za katedrą, gdy przemawia. Jeżeli nawet wzbiera w nim gniew, dobrze to ukrywa pod swoją precyzyjną i aseptyczną artykulacją. Nie unosi brwi, nie potrząsa głową. Mówi beznamiętnie i bez zainteresowania, jak ktoś, kto czyta prognozę pogody. Jego gładki głos i spokój tnie jak brzytwa ciszę pomieszczenia.

– Mielicie swoją zabawę. Ale konsekwencje... Ponieważ są konsekwencje waszego uczynku. – Jego spojrzenie nawet nie zbliża się do Ponuraka i Czerwonoustej, którzy siedzą teraz wyjątkowo sztywno na swoich krzesłach. – W społeczeństwie granice są ustalone. Polowanie i zabicie hepera bez zezwolenia to największa zbrodnia. Zabija się i zostaje się zabitym. Jednak wczorajsze zabójstwo nie było, powiedzmy *technicznie*, nielegalne. Stanowiło część szkolenia do Wielkich Łowów ogłoszonych przez Pałac. Podpada zatem pod przepisy prawne dotyczące łowów.

Dostrzegam, że Ponurak i Czerwonousta nieco się rozluźniają.

– Ale są konsekwencje. Heper, choćby nawet stary i wychudzony, został zabity. Znikł i więcej nie wróci. Stracone zostały lata badań i odkryć. Nie można zatem jego śmierci pominąć milczeniem. Zbrodnia przeciwko heperowi to zbrodnia przeciwko Pałacowi. Dlatego ten straszliwy uczynek pociąga za sobą konsekwencje. Zbrodnia musi zostać ukarana.

Ponurak i Czerwonousta znowu sztywnieją na swoich miejscach.

– Oczywiście... – Dyrektor zwraca na nich wzrok. – Wam nic nie grozi.

Głowy obojga przechylają się na ramię.

– Zbyt wiele w was zainwestowaliśmy. Wydalenie was i szukanie tak późno zastępstwa do gry, zaledwie dwie noce od Wielkich Łowów, nie wchodzi w rachubę. – Głos dyrektora opada jak jego spojrzenie na puste krzesła z tyłu pomieszczenia. – Ale kara musi zostać wymierzona. Niech nikomu nie przyjdzie do głowy, że rząd jest słaby i spineglivy. A poważna zbrodnia wymaga odpowiedniej kary. Albo dwóch. Lub trzech. Lub siedmiu.

W jego następnych słowach brzmi groźba.

– Zauważyliście na pewno, że nie macie eskorty. – Wydaje się, że to niejasne stwierdzenie. Ale zaraz staje się dla mnie jasne. Po kręgosłupie przebiega mi fala chłodu.

A dyrektor nie mówi nic więcej, tylko przechodzi powoli do mównicy ze szkła. – Skoro nieprzyjemności mamy już za sobą, przejdźmy do dobrych wieści. To dość miła niespodzianka. Pałac nakazał nam wydać bankiet, galę z okazji Wielkich Łowów. Przybędą setki dygnitarzy, wysoko postawionych przedstawicieli władzy, wpływowych osób i ich żon oraz kochanek. Terminarz jest napięty, ale mamy wolne okienko jutro wieczór. W tym instytucie odbyło się wiele takich bankietów, nietrudno będzie się zatem przygotować. Pomieszczenia wymagają jedynie odkurzenia. Wszystko będzie gotowe. Wy również. Odwoaliśmy dalsze szkolenie na dziś. Zresztą komu potrzebne szkolenie? Po prostu pognacie za przekłętymi heperami i zjecie ich.

Podsuwa rękaw jak wąż pozbywający się skóry i zaczyna drapać się lekko po kościstym nadgarstku.

– I jeszcze jedno. Na gali obecne będą media. Chcę, żebyście prezentowali się jak najlepiej. Za parę godzin przybędą krawcy, żeby wziąć z was miarę. Będziecie zajęci przez resztę nocy. – Przeczesuje sobie palcami lśniące od brylantyny włosy. – W noc po bankiecie odbędą się Wielkie Łowy. Wszyscy goście zostaną do ich rozpoczęcia. Czeka was zatem całkiem huczne pożegnanie z setką widzów i relacjonowane przez media. Zapowiada się interesujące widowisko.

Spogląda na nas, po czym znowu drapie się w nadgarstek.

– Och, nie. Wyglądacie na przerażonych. Powinniście zobaczyć swoje głupie, zmartwione miny. Wiem, co was martwi. Boicie się, że setki gości ruszą na heperów. Nie musicie się obawiać. W noc łowów ten budynek zostanie zamknięty na godzinę przed zmierzchem. Całkowita izolacja. Nikt nie zdoła opuścić instytutu poza łowcami.

I bez dalszych wyjaśnień dyrektor jak zwykle znika, wtapia się w mrok, a jego miejsce zajmuje – jak zwykle – Kwiecista Sukienka. To zdarza się tak często, że zaczynam się zastanawiać, czy specjalnie tego nie ćwiczyli. Gdyby jeszcze tak bardzo nie różnili się wyglądem – on szczupły, ona pulchna – wyszedłby im niezły pokaz.

Po zniknięciu dyrektora spadek napięcia jest niemal namacalny. Kwiecista Sukienka robi o wiele mniej przytłaczające wrażenie. Zazwyczaj zaczyna swoje przemowy długim wstępem, dlatego nie od razu dociera do mnie, że właśnie mówi coś ważnego.

– ...dlatego powierzono mi przekazanie wam paru szczegółów dotyczących polowania. O świcie przed nocą Wielkich Łowów heperzy zostaną powiadomieni listownie, że kopuła ma uszkodzenie: awaria czujnika sprawia, że szklana ściana może się nie podnieść o zachodzie słońca. Na wszelki wypadek zatem heperzy powinni wyruszyć natychmiast do tymczasowego schronienia, wskazanego na dostarczonej im mapie. Podróż powinna zająć najwyżej osiem godzin i zakładając, że nie będą zwlekać, dotrą do schronienia przed zmrokiem. W schronieniu znajdują jedzenie, wodę, osłonę. Mają powrócić po tygodniu. Pytania?

Fizol unosi rękę.

– Nie łapię tego. Jeżeli dotrą do schronienia przed zmrokiem, ukryją się bezpiecznie jeszcze przed naszym wyjściem na polowanie. To podobno mają być Wielkie Łowy, nie oblężenie.

Po kiwaniu głowami przez grupę łatwo można poznać, że Fizol wyraził wątpliwości pozostałych.

Ale Kwiecista Sukienka nie jest bynajmniej zmieszana, powoli drapie się w nadgarstek.

– O rany. Jesteśmy dzisiaj trochę nerwowi, prawda? Zapominacie o jednym: heperzy są łatwowierni. Uwierzą we wszystko, co im powiemy. Przecież ich udomowiliśmy, więc wiemy, jak nimi kierować. – Wyraz jej twarzy nagle staje się surowy. – Nie ma żadnego schronienia. Żadnego budynku, okiennic, ścian, nawet kupy cegieł. Heperzy będą całkowicie nieosłonięci podczas polowania.

Na te słowa rozlega się cmokanie, które niemal zagłusza jej dalszą wypowiedź.

– ...zestaw broni – kończy Kwiecista Sukienka.

Fizol znowu podnosi rękę.

– Co to znaczy zestaw broni?

Kwecista Sukienka drapie się w nadgarstek, wyraźnie z siebie zadowolona. Przerywa, gdy wie, że zdobyła naszą niepodzielną uwagę.

– Pod jednym względem te Wielkie Łowy będą się różnić od poprzednich.

Postanowiliśmy uzbroić heperów. W zestaw groźniejszej broni. To bez wątpienia spowolni polowanie, sprawi, że stanie się większym wyzwaniem i pomoże wam czerpać z niego większą radość. Im wyższa stawka, tym większa przyjemność.

– Jakiegoż rodzaju broń chcecie dać heperom? – w ochrypłym głosie Brzuchacza brzmi raczej ciekawość niż niepokój.

Na dużym ekranie pojawia się włócznia i sztylet. Rozpoznaję te, które miała – i użyła przeciwko mnie – młoda heperka za dnia.

– Liczono, że heperzy nauczą się władania włócznią i nożem w walce. I tak się stało, ale ich brak siły sprawia, że broń jest równie bezużyteczna jak wykałaczki. Na szczęście jednak nasz personel tutaj, w instytucie, wymyślił nieco groźniejszy oręż, coś naprawdę interesującego. Coś, co może ranić. I zapewne okaleczyć.

Drapanie w przegub, które zaczęło się przy zdjęciach włóczni i sztyletu, raptownie się urywa.

– Jaka to broń? – tym razem w pytaniu Brzuchacza brzmi czujność.

Kwecista Sukienka odwraca się do niego. I nagle jej spojrzenie przestaje być bez troski i kokieterijne.

– To – szepcze i na ekranie pojawia się następne zdjęcie.

Przedmiot przypomina prostokątny pojemnik, ale zamiast otworu na jednej ze ścianek wystają z niego trzy wielkie, lśniące żarówki. Powierzchnia broni pokryta jest błyszczącym metalem, przypomina lustro. Duży chromowany przycisk znajduje się na drugim końcu.

– To trójświatlny uniwersalny emiter błysków, w skrócie: triem. Triem może wytwarzać niszczące błyski. Wystarczy nacisnąć guzik z tyłu, a pojawi się promień światła, nie jarzeniowego, żeby była jasność, trwający dwie sekundy. Promień jest całkiem silny, jego natężenie to około dziewięćdziesiąt pięć lumenów, więc jeżeli zetknie się z waszą skórą, spowoduje głębokie i bolesne poparzenia. Jeżeli kontakt będzie dłuższy, rezonans ultrafioletowy wywoła mdłości, a w konsekwencji utratę przytomności. Jeżeli zdarzy się wam spojrzeć prosto w światło, zostaniecie oślepieni, może nawet trwale.

Zapada przysłowiowa cisza, że dzwoni w uszach.

– A to tylko przy najsłabszym ustawieniu.

Cisza.

– Ile jest ustawień? – pyta Brzuchacz.

Po dramatycznej pauzie Kwecista Sukienka odpowiada:

– Pięć. Przy najwyższym jeden strzał jest na tyle silny, że może wypalić w was dziurę.

Promień jest pięć razy jaśniejszy niż światło słoneczne po południu.

Ashley June unosi ramię.

– Ile?

Pytanie jest niejasne, ale Kwecista Sukienka wydaje się w lot rozumieć.

– Wszystkich triemów jest pięć. Każdy heper zostanie uzbrojony w jeden. Każdy triem może wystrzelić najwyżej trzy razy. Zasięg broni to około trzydzieści stóp.

Ściąga usta, jakby chciała wypluć własne wnętrze pomiędzy zębów.

Cisza staje się niemal materialna.

– Dlaczego? – przerywa ją w końcu Brzuchacz.

To pytanie również nie jest jednoznaczne, ale Kwiecista Sukienka zdaje się rozumieć bez problemu, o co chodzi.

– Robimy to dla was, moi drodzy. Żeby to polowanie było naprawdę warte zapamiętania i aby emocjami przewyższyło wszelkie wcześniejsze łowy.

Nikt się teraz nie rusza, wydaje się niemal, jakby nikt nie śmiał choćby odetchnąć. Tylko kwiecista sukienka faluje wokół pełnych kształtów, wirują wokół kolan haftowane liście paproci i słoneczniki.

– Chcemy nie tylko podnieść poziom rywalizacji między łowcami i heperami, lecz także tylko pomiędzy łowcami. – Jej głos stał się beznamiętny jak u automatu, jakby czytała nudny komunikat. – To bez wątpienia sprawi, że Wielkie Łowy będą o wiele bardziej interesujące i w ostatecznym rozrachunku sprawią zwycięzcy większą satysfakcję.

– Jak zamierzacie to zwiększyć? – Ashley June zerka na pozostałych. Jej głos to zaledwie szept w wielkiej sali. – Rywalizację między nami?

– Trochę później w nocy otrzymacie jedną sztukę wyposażenia. Nic, co pomoże zabić hepera, ale co sprawi, że pościg będzie ciekawszy. Ekwipunek jest tak dobrany, żeby dał każdemu określoną przewagę nad innymi łowcami. Potencjalnie. To nadal prototypy, więc możliwości, jakie daje sprzęt, nie zostały sprawdzone.

– Co to będą za przedmioty? – pyta Pokazówka. Pochyla się zaintrygowana.

– Niektórzy otrzymają buty, które zapewnią im wygodniejsze, lepsze bieganie.

Szacujemy, że zyskają o dziesięć procent większą szybkość niż reszta. Inni dostaną płaszcze przeciwsłoneczne lub krem przeciwsłoneczny. Prawidłowo założone lub zaaplikowane chronią przed światłem słonecznym wczesnym świtem i w późnym zmierzchu. Przynajmniej tak sądzimy. Prawdopodobnie będziecie mogli wyruszyć dziesięć minut wcześniej niż pozostali łowcy, a to ogromna różnica w takim wyścigu. Niektórzy otrzymają zastrzyk adrenaliny. Mam nadzieję, że to daje wam ogólne pojęcie. Będą to przedmioty, które zapewnią każdemu z was drobną przewagę w pościgu za heperami. Pozwólcie jednak, że podkreślę: to wyroby nie do końca sprawdzone. Używacie i polegacie na nich na własne ryzyko.

– Liczyłam raczej na coś podobnego do skafandra. Coś, co chroni przed triemem – rzuca Czerwonousta.

– Nie martwiłbym się o triemy – Ponurak nie daje Kwiecistej Sukience dojść do słowa. – Pamiętaj, że to zwierzęta. Nie zdołają się domyślić, jak wykorzystać triemy.

– Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz – wtrąca Kwiecista Sukienka beznamiętnie i chłodno. – Myśl w ten sposób, jeżeli to pomaga ci uzyskać przewagę nad innymi. Pozostali łowcy chętnie skorzystają na twojej ignorancji.

– Ejże, nie masz prawa tak do mnie mówić...

– Doprawdy zabawne. Właśnie miałam prosić o ochotnika, dziękuję, że się zgłosiłeś.

– Ochotnik? Do czego?

– Właśnie. Po prostu stań na podwyższeniu.

Kwiecista Sukienka wyciąga parę przyciemnionych okularów zza paska i zakłada.

– Doradzam, aby pozostali również włożyli okulary. Poza tobą. – Spogląda na Ponuraka. Ponurak wstaje powoli, unosi dłoń, aby szarpnąć się za ucho. Powstrzymuje się.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Nic, czego tego ranka nie przeszła eskorta.

– Czyli co? Nie zamierzam opuszczać swojego miejsca. – Ponurak siada.

– Nic nie szkodzi. – I Kwiecista Sukienka wyjmuje zza pleców ukryty triem. – Czy nie wspomniałam, że ta broń ma zasięg trzydziestu stóp?

Ponurak napina się, odchyliwszy na krześle. Jest osaczony, nie ma dokąd uciec.

– Uznaj, że masz szczęście. Ustawiłam broń na najsłabszą moc. Ale uważam, że i tak zrobi na wszystkich wrażenie.

– Zaraz! – Ponurak rzuca się naprzód, a potem w bok. – Dyrektor powiedział, że kara została już wymierzona. Eskorcie. Nie zostało nic...

– ...poza pokazaniem, co was ominęło i jakie mieliście szczęście. Chociaż to bardzo ograniczona demonstracja w stosunku do tego, z czym musieli się zmierzyć ochroniarze. Ty przeżyjesz.

Szybkim ruchem kciuka Kwiecista Sukienka wciska guzik. Ostry, jasny promień strzela z triema. Unosimy ręce, żeby zasłonić oczy, ale światło i tak nas oślepia. Oczywiście nie mnie. Widzę, jak promień trafia Ponuraka w pierś. Jego ramiona unoszą się odruchowo, żeby osłonić ciało, ale z torsu już unosi się smużka dymu. Ponurak pada jak uderzony młotem, trzęsie się konwulsyjnie z bólu. Usta ma otwarte, ale nie dobywa się z nich żaden krzyk, nawet najcichszy odgłos. Kuli się na boku, wysuwa opuchnięty, suchy język. Struga żółtych wymiocin wylewa się na podłogę.

Kwecista Sukienka zwalnia przycisk.

– Och, daj spokój z tym teatrzykiem – rzuca leżącemu, po czym mija go i wychodzi.



Zostajemy wyprowadzeni z sali wykładowej i zabrani na kolejną wycieczkę po kompleksie, czyli oglądamy jeszcze więcej pustych sal i pracowni. Po naszym wczorajszym spotkaniu z żywym heperem patrzenie na zęby hepera lub schematy anatomiczne nie budzi już żadnych emocji. Jedynym względnie interesującym miejscem okazuje się kuchnia. Ponurak dołącza tam do nas po wypuszczeniu go przez lekarzy. Wygląda na jeszcze bardziej zgorzkniałego niż zwykle. Kucharz jest zajęty przygotowaniami do posiłku, odcina grube płyty krowiego udźca. Grupa otoczyła główny blat kuchenny, do którego przyciągnął ich zapach i widok krwi. Poza Ashley June. Dziewczyna zbacza do stołu obok, gdzie pracuje kuchcik. Ruszam za nią.

– No, to jest – rzucam, śliniąc się nad przysmażonymi ziemniakami i kluskami – koszmarnie obrzydliwe.

Kuchcik, drobny facet z ciemnymi oczyma, nie zwraca na mnie uwagi. Nabiera jedzenia i wrzuca do dużego plastikowego pojemnika. Otwiera piekarnik za swoimi plecami, wkłada pojemnik i zatrzaskuje drzwiczki. Naciska guzik i odchodzi.

– Jedzenie dla heperów – mruczy. Rozejrzawszy się, żeby się upewnić, że nikt poza Ashley June nie patrzy, otwieram piekarnik. Tyle że to nie piekarnik. Pojemnik zniknął w długim, wąskim tunelu z taśmociągiem.

Od tyłu ktoś się zbliża. Rytmiczny, wojskowy krok. To jeden z pracowników instytutu, przystojny i poważny.

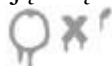
– Wymagana jest twoja obecność – warczy, jego ostry podbródek celuje w Ashley June. – Natychmiast.

– O co chodzi? – pyta dziewczyna.

Wojskowy ignoruje jej pytanie, odwraca się do mnie.

– I twoja również. Chodźcie ze mną.

Odwraca się na pięcie i rusza, nie oglądając się nawet na nas.



Coś jest nie tak, wyczuwam to, gdy wychodzimy za mundurowym na dwór i wędrujemy ceglana ścieżką do biblioteki. Krok naszego przewodnika jest coraz bardziej nerwowy i pośpieszny, wydaje się, jakby się... bał. Nikt się nie odzywa.

Gdy przechodzę przez próg biblioteki, mam wrażenie, jakbym wkraczał do jaskini lwa.

Pierwsze, co wyczuwam w środku, to ciała. Wiele ciał, może ze dwa tuziny pracowników i strażników stojących w korytarzu. Wszyscy mają ciemne okulary, wszyscy są czujni, wyprężeni i sztywni, skupieni.

Nie przesuwaj oczu w górę i w dół. Po prostu tego nie rób.

Nikt się nie rusza. Moje oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Oddycham powoli, żeby zachować spokój. Wewnątrz jest zimno.

Nic dobrego z tego nie wyniknie. Jedno, co dobre – oni jeszcze nie wiedzą. Nie wiedzą, kim jestem. Heperem. Gdyby wiedzieli, nie stałbym tutaj. Rzuciliby się na mnie zaraz po wejściu.

Nie widzę go, ale słyszę. Dyrektor.

– Ufam, że warunki, w jakich zostałeś zakwaterowany, spełniają twoje wymagania? – pyta z opanowaniem. Stoi na środku pokoju, tuż przy stole. Prawą stronę twarzy oświetla lampa jarzeniowa, a lewą spowija ciemność. Szczupła sylwetka, rysująca się niewyraźnie w mroku, przypomina ostry rapier. Kiedy dyrektor się odzywa, nawet książki na półkach zdają się od niego lekko cofać.

– Tak, pokój jest wspaniały. Dziękuję.

Dyrektor unosi głowę i zatacza nią łuk, jakby śledził umykające stado ptaków.

– Martwiliśmy się o rozmiar pętli do spania. Nie były w typowym dla ciebie rozmiarze.

Przepraszamy za to.

– Przypadkowo okazały się wyjątkowo wygodne.

– Naprawdę?

– Tak.

Spogląda na mnie z pozorną obojętnością, ale w jego oczach czai się chłodna przenikliwość. Bez ostrzeżenia jego stopy odrywają się od ziemi i unoszą do sufitu. Ciało przekręca się i sekundę później jego stopy wsuwają się w pętle do spania, których ani razu nie użyłem. Dyrektor kołysze się lekko, jak wahadło starego zegara. Jego oczy nadal są wbite we mnie.

– Zdumiewające, jak inaczej wygląda świat z tej pozycji, gdy wszystko stoi na głowie.

Zgadzasz się ze mną?

– Tak – odpowiadam.

– Pozwala zobaczyć wszystko z innej perspektywy. I właśnie dlatego przyglądam ci się, gdy jestem do góry nogami.

– Słucham?

– Ponieważ próbuję cię zobaczyć w innym świetle. Próbuję dostrzec, co jest w tobie takiego specjalnego. Próbuję zrozumieć, dlaczego Pałac cię wyróżnia specjalnym traktowaniem. Albowiem nie dostrzegam w tobie nic szczególnego. – Dyrektor zamyka oczy, pozwalając sobie na długie, leniwe mrugnięcie.

– Specjalne traktowanie?

– Ach, widzę, że udajesz głupiego.

Nie odpowiadam.

– Rozejrzyj się – szepcze dyrektor. – Ta cała wielka biblioteka jest tylko dla ciebie.

Pomieszczenie większe nawet od moich pokoi! A ty mi mówisz, że Pałac nie traktuje cię

wyjątkowo.

Zeskakuje z pętli do spania i łąduje denerwująco blisko mnie, najwyżej na wyciągnięcie ręki.

Zwalczam ochotę, by się cofnąć.

– Czy wiesz, że zaledwie parę minut temu otrzymałem jeszcze jedno polecenie z Pałacu? Dotyczące ciebie. Znowu – urywa z błyskiem w oku. – Niewiele spraw w życiu może mnie zaskoczyć. Ale ten rodzaj uwagi, jaką Pałac poświęca komuś tak przeciętnemu i nieznaczącemu jak ty... Cóż, szczerze mówiąc, trochę mnie to niepokoi.

– Przyznaję, że nie wiem, o czym pan mówi. Kolejne polecenie?

– Tylko bez wykrętów, proszę. – Cofa się o krok do pobliskiego biurka, przesuwa palcem po oparciu krzesła. Wysuwa je, siada. Dopiero wtedy dostrzegam dwie urzędowe teczki. Leżą na blacie i odbijają słabą poświatę jarzeniówek. Sprawiają wrażenie złowieszczych.

– Jedyne, czego nie znoszę, to trzymanie mnie w niewiedzy. To zwyczajna, zimnokrwista obelga i brak szacunku. A Pałac traktuje mnie tak nieustannie od paru tygodni. *Mnie*. Na moje biurko przychodzą codziennie różne polecenia, bez wyjaśnień lub usprawiedliwień, związane z ostatnimi ustaleniami przed polowaniem. Na szczęście dzięki inteligencji potrafię dostrzec sens w tym szaleńczym galimatiasie. – Zaciska usta. – Poza rozkazami, które dotyczą ciebie.

Stojąca po prawej Ashley June ani drgnie. Ramiona ma opuszczone i nieruchome, jej twarz niknie w ciemności.

– Sprawdziłem cię. Okazało się, że bardzo dobrze sobie radzisz w szkole, nie jesteś tak głupi, jak próbujesz tam udawać. Bardzo inteligentny, jak mi powiedziano. Z natury, pomimo zaledwie średnich ocen. Jak opisano to w raporcie? A, już wiem, że twoja *wrodzona i wybitna inteligencja nie zostaje w pełni wykorzystana*. Przynajmniej taką masz opinię. – Dyrektor urywa. – Czy właśnie to jest powód specjalnego traktowania i faworyzowania właśnie ciebie? Twój tak zwany intelekt?

Spogląda na mnie protekcyjnie, z nieskrywaną odrazą kogoś, kto czuje się zagrożony.

– Powiedz mi. Jak myślisz, o co chodzi z tymi łowami?

Sprawdza mnie. Szacuje.

– O polowanie na hep...

– I nie mów, że chodzi o polowanie na heperów. Nigdy nie chodziło o polowanie, heperów czy polowanie na heperów. Nie używaj zatem tych słów osobno ani w żadnych kombinacjach.

– W tym wszystkim chodzi o Władcę – odpowiadam śmiało.

Spojrzenie dyrektora krzyżuje się z moim, ale nie ma w tym nic złowrogiego.

– Ach, jednak umiesz myśleć, młodzieńcze. Wyjaśnij dokładniej, jeśli można.

Zacinam się.

– Wolałbym nie.

Odchyła głowę.

– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli to zrobisz.

Po chwili namysłu zaczynam mówić tonem na tyle obojętnym, na ile tylko potrafię.

– Władca wie, że jego popularność w sondażach ostatnio spadła. To niesprawiedliwe, bo jest naprawdę dynamicznym przywódcą, najlepszym, jakiego nosiła ta ziemia, jak wskazuje to, co wiemy o naszej wspaniałej przeszłości. Ale naszemu Władcy nie zależy na popularności, zależy mu na szczęściu poddanych. A nic tak nie uszczęśliwia społeczeństwa i nic bardziej nie budzi ducha współpracy niż Wielkie Łowy. Właśnie z tego względu Władca planuje i realizuje polowanie z taką zręcznością. Nie można zaprzeczyć, jak wskazuje historia, że nic bardziej nie pomaga władzy jak Wielkie Łowy.

– Właśnie – szepcze dyrektor. Przymyka oczy w ekstazie. – No, no, no. Cudowne dziecko jednak mnie zaskoczyło.

Drapie się w nadgarstek.

– Ale to było proste pytanie. Rozgrzewka.

Potrząsa lekko głową i wbija we mnie oczy, rysy jego twarzy twardnieją.

– Wytłumacz mi... to wszystko. – Zatacza ramionami łuk jak balerina. – Wytłumacz mi powód szkolenia łowców. Przecież nikt nie potrzebuje szkolenia, żeby polować na heperów. Po co więc te idiotyczne wykłady, zajęcia, sesje treningowe? I wytłumacz ucztę, fanfary gali, wytłumacz powód, dla którego media, reporterzy i fotografowie wypełniają ten instytut właśnie teraz, gdy rozmawiamy. I wyjaśnij, po co, na niebiosa, uzbrajamy heperów w triemy.

– Przepraszam, ale nie wiem.

– Nie przepraszaj – nakazuje dyrektor. I czeka.

– Nie wiem.

– Nie jesteś tak sprytny, jak ci się wydaje, nieprawdaż? – Unosi górną wargę z wyrzutem, odsłaniając nieco kły. – Szczerze mówiąc, jesteś taki sam jak wszyscy tutaj, niekompetentny personel, który trzeba prowadzić za rączkę, bo brakuje mu inteligencji. Mojej inteligencji. Bezmyślny, bezmózgi, pustogłowy.

Spogląda na mnie, zadarłszy nos i podbródek.

– Pracownicy puści jak ten instytut – rzuca z goryczą. – Puści jak ten instytut – powtarza ciszej.

Odwraca się do mnie plecami i patrzy w okno. Kiedy znowu się odzywa, zaskakuje mnie smutek w jego głosie.

– Nie zawsze tak było. W korytarzach huczał tupot nóg, sale wypełniały najlepsze umysły, w laboratoriach wrzała praca, najlepsi naukowcy prowadzili tam doświadczenia. A zagrody dla heperów? Były pełne po brzegi, tuziny heperów, starych i młodych, tłoczyły się tam. Nasz program hodowlany, mój program chowu, już miał się rozwinąć. To miejsce wypełniała energia, między ścianami wręcz iskrzyło. Mieliśmy cel, uznanie, podziw, szacunek, nawet zazdrość. Mieliśmy wszystko. – Przestaje mówić, przestaje się ruszać. Jego tors jest tak nieruchomy, jakby dyrektor przestał nawet oddychać. – Mieliśmy wszystko poza samokontrolą.

A potem odwraca oczy na strażników i personel, stojących sztywno wokół nas, jego lodowate spojrzenie przyszpila ich jak ćmy do tablicy.

– Aż do dnia, gdy nie pozostał praktycznie żaden heper. – Odwraca się znowu do mnie. – To będą ostatnie Wielkie Łowy. Władca to wie. Ale nie może przecież tego ujawnić, to by zniszczyło jego popularność, a w konsekwencji również jego. Dlatego wymyślił sposób, żeby tym polowaniem społeczeństwo karmiło się jeszcze wiele lat, może nawet na wieki.

Ashley June z prawej ani drgnie. Nie wydaje nawet najcichszego odgłosu.

– Książkę. Relację z Wielkich Łowów, dokument. Publika zawsze była szalenie ciekawa polowania. Porządni obywatele będą się ślinić nad każdym szczegółem Wielkich Łowów i utrzymają taką książkę przez dziesięciolecia na szczycie list bestsellerów. Ta książka nie będzie suchą relacją dziennikarską. Nie... W tym właśnie tkwi genialność tego pomysłu. To będzie pamiętnik, relacja zwycięzcy. Zwycięzcy *tych* Wielkich Łowów.

Dyrektor głaszcze się w podbródek kłykciami, w górę i w dół, w górę i w dół.

– Rozumiesz teraz, jak te wszystkie elementy do siebie pasują? Rozumiesz już, po co szkolenie? Gala? Media wypełniające instytut?

Oczywiście, że rozumiem. Teraz ma to sens.

– To wszystko dla książki – szepczę. – Żeby przeciągnąć łowy, rozciągnąć wydarzenia na co najmniej tydzień, żeby dostarczyć materiału na książkę. I sprawić, żeby polowanie było

jeszcze bardziej ekscytujące. I żeby stawka o wiele bardziej wzrosła. Doświadczenie Wielkich Łowów będzie jeszcze większe, a zwycięstwo o wiele wspanialsze.

Dyrektor kiwa głową.

– Myślę, że opis szkolenia zajmie co najmniej pięć rozdziałów. Będzie też okazja opisać dokładnie łowców, ich rywalizację, konflikty, to tylko doda emocji. Będzie budowało napięcie, wiodąc do gali, a potem do punktu kulminacyjnego, czyli samych łowów. Książka napisze się praktycznie sama.

Oczy dyrektora błyszczą niechętną aprobatą.

– A triemy? Po co zbroić heperów w triemy? No dalej, mów. Jak na razie idzie ci nieźle.

– Dla większego napięcia. Nie, chodzi o coś więcej – urywam, żeby się zastanowić. – Żeby spowolnić łowców. Ponieważ to są ostatni żyjący heperzy. Co za strata, gdyby pożarto ich w parę sekund. Młask-młask i koniec, przepadną w dzikiej, żarłocznej żądzy. To będzie zwyczajnie nudne. Nie, lepiej podnieść poprzeczkę, zabijać heperów powoli, jednego po drugim. Jeden rozdział rozciąga się w trzy.

Walczę z pragnieniem, żeby zmarszczyć brwi.

– Lecz to może się udać tylko pod warunkiem, że polowanie potrwa. Zatem *trzeba uzbroić heperów*. To podniesie napięcie, dramatyzm, emocje. I wartość zwycięstwa. Dzięki temu ostatni rozdział będzie nadzwyczajny. I tragiczny, gdy zwycięzca wysie ostatnie krople krwi hepera. Spłyną mu do gardła... do nieprzytomności. – Zerkam na Ashley June, potem na dyrektora. Nareszcie rozumiem. – Wszystko dla książki. Dla Władcy.

Dyrektor spogląda na mnie teraz ze szczerym zaskoczeniem, oczy ma wytrzeszczone, szczęka mu opadła.

A potem z trzaskiem potrząsa głową w przód i w tył, w ciszy brzmi ostre staccato, gdy trzeszczą mu kręgi szyjne.

– Bardzo dobrze – stwierdza. – Naprawdę robisz wrażenie, jak się postarasz.

Raz jeszcze potrząsa głową, w bibliotece niesie się echem przeszywające trzaśnięcie kości.

A potem dyrektor przerywa, mruży oczy z mroczną, głęboką odrazą.

– I w ten sposób wracamy do ciebie. Jedyne, czego nie potrafię zrozumieć. Jak ty pasujesz do tego planu? I dlaczego polecenia, które otrzymałem zaledwie parę minut temu, znowu dotyczą ciebie?

– Jakie polecenia, proszę pana?

– Dlaczego Pałac tak się tobą interesuje? – ignoruje moje pytanie. – Domyśliłem się wszystkiego poza tym.

I wszelka jasność opuszcza jego oczy. Pozostaje tylko ciemność, wymierzona we mnie. Mam wrażenie, jakby wbijała się w moje źrenice.

– Nie wiem.

– Kłamiesz. – Dyrektor pieści swoje przedramię końcami palców, jakby głaskał bezwłosego kota. – Powiedz mi. Już. Powiedz mi, co się dzieje. Pałac myśli, że jest tak przebiegły, wysyłając mi niepowiązane polecenia, sądzi, że może mnie trzymać w nieświadomości. Każdego dnia przychodzą błahe rozkazy, ostatnie zmiany dotyczące polowania. Władza chce, żebym był czujny, ale niczego nie rozumiał. Mam jednak swoje sposoby, żeby się dowiedzieć tego, co mnie interesuje.

Jego słowa są jak ostre soople spadające w mrok przepaści.

– Mam też sposoby, aby wyciągnąć informacje, jeżeli zajdzie konieczność.

Palce zwisające mi u boków zaczynają drżeć. Przyciskam dłonie do ud, żeby to powstrzymać.

– Nie wiem...
– Powiedz mi! – jego głos odbija się z hukiem od ścian. Zanim jeszcze przebrzmi echo jego słów, dostrzegam wzbierający w nim gniew. Dyrektor rusza na mnie...
– Ja wiem – szepcze nagle Ashley June. – Wiem, dlaczego Pałac tak się nim interesuje. Dyrektor zamiera. Wszystkie oczy wbijają się w dziewczynę.
Ashley June zerka na mnie, jakby miała zamiar popełnić niewybaczalną zdradę, a potem wyjaśnia dyrektorowi:

– To dlatego – jej głos brzmi jeszcze ciszej – że on jest inny.
– Co masz na myśli? – pyta dyrektor.
Ashley June skrywała się w cieniu, ale teraz robi krok i staje w smudze księżycowego blasku.
– On jest właśnie taki, jakiego potrzebuje Pałac.
Wahanie. A potem:
– Wyjaśnij.
– Powiedział pan, że zwycięzca napisze książkę. Więc potrzebny jest ktoś, kto umie pisać. A skoro są tutaj media, po łowach będą wywiady do magazynów, występy w programach telewizyjnych, rozmowy w radiu. Dlatego to musi być ktoś, kto potrafi się wysławiać. Jednak zwycięzcy wcześniejszych łowów zwykle byli małowównymi brutalami, mającymi siłę fizyczną, ale raczej mało rozmownymi, wygadanyymi czy choć myślącymi. Pałac potrzebuje kogoś, kto umie się wypowiadać, rozsądnego, opanowanego, zdolnego i wnikliwego. – Ashley June wskazuje mnie ruchem głowy. – On ma to wszystko. Wiem to, uczę się w tej samej klasie co on. Od lat. Zawsze był świetnym uczniem, mimowolnie. Jest inteligentny, myślenie przychodzi mu bez wysiłku. Potrafi być niesamowity. W wywiadach dla prasy, przed kamerą czy pisząc pamiętniki. A wygląda na to, że Pałac na pewno o tym wie, skoro zadbał o specjalne traktowanie. Ze wszystkich łowców ten jest najlepiej przygotowany na kontakty z mediami.

Dyrektor zwraca znowu oczy na mnie, szacuje mnie od nowa, pod względem tego, czego się właśnie dowiedział.

– Może być trochę nieśmiały, trochę milczący – mówi dalej Ashley June. – Ale to nawet zaleta. Właśnie to milczenie jest takie atrakcyjne. To wyzwanie. Proszę mi wierzyć, dziewczyny to uwielbiają.

Dyrektor odwraca się do okna, przez jego twarz przebiega cień rozdrażnienia.
– Kto ci to wszystko powiedział?
– Nikt. Domyśliłam się i tyle. – W oczach Ashley June błyszczy czujność. – Z pewnością to nic, czego pan już wcześniej nie wiedział.
– Rozumiem. – Lewa ręka dyrektora lśni blado, gdy głaszcze jedną z teczek. Kościste palce zatrzymują się na rączce, po czym przesuwają się z lękiem i odrazą. – Więc tylko zgadujesz. Możesz się mylić.

– Możliwe. Ale nie sądzę. – Ashley June milknie na chwilę. – Ale o co chodzi ze mną? Dlaczego tu jestem?

Dyrektor unosi na nią wzrok i drapie się w nadgarstek hipnotycznie powoli. Nie skrywa swojego zadowolenia.

– Ty stanowisz plan B, jak mniemam.
– Nie do końca rozumiem.
– Szkoda. A przecież tak dobrze sobie radziłaś. – Dyrektor prychnął. – Najwidoczniej jesteś taka jak wszyscy, zawsze potrzebujesz kogoś, kto poprowadzi cię za rączkę. Godzinę temu dostałem jeszcze jedno polecenie. Dotyczące zarówno jego, jak i ciebie. Jesteś planem B. W razie gdyby plan A, on, nie wypalił, w razie gdy twój kolega nie poradzi sobie w łowach, jesteś

następna. Jeżeli coś pójdzie źle, jeżeli twojemu przyjacielowi nie uda się dopaść hepera albo będzie niezdolny do działania, ty zwyciężysz w Wielkich Łowach. Jesteś planem awaryjnym, ubezpieczeniem.

– Nie sędzę, żeby to się udało.

– Ależ oczywiście, że się uda! – W głosie dyrektora słychać lekką irytację. – Jesteś do niego pod wieloma względami podobna. Mądra, choć co do tego mam wątpliwości, wygadana, choć zaczynam się obawiać, że trochę za bardzo, a do tego masz sporą wiedzę o heperach. Doniesiono mi, mała dziewczynko, że od lat należysz do wszystkich szkolnych klubów i stowarzyszeń związanych z heperami. Twoja wiedza o heperach może być przydatna po łowach, podczas wywiadów i występów. Na dodatek jesteś całkiem niebrzydka. Będziesz się doskonale prezentować przed kamerą i na zdjęciach. Ta ładna twarz na okładce książki dodatkowo podniesie sprzedaż bestsellera. Tak, teraz to widzę.

– Powinien pan pomyśleć o łowach w szerszej perspektywie – rzuca twardo Ashley June.

– Powiniennem pomyśleć...?

Ashley June milczy. Żałuje swoich słów.

– Myślisz, że wiesz lepiej ode mnie? – Słowa przesyczone pogardą uderzają w nią jak śrut ze strzelby. – Nie mów mi, co powiniennem myśleć, mała.

Dyrektor przymyka powieki, jego długie rzęsy rzucają cień na policzki. Temperatura w bibliotece, już wcześniej niska, teraz jeszcze bardziej spada. Blask księżycy zamarza w przezroczysty, szary lód. Zerkam na dziewczynę. Wie, że posunęła się za daleko – jej policzki są bledsze niż wcześniej, jej powieki drżą.

Dyrektor spogląda na teczki. Przysuwa je bliżej.

– Jedno z was musi zwyciężyć w łowach, jeżeli ten plan ma się powieść. To właśnie chciałaś mi powiedzieć, dziewczyno? Błagam. Nie zakładaj, że chcę usłyszeć twoje żalosne domysły. Wiedziałem to wcześniej niż ty. Aby jedno z was pojawiło się na okładkach magazynów i w programach telewizyjnych, aby uczestniczyło w audycjach, musi wygrać. I tak, jestem świadom, że inni łowcy nie tylko pragną szaleńczo zwycięstwa, lecz także mają na to większe szanse.

Naciska zamki i teczki się otwierają. Odwraca je, abyśmy mogli zobaczyć zawartość. Triemy. Po jednym w każdej teczce. Dyrektor wyjmuje jeden.

– Nikt nie wie, co się tak naprawdę stanie w Bezkresie podczas łowów i jak nieczysta może się stać rywalizacja. Choćby dlatego, że łowów nigdy nie sfilmowano, kamery są zbyt ciężkie, zresztą kamerzyści i tak by je porzucili, żeby dołączyć do pościgu, nie mogliby się oprzeć. Nikogo nie obchodzi, do jakich... niesportowych zagrywek może dojść. Łowcy są znani zbyt... dobrze z tego, że uciekają się do brudnych sztuczek. Bezkres to świat drapieźców, a im więcej drapieźników, tym bardziej interesująco będzie potem o nich czytać. Użyjcie tych triemów na innych łowcach. Wszyscy pomyślą, że to heperzy ich postrzelili. Byle daleko w Bezkresie, gdy opuście instytucję. Dostajecie dwa triemy, każdy może wystrzelić trzy razy. Powinno wystarczyć, prawda?

– A jeżeli wyeliminujemy w ten sposób pozostałych? Co wtedy? – pyta Ashley June. Głos ma cichy, ale pewny. – Co mamy zrobić, gdy zostanie tylko nas dwoje?

Dyrektor reaguje niemal brutalnie. Krzyżuje ramiona i zaczyna się drapać głęboko po nadgarstkach, potrząsając przy tym głową w przód i w tył.

– Czemu miałoby mnie to obchodzić? – W jego oczach migocze ognik szaleństwa. – Czemu miałoby mnie to obchodzić, o ile jedno z was zwycięży? Och, ty głupia dziewczyno!

Nagle zamiera w całkowitym bezruchu, jakby sobie coś przypomniał. Spogląda na nas surowo.

– Musicie wiedzieć tylko jedno: chcę niewątpliwego zwycięzcę. Tak zawsze jest lepiej. Żadnych problemów. Opinia publiczna nie znosi niejasności. Jeżeli pozostanie tylko was dwoje... cóż... Zwycięzca może być tylko jeden. Będziecie wiedzieli, co zrobić. Zrozumiano?

Ani Ashley June, ani ja nie odpowiadamy.

A dyrektor zaczyna znowu się drapać, bez pośpiechu, z satysfakcją.

– No tak. No tak... Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie przekonałem was, jak bardzo zależy mi na sukcesie tego polowania. Nie podkreśliłem, jak ważne dla mnie jest, aby jedno z was, tylko jedno, zostało zwycięzcą w Wielkich Łowach. – Przykłada palce wskazujące do brwi i zaczyna przesuwac po ich łagodnych łukach. – Wielu sądzi, że mam w instytucie wymarzoną pracę. Tak blisko heperów. Bezdenni głupcy. Instytut to piekło.

Nieruchomieje, otula go ciemność.

– Udane łowy to dla mnie szansa, żeby opuścić to miejsce – szepcze. – Ten czyściec, gdzie raj jest za szklaną ścianą, tak nieprzebytą jak wszechświat. Nie można tego znosić wiecznie, tego kuszącego zapachu i widoku heperów, których nigdy nie można tknąć. To wyjątkowa męka, być tak blisko, a zarazem tak niemożliwie daleko. Ach, wyrwać się z tego fałszywego raju... i dostać awans do prawdziwego raju, do Pałacu. Nareszcie zostać mianowanym na ministra nauki.

Kolejna pauza, tym razem ciężka i groźna.

– Byliście kiedyś... Nie, oczywiście, że nie. Ale ja raz byłem. W Pałacu Władcy. Gdy oficjalnie mianowano mnie dyrektorem tego instytutu. Widziałem wtedy jego wspaniałość. Rzeczywistość przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Ogromne sfinksy, rzeźby hien i szakali, gładkie jak szkło marmury, niekończące się pochody podczaszych, skrybów, harfistów, paziów, posłańców, gońców, dworzan, gwardzistów i odzianych w jedwabie dziewic z haremu. Ale to nie było wcale najwspanialsze. Macie pojęcie, co było?

Nie odpowiadam.

– Mogłoby się wam wydawać, że najwspanialsze są baseny otoczone kaskadami albo grotty, albo sale koncertowe z jarzeniowymi kandelabrami. Ale mylilibyście się. A może akwaria wypełnione ostrygami, kalmarami, meduzami i ośmiornicami, które wystarczy wyjąć z wody i wyssać na żywo? Błąd. A może obrazy lub stajnie, w których rzędy boksów z królewskimi rumakami ciągną się jak okiem sięgnąć? Znowu błąd.

Unosi palec wskazujący ozdobiony sygnetem ze szlifowanym szmaragdem i kiwa lekko. Na ten gest personel i strażnicy odwracają się i wychodzą.

Po zamknięciu się frontowych drzwi dyrektor wyciera usta i podejmuje przemowę:

– Najwspanialsze jest jedzenie. Egzotyczne i tłuste rodzaje mięs, najsmaczniejsze i najbardziej krwiste kęski, w które można wbić kły, gdy zwierzę jeszcze żyje, gdy bije jego serce. Łup-łup, łup-łup, to właśnie się słyszy, gdy się rwie wątrobę, nerki lub mózg. Psów i kotów. Ale to zaledwie przekąski. Potem danie główne. – W ciemności słyszę, jak się ślini. – Heper – cedzi.

Patrzę bez zrozumienia, ale zaraz ogarnia mnie zgroza.

Nie wytrzeszczaj oczu – słyszę krzyk ojca. Nie wytrzeszczaj oczu!

– Tam ukryte są zapasy, mówię wam – szepcze dyrektor. – Gdzieś na terenie Pałacu znajduje się tajna farma hodowlana heperów. Oczywiście to tylko przypuszczenie. Ponieważ wszyscy wiedzą, że ostatni heperzy na świecie siedzą pod kopułą przy instytucie. Podejrzewam jednak, że tajna farma ukryta została pod ziemią, z dala od wścibskich oczu. Rozciąga się pod terenami Pałacu. Oczywiście to tylko przypuszczenie. Ilu heperów? – moglibyście zapytać. Kto wie? Ale podczas jednej nocy w Pałacu słyszałem ich wycie i krzyki. Zdawało mi się, że są tam tuziny heperów, może nawet setki.

Dyrektor głaszcze się w podbródek.

– Wystarczająco, to tylko przypuszczenie, żeby Władca mógł sobie pozwolić na jądanie heperów do końca życia. Oczywiście to tylko przypuszczenia.

Spogląda na nas po kolei.

– Zatem teraz już wiecie, prawda? Z całego serca pragnę, aby te łowy skończyły się niepodważalnym sukcesem. Co oznacza, że jedno z was, i tylko jedno! wróci jako zwycięzca. Nie chcecie znać konsekwencji porażki. – Wstaje. – Wierście mi, nie chcecie. Teraz wszystko jest jasne.

Przechodzi obok mnie i opuszcza pomieszczenie. Drzwi zamykają się za nim cicho.

Wypuszczam powietrze, ale długo trwa, zanim ośmielam się ponownie odetchnąć.



Po tej rozmowie Ashley June zostaje odesłana do siebie, aby ją pomierzono. Gromada krawców poważnych i znudzonych jak mopsy przychodzi później do mnie, żeby zdjąć miarę do fraka. Ich głosy wydają się stłumione w ciszy biblioteki. Mierzenie jest stresujące, zwłaszcza gdy krawcy podchodzą zbyt blisko. Widzę ich rozdęte nozdrza, jeden rzuca mi nawet podejrzliwe spojrzenie. Odsuwam się szybko, co wywołuje kolejne podejrzliwe spojrzenia, gdy grupa pakuje się i opuszcza bibliotekę.

Wychodzę, chcę się znaleźć na otwartej przestrzeni. Ostatnie parę godzin należało do bardzo napiętych. A noc jest piękna, doskonale koi moje zszargane nerwy. Na niebie migoczą gwiazdy, księżyc wznosi się wysoko i rzuca srebrzystą poświatę na spowite śniegiem szczyty na wschodzie. Lekki wiatr szumi cicho nad równiną. Opuszcza mnie napięcie.

Słyszę za plecami cichy chrzęst kroków na piasku.

To Ashley June. Podchodzi wpatrzona we mnie czujnie. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, dziewczyna nieśmiało spuszcza oczy. Ma na sobie nowy strój – długą i obcisłą czarną suknię z satyny. Długie, jasne ramiona Ashley June lśnią w księżycowym blasku jak marmur. Piasek pod moimi stopami chrzęści, czuję się oszołomiony i dezorientowany.

– Przeszłam taki kawał drogi. Mógłbyś przynajmniej powiedzieć: *Cześć*. – Dziewczyna staje naprzeciw mnie. – Och, rozumiem. Postanowiłeś się do mnie nie odzywać.

– Nie, nie o to chodzi. Przepraszam.

Wiatr faluje w jej włosach, odsłaniając szyję.

– Słuchaj, nie jestem twoim wrogiem. Na razie. – Ashley June drapie się w nadgarstek. – Przypuszczam, że powinniśmy z tym poczekać do rozpoczęcia łowów.

Przylapuję się, że też drapię się w nadgarstek na te słowa.

– Zrób mi przysługę – odpowiadam. – Jeżeli zdarzy się tak, że łowy rozstrzygnie starcie między nami, po prostu odstrzel mi mały palec u nogi, dobrze? Nie ma powodu, żebyś mnie wyeliminowała strzałem między oczy.

– Prawy mały palec czy lewy?

Drapię się w nadgarstek.

– Wolę lewy. Tylko dobrze wyceluj, okay? To przecież mały palec.

– Umowa stoi.

Wysoko nad naszymi głowami szybuje po niebie ciemny kształt. Wielki ptak. Skrzydła ma nieproporcjonalnie duże, nieruchome i sztywne. Zatacza nad nami krąg, po czym znika w mroku.

– Przyszłam, żeby cię o coś zapytać.

– Nie, nie oddam ci swojego triemu.

Nie odpowiada. Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Patrzy na mnie tymi swoimi zielonymi oczyma, cicho, z nadzieją. Jakby czekała na to od dawna – gdy będziemy zupełnie sami, nikt i nic nam nie przeszkodzi. Nasze oczy spotykają się wreszcie.

– Zabierz mnie na galę – głos Ashley June jest cichy i spokojny.

Unoszę rękę, żeby się podrapać w nadgarstek, ale jej ramiona pozostają w bezruchu.

– Poważnie? – pytam.

– Tak.

– Nie wiem nawet, czy tak można... To przecież nie studniówka. To gala. Wykwintna rządowa impreza. To zupełnie co innego.

– Wiem. Gala nie będzie ani trochę przypominać studniówki. Będzie tysiąc razy bardziej wyjątkowa.

– Nie... Nie wiem.

– Wiele by to dla mnie znaczyło.

Zerkam nad jej ramieniem na widnokrąg.

– Słuchaj, nie wiem, jak to powiedzieć. Wiem, że gala będzie wyjątkowa i z klasą ze względu na muzykę, media, czerwony dywan, tańce, jedzenie...

– Będzie wyjątkowa ze względu na ciebie. Ponieważ zgodziłeś się, żebym ci towarzyszyła.

Odwracam wzrok.

– Nie wiem.

Ashley June podchodzi do mnie, szybko zmniejsza dystans między nami. Ujmuje mnie za łokieć. Dotyk jej palców budzi iskry pod moją skórą.

– Tak trudno mnie polubić? – szepcze, wbijając we mnie oczy. – To naprawdę tak trudne? Nie odpowiadam.

– Nie możesz po prostu udawać, założyć maski? – I coś w tych słowach, może sposób, w jaki je powiedziała, sprawia, że spoglądam jej w oczy dłużej niż komukolwiek poza ojcem. – Bo mnie to rozrywa od środka.

– Nie chodzi o ciebie...

– Więc udawaj – nakazuje Ashley June. – Udawaj, że mnie lubisz. Że podoba ci się kształt moich ust, miękkość mojej skóry, mój oddech, kolor oczu. Udawaj, że potrafisz nawet dostrzec coś więcej niż wygląd, że znasz mnie lepiej. Że znasz moje tajemnice. I że mimo to albo właśnie dlatego nadal cię pociągam. Wyobraź sobie, że wokół nas nie ma nic, tylko ty i ja naprzeciw siebie, nic innego nie istnieje. Nie ma żadnych łowców, personelu ani heperów. Nie ma nawet księżycy ani gwiazd czy gór. Wyobraź sobie, że pragnąłeś mnie od dawna, a teraz jestem tutaj, stoję przed tobą. Udawaj, że tak jest, tylko przez tę jedną noc. – Drugą ręką sięga do moich pleców i przyciąga mnie bliżej. Dzieli nas tylko cale. Wiatr dmucha, kosmyki włosów spadają mi na oczy.

A Ashley June odgarnia mi włosy z czoła, po czym przesuwając palcami po mojej skroni, uchu i po szyi.

Przez lata powtarzałem, że muszę zachować zimną krew i pozbyć się tego, co do niej czuję, ale ten dotyk to pierwsza osobista i szczerą pieśczętą, jakiej nie można przeżyć, gdy żyje się samemu i w samotności. Coś we mnie budzi. Wstrząs sejsmiczny, erupcję uczuć, które udało się tylko lekko uśpić. Dziewczyna patrzy na mnie, a jej spojrzenie zdaje się równie namacalne jak dotyk jej dłoni na moim łokciu, tyle że sięga głębiej. Ogarnia mnie fala emocji, o których myślałem, że dawno we mnie umarły. Obnażają mnie.

– Proszę. Zabierz mnie.

I ku swojemu zaskoczeniu kiwam głową. Dziewczyna podskakuje z radości, mocniej

zaciska dłoń na moim łokciu, jej długi, szczupły biceps napina się, rozluźnia, znowu napina i rozluźnia. Ujmuję ją również za łokieć, jak nakazują dobre maniery. Ashley June odchyła głowę i przymyka oczy, powieki jej drżą, usta ma rozchylone. Ale wtedy dziewczyna unosi górną wargę w drżącym warknięciu, odsłania kły – wilgotne, białe i ostre. Te kły mogłyby w pięć sekund wbić się w mój tors, rozorać mi klatkę piersiową i wyrwać bijące jeszcze serce.

Dlaczego pozwoliłem sobie na zapomnienie, dlaczego w chwili słabości uległem? Nie wolno mi przecież zapomnieć, że jej piękno przesycone jest trucizną, że jej wargi kryją dwa rzędy ostrzy, a serce chronią równie ostre żebra. Zbliżenie się do niej to śmierć, Ashley June powinna pozostać i pozostanie dla mnie nieosiągalna.

Zaciskam teraz mocniej palce na jej łokciu, z gniewem, z odrazą, wbijam je w jej bezkrwiste ciało. Ale Ashley June źle interpretuje siłę moich uczuć i unosi głowę do nieba, drżąc jeszcze mocniej. A ja, spoglądając z zewnątrz, zza maski, zaczynam rozumieć, jak łatwo pomylić odrazę z pragnieniem.



Ponieważ zbliża się świt, odprowadzam Ashley June do jej pokoju. Umawiamy się na spotkanie jutro po zachodzie słońca. Dziewczyna chce przyjść do mnie i przebrać się w bibliotece, dzięki czemu będziemy mogli wyjść razem na galę.

– Będzie wspaniale, zobaczysz – grucha na pożegnanie.

Wracam do biblioteki. Parę minut później okiennice się zamykają. Na wszelki wypadek wolę trochę odczekać, zanim wyjdę. Znowu chce mi się pić i muszę się umyć. Gdy wychodzę w jasność poranka, zerkam jeszcze na budynek instytutu, żeby się upewnić, czy okiennice tam także już opadły. Dopiero wtedy ruszam pośpiesznie do kopuły. Tym razem niosę trzy puste plastikowe butelki związane kawałkiem sznurka i przewieszane przez ramię. Butelki uderzają o siebie z tęnym odgłosem jak bębnienie pijanego perkusisty. Kopuła jeszcze nie opadła. Wskazuję na nią palcem i mówię: *Teraz*. Ani drgnie. *Teraz*. Nadal nie słucha mojego rozkazu, szklana ściana pozostaje nieruchoma.

W połowie drogi nareszcie wyczuwam wibracje pod ziemią, początkowo niemal niezauważalne, a potem coraz bardziej wyraźne. Kopuła opada, okrągły otwór w górze poszerza się, gdy przezroczyste tafle zapadają się pod powierzchnię. Świt igra na poruszających się taflach, rzuca na nie feerie barwnych pasm. A potem odbicia znikają, pomruk cichnie. Kopuła się otworzyła.

Zatrzymuję się sto jardów od stawu i czekam. Lepiej się nie narażać, wbrew temu, co heperzy o mnie wiedzą, mogą jednak ruszyć do ataku ze swoich lepianek – a przynajmniej ta młoda heperka z włócznią lub nożami. Właśnie na tym polega problem z heperami, są nieprzewidywalni jak zwierzęta z zoo, które wydostały się na wolność.

Drzwi do jednej z lepianek otwierają się. Heper – młody, mniej więcej w moim wieku – wychodzi nieśpiesznie, rozczochrany, ospały i przygarbiony rusza nad brzeg stawu. Nie widzi mnie, mruży oczy przed ostrym słońcem.

Dopiero gdy przeemyje twarz i napije się wody ze złożonych rąk, dostrzega mnie. Natychmiast opuszcza ręce, woda kapie mu do stóp. Zaczyna się cofać do lepianki, potem jednak przystaje, jakby się opanował. Zerka na mnie. Nadal stoję, nie ruszam się ani o krok.

Unoszę otwarte ręce w nadziei, że heper zrozumie ten gest: *Nie zrobię ci krzywdy*.

Odwraca się i ucieka.

– Zaraz! Czekaj!

A heper się zatrzymuje. Patrzy przez ramię, oczy ma wytrzeszczone w nieskrywanym

strachu. Ale też ciekawości. Podobnie jak wczoraj u heperki uczucia odbijają się na jego twarzy wyraźnie i bezwstydnie, jak u zwierzęcia w zoo, które drapie się po genitaliach, nie zwracając uwagi na pełen odrazy tłum gapiów. Te emocje, tak ekstremalnie silne, są jak wodospad. Heper przygląda mi się uważnie.

– Sissy – wrzeszczy.

Moja kolej, żeby się cofnąć. Ze zdumienia. Ten heper potrafi mówić.

– Sissy! – powtarza jeszcze głośniej, z wyraźną artykulacją nawet w tak krótkim słowie.

– Nie, ja... – jąkam się, niepewny, co powiedzieć. *Sissy*? Dlaczego ten heper nazywa mnie *sissym*?

– Sissy! – krzyczy znowu nagłaco heper. Jego głos brzmi trochę, jakby wołał o pomoc, ale bez paniki.

– Nie rozumiem – mówię, ponieważ... cóż, nie rozumiem. – Chcę tylko wody. –

Wskazuję na staw. – Wo-dy.

– Sissy! – powtarza heper uparcie. Otwierają się drzwi kolejnej lepianki. Staje w nich heperka, trochę rozczochrana. Jej spojrzenie jest czujne, choć nieco zaspane. Heperka rozgląda się szybko, orientuje w sytuacji. Zerka na mnie, potem na hepera i znowu na mnie.

– W porządku, David – mówi do hepera. – Pamiętaj, co wczoraj powiedziałam. On nas nie skrzywdzi. Jest jak my.

Przeżywam szok. Heperzy mówią. Są inteligentni, to nie dzikusy.

Heperka podchodzi do mnie, kroki ma długie i pewne. Gdy mija lepianki, otwierają się drzwi i wychodzi więcej heperów. Ruszają za nią. Heperka staje nad brzegiem stawu.

– Prawda? – Spogląda na mnie pytająco.

Patrzę na nią tylko oszołomiony.

– Prawda? – powtarza z naciskiem, a do mnie dopiero teraz dociera, że heperka dzierży długą siekierę w lewej ręce.

– Prawda – zapewniam.

Patrzymy na siebie długo.

– Wróciłeś po więcej wody?

– Tak.

Czterech pozostałych heperów – młodych samców – tłoczy się za nią i wbija we mnie wzrok. Dostrzegam, że szepczą między sobą, potem jeden kiwa głową.

– Częstuj się – oznajmia heperka.

Pragnienie ciągnie mnie do stawu. Przyklękam przy brzegu i piję ze złożonych rąk, ale nie spuszczam oka, szczególnie z heperki. Potem napełniam butelki. Z wahaniem patrzę na dziewczynę.

– Zamierzasz znowu się rozebrać? – pyta heperka. Jej słowa sprawiają, że grupa za nią wyraźnie się rozluźnia, uśmiechają się, rzucają sobie porozumiewawcze spojrzenia. – Jeżeli tak, nie zapomnij tym razem zabrać swojej bielizny.

Przez lata ćwiczyłem, żeby się nie rumienić. Ale tym razem nie potrafię temu zapobiec. Fala gorąca zalewa mi policzki i pulsuje pod skórą.

Heperzy to dostrzegają i nagle nieruchomieją. Potem heperka podchodzi bliżej, a pozostali deptają jej po piętach. Zatrzymują się tuż przede mną, na wyciągnięcie ręki. Dostrzegam piegi na nosie dziewczyny. Heperka dotyka mojej twarzy, nawet opuszki ma twarde. Kiwa głową na pozostałych. Zbliżają się powoli, otaczają mnie. Nawet nie drgnę. Wyciągają ręce, dotykają mojej twarzy i szyi, pukają, naciskają. Pozwalam im.

Potem odstępują. Tylko heperka się nie cofa, ale przynajmniej nie trzyma już siekiery. Wtedy dopiero dostrzegam w jej twarzy nie tylko strach albo ciekawość. Nie wiem, co to jest.

Niezupełnie. Ale te płomyki w jej oczach wydają się łagodne i ciepłe jak ogień w kominku.

– Mam na imię Sissy. A ty?

Spoglądam na nią bez zrozumienia.

– Co to jest imię? – pytam.

– Nie wiesz, jak masz na imię? – dziwi się heper z tyłu. Jest najmłodszy z grupy, niewysoki chłopak, może dziesięcioletni, pulchny. – Ja mam na imię Ben. Jak możesz nie znać swojego imienia?

– Nie powiedział, że nie zna. Powiedział, że nie wie, co to jest imię. – Heper, który to powiedział, stoi z boku sam. Jego usta są krzywe, jakby przypadkowo nadział się na haczyk wędki. Góruje nad innymi, równie wysoki, co chudy, jakby z wiekiem jego kończyny tylko się wydłużały, lecz nie nabierały mięśni ani ciała.

Niski chłopak zwraca się znowu do mnie:

– A jak inni cię nazywają?

– Jak mnie nazywają? To zależy.

– Zależy? Od czego?

– Od tego, gdzie akurat jestem. Nauczyciele nazywają mnie inaczej, trener inaczej.

Zależy.

Heperka chwyta najbliższego hepera za ramię, pociąga go bliżej.

– To Jacob. – Przechodzi do następnego. – A ten obok to David. On pierwszy zauważył cię dzisiaj rano. A ten, co się trzyma na dystans, to Epaphroditus. Nazywamy go Epap.

Powtarzam to w duchu: David, Jacob, Epap. Dziwnie brzmią te słowa, obco. David i Jacob wyglądają na bardzo młodych, jedenaście, najwyżej dwanaście lat. Epap jest starszy, pewnie ma z siedemnastkę.

– Chodzi ci o określenie. Jakie mam określenie?

– Nie. – Heperka kręci głową. – Jak zwraca się do ciebie rodzina?

Już mam odpowiedzieć, że nie mam rodziny i że nigdy nie nazywano mnie żadnym imieniem... ale tego nie robię. Z pamięci wypływa mi rozmyte i niewyraźne wspomnienie. Głos matki, śpiew, urwane słowa, fragmenty. Początkowo tylko melodia bez wyraźnych słów. Zaraz jednak pojawiają się zdania, zwroty, wyraźniejsze, choć niekompletne, tu i tam, trochę niejasne, ale...

Gene.

– Mam na imię Gene – mówię. Dla heperów to tylko przedstawienie się, ale dla mnie to odkrycie.



Oprowadzają mnie po osadzie. Postarali się wykorzystać ją jak najlepiej. Z tyłu znajduje się niewielki warzywnik, rośnie tam też parę drzew owocowych. Sznurki na pranie ciągną się przez teren, włócznie, sztylety i noże leżą w piasku. W lepiankach zaskakuje mnie światło, które przesącza się do wnętrza przez otwory w dachu przypominającym sito. Dziwna jest ta nieobecność bariery między nimi a niebem. Do lepianki wdziera się też chłodny podmuch.

– Wiatr mamy tylko za dnia – wyjaśnia heperka, która zauważa moje zadowolenie. – Gdy tylko podnosi się kopała, powietrze nieruchomieje.

Każda z chat ma dekoracje, rysunki i malunki przyklejone do ścian, a także parę półek z zaczytanymi książkami. Ale nie to najbardziej mnie zaskakuje. Na środku każdej lepianki dostrzegam coś wręcz beczelnego w swojej oczywistości. Łóżko. Nie parę koców leżących na klepisku, ale solidna rama z drewna, z nogami i zagłówkami. I żadnych pętli do spania w zasięgu

wzroku.

Na zewnątrz, poza granicą wyznaczaną przez kopułę, stoi skrzynia z metalu, mniej więcej wielkości małego powozu. Zielone światełko migocze na jej szczycie.

– Co to? – Wskazuję na urządzenie.

– Pępowina – wyjaśnia David.

– Co takiego?

– Chodź, sam się przekonasz. Zdaje się, że coś przyszło.

– Co? – dopytuję się głupkowato.

– Chodź, to sam zobaczysz.

Z boku Pępowiny znajduje się kłapa na zawiasach, którą można otworzyć płasko jak piekarnik. Jacob pochyla się i wyjmuje plastikowy pojemnik. To rozpoznaję. Czuję zapach ziemniaków i klusek.

– Śniadanie – oznajmia David.

Zielona lampka przestaje migać, zmienia kolor na czerwony.

Pochylam się z ciekawością i zaglądam do środka. Widzę długi, wąski tunel, ledwie zmieściłbym w nim głowę, który ciągnie się pod ziemią w kierunku instytutu. Tam, jak łatwo się domyślić, znajduje się drugi koniec tunelu, Pępowiny – widziałem go w kuchni.

– W ten sposób dostajemy jedzenie – mówi Jacob. – Gdy zjemy, odsyłamy brudne pojemniki. Czasami dostajemy też ubrania. A w urodziny prezenty. Torty, papier i kredki, książki, gry planszowe.

– Dlaczego to urządzenie jest tak daleko? – Oceniam odległość na oko. – Znajduje się za kopułą, prawda? Kiedy kopuła się podniesie, Pępowina pozostanie na zewnątrz, tak?

Kiwają głowami.

– Specjalnie tak to zrobiono. Z obawy, że ktoś mały spróbuje się przecisnąć tunelem, żeby się do nas dostać. Oczywiście nocą. Dlatego ustawiono Pępowinę za obwodem kopuły. W ten sposób nawet jak ktoś mały przejdzie przez tunel, nadal skończy pod ścianą.

– A za dnia nikt nawet nie próbuje – dodaje Ben. – Z oczywistych powodów.

– Ostatnio przysłano nam podręczniki – wtrąca heper imieniem David. – Książki o samoobronie, o sztuce wojny. Nie rozumiemy tego. A parę miesięcy temu przysłano nam sztylety, noże i włócznie. Leżały przy kopule, żebyśmy rano łatwo je znaleźli. Ćwiczyliśmy z nimi trochę, Sissy okazała się naprawdę dobra z latającymi sztyletami, ale nie jesteśmy pewni, po co nam je dano. To znaczy przecież w pobliżu nie ma na co polować.

– A wczoraj dostaliśmy metalowe pudełka. – Ben podskakuje z podnieceniem. – Pięć, po jednym dla każdego z nas. Ale w liście było napisane, żeby nie otwierać, dopóki nie dostaniemy polecenia. Sissy nawet nie pozwoliła nam ich dotknąć.

Zerkam na heperkę.

– Nie wiem, do czego mają służyć te pudełka – odpowiada Sissy. – A ty?

Spuszczam wzrok.

– Nie mam pojęcia.

– W każdym razie – Ben na szczęście nie przestaje mówić – mamy broń. Ćwiczyliśmy z włóczniami i toporami, a także z nożami. Sissy jest najlepsza, ale nie bardzo mamy do czego celować.

– Dopóki ty się nie pojawiłeś.

Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, kto to powiedział. Heper nazywany Epap.

– A właściwie po co tu przyszedłeś? – dopytuje się Epap.

Odwracam się. Nie mam problemów z odszyfrowaniem nastawienia z wyrazu jego twarzy. Wrogość i podejrzliwość. Ci heperzy są jak otwarte książki, ich twarze zdradzają

wszystkie emocje.

– Przyszedł po wodę – nie daje mi dojść do słowa Sissy. – Zostaw go w spokoju, dobrze? Epap okrąża grupę, aż staje tuż przede mną. Z bliska wydaje się jeszcze bardziej

patykowaty.

– Zanim zaczniemy mu dawać jedzenie i oprowadzać go wokół jak milutkiego, zagubionego szczeniaczka, powinien odpowiedzieć na parę pytań.

Nikt nie oponuje.

– Na przykład jak udało mu się tak długo przeżyć. Albo jak przeżył wśród nich tak długo. I co dokładnie zamierza tutaj robić. Lepiej niech zacznie mówić.

Zerkam na heperkę.

– Ten samiec ma jakiś problem? – pytam, wskazawszy na Epapa.

Heperka podchodzi na bliżej niż jard. Zanim się zdąży zorientować, unosi ramię i uderza mnie w policzek.

– Hej...!

– Nie rób tego.

– Czego? – Czuję jeszcze jej uderzenie. Żadnej krwi, tylko upokorzenie.

– Nie nazywaj go samcem. – Zatacza ramieniem wokół. – Zwierzęta dzielą się na samce i samice. Bezmyślne robaki albo gryzonie. Nie zrównuj nas z nimi, bo to obraźliwe. Nie jesteśmy zwierzętami. Co z tobą? Dlaczego uważasz się za kogoś lepszego od nas? Jeżeli uważasz nas za stado zwierząt, to odejść i nawet nie myśl o powrocie. I skoro wydaje ci się, że nie różnimy się od zwierząt, pomyśl o sobie, przecież jesteś taki jak *my*.

– Racja – przyznaję. Policzek nadal mnie mrowi. – Przyjmijcie przeprosiny.

Ale w głębi duszy wiem, że wcale nie jestem taki jak oni. Bardzo się różnimy. Oni to dzikusy, nieoswojeni i niewykształceni. A ja żyję na własny rachunek, jestem cywilizowany i wyedukowany. Heperzy mogą wyglądać jak ja, ale to tylko pozory. Jednak dopóki mogą mi pomóc w przeżyciu, będę udawał.

– Nie pomyślałem, nie chciałem nikogo obrazić. Naprawdę mi przykro, Sissy, Epap, przepraszam.

Heperka przygląda mi się niewzruszenie.

– Jesteś taki nadęty...

Napięcie rośnie, gdy pozostali biorą przykład z Sissy i Epapa. Teraz wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie.

Na szczęście mały Ben rozładowuje sytuację.

– Chodź, pokażę ci moje ulubione owoce. – Chwyta mnie za rękę i ciągnie do pobliskiego drzewa.

– Ben, nie... – woła za nami Epap, ale już się oddalamy.

– Chodź, chodź. – Ben zatrzymuje się przy drzewie, podskakuje i chwyta wiszący na najniższej gałęzi czerwony owoc. – Jabłka z tego drzewa są najlepsze. Jabłka z tamtego drzewa na południu też są dobre, ale nie tak jak te. Kocham je.

Dziwne, myślę, używać słowa „kochać” tak otwarcie. I to na określenie smaku owoców.

Zanim jednak się odezwę, w mojej dłoni ląduje jabłko. Ben już zrywa kolejne dla siebie. Wgryzam się w soczysty miąższ, sok tryska mi w usta. Słyszę kroki za plecami. Dołącza do nas reszta. Może dzięki temu, że widzą mnie, jak radośnie pozeram owoc, przestają być tak wrogo nastawieni. Poza Epapem, rzecz jasna. Epap nadal patrzy na mnie groźnie.

– I co, dobre, nie? Poczekaj, aż spróbujesz bananów z...

Sissy kładzie dłoń na ramieniu Bena. Chłopak milknie od razu i podnosi na nią wzrok. Heperka kiwa głową, potem odwraca oczy na mnie. Ma ten sam wyraz twarzy, z jakim patrzyła

na Bena – uspokajający, ale też nakazujący, łagodny, a zarazem stanowczy.

– Właściwie to chcielibyśmy wiedzieć – stwierdza cicho – dlaczego tu jesteś. Odpowiedz. Nie od razu się odzywam.

– Powiem... – głos mi się rwie nie bez powodu. – Powiem wszystko. Ale możemy się przenieść pod dach?

– Po prostu wyjaśnij nam tutaj – warczy Epap. – Pogoda jest ładna, więc nie ma...

– Wejźmy – przerywa Sissy. Dostrzega, że Epap znowu chce warknąć, więc szybko zwraca się do mnie: – Słońce pewnie ci przeszkadza. Nie przywykłeś.

Rusza do najbliższej chaty, nie oglądając się na pozostałych. Po kolei heperzy również idą do lepianki. A ja za nimi.



To, co im mówię, to niemal prawda. Nie tak dobra jak cała prawda, o czym doskonale wiem. Wolę jednak myśleć, że nie tyle kłamię, co przemilczam niektóre sprawy. Chociaż pamiętam, jak w drugiej klasie liceum jedna z nauczycielek powtarzała, że prawie prawda niczym się nie różni od zwykłego kłamstwa. Ale przemilczam – kłamię – bez wahania. Przychodzi mi to łatwo, kłamię wszak przez całe życie, moja tożsamość to przecież oszustwo od początku do końca.

Na zewnątrz jest nas wielu, kłamię. W każdym sektorze miasta, rozrzuconych po społeczności, na każdym poziomie społecznym można znaleźć heperów. Ukrywamy się i jesteśmy rozrzućeni jak płatki śniegu podczas zamieci. I nie widać nas jak płatków śniegu w zawiei. Łączy nas tajemnica, wspólne przebranie i maskowanie się, aby uchodzić za zwykłych obywateli. Skrupulatnie się golimy, nosimy sztuczne kły, utrzymujemy beznamiętny wyraz twarzy. Nie tworzymy podziemia, ale małą sieć złożoną z trzech do pięciu rozproszonych rodzin. To niebezpieczne życie, ale też niepozbawione radości i przyjemności.

Jakich? – pytają.

Takich, jak życie rodzinne, kłamię. Wolność w naszych zamkniętych domach, gdy tylko opadają okiennice i wschodzi słońce. Jedzenie, które nam smakuje, pieśni, które kochamy śpiewać, śmiech i rzadko, bardzo rzadko, tylko w razie konieczności, łzy i płacz. Tradycja przekazywana w książkach i starożytnych opowieściach. I bardzo rzadkie spotkania z innymi rodzinami heperów, w świetle słońca, kiedy reszta miasta za zamkniętymi okiennicami pogrążona jest we śnie i nieświadoma. A kiedy dojrzewamy, istnieją okazje do romansów, zauroczenia i zakochania, a wreszcie możliwość założenia własnej rodziny.

Dlaczego tu jesteś?

Zostałem zatrudniony niedawno w instytucie.

Zastępujesz naukowca?

Tak, zastąpiłem naukowca, przeprowadziłem się do jego kwater i kontynuuję jego badania. Był bardzo pilny i pracował wyjątkowo ciężko, bo pewnie tylko zapoznanie się z jego opracowaniami zajmie mi kilka miesięcy.

Więc wiesz o naukowcu.

Oczywiście.

I że był heperem.

Milczę chwilę, potem potwierdzam: jasne, oczywiście.

Wiesz, dokąd odszedł? Po prostu zniknął i więcej się u nas nie pojawił.

Co? Co mówisz?

Dokąd odszedł?

Mogę prosić trochę wody?

Dokąd poszedł, wiesz? Powiedział, że zamierza nas stąd zabrać. Do krainy mlekiem i miodem płynącej, pełnej owoców i słońca. Nowe miejsce, nowy początek.

Myśleliście o tym? O odejściu stąd?

Oczywiście. Codziennie. Mieszkamy tutaj od urodzenia. Uwięzieni przez szklane ściany, przez pustynie, przez kły i szpony. Naukowiec powiedział, że nas stąd zabierze. Ale nigdy nie wyjaśnił, jak ani dokąd. Wiesz gdzie?

Wiem.

Gdzie?

Wskazuję na wschód. Tam. Za tymi górami. Stamtąd pochodzimy. Tam żyją nas tysiące. Kraina mlekiem i miodem płynąca, pełna owoców i słońca.

Jak? To za daleko. Umrzemy.

Kiwam głową. Z głodu i pragnienia.

Ale heperzy kręcą głowami: nie, będziemy ścigani i zabici, zanim pokonamy choćby połowę drogi.

Oczywiście, oczywiście.

Jak się wydostaniemy?

Odpowiadam, nie patrząc im w oczy. Naukowiec. On was wydostanie.

Sissy kiwa głową z podnieceniem.

Tak właśnie powiedział. Że nas wyprowadzi. Że powinniśmy mu zaufać. Nawet gdy wydawać się będzie, że nie ma już nadziei, powiedział, żebyśmy się nie poddawali. Obiecał, że po nas przyjdzie. A potem pewnego dnia zniknął. Było to dla nas trudne, prawie straciliśmy nadzieję. A teraz pojawiłeś się ty. Zniknął po tak długim czasie. Możesz nam pomóc, prawda?

Dajcie mi trochę czasu, potrzebuję czasu. Naukowiec zostawił mi góry zapisków, które muszę przeczytać.

No, tego nam nie brakuje. Czasu.



Budzę się z przerażeniem. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, gdzie jestem. Nadal w osadzie heperów, w lepiance. Na podłodze, leżę z głową na miękkim worku. Słońce prześwieca przez sitowaty sufit, pozostawia mi na skórze plamki światła.

Heperzy są wokół mnie w półkołu. Paru leży i chyba przysypia, reszta siedzi.

– Obudził się! – mówi Ben.

Zrywam się na równe nogi, serce mi wali jak młot. W normalnych warunkach byłbym już martwy. Ale heperzy spoglądają na mnie z rozbawieniem, nie stanowią zagrożenia. Siadam, trochę jeszcze roztrzęsiony.

Sissy każe Jacobowi przynieść więcej wody, Davidowi sprawdzić, czy dostarczono już chleb do Pępowiny, a Benowi przynieść parę jabłek i warzyw. Trójka chłopców wychodzi, pozostaje tylko para najstarszych. Wyczuwam, że to celowe.

– Jak długo spałem?

– Dwie godziny – odpowiada Sissy. – Mówiłeś, a potem po prostu zasnąłeś jak kamień.

– I chrapałeś – dodaje złośliwie Epap.

Sądząc po położeniu słońca, dochodzi południe.

– To moja pora snu. A ostatnie parę dni miałem naprawdę męczące. Przepraszam, że tak przy was padłem. Byłem wykończony.

– Chciałem cię obudzić – przyznaje Epap. – Ale Sissy pozwoliła ci spać.

– Dziękuję. – Głos mam chrapliwy z pragnienia, zaschło mi w gardle. – Za poduszkę również.

– Wyglądałeś, jakbyś potrzebował snu. Proszę. – Heperka podaje mi kubek wody. – Wygląda na to, że wody też potrzebujesz.

Kiwam głową z wdzięcznością. Woda spływa mi po wysuszonym, ziarnistym gardle. Jestem jak wiadro bez dna – nieważne, ile wypiję, ciągle mógłbym więcej.

– Dziękuję. – Oddaję kubek. Na ścianach wokół mnie wiszą obrazy przedstawiające tęczę i mityczne morze. Po prawej stoi regał z książkami i paroma figurkami z gliny.

– Jak nauczyliście się czytać?

Epap odwraca wzrok.

– Rodzice nas nauczyli – odpowiada Sissy. Przyglądam jej się zdziwiony.

– Niektórzy mieli tu rodziców. Większość tylko matkę albo ojca. Nie jesteśmy spokrewnieni, gdybyś się zastanawiał. Tylko ja i Ben, jesteśmy przyrodnim rodzeństwem.

– Ilu rodziców?

– Ośmioro. Nauczyli nas wszystkiego. Czytania i pisania, malowania, uprawy warzyw. Przekazali nam starożytne, tradycyjne opowieści. Nauczyli, żeby utrzymywać kondycję fizyczną, biegać i pływać. Nie chcieli, żebyśmy się roztyli i rozleniwili, tylko czekając na jedzenie.

Mieliśmy nawet codziennie szkołę. Wiesz, co to szkoła?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Rodzice zmuszali nas, żebyśmy szybko się uczyli. Jakby bali się, że mają niewiele czasu. Jakby byli przekonani, że pewnego dnia znikną.

– I co się z nimi stało?

– Pewnego dnia zniknęli – słowa Epapa przesyczone są gniewem.

Sissy dodaje ciszej:

– Prawie dziesięć lat temu. Dostali mapy wskazujące położenie owocowego sadu.

Byliśmy podejrzliwi, oczywiście, ale nie jedliśmy owoców i warzyw od wielu tygodni. Wargi nam pękały, robiły się bolesne pęcherze. Dla bezpieczeństwa rodzice zostawili dzieci pod kopułą. Wyruszyli wczesnym świtem. Nigdy nie wrócili.

– Musieliście być wtedy jeszcze bardzo małymi dziećmi – stwierdzam.

Nie od razu odpowiada.

– Ben miał parę tygodni. Ledwie udało mu się przeżyć. I było nas więcej niż pięcioro.

Było nas dziewięcioro.

– Co z pozostałą czwórką?

Sissy kręci głową, spuszcza wzrok.

– Musisz zrozumieć. Tylko ja i Epap byliśmy na tyle duzi, żeby się troszczyć o resztę.

Mieliśmy może po siedem lat. Kiedy pojawił się naukowiec, naprawdę nam pomógł. Szmuglował dla nas dodatkowe jedzenie, ale też książki, koce, lekarstwa, gdy któreś z nas chorowało. Przed wszystkim jednak podniósł nasze morale. I umiał wspaniale opowiadać. Przywracał nam nadzieję i zapał. To dlatego tak trudno nam było pogodzić się z jego odejściem. – Spogląda na mnie. – I mówisz, że kiedyś zabierze nas za góry na wschodzie? Do krainy mlekiem i miodem płynącej, do ziemi pełnej owoców i słońca?

Kiwam głową.

– Kłamiesz – rzuca Epap. – O naukowcu. I o cywilizacji heperów za górami. Za tymi górami nie ma nic.

– Wcale nie.

– Ty z tą swoją pokerową gębą. Myślisz, że możesz wszystko ukryć i łatwo nas oszukać? Może młodszych, ale nie nas. A z pewnością nie mnie.

– Powiedz nam, co wiesz, Gene – prosi łagodnie Sissy. W jej brązowych oczach jaśnieje szczerłość. Dziwnie jest słyszeć to imię. Oczy Sissy w promieniach słońca wpadających przez otwory w dachu wydają się o ton jaśniejsze, niż pamiętam. – Skąd się dowiedziałeś o cywilizacji heperów za górami?

– Przeczytałem w jednym z dzienników naukowca. Zostawił parę wzmianek. Miał powody, żeby wierzyć, że za górami jest cywilizacja stworzona przez takich jak my. I gdzie żyją setki, może tysiące nam podobnych – kłamstwa spływają mi z ust gładkie jak jedwab.

– A on skąd miał te informacje?

– Nie mam pojęcia. Wydawał się w to wierzyć i tyle.

– Kłamca! – przerywa mi Epap. – Skoro jest nas tak wielu, dlaczego żadnego nie widzieliśmy? Dlaczego nikt tutaj nie przyszedł?

– A ty byś przyszedł? – pryham. – Wiedząc dobrze, co tu napotkasz, przyszedłbyś do kopuły i znalazł się w ich zasięgu?

Nie odpowiada.

– To ma sens – stwierdza Sissy. – Kolonia heperów za górami jest przecież bezpieczna od ludzi nocy. Dotarcie do podnóża gór, nawet przy ich szybkości, zajęłoby z osiemnaście godzin. Nie zdążyliby przed słońcem. A tam nie ma żadnej osłony, więc słońce każdego z nich zabije. Odległość to doskonale zabezpieczenie.

– Chyba mu nie wierzysz? – oburza się Epap. – Nic o nim nie wiemy. Pojawił się znikąd i zachowuje się, jakby zjadł wszystkie rozumy.

– Epap. – Sissy łagodnie kładzie mu rękę na ramieniu. Nie musi mówić nic więcej. Ani nic więcej robić. Jego zdenerwowanie znika. – Wiemy o nim całkiem sporo. Gene jest prawdziwy, nie można temu zaprzeczyć. Widzieliśmy go na słońcu, jedzącego owoce i zachowującego się... jak my. Widziałeś na własne oczy, jak się zaczerwienił. Tego nie można udawać. Więc to jeden z nas. I wiemy, niezależnie od tego, co sądzisz, że Gene przeżył. Nauczył się, jak przeżyć wśród ludu. Przetrwał tak wiele lat. Jest dla nas cenny, ponieważ dobrze mieć kogoś, kto może wyjść poza kopułę nocą.

– A skąd mamy wiedzieć, że on jest po *naszej* stronie? Może jest jednym z nas, ale to niekoniecznie oznacza, że jest po *naszej* stronie. Zgadzam się, że przeżył. I może zależy mu tylko na *własnym* przeżyciu, nie naszym.

Zamiast zaoponować, Sissy spogląda na mnie. W jej oczach dostrzegam czujność i podejrzliwość. Już wie. Wie, że coś ukrywam. Ale nie ma pojęcia ile. Gdyby wiedziała, nigdy by nie powiedziała tego, co usłyszałem:

– Myślę, że możemy mu zaufać. Myślę, że jest w nim dobro.

– Wybacz, ale zachowam własne zdanie w tej kwestii – warczy Epap.

– Epap – wzdycha Sissy już nie tak cierpliwie jak wcześniej – Gene przyniósł nam więcej informacji, niż moglibyśmy uzyskać przez lata. W dwie minuty powiedział nam więcej, niżbyśmy odkryli przez całe życie. A to coś znaczy.

– Te informacje są bezużyteczne – prycha Epap. – Nawet jeśli to prawda, że za górami na wschodzie istnieje kolonia, co nam to da? Nie mamy jak się tam dostać, choćby zbliżyć. Dla nas góry odległe są o dwa tygodnie drogi. A pościg dopadnie nas i zabije w parę godzin. Nawet gdybyśmy odeszli stąd, gdy tylko otworzy się kopuła, i szli nieustannie przez osiem godzin, po zachodzie słońca tamci dogonią nas na Bezkresie w dwie godziny. Nie, taka informacja jest nawet gorzej niż bezużyteczna, jest groźna. Budzi w nas głupie myśli, urocze marzenia, które niektórzy chcieliby pewnie zrealizować. Pomyśl o Davidzie i Jacobie. Tych dwóch nie urodziło się do zamknięcia. Chcieli stąd wyjść, odkąd nauczyli się chodzić. Myślisz, że zdołamy ich powstrzymać, jeżeli zapragną poszukać innych za górami?

Gdy Epap mówi, Sissy robi coś dziwnego z dolną wargą. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, ale nie potrafię oderwać oczu. Heperka zasysa dolną wargę i wbija w nią zęby. Widok jest tym dziwniejszy, że nie ma kłów. Miejsce, gdzie wbija zęby, bieleje. Sissy długo milczy. A potem, na odgłos zbliżających się kroków, rzuca:

– Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Nie rozmawiajmy o tym przy pozostałych. Zgoda?

– Jasne – odpowiadam posłusznie, a potem wchodzi David i Jacob z chlebem i owocami.

Posilam się do syta. Rozmowa staje się bardziej swobodna i lżejsza. Młodszy heperzy chyba cieszą się, że mogą porozmawiać z kimś, kogo wcześniej nie znali. Opowiadają mi o swoim życiu, codzienności, mijających porach roku, ich ambiwalentnym stosunku do kopuły, którą kochają i zarazem nienawidzą. Opisują, jak nieruchomieje powietrze po zamknięciu, jak szklana bariera więzi wilgoć w gorące letnie noce, ale też zatrzymuje deszcz, ale w zimie trzyma ciepło i nie dopuszcza mroźnego deszczu, gradu ani śniegu. W takie zimowe noce można oglądać, jak płatki śniegu spadają z nieba i roztopiają się na szkło, a potem spływają stróżkami po ścianach. Czasami, gdy jest bardzo mroźno, heperzy rozpalają ognisko, nieduże, żeby dym mógł się przedostać przez drobne pory w kopule. W takie noce wszyscy zbierają się wokół ognia, a śnieg pada na taflę. Wtedy można sobie wyobrazić, że tylko pod kopułą życie toczy się normalnie, a wielki świat poza nią jest zniszczony, dysfunkcyjny i straszny.



Później tego dnia zapewnili mi prywatność, jakiej potrzebowałem do mycia. I więcej: ręcznik oraz coś, co nazywali mydłem. Obiecali, że nie będą podglądać.

Tym razem, gdy się rozbieram przy basenie, czuję się tysiąc razy bardziej skrępowany niż wtedy, gdy zdjąłem majtki przy Sissy. A przecież krzywię się na samo wspomnienie tamtego incydentu.

Wchodzę do wody i szoruję się dokładnie. Mydło wytwarza małe bąbelki przy pocieraniu o skórę. Nie pachnie, ale zmywa zapach ciała, jak powiedzieli mi heperzy. Właśnie tego mi trzeba. Zerkam od czasu do czasu na lepianki, w których siedzą. Drzwi i okna, jak obiecali, są zamknięte. Nasłuchuję, spodziewając się śmiechu odrazy. Ale wokół panuje cisza.

Pod wodą szoruję też włosy. I wtedy słyszę coś dziwnego. Początkowo myślę, że to tylko złudzenie, ale kiedy się wynurzam, dźwięk staje się wyraźniejszy. Z lepianek niosą się melodyjne głosy.

Brzmi to niesamowicie i pięknie. Stoję zaszuchany, woda ścieka mi z włosów, krople wzbijają kręgi na powierzchni. Wychodzę ze stawu, owijam się ręcznikiem i zbieram ubranie.

Grupa mnie nie zauważa. Zerkam przez frontowe drzwi, z mokrych włosów kapie na niedbale zwinięte rzeczy. Heperzy siedzą w kręgu, Ben i Jacob przodem do mnie, ale oczy mają zamknięte jak w ekstazie. Melodyjny trzask przywołuje u mnie wspomnienie matki – czasy, gdy przysiadła na moim łóżku, głaskała mnie po włosach, a jej twarz tonęła w szarości domu. Dlatego lepiej niż twarz pamiętam jej głos, melodyjny i nietknięty ani smutkiem, ani desperacją, które później garbiły ramiona ojcu.

Niepostrzeżenie cofam się i siadam poza zasięgiem wzroku. Drzwi są uchylone, więc mogę słuchać bez przeszkód. Oparty plecami o nierówną ścianę domu pozwalam, aby melodia mnie opływała jak ciepłe promienie słońca. Czuję to ciepło i lekkość, jakby świat zmienił się w puch.

Pieśń się kończy, następuje krótka rozmowa, co jeszcze zaśpiewać. Pada pięć propozycji – pewnie heperzy znają setki pieśni. Wybrana zostaje ta pod tytułem *Wysoko*. Zaczyna się powoli. Początkowo śpiewa tylko Sissy, jej głos wznosi się i opada, tworząc melodię.

*Ziemia pod twoimi stopami
Mruczy cicho w upale dnia,
Płynie ciepło z serca uderzeniami,
Zanim pożre słońca blask.*

Pozostali włączają się zgranym chórem w doskonałej harmonii. Są bezbłędni. Od razu wiadomo, że śpiewali tak setki razy. Uwięzieni przez szkło i odległość zapewne nic innego nie mieli do roboty w długie dni. Śpiewanie daje im to, czego najbardziej potrzebują – złudzenie, nadzieję i wrażenie, że są w innym świecie.

*Żeglujemy po błękicie nieba,
Wyżej, niż sięga ptasi wzrok,
Wyżej niż chmur płaczących mrok.*

Śpiew, chociaż miejscami przejmujący, bez wątpienia się udziela. Początkowo powtarzam tylko bezgłośnie słowa. A potem, niemal nieświadomie, biorę oddech i wypuszczam powietrze przez krtań, formułując dźwięki. To niełatwe. Z moich ust dobywa się tylko charkot.

A potem, jakby z gardła oderwała mi się gigantyczna kula flegmy, w kolejnym wersie łapię ton i zanurzam się całkowicie w rytmie pieśni. Płynę na niej jak latawiec, który złapał sprzyjający wiatr.

Pieśń się kończy i słyszę śmiech z lepianki. Heperzy wybiegają, Ben na czele.

– Myślałem, że słyszę psa z atakiem ciężkiej astmy – stwierdza Jacob z przyjaznym uśmiechem.

– Jakiego psa – prycha rozbawiony David. – To przypominało bardziej słonia.

– Albo raczej stado słoni. – Ben przestępuje z nogi na nogę, z trudem opanowuje chichot. Teraz wszyscy się śmieją, a słońce migocze w ich oczach, lśni we włosach, rozjaśnia włoski na ramionach. Migocze wzbity pył, gdy ich wesołe głosy niosą się w ciepłym powietrzu.

– No, przecież to zabawne, przynaj – mówi do mnie Sissy. Z jej twarzy znikła powaga. Patrzy na mnie. Widzę uśmiech nie tylko na jej ustach, lecz w oczach, w nosie, na policzkach, czole... Jej uśmiech opływa mnie i przepelnia świat blaskiem jak słońce. Sissy wybucha śmiechem, z przyjemności przymyka oczy.

I tak po prostu coś we mnie się budzi. Coś, co – jak mi się zdawało – straciłem na zawsze. Śmiech wstrząsa mną, gardłowy i ochryply od nieużywania, przebija się przez moje zaciśnięte struny głosowe. A moja twarz – inaczej nie umiem tego opisać – pęka jak skorupka jajka. Uśmiech wykrzywia mi usta, marszczy skórę. Czuję, jak kawałki maski złuszczają się jak stara farba na ścianach i opadają. Śmieję się głośno.

– Co to ma być? – prycha Jacob. – Goryl pierdzi przez usta?

I reszta śmieje się jeszcze głośnie. Śmiech niesie się w dal i łączy z moim ochryplym, gardłowym chichotem – lekkomyślny i wolny.



Opuszczam kopułę nie dlatego, że chcę, lecz dlatego, że muszę. Jeszcze czas, zanim kopuła się zamknie – nie zamierzam powtarzać wczorajszego wyczynu, więc mam przynajmniej kwadrans zapasu. Muszę wrócić i choć trochę się zdrzemnąć. Przynajmniej przez dwie godziny, które zostały do końca dnia. Jechałem na oparach przez ostatnie parę nocy i teraz robi się

niebezpiecznie. Może nie aż tak, że zasną podczas gali, ale mogę się zapomnieć i zmarszczyć brwi, zakasłać albo ziewnąć przy wszystkich gościach i przed kamerami. Nie mogę sobie pozwolić na lekkomyślność w tak ważnej chwili. Muszę przetrzymać jeszcze parę nocy, a potem, gdy tylko zdołam wstać ze złamaną nogą, wrócę do domu.

Wędrówka do biblioteki wydaje się krótsza, gdy nie czuję głodu ani pragnienia. To, co wcześniej wydawało się długą podróżą, teraz okazuje się ledwie spacerem. Nawet z dodatkowym obciążeniem trzech pełnych butelek wody. Jestem już w połowie drogi, gdy...

Hej, a to co?

W oddali widzę poruszający się punkt. Wprost przed budynkiem instytutu. Nie, nie punkt, smuga. Pędzi w moim kierunku.

Zamieram. Nie ma się gdzie ukryć. Ani głazu, za którym mógłbym przykucnąć, ani nawet zagłębienia w ziemi. To pewnie zwierzę, które zabłądziło tu z Bezkresu, ale taki widok to rzadkość – większość dzikich zwierząt nauczyła się nie podchodzić za blisko.

Koń, myślę sobie. To musi być koń, który uciekł ze stajni. Wtedy jednak przypominam sobie, co powiedziano mi w instytucie. Nie ma tu koni w obawie, że heperzy mogliby użyć ich do ucieczki. W wyjątkowych sytuacjach, jak dzisiejsza gala, kiedy przyjeżdżają goście wierzchem lub w powozach, konie ukrywa się w stajniach i dokładnie zamyka.

Jednak szybko okazuje się, że to ani dzikie zwierzę, ani koń. To łowca.

Chyba mnie jeszcze nie zauważył, więc szybko przypadam do suchej, spękanej ziemi.

To musi być łowca. Pewnie chce wypróbować swoje wyposażenie – maść ochronną albo pelerynę przeciwsłoneczną. Sądząc po kapturze i okrytej sylwetce, chyba pelerynę.

I wtedy uświadamiam sobie, że nie tylko o to chodzi.

Chodzi o heperów. Łowca przekrada się do kopuły, próbuje tam dotrzeć, zanim ochronna tafla się podniesie. A teraz, gdy światło jest słabsze, a miejsce odległe za ledwie o parę minut biegu, ma szansę.

Zaraz potem drzwi na parterze instytutu otwierają się na oścież. Coś... Ktoś wybiega. Porusza się tak szybko, że się rozmywa. Prosto do osady heperów. Albo do mnie. Znajduję się na drodze.

Postać w pelerynie również biegnie – widzę poruszające się ramiona, nogi rytmicznie uderzające w ziemię. Ale drugi łowca jest o wiele szybszy. Już pokonał połowę dystansu, jaki dzieli go od sprintera w pelerynie. W dziesięć sekund biegacze są na tyle blisko, że mogę ich rozpoznać.

Postać w pelerynie to Ashley June, nie można się pomylić, ten ostry podbródek wystający spod kaptura znam aż za dobrze. Coś z nią nie tak. Ale moją uwagę przyciąga drugi łowca, teraz już prawie przy niej – Brzuchacz. Jego wygląd budzi strach. Wysmarował się maścią ochronną przed słońcem, żółto-kremowa warstwa na torsie lśni jak lukier. Brzuchacz jest zupełnie nagi – rozebrał się, żeby uzyskać większą szybkość? Nosi tylko przeciwsłoneczne gogle przyciśnięte mocno do oczu.

Zrywam się. Upuszczam butelki i biegnę. Nie do biblioteki – za daleko. Do kopuły. Udaję, że przyłączam się do polowania, udaję, że należę do stada. Tylko tak mogę wyjaśnić, dlaczego znalazłem się na otwartej przestrzeni za dnia. Owszem, nie mam peleryny ani maści przeciwsłonecznej, ale zakładam, że nikt tego nie zauważy w panującym podnieceniu.

To działa. Ashley June przebiega obok, dysząc. Peleryna nie działa, słońce zaczyna ją palić. Brzuchacz przemyka obok. Roztacza oszałamiająco mocny zapach maści. Nikt się nie odzywa, jesteśmy rywalami – tu chodzi o przetrwanie, nie przyjaźń.

I wtedy słońce wynurza się zza chmur. Smugi światła padają na Bezkres, rozświetlają powietrze. Jednak to nie bez znaczenia dla Brzuchacza i Ashley June. Dla nich to prysznic

stężonego kwasu. Ashley June pada na kolana, zwija się pod peleryną. Brzuchacz garbi się, potyka. W blasku zachodzącego słońca krem na jego skórze niemal świeci – żółtaczka popromienna od sterydów. A jednak Brzuchacz nadal biegnie.

Poddaję się. Wyczuwam jeszcze inny zapach – smród przypalającego się ciała. Okazuje się, że maść przeciwsłoneczna nie jest skuteczna, światło przenika przez jej warstwę. Brzuchacz traci siły, doganiam go i wiem, że nie da rady. Zerkam przez ramię. Ashley June też przypomina tylko stertę szmat, bo peleryna również nie działa jak trzeba.

Kolejna chmura przesłania słońce. Przede mną Brzuchacz odzyskuje siły. Ashley June pozostaje w tyle, nieruchoma i bezradna.

W wiosce heperów nic się nie rusza. Jestem na tyle blisko, aby dostrzec, że wszystkie drzwi i okna zostały zamknięte. Ale nagle wybiega Sissy. Szybko przywiązuje pas ze sztyletami wokół szczupłej talii. Z lepianki wyciągają się do niej ręce, chłopcy próbują wciągnąć dziewczynę do środka. Ale Sissy się wyrywa. Pędzi do Brzuchacza i do mnie z determinacją i przerażeniem wymalowanym na twarzy, z migoczącymi w rytmie serca sztyletami w dłoniach.

Jej pojawienie się dodaje Brzuchaczowi sił. Pędzi jeszcze szybciej do osady. Jednak nawet w tym stanie podniecenia i zagrożenia Brzuchacz na pewno wie, że wkrótce przekroczy granicę. Wie, że na razie może zawrócić, dotrzeć do instytutu, pewnie ranny i osłabiony, ale przynajmniej żywy. Jeżeli jednak uprze się przy biegu do osady, nie będzie już odwrotu.

Ale Brzuchacz to kamikaze. Odchyła głowę, jego nogi wzbijają kurz ze spękanej ziemi, a pomiędzy obnażonych kłów dobywa się syczący warkot. Brzuchacz zamierza dopaść heperów. Nieważne, co się stanie – dopadnie ich. Słońce się nie liczy. Brzuchacz wpadnie do osady, rozbije okna i drzwi, rozedrze heperów na strzępy i wbije kły w miękkie szyje ofiar, choćby skóra miała mu się spalić i roztopić jak wosk, choćby oczy miały mu pęknąć i spłynąć po nosie i policzkach. Nic się nie liczy. Brzuchacza nie obchodzi, że w promieniach słońca roztopi się w kałużę spalonych tkanek, o ile umrze z heperem w ramionach i krwią hepera w ustach. Piękna śmierć, nie tak łagodna jak w mroku nocy.

Sissy również biegnie. Nikt się nie cofa. Nie zmyliwszy kroku, dziewczyna ciska sztylet zamachem lewego ramienia. Ostrze mknie, wirując nad równiną, i migocze w słońcu. Znowu wydaje się, że chybiła o mile, ale broń zatacza szeroki łuk i wraca do nas jak bumerang. Sissy, nie zwalniając, rzuca drugi sztylet, tym razem z przeciwnej strony. Próbuje śledzić jego lot, ale znika mi z oczu. Nie tylko ten, drugi również. Nikną na tle pustyni. Słyszę je jednak – wysoki świst, coraz głośniejszy, wymierzony w Brzuchacza z obu stron.

Sekundę później sztylety zderzają się tuż przede mną. Z metalicznym brzękiem i w snopie iskier. Sissy cisnęła oba ostrza z zadziwiającą precyzją, ich trajektorie zatoczyły razem koło. Jednak to nie wystarczyło. Nie trafiła w głowę Brzuchacza, jak zamierzała – sztylety zderzyły się i upadły trzy jardy *za nim*. Nie doceniła jego szybkości i pragnienia.

Brzuchacz nawet nie zwolnił. Nie dał po sobie poznać, że zauważył atak. Jego kroki robią się dłuższe, szybsze. Ale słońce daje o sobie znać. Brzuchacz oddycha z trudem i pomimo coraz większego wysiłku zwalnia. Znowu go doganiam.

I wtedy słyszę kolejny świst. Sissy znowu rzuciła sztyletem. Nie mam jednak pojęcia, skąd doleci, z prawej czy z lewej. Przerażony rozglądam się w desperackiej próbie dostrzeżenia błysku na tle nieba. Nie mogę jednak zlokalizować broni, tylko słyszę jej coraz głośniejszy świst.

Sztylet rozcina Brzuchaczowi udo. Sissy rzuciła ostrze tym razem jak pocisk, prosto w cel. Jednak uderzenie, zamiast go spowolnić, zdaje się dodawać mu sił. Brzuchacz, choć kuleje, znowu przyśpiesza. Dotrze do osady najwyżej w dziesięć sekund.

Ale Sissy jeszcze nie skończyła. W biegu dobywa ostatniego sztyletu, chwyta za ostrze. Płynnym ruchem unosi ramię od pasa, przed siebie na wysokości piersi, z dłonią w dół, po czym

szybkim ruchem nadgarstka, jak przy rozdawaniu kart, wypuszcza broń. To doskonały, niski rzut, który posyła sztylet z dużą szybkością do celu. Prosto w nas. Robię unik.

Niepotrzebnie. Nóż uderza w Brzuchacza, wbija się prosto w serce. A ponieważ skórę i żebra częściowo rozpuściło słońce, ostrze nie napotyka na opór – wbija się w ciało jak łyżka w zupę. Brzuchacz zwalnia tylko na chwilę, a potem wydaje przenikliwy wrzask i rzuca się na Sissy ze wszystkich sił. Sztylet chyba utonął mu w ciele.

Wokół osady powstaje nagle lśniąca aureola. Wysuwają się szklane tafle kopuły. Za późno. Brzuchacz bez trudu je przeskoczy. A gdy tylko znajdzie się w obrębie kopuły, będzie miał wolną rękę. Szklane schronienie zmieni się w arenę śmierci, która uwięzi heperów, a także ich oprawcę. Ale Brzuchacza już to nie obchodzi.

Nagle jednak łowca zwalnia. Krzyczy – chrapliwie, boleśnie. Słońce go dopadło. Dystans między nami maleje. Gdy Brzuchacz ugina nogi do skoku nad wznoszącą się kopułą, rzucam się na niego. Podcinam mu nogi. Dłonie mam wilgotne i kleiste. Brzuchacz upada, mocno uderza o ziemię.

Jego twarz, gdy obraca ją do mnie, wygląda przerażająco. Z otwartych pęknięć na skórze spływa ropa, mleczna, żółtawa ciecz, która ścina maść ochronną. Górna warga się rozplynęła, zwisa na policzek, zęby obnażone są w nieustannym grymasie. Brzuchacz nie traci na mnie czasu. Dla niego jestem rywalem, którego trzeba prześcignąć lub przechytrzyć. Uderza mnie grzbietem dłoni i odrzuca w tył, po czym zrywa się na równe nogi i rusza na zamykającą się kopułę.

Kręci mi się w głowie, nie mogę odzyskać równowagi i wstać.

Brzuchacz zwolnił. Słońce topi mu nie tylko skórę, lecz także mięśnie. Nogi zmieniają mu się w wory ropy, ścięgnię kolan i kostek znikają. Z wrzaskiem rzuca się na szklaną tafle.

Nie udaje mu się dotrzeć blisko. Ciało rozbija się o szkło nie wyżej niż w połowie wysokości. Kiedy łowca się zsuwa, zostawia ślad jak roztopiona pizza – żółtawe, serowate tkanki. Brzuchacz dźwiga się z ziemi. Jego pragnienie zmieniło się już w delirium na widok Sissy, w oszalałymi furie, że nie może jej dosięgnąć.

– Czuję twój zapach – syczy Brzuchacz, po czym cofa się, żeby wziąć rozpęd do kolejnego skoku. I znowu zsuwa się bezwładnie. Uderza dłońmi w szkło, próbuje powstrzymać upadek. Nieoczekiwanie okazuje się, że roztopiona tkanka daje mu oparcie. Brzuchacz zaczyna się wspinać coraz wyżej z zaskakującą sprawnością.

Uda mu się. Otwór na szczycie kopuły zwęża się zbyt wolno. Gdy tylko Brzuchacz zeskoczy tamtędy do kopuły, nie zostanie mu wiele czasu. Ale widok, zapach i smak heperów doda mu energii, w jego krwi zatętni adrenalina, która pozwoli dopaść przynajmniej kilkoro heperów. Albo nawet wszystkich.

Sissy dostrzega, co może się stać. Wykrzykuje rozkazy dla pozostałych, którzy rozbiegli się do lepianek. Potem odwraca się, próbując znaleźć broń. Na próżno. Zresztą żadna broń by nie pomogła. Jednak dziewczyna nie garbi się pokonana, prostuje się, szykując na starcie. Wie, co ją czeka. Z miejsca, gdzie leżę, widzę jej oczy – widzę strach. Nasze spojrzenia się spotykają. Znowu patrzymy na siebie przez szkło jak za pierwszym razem, jak wtedy, gdy widziałem jej obraz na monitorze szkolnego komputera. Znam to spojrzenie – wyzywające, choć przerażone.

Z chaty wybiega Ben ze łzami w oczach i siekierą w dłoni. Sissy bierze siekierę, warknięciem odsyła chłopaka do lepianki. Ben zostaje, zaciska pięści.

Brzuchacz mija już połowę zamykającej się szklanej tafli. Uda mu się, dotrze pod kopułę...

Nie ma czasu na zastanawianie się i rozmyślanie. Po prostu ruszam. Zrywam się na równe nogi, pędzę do kopuły. Jest tylko jeden sposób, aby dogonić Brzuchacza. Przyciskam dłonie

i nogi do kleistego śladu, jaki zostawiła jego skóra. Ruch sprawił, że na serowatej tkance są zgrubienia. Wspinam się, używając kleistej galarety jak drabiny.

Wyżej, coraz bliżej otworu na szczycie kopuły, Brzuchacz ześlizguje się parę jardów. Szybko jednak odzyskuje przyczepność i zaczyna znowu się wspinać. Mam ostatnią szansę. Skaczę, wyciągając prawą rękę. Dosięgam jego łydki. Zaciskam szybko palce na kostce Brzuchacza, ściągając go trochę. A wtedy palce przechodzą mi przez jego kostkę jak przez miękkie masło. Zaczynam się ześlizgiwać po szkle przy akompaniamencie przenikliwego skrzypienia.

Mój atak nie wystarcza, żeby zrzucić Brzuchacza, ale przynajmniej go spowalnia. Troszeczkę. Łowca wspina się niezdarnie, powietrze wypełnia jego desperacki, szaleńczy krzyk. Otwór na szczycie kopuły ma teraz średnicę nie większą niż ujście kanału burzowego. Brzuchacz wsuwa tam nogę, chce się precyzyjnie, ale...

Nie ma miejsca. Łowca próbuje, ale otwór się zmniejsza coraz bardziej. Brzuchacz jest za duży. Na dodatek zsuwające się tafle zaciskają się na jego udzie jak sidła. Nie ma ucieczki. Brzuchacz znajduje się na szczycie kopuły, całkowicie wystawiony na działanie promieni słońca.

Kopuła zamyka się całkowicie, odcina uwięzłą, gąbczastą nogę. Kończyna rozbija się w środku i rozpryskuje w żółtą maź. Wrzaski Brzuchacza są przerażające, a gdy słońce przepala mu krtań, zapada jeszcze straszniejsza cisza. A potem łowcy już nie ma. Po szkle spływają jedynie kleiste strugi. Widok przypomina jajko rozbite na łysinie.

Podnoszę się. Muszę odejść. Próbuję biec na niepewnych nogach, ale opadam na kolana. Pochylam się jak pokutnik. Czuję skurcz wnętrzości. A potem wymiotuję, wyrzucam jedzenie i wodę, którymi poczęstowali mnie heperzy. Podnoszę się, gdy nie mam już czym wymiotować. Nogi mi się płaczą. Zerkam na kopułę. Sissy biegnie do lepianki, prowadząc Bena.

Niedługo potem wchodzę do biblioteki. Czuję się już lepiej. Po drodze zabrałem porzucone butelki wody, więc teraz mogę zmyć kleiste paskudztwo z dłoni. Spryskuję sobie twarz.

Gdy odstawiam butelkę, dostrzegam stertę ubrań tam, gdzie upadła Ashley June. Głupio postąpiła, tak wcześnie wychodząc na słońce. Peleryna czy krem przeciwsłoneczny miały działać tuż przed zapadnięciem nocy, gdy światło jest słabe, nie teraz, gdy do zachodu zostały jeszcze prawie dwie godziny. Przypominam sobie, co powiedział ochroniarz parę dni temu o pracownikach, którzy przez widok i zapach heperów wyruszyli na łowy w środku dnia. Wtedy nie mogłem w to uwierzyć. Teraz już rozumiem.

Dziwne, myślę, spoglądając na stertę. Dostrzegam tylko pelerynę przeciwsłoneczną. Nie ma śladu po butach, skarpetach, spodniach. Tylko peleryna. Może Ashley June była pod nią naga jak Brzuchacz? Kopię tkaninę, ale spod spodu nie wylewa się żółtawa, serowata maź po roztopionych tkankach. Nie ma nic. Ani śladu żółci.

I wtedy do mnie dociera.

Ashley June jest w bibliotece. Udało jej się w porę schronić w budynku.

Ale kiedy odwracam się, żeby tam wejść, moim oczom ukazuje się widok, który sprawia...

Szczęka mi opada. Wytrzeszczam oczy.

Światło zachodzącego słońca pada na ściany, okiennice, ceglana ścieżkę. Wszystko tonie w morzu oranżu i czerwieni. W tej feerii barw stoi Ashley June. Jej jasna skóra lśni pomarańczowo, jej włosy płoną, oczy są przenikliwie zielone. Pełne usta ma lekko rozchylone. Ale nie krzyczy. I nie topi się w słońcu.

Spoglądamy na siebie bez słowa. Beznadziejnie po prostu się gapię.

A wtedy Ashley June odchyła głowę i podnosi rękę do ust. Wyjmuje coś.

Sztuczne kły.

Wyciąga je do mnie jak gałązkę oliwną na znak pokoju.



Pierwsze, o co pyta, gdy wchodzimy do biblioteki, to woda.

– Oczywiście – zapewniam. Pamiętam, jak byłem wysuszony parę dni temu. – Radziłaś sobie tyle czasu bez wody?

Nie odpowiada, tylko wypija całą butelkę. To wystarcza za wyjaśnienie.

– Chcesz więcej?

– Tak, ale nie do picia. – Bierze kolejną butelkę. – Pewnie nie zauważyłeś, ale inni tak.

Zaczynam śmierdzieć. Mocno.

– Powinnaś się umyć dokładniej. Możesz mieć oparzenia od słońca przez tę jasną skórę.

Rzuca mi spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: *Doprawdy? Chyba nie myślisz, kolego, że przeżyłam siedemnaście lat przez przypadek?*

– Z tyłu. – Wskazuję kierunek. – Tam jest pomieszczenie z odpływem w podłodze.

Ashley June obchodzi półokrągłe biurko i znika. A ja zostaję sam na sam z pomieszanymi, pełnymi niedowierzania i zdumienia myślami.



Kiedy dziewczyna wraca parę minut później, nawet się nie ruszam. Włosy ma śliskie i wilgotne, twarz świeżo wyszorowaną. Wygląda na bledszą i bardziej zmęczoną, ale oczy jej lśnią.

– Nie masz nic przeciwko temu? – pyta z napięciem.

– Co?

– Pytałam, czy nie masz nic przeciwko temu. Musiałam wziąć twoje ubranie. Moje... za bardzo śmierdzi.

– Nie... – Przyglądam jej się uważniej. – W porządku. Wszystko, co mi dali, jest o parę rozmiarów za małe. Tego nigdy nie nosiłem, jest twoje.

Stoimy naprzeciw siebie i unikamy własnych spojrzeń.

– Przepraszam, że zużyłam aż dwie butelki wody.

– Nie szkodzi. Zostało nam jeszcze pół.

Gdy tylko z moich ust pada *nam*, jakby się w niej coś złamało. Ashley June odwraca głowę i kiedy na mnie patrzy, dostrzegam łzy. Zaciska powieki, a kiedy je znowu unosi, oczy są suche. Dobra jest. Musiała dużo ćwiczyć. Jak ja.

– Mieszkałaś sama? – pytam.

– Tak – odpowiada po chwili, cicho i ze smutkiem. – Prawie odkąd pamiętam.



Jej historia, którą opowiada mi, gdy siedzimy razem, jest podobna do mojej.

Ashley June pamięta swoją rodzinę – rodziców, starszego brata. Wesołe rozmowy w domu, śmiech, poczucie bezpieczeństwa, gdy zamykały się okiennice i odcinały wnętrze od świata, posiłki przy stole, ciepło ciała w pobliżu. I pamiętała tamten dzień. Przez gorączkę musiała zostać w domu, podczas gdy brat i rodzice wyruszyli po owoce. Wyruszyli dziesięć minut po świcie. Nigdy więcej ich nie ujrzała.

Jednego dnia miała rodzinę, następnego była sama. Samotność stała się jej jedyną towarzyszką, osłabiającą i zimną jak para mokrych skarpet noszona w chłodny, deszczowy dzień.

To było dekadę temu. Ashley June miała tylko siedem lat. Na początku było jej niewyobrażalnie ciężko. Żyć. Nieustannie zastanawiała się, czy się nie ujawnić w szkole. To by było takie łatwe. Ulec. Stanąć na środku boiska podczas zajęć, ukłuć się w palec, utoczyć kroplę krwi. I patrzeć, jak wszyscy się na nią rzucają. Koniec byłby brutalny, lecz szybki. Śmierć pozwoliłaby uciec przed nieznośną samotnością.

Ale rodzice nauczyli córkę dwóch rzeczy. Wpoili jej to. Po pierwsze: przeżyć. Nie tylko podstawy sztuki przetrwania, lecz także niuanse, drobiazgi. Przygotowali ją na każdą sytuację, w jakiej mogłaby się znaleźć. Po drugie: samo życie. Nauczyli ją, że jest ważne, wartościowe, że należy je chronić i nigdy nie oddawać przedwcześnie. Ashley June nienawidziła rodziców za tę kliniczną wręcz indoktrynację – kiedy odeszli, stała się, acz niechętnie, specjalistką od przetrwania.

Jej uroda stanowiła przekleństwo, zwłaszcza gdy wraz z innymi uczniami Ashley June zaczęła dojrzewać. Przyciągała uwagę, choć rodzice powtarzali, że trzeba tego unikać. Dziewczyna jednak nie mogła umknąć przed napędzaną testosteronem męską falą. Chłopcy pisali do niej listy, gapili się, próbowali niezdarnie nawiązać bliższą znajomość, podchodzili blisko, zapisywali się do tych samych klubów. Dziewczęta dostrzegły w przyjaźni z Ashley June towarzyską przewagę i także zaczęły się tłoczyć w pobliżu. Nie potrafiła zamaskować swojej urody – nic, czego próbowała, nie pomogło. Ani obcięcie włosów, ani złośliwość i kostyczność w zachowaniu, trzymanie się na uboczu, brak zainteresowania chłopakami, nawet udawanie głupiej. Po prostu przyciągała uwagę.

Pewnego dnia pojęła, że źle podchodzi do problemu. Jej obrona była... za mocna. Nie pasowała do takiej dziewczyny i w końcu mogła ją zdradzić. Ashley June to dostrzegła. I wtedy uznała, że najlepszą obroną jest atak.

Zamiast ukrywać urodę, zaczęła ją podkreślać. Przestała udawać głupią, nieśmiałą dziewczynę, zaczęła być pewna siebie i wyniosła. Odgrywanie tej roli okazało się łatwe, bo Ashley June już się nie bała uwagi. I dzięki temu zyskała władzę. Mogła kontrolować sytuację. Nie była już pionkiem na szachownicy, przepychanym przez konie, gońce i królową – stała się graczem. Zapuściła włosy i zaczęła ubierać się tak, żeby podkreślić swoją szczupłą figurę. Na chłopaków spoglądała z wyższością, a towarzyskie noże, które próbowano wbić jej w plecy, wykorzystywała przeciw rywalkom. Umiała sobie radzić, gdy musiała.

W końcu stało się jasne, że taka dziewczyna musi mieć chłopaka. Dopóki pozostawała wolna, chłopcy kłębili się przy niej jak robactwo przy padlinie. Zresztą samotność budziłaby zbyt wiele pytań, a tego Ashley June z pewnością sobie nie życzyła.

Dlatego wybrała sobie rozgrywającego z uniwerku – nieznośnego, ale prywatnie bardzo niepewnego siebie studenta, który publicznie zachowywał się wobec niej chłodno, ale wrzał jak lawa, gdy tylko zostawali sami. Zabicie go okazało się łatwiejsze, niż Ashley June sądziła. Zaproponowała piknik we dwoje w ukrytym miejscu dwie godziny jazdy za granicami miasta. Mieli uczyć, że są razem od miesiąca. Facet od razu się zgodził. Wzięli wino i koc. Gdy tylko dotarli na miejsce, rozgrywający się upił – Ashley dolewała mu nieustannie – i padł. A dziewczyna przywiązała go do drzewa. Była późna jesień, dawno opadły liście, więc gdy wzeszło słońce, facet nie miał żadnej osłony. Ashley June zostawiła go i wróciła do domu.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Kiedy wróciła pod drzewo następnego dnia, znalazła tylko ubrania zwisające z lin, nieco przeżarte kwaśnymi pozostałościami stopionych tkanek. Zabrała ubrania i linę, po czym wszystko spaliła.

O „zniknięciu”, jak w większości podobnych przypadków, nie mówiło się głośno, co

najwyżej szeptano. Temat stanowił tabu. Podjęto poszukiwania, ale zakończono je po dwunastu godzinach i oznaczono jako ZWS (zniknięcie w słońcu). Ashley June udawała, że jest załamana tą tragedią, że ma złamane serce po stracie „bratniej duszy”. Na pogrzebie wyznała swoją miłość i poświęcenie, przyrzekła, że jej dusza na zawsze pozostanie związana z utraconym ukochanym.

Dzięki temu osiągnęła wszystko, czego potrzebowała. Chłopcy pozostawili ją w spokoju, a przynajmniej większość z nich, dziewczęta zaczęły okazywać współczucie po tak tragicznej stracie, a pozycja towarzyska Ashley June jeszcze wzrosła. Nikogo nie dziwiło, że dziewczyna nie umawia się na randki, choć pozostałe Pieszczoszki odsłaniały szyję i pachy oraz robiły wszystko inne, żeby znaleźć sobie partnerów. Ashley June przeżyła tragedię i potrzebowała czasu oraz spokoju. Za parę lat, myślały przyjaciółki, dojdzie do siebie i znowu zacznie żyć.

A ona coraz dokładniej budowała swoją fałszywą tożsamość. Przyłączyła się do Towarzystwa Poszukiwaczy Heperów, grupy, która twierdziła, że heperzy nadal żyją i ukrywają się w społeczeństwie. Członkowie TPH szukali dowodów, że heperzy infiltrują społeczeństwo.

– Dlaczego dołączyłaś do grupy, która łatwo mogła cię zwęszyć? – pytam.

– Ponieważ – odpowiada Ashley June – dzięki temu nikt mnie nie podejrzewał.

Członkostwo w tym klubie było jak znalezienie się w oku cyklonu. Byłam tam wolna od podejrzeń i oskarżeń.

Były również dodatkowe korzyści. Jako pierwsza mogła się dowiedzieć, kto jest podejrzany. Miała prosty plan: najpierw potwierdzić, że ten ktoś to heper, potem odwrócić od niego podejrzenia jako bezpodstawne.

– A potem co?

Odwraca głowę, żeby mi się przyjrzeć. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, potem zmienia zdanie.

– Nawiązać kontakt – mówi wreszcie. Siedzi na drugim końcu sofy z podkulonymi nogami, tylko częściowo zwrócona do mnie.

– Byłaś dobra – przyznaję. – Nie podejrzewałam cię ani przez chwilę.

– Ty nie byłeś.

– Co?

– Zdradziłeś się parę razy. Dostrzegłam u ciebie parę razy emocje. I jak przysypiałeś na lekcjach. Jasne, tylko na chwilę, ale kiwającej się głowy nie można pomylić z niczym innym. – Jej oczy błyszczą, gdy sobie coś przypomina. – Uratowałam ci tyłek więcej niż raz. Jak na lekcji trygonometrii, gdy nie mogłeś przeczytać zadania na tablicy. I zeszłej nocy tutaj, podczas spotkania z dyrektorem. Ręce zaczęły ci się trząść.

– Pamiętam. – Myślę jednak o czymś innym. – Dlaczego nigdy do mnie nie podeszłaś? W szkole. I tutaj. Skoro domyśliłaś się już wcześniej, kim jestem.

– Ponieważ nie miałam pewności. Może tylko udawałaś? Może próbowałaś przywabić w ten sposób jakiegoś hepera. Wydawało się to prawdopodobne. Dlatego tylko cię obserwowałam. Raz nawet podkradłam się pod twój dom za dnia.

– Więc jednak ktoś *był* pod drzwiami!

Ashley June spuszcza głowę.

– Powinieneś wyjść. Liczyłam na to. Czekałam w nadziei, że otworzysz drzwi i wyjdiesz na słońce. Zobacysz mnie w świetle dnia. Znikną sekrety, wszystko wyjdzie na jaw i tyle. – Urywa. – Pomyśl tylko, jak wszystko by się zmieniło. Gdybyśmy dowiedzieli się wtedy, a nie dopiero teraz.

Podnoszę butelkę, odkręcam korek i podaję dziewczynie. Kiwa głową w podzięce. Przyglądam się jej ustom, gdy przykładą je do szyjki. Cienka strużka spływa po szyi na obojczyk.

– I oto – oddaje mi butelkę – jesteś tutaj.

Podkulałam nogi.

– Miałaś plan – stwierdzam. – Widziałem, że kombinowałaś coś w Centrum Kontroli. Kręciłaś się po sali, zadawałaś pytania.

– Plan – prycha z nieskrywaną frustracją – nie zadziała, jak się szybko zorientowałam.

– To znaczy?

– Wiedziałam od początku, że nie mogę dopuścić do polowania. Przecież to mnie zdemaskuje. Nie ma sposobu, żebym dotrzymała tempa łowcom. A nawet gdybym mogła biec tak szybko, straciłabym dech w piersi i zaczęła się pocić, zanim dotarłabym do heperów. Zresztą nawet gdyby mi się udało dobiec, a po drodze bym się nie spocila, co przecież jest niemożliwe, i tak w życiu nie tknęłabym hepera. Mogłabym zabić, owszem, ale jeść? Nigdy w życiu.

Kiwam głową. Myślę dokładnie tak samo.

– Dlatego zastanawiałam się, jak przerwać Wielkie Łowy. Sabotaż? A gdyby mi się udało otworzyć kopułę nocą? Heperzy znaleźliby się bez osłony, staliby się zdobyczą. Wszyscy rzuciliby się w pogoń, i łowcy, i personel instytutu. Szybko i sprawnie Wielkie Łowy zakończyłyby się przed czasem.

– Ale?

– Ale nie można opuścić kopuły nocą. Nie ma żadnego guzika, który ją otwiera, żadnej dźwigni, żadnej kombinacji przycisków. Wszystko odbywa się automatycznie, sterowane przez czujniki światła. – Jej głos, który unosił się lekko, teraz cichnie. – Co przywiodło mnie do planu awaryjnego. Właśnie zaczęłam go realizować. Ale plan awaryjny okazał się porażką.

– Wykorzystałaś wyposażenie przeciwsłoneczne – stwierdzam, gdy nareszcie zaczynam rozumieć, dlaczego Brzuchacz i Ashley June przebywali na zewnątrz za dnia. – Użyłaś ekwipunku, żeby przekonać tamtego łowcę. Powiedziałaś mu, że z maścią przeciwsłoneczną dojdzie do osady heperów nawet w świetle dziennym. I że będzie miał heperów tylko dla siebie.

Ashley June kiwa głową.

– Właśnie to mu powiedziałam. I miałam nadzieję, że się uda. Wiedziałam, że ekwipunek ochronny nie zadziała długo, nie w popołudniowym słońcu. Ale gdyby udało się go doprowadzić na tyle blisko, że poczułby i zobaczył heperów, ochrona nie miałaby znaczenia. Pragnienie krwi hepera wzięłoby górę, łowca wolałby posmakować żywego ciała, nawet jeżeli oznaczałoby to pewną śmierć.

– Miałaś rację. Właśnie tak się stało. Zatracił się zupełnie.

– Początkowo mi nie uwierzył. Ale powiedziałam mu, że nie obchodzi mnie, co myśli, idę na heperów sama, a on niech zostanie i zjada resztki pasteryzowanej krwi i przetworzone mięso. Widział, jak wychodzę w pelerynie, więc uznał, że osłona naprawdę działa. Dlatego ruszył za mną.

– Prawie się udało – przyznałem cicho.

– Jak blisko dotarł?

– Nie widziałaś?

Potrząsa głową.

– Zemdlałam. Kiedy się ocknęłam, właśnie wracałeś, a kopuła się zamknęła. To znaczy, że chyba mu się nie udało.

Cieszę się, że Ashley June nic nie widziała. Zadałaby mi pewnie mnóstwo pytań i chciałaby wiedzieć, dlaczego powstrzymałem Brzuchacza. A ja nie umiałbym jej tego wyjaśnić. Ponieważ sam nie wiedziałem.

– Masz inny plan? – pytam.

Drapie się w nadgarstek.

– Powiem ci, jeżeli ty zdradzisz mi swój plan.

Milczę chwilę.

– Złamać nogę.

– Proszę?

– Parę godzin przed rozpoczęciem łowów spaść ze schodów.

– Na poważnie?

– Tak.

– Beznadzieja. Ten plan ma tyle wad, że nie wiem nawet, od czego zacząć.

– To znaczy?

– Na początek powinieneś wiedzieć, że złamanie nogi bez kropli krwi jest pewnie możliwe, ale głowy bym za to nie dała.

Milczę.

– Masz inny plan?

– Właśnie przyszedł mi do głowy kolejny. Przecież teraz mamy triemy. Możemy się pozbyć innych łowców.

Przygląda mi się z niedowierzaniem.

– No co? – obruszam się.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– A czemu? Co złego w tym planie?

– Od czego by zacząć? W dziesięć sekund po starcie łowcy znikną nam z pola rażenia.

Zostawią nas w tyle. A setki widzów będą się nam przyglądać i zastanawiać, dlaczego jesteście tacy wolni. Wątpię, żeby udało nam się dotrzeć do bramy, zanim zostaniemy pożarci.

Unoszę rękę, ale zaraz zamieram. Opuszczam powoli ramię.

– Mam mówić dalej? – rzuca Ashley June z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie, w porządku, rozumiem...

– Zatem przejdźmy do mojego planu. Też wpadł mi do głowy niedawno. – W jej oczach błyskają iskierki rozbawienia. – Trzeba będzie go dopracować. Pamiętasz, co dyrektor mówił o rozpoczęciu łowów? Godzinę przed zachodem słońca budynek instytutu ma być zamknięty, żeby nie dopuścić do polowania innych. To podsunęło mi pomysł. A gdyby udało się nam obejść zamknięcie? Setki gości, którzy przybyli na galę, byłaby...

– Zrobiłby się chaos, wszyscy rzuciliby się do łowów. – Kiwam głową. – Wystarczy otworzyć drzwi, a wszyscy rzucą się w pościg. Rozwałą pewnie budynek. Wybuchnie pandemonium, gdy goście i personel pognają w Bezkrę. Nikt nawet nie zauważy naszej nieobecności...

– A dwie godziny później wszyscy heperzy będą martwi. Łowy się skończą. A my przeżyjemy. Oboje – szepcze Ashley June. Wbija we mnie wzrok, a we mnie znowu coś się budzi.

Patrzę jej w oczy, powoli kiwam głową. A potem przestaję, kręcę.

– Jest jeden problem.

– Jaki?

– Nie wiemy, jak zwolnić zabezpieczenia.

W oczach migocze rozbawienie.

– Owszem, wiemy. To łatwe, przynajmniej dla nas. Tamtej nocy, gdy zwiedzaliśmy Centrum Kontroli, trochę się rozejrzałam. Jeden koleś z obsługi wyjaśnił mi, jak działa zamknięcie. Dasz wiarę, że to tylko przycisk? Wystarczy wcisnąć guzik i nastąpi zamknięcie budynku. Ale wystarczy przycisnąć ponownie, aby anulować polecenie.

– Niemożliwe. To nie może być tak proste. Dla bezpieczeństwa powinno się...

– Przecież jest tam awaryjny system zabezpieczający. Słońce. W centrum okna nie są

zasłanianie przed świtem, pamiętasz? Dzięki temu nikt tam nie wejdzie za dnia. A tylko wtedy można anulować polecenie, inaczej zamknięcie nastąpi na godzinę przed zachodem słońca. Nikt tam za dnia nie wejdzie. Żaden z nich. To bardziej skuteczne zabezpieczenie niż otoczenie przycisku laserami i zbiornikami kwasu. To genialne.

– Więc taki jest nasz plan.

– Mój plan – poprawia mnie szybko Ashley June z cieniem uśmiechu.

– To naprawdę może się udać – w moim głosie przebija podniecenie. – Mamy szansę.

Łamiemy sobie głowy, próbując wyszukać słabe punkty w planie. Sądząc po naszym milczeniu, niczego nie możemy znaleźć.

– Muszę się umyć. Ogolić.

Przyjemnie jest poczuć wodę na twarzy. Szoruję szyję i pachy, tylko na tyle starcza wody. Biorę nóż do papieru, przeciągam po skórze. Przy paznokciach pojawiło się parę zadziórów, ale nic, czym warto się przejmować. Tylko dwie noce i znajdę się w domu. A przynajmniej na to wygląda.

Spodziewam się, że kiedy wrócę, Ashley June już nie będzie. Zerkam na zegar. Tuż po szóstej. Dziesięć minut do końca dnia.

Ale Ashley June nie odeszła. Jest w bibliotece, gdzie pada światło. Trzyma książkę, stoi plecami do mnie. Smuga światła wbija jej się prosto w pierś.

– Znalazłaś promień, jak widzę.

Odwraca się. Wyraz jej twarzy – w aureoli światła – zapiera mi dech. Dziewczyna uśmiecha się lekko. Śmiały pokaz emocji. Czuję, jak pękają między nami lody, wał się brudne ceglane mury między nami. Mam wrażenie, jakby owiało nas świeże powietrze i słońce ogrzało bladą, nienawykłą do światła skórę.

– Hej.

Głos ma czujny, ale przyjazny, jak nieśmiało wyciągnięta ręka, niepewna, czy zostanie ujęta.

Patrzymy na siebie. Próbuję tego nie robić, ale nie potrafię oderwać od niej oczu.

– Znalazłaś promień.

– Trudno go nie zauważyć. Ale co z tego?

– Nie masz pojęcia. Kryje się za tym więcej, niż się wydaje. – Podchodzę do miejsca, gdzie stoi. – O odpowiedniej porze słońce świeci pod odpowiednim kątem i promień pada na przeciwległą ścianę. – Przechodzę dalej. – Potem odbija się od tego małego lusterka, które tu wisi. – Pokazuję jej. – I pada na następne lustro, tam. Odbija się i pada na półkę z książkami. Wskazuje dokładnie ten dziennik...

Dziennika nie ma.

– Och, mówisz o tym dzienniku? – Ashley June unosi książkę, którą trzymała cały czas.

– Jak udało ci się...?

– To była jedyna książka, która leżała na jednym ze stolików. Była tu wcześniej, jeszcze podczas naszego spotkania z dyrektorem. Dodałam dwa do dwóch. Musiałeś zapomnieć odłożyć ją na miejsce.

– Zaglądałaś do środka? Ten naukowiec, to on go zapisał. Całkiem tego sporo. – Zerkam na dziewczynę. – Wiesz, on był taki jak my.

– To znaczy?

– No wiesz... – Spuszczam wzrok.

– Och – szepcze Ashley June. – Nie mów.

Kiwam głową.

– Ale był strasznie dziwny. Musiał spędzić miesiące tylko na pisaniu, kopiowaniu

fragmentów różnych podręczników. Znajdziesz tam wszystko, od rozdziałów z podręczników po starożytne teksty religijne. A najdziwniejsza jest pusta kartka...

– Masz na myśli tę? – Dziewczyna otwiera dziennik na pustej stronie. – Kartka, na której ukazuje się mapa, gdy potrzymasz ją pod słońce?

Zamieram. Mapa?

– Właśnie – odpowiadam cicho. – Właśnie ta kartka.

Ashley June patrzy na mnie z uśmiechem.

– Kłamca – stwierdza. – Nie wiedziałeś o mapie.

– No dobra, masz rację – poddaję się pod wpływem jej coraz szerszego uśmiechu. – Nie wiedziałem o mapie. Daj mi się przyjrzeć. Przytrzymaj tę kartkę pod światło. Słońce zaraz zajdzie, nie mamy wiele czasu.

Gdy tylko dziewczyna unosi stronę pod słońce, ukazuje się mapa. Ale nie zwykłe kontury, lecz wyraźny, pełen kolorów obraz.

– Szkoda, że nie widziałeś tej mapy, gdy światło było silniejsze. Kolory były tak ostre, że mogłyby wypalić oczy.

Widok przedstawiony na mapie jest szczegółowy i przemyślany. W dolnym lewym rogu dostrzegam szary kształt budynku instytutu. Obok znajduje się kopuła, nieproporcjonalnie duża i błyszcząca. Reszta mapy obejmuje teren na północy i wschodzie, jednolity brąz Bezkresu przechodzi w żywą zieleń gór na wschodzie. Najbardziej interesująca jest jednak wielka rzeka płynąca z południa na północ, wymalowana głębokim błękitem. Przesuwam wzdłuż niej palcami.

– Rzeka Nede – mówi Ashley June.

– Myślałem, że to tylko mit.

– Nie według tej mapy.

Zatrzymuję palec.

– Hej, a to co?

Tam, gdzie Nede skręca nad wschodnie pasmo gór, narysowana jest łódka podobna trochę do tratwy. Przycumowana do małego pomostu. Widać też wyraźnie strzałkę od łodzi w górę koryta rzeki, w stronę gór na wschodzie.

– Wiem, też byłam zdziwiona, gdy to zobaczyłam. Ta strzałka pokazuje chyba, że łódka służy do przeprawy rzeką. Na wschód.

– Ale to bez sensu. Rzeki płyną z gór, a nie w góry.

– Myślisz – głos Ashley June brzmi nadzieją – że to droga ucieczki? Tego naukowca?

Kiedy dostrzega moje zmieszanie, wyjaśnia:

– Wszyscy mówią, że spłonął w słońcu. Ale skoro, jak powiedziałeś, był heperem, może istnieje inne wytłumaczenie jego zniknięcia. Może odszedł. Uciekł łodzią. Tą łodzią.

Możliwe, myślę. Ale zaraz kręcę głową.

– Więc dlaczego zostawił opis drogi ucieczki? To nie ma sensu.

– Pewnie nie. Ale jedno jest pewne.

– Co takiego?

– Tę mapę może zobaczyć tylko heper. Nikt inny nie natknie się na nią nawet przypadkiem, ponieważ widać ją tylko w promieniach słońca.

Pochyliam się i uważnie przypatruję mapie. Jest zdumiewająca. Im dokładniej się przyglądam, tym więcej dostrzegam szczegółów. Widać nawet florę i faunę wśród zieleni.

– Co to wszystko znaczy? – zastanawiam się na głos.

– Nie wiem.

– Razem rozwiążemy tę zagadkę – stwierdzam optymistycznie.

Dziewczyna milczy, a kiedy podnoszę wzrok, dostrzegam znowu w jej oczach łzy.

Uśmiecha się.

– Podoba mi się, gdy mówisz *razem*.

Zatrzymuję spojrzenie na drobnej zmarszczce w kącie jej ust. Mam ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać ją opuszkami palców. Ale tylko spoglądam dziewczynie w oczy i uśmiecham się w odpowiedzi.

Spogląda na mnie jak w książkę, niczym dziecko uczące się czytać, jakby sylabizowała wszystkie uczucia z wyrazu mojej twarzy.

Nie wiem, co powinienem powiedzieć, czuję się niepewnie. Dlatego odwracam wzrok i wracam do studiowania mapy.

– Dokąd wysłani zostaną heperzy, jak myślisz?

– Nie wiem. Gdzieś. I tak nie ma to znaczenia, można zaznaczyć na tej mapie dowolny punkt odległy o osiem godzin wędrówki. Ale pewnie nie na zachód. Za blisko Pałacu. Wiatr mógłby przynieść zapach heperów, a wtedy wszyscy rzuciliby się w pogoń. A Władca na pewno nie chce ryzykować, żeby służba z jego Pałacu zepsuła Wielkie Łowy.

Milknie na długo. Kiedy na nią zerkam, rozciera ramię.

– Tamtej nocy, gdy przyszedł dyrektor... – przerywa ciszę. – Pamiętasz, jak opowiadał o farmie heperów w Pałacu?

Potrząsa głową, potem zerka na mnie.

– Żartował, prawda? Żartował o tych setkach heperów na farmie? To tylko jego chora wyobraźnia, jak myślisz?

– Nie wiem. Może. Nie mogłem nic wyczytać z jego zachowania.

Ashley June nadal rozciera sobie ramiona.

– Niedobrze mi na samą myśl. Dostaję gęsich krostek na skórze. – Zerka na mnie. – Ty też dostajesz krostek?

Przysuwam się bliżej, żeby popatrzeć na małe wybrzuszenia na jej przedramionach.

– Owszem, też tak mam. To się nazywa gęsia skórka, nie gęsie krostki.

– Gęsia skórka – powtarza dziewczyna. – Podoba mi się, nie kojarzy się z chorobą jak gęsie krostki.

Bezwiednie sięgam do jej ręki i dotykam. Tylko końcami palców. Skórę ma tak miękką... Drży pod moim muśnięciem. Ashley June cofa się szybko.

– Przepraszam – mówimy równocześnie.

– Nie, to ja, nie powinienem... – zaczynam znowu przeproszać.

– Nie, to nie z odrazy – przerywa mi. – To znaczy nie cofnęłam się z obrzydzenia ani niczego podobnego... Trudno to wyjaśnić.

A potem chwyta mnie za rękę i kładzie na swoim przedramieniu.

Przez dłoń przebiega mi iskra, jak wyładowanie elektryczne. Cofam rękę, ale w oczach dziewczyny widzę zaproszenie i tęsknotę.

– To tylko... – zaczyna. Gęsia skórka na jej ramionach robi się o wiele bardziej wyraźna. Tym razem, gdy jej dotykam, Ashley June się nie cofa, ja również nie zabieram ręki. Patrzymy na siebie, a w jej oczach, tak samo jak w moich, wzbierają łzy.



Niedługo potem dziewczyna zasypia na sofie. Zupełnie odpływa, zwinięta jak origami, z głową odchyloną na oparciu. Usta ma lekko rozchylone, słyszę ciche tchnienie przy każdym oddechu. Sądząc po pozycji, dziewczyna obudzi się z bólem szyi. Przechylam ją, żeby ułożyć wygodniej. We śnie nie stawia oporu, pozwala się dotykać. Dziwnie tak dotykać kogoś innego.

Siedzę na drugim końcu sofy. Ciało mam ociężałe, ale rozluźnione. Nad nami zwisają nieużywane pętle do spania, dwie pętle, które zdają się na mnie spoglądać drwiąco i oskarżycielsko. Nawiedzały mnie przez całe życie, te pętle do spania. Kiedyś nawet marzyłem. Wyobrażałem sobie, że żyję jak każdy, że jestem normalny. Że co świt wsuwam nogi w pętle, a w pokoju obok śpią bliźniaczki, moje córki, a ich pulchne buzie robią się bardziej pulchne podczas snu do góry nogami. A obok mnie śpi w pętlach moja żona. Ma bladą twarz, lśniąca w jarzeniowym blasku lamp, a długie włosy spływają jej niemal na podłogę, podczas gdy zgrabne stopy pewnie trzymają się pętli. W tych marzeniach nigdy nie czuję coraz silniejszego pulsowania w skroniach, gdy zwisam głową w dół, ani bólu w kostkach, gdzie w skórę wbijają się pętle. Na podłogę nie kapią łzy. Wokół panuje bezruch i spokój. Wszystko jest normalne. W tym ja.

Zerkam na Ashley June tak cudownie zwiniętą na sofie. Pierś dziewczyny unosi się i opada, unosi i opada. Pod powiekami poruszają się lekko gałki oczne. Nitka śliny spływa z rozchylonych warg. W końcu pozwalam, aby i mnie opadły powieki. Zapadam w błogą studnię snu. To nowe doznanie – zasnąć obok kogoś, nie w samotności. To akt odwagi, intymności i zaufania, na jakie nigdy wcześniej sobie nie pozwoliłem.

Noc do polowania

Początkowo nikt nie wydaje się szczególnie zaniepokojony tym, że Brzuchacz nie pojawia się na śniadaniu. Zwykle ciężko go było dobudzić, na co nieraz narzekała jego eskorta. Dopiero gdy po odstawieniu naczyń do kuchni ruszamy na wykłady, jeden z ochroniarzy zostaje wysłany po brakującego łowcę.

Wszyscy są zaskoczeni, ale bynajmniej nie smutni, kiedy dociera do nas wieść o jego zniknięciu. Siedzimy w auli, słuchając przynudzania jednego ze starszych pracowników o przewidywanych warunkach atmosferycznych podczas nocy Wielkich Łowów. Według prognozy ma być deszczowo i wietrznie. Wykładowca roztrząsa, jak to wpłynie na polowanie, gdy wchodzi kolejny członek personelu w szarym uniformie. Szepcze coś do zwierzchnika, a ten wstaje i wychodzi, pozostawiając na katedrze swojego podwładnego.

– Jeden z łowców zniknął – oznajmia szary, po czym milknie, nie wiedząc, co jeszcze dodać. – Wysłano grupy pracowników do przeszukania budynku i terenu w pobliżu instytutu. Istnieje możliwość, że doszło do zniknięcia w słońcu. Ale nie ma powodów do obaw.

Nikt nie wydaje się przestraszony ani choć trochę zmartwiony. Jednego łowcę mniej, więcej heperów dla pozostałych. Ale nie ma też powodu do okazywania radości, Brzuchacz nie należał do liczących się rywali. Gdyby zniknął Fizol albo Pokazówka, to co innego, wszyscy pewnie już zaczęliby świętować.

– Przykro mi, że muszę to powiedzieć – mówi pracownik – ale ponieważ w tej chwili cały personel jest zajęty poszukiwaniami, wykłady przewidziane na wczesny wieczór zostają odwołane. Jesteście wolni, możecie robić, co chcecie. Należy jednak pamiętać, że gala rozpocznie się za trzy godziny, przy pełni, dokładnie o północy. Doradzam, żebyście wykorzystali ten czas na wypoczynek. Musicie dobrze się prezentować przed kamerami i gośćmi.

Ponurak dogania mnie, gdy wychodzę z resztą.

– Widziałeś, jakie wykłady odwołano? – Pochyla się, żeby przeczytać trzymaną ulotkę. – *Wykorzystanie flory i fauny Bezkresu do uzyskania przewagi w łowach* albo *Społeczne tendencje heperów do popadania w panikę – jak najlepiej to wykorzystać*. Pamiętasz, jak powiedziałem, że to tylko gra na zwłokę? Te wykłady, szkolenie, nawet Wielkie Łowy. Mówiłem, że to wszystko na pokaz?

Kiwam głową, starając się ukryć irytację. Liczyłem, że wrócę do siebie, ale Ponurak uczeplił się jak rzep i wyraźnie nie zamierza szybko mnie opuścić. A gdy tylko zaczyna gadać, nie potrafi przestać. Z drugiego końca korytarza Ashley June rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. Opiera się o ścianę i czeka.

– Potrzeba ci więcej dowodów? – mówi Ponurak. – Po tym, jak łatwo przychodzi personelowi odwoływanie wykładów, można poznać, że to tylko pokaz. Nikt się nie przejmuje. Śmiechu warte.

Wysuwa język, śliski i wilgotny, oblizuje wargi.

– Niech uwolnią heperów i pozwolą nam zapolować.

– Jak myślisz, co się stało temu łowcy? – próbuję zmienić temat.

– Temu dużemu facetowi? To głupiec. Próbował mnie naśladować. Chciał za wszelką cenę pokazać, jaki jest sprytny i odważny. Myślał, że może mi dorównać. Co za kretyn. Pewnie wysmarował się kremem przeciwsłonecznym i wyszedł na słońce w złudnym przekonaniu, że to

go ochroni. Założyłbym się o każdą stawkę, że poszukiwacze powinni zacząć na zewnątrz. Pewnie go tam znajdą. A przynajmniej to, co z niego zostało. Gdzieś po drodze do kopuły.

– Możliwe – odpowiadam obojętnie. Przystaję, czekając, żeby poszedł dalej. Ale Ponurak ani myśli odejść. – Jaki strój ci przygotowano? – pytam, bo nie mam wyjścia. Ponurak okazywał taką niechęć do uroczystości, że może rozmowa o gali wreszcie go zniechęci.

– Na galę? – prycha. – Tradycyjny i nudny smoking. Brakuje tylko napisu na plecach: *Nieważny stary facet*. A co z tobą? Pewnie dostałeś coś wytwornego i modnego? Nie zdziwiłbym się wcale.

– Dlaczego tak mówisz?

– Media zbierają się od wczorajszej nocy. Reporterzy, fotografowie... Te łowy z godziny na godzinę zmieniają się w medialny cyrk. Słyszałem żarty o wywiadach po polowaniu – warczy z irytacją. – A podczas gali chcą sfotografować najładniejszych łowców. Włącznie z tobą, przystojniaczku. Pewnie dlatego przygotowano ci najmodniejszy frak.

– Wątpię – oponuję. Ale Ponurak ma rację. Mój strój ma być w najmodniejszym fasonie, o ile mogę się zorientować, z naturalnego jedwabiu. Na klapie wyszyte zostanie nawet moje imię. Wczoraj, gdy krawcy brali ze mnie miarę, czułem się prawie tak, jakby rozłożono mi pod stopy czerwony dywan.

– Słyszałem trochę o tobie.

– Co takiego?

– Że masz już partnerkę. I że razem ruszycie na łowy. Dobrana para, ty i ślicznotka.

– Ślicznotka?

– Tamta. – Ponurak wskazuje na Ashley June, która nadal czeka przy końcu korytarza. – A przynajmniej takie krążą plotki.

– Gdzie to słyszałeś?

– Mam swoje źródła – zapewnia, po czym zmienia ton na ostrzejszy: – No więc? Jaką masz strategię? – Teraz już wiem, dlaczego do mnie podszedł. Chciał o tym porozmawiać. – Oderwiecie się jak najszybciej od reszty, żebyśmy musieli ścigać was oboje? Czy też ruszycie z grupą, po czym wyprzedzicie resztę, stale zwiększając tempo?

– Wiesz, że nie możemy...

– Rozdzielicie stado heperów na dwie grupy, a potem zaczniecie łowy? Czy też utrzymacie je razem, wykorzystując masową histerię?

– To naprawdę coś, o czym nie mogę w tej chwili rozmawiać.

Ponurak milknie, przetrawia moje słowa.

– Powiedz – szepcze. – Znajdziesz miejsce dla takiego starego wiarusa jak ja? To znaczy w swoim sojuszu. Może nie jestem przebojowy, ale swój rozum mam. Nie twierdę, że ty i ona nie macie, ale doświadczenie zdobywa się z wiekiem. Może się wam przydam.

– Wiesz, że wolimy pracować w małych grupach. Właściwie tylko nas dwoje.

– Znasz to przysłowie: *Jednego łatwo pokonać, dwójka może się bronić, ale trójkę ciężko złamać?*

– Słuchaj, naprawdę nie wiem...

Przygląda mi się, a jego spojrzenie robi się coraz bardziej zimne.

– Rozumiem. – Rusza, ale zaraz się zatrzymuje i odwraca do mnie. – Wiem o tobie trochę – rzuca. – Nie myśl, że nie poczułem od ciebie zapachu hepera parę nocy temu. Niech ci się nie zdaje, że mi to umknęło. Udało ci się zdobyć dostęp do mięsa hepera. Ciekawe, co się dzieje w tej bibliotece, gdy zostajesz tam sam? Masz stamtąd dostęp do heperów? Odkryłeś jakiś tajny magazyn? Takie pogłoski mogą narazić cię na spore nieprzyjemności, gdy się rozejdą.

Ponurak wciąga w nozdrza powietrze, skrzydełka nosa mu drżą.

– *Nadal* wyczuwam ten zapach.
Podchodzi jeden z ochroniarzy. Ponurak zerka na niego, a potem odchodzi.
– Tak? – Spoglądam na przybysza.
– Proszę wybaczyć. Chciałem tylko powiadomić, że frak jest gotowy i zostanie dostarczony do twojej kwatery. Razem z suknią wieczorową twojej partnerki na dzisiejszą galę. – Ochroniarz zerka na Ashley June. – Dyrektor zgodził się na jej prośbę, żeby mogła się przebrać u ciebie.
– Dobrze.
– I jeszcze coś. Kiedy wyjdziecie z biblioteki na galę, przedstawiciele mediów będą czekać na was przy brukowanej ścieżce.
– Czy to naprawdę konieczne?
– Polecenie dyrektora. Gdy tylko dowiedział się, że ruszacie na łowy w parze, uznał, że powinniście pokazać się razem na gali.
– Rozumiem.
– I ostatnia sprawa.
– Tak?
– Ty i dziewczyna nie możecie znowu razem spędzać dnia.
– Skąd wiedziałeś...
– Nieważne, skąd wiemy. Ale dyrektor nie chce najmniejszej skazy na waszej reputacji. Przebywa tu tłum przedstawicieli mediów. Dyrektor nie życzy sobie nawet cienia podejrzeń dotyczących nieprzyzwoitych zachowań wśród łowców.
– Chyba sobie żartujesz...
– Postaraj się obudzić jutro we własnej kwaterze.
– Słuchaj, nie będę...
– Polecenie dyrektora – rzuca tylko ochroniarz, po czym się odwraca. Patrzę, jak podchodzi do Ashley June. Krótka, urywana rozmowa i ochroniarz znika. Ruszam do Ashley June.

Kiedy mijam Ponuraka, który teraz rozmawia z Fizolem i Pokazówką, słyszę, że puszcza im tę samą przemowę o sojuszach co wcześniej mnie. Jest zdesperowany. Desperacko pragnie krwi hepera i równie desperacko potrzebuje pomocy. Ale nie ma szans. To ktoś, na kogo trzeba mieć oko. Nigdy nie wiadomo, do czego zdolny jest desperat. Lepiej się od takiego trzymać z daleka.



Po powrocie do biblioteki Ashley June i ja przebieramy się na galę – ona za regałami periodyków, ja przy recepcji. Frak, który już na mnie czekał zawieszony w foliowym futerale na szafce, pasuje jak ulał. Chociaż mógłbym się obejść bez krzykliwych dodatków: ozdobionych diamentami mankietów czy metalowych guzików z wyrzeźbioną podobizną Władcy. Ale tak w ogóle strój robi wrażenie i dobrze się na mnie prezentuje.

Ashley June ostrzega mnie, żebym nie podglądał, dopóki nie będzie gotowa. I zajmuje jej to sporo czasu – o wiele więcej, niż moim zdaniem powinno. Przecież zdjęcie ubrania i włożenie obcisłej sukienki nie może trwać tak długo, to prosta czynność.

Zanim dziewczyna kończy się przebierać, rozlega się pukanie do drzwi. Wchodzi grupka pracownic, każda z małą walizką.

– Makijaż – wyjaśniają uprzejmie. Wskazują im, gdzie jest Ashley June. Ku mojemu zaskoczeniu jedna z charakteryzatorek zostaje przy mnie.

- Muszę zrobić ci twarz – oznajmia.
- Nie ma mowy – odpowiadam stanowczo. Za duże ryzyko, że charakteryzatorka zauważy jakiś włos na mojej brodzie albo znajdzie się tak blisko, że poczuje mój zapach.
- To polecenie dyrektora. Usiądź i odchyl głowę.
- Nie. Nic z tego, wierz mi.
- To tylko drobna kosmetyka. Niemal nie będzie widać.
- Więc nie warto się męczyć. Ile razy mam jeszcze powtórzyć, że nic z tego? Spogląda na mnie groźnie.
- Będziesz musiał się wytłumaczyć przed dyrektorem.
- Świetnie. Przyślij go do mnie.

Chociaż pracownica ma półprzymknięte powieki, w jej spojrzeniu wrze gniew. Zatrząskuje walizkę głośno, po czym rusza do pozostałych charakteryzatorek między regałami. Doskonale wiem, że nie ośmieli się nic powiedzieć dyrektorowi. Zbyt dobrze wie, co spotkało eskortę. Za nieposłuszeństwo ukarani zostaną pracownicy, lecz nie łowcy – łowcy są nietykalni.

Zza regałów słyszę protesty Ashley June. Ona też nie chce makijażu. Ale na niewiele się to zdaje. Charakteryzatorki tym razem nie pozwalają się zbyć.

Podchodzę bliżej, gotów wykorzystać swój immunitet łowcy. Pracownice stoją nad Ashley June i wydają kolejne polecenia. Siedź prosto! Przestań się krzywić! Odgarnij włosy! Widzę tylko dłonie dziewczyny zaciśnięte na oparciu krzesła tak mocno, że pobieleły jej kłykcie.

– Precz – głos mam spokojny i cichy.

Pracownice odwracają się z nieskrywanym zaskoczeniem i irytacją.

– Tu nie chodzi o nią. Ani o ciebie.

– Wyjść.

– Odpowiesz za to przed...

– ...dyrektorem? Przykro mi, już to słyszałem. A teraz wyjdźcie.

W grupce dostrzegam dziewczynę, najmniejszą i najmłodszą, niewiele ode mnie starszą. Ściska kurczowo swój kuferek. Boi się, a mnie ogarnia współczucie.

– Słuchajcie, nie martwcie się. Zostawcie przybory do makijażu i lusterko, poradzimy sobie. A teraz już sobie idźcie.

Po tej przemowie pracownice nie stawiają oporu.

– Było blisko – mówi Ashley June, gdy tylko zatrzasnęły się drzwi. Nagle na jej twarzy odmalowuje się przerażenie.

– Wynoś się!

– Co?

– Wynocha!

Odwracam się przekonany, że któraś z pracownic została i podgląda.

– Nie, ty! Zamknij oczy. Powiedziałaś, zamknij oczy! A teraz wynoś się.

– O co chodzi?

– Nie możesz mnie tak zobaczyć. Muszę się najpierw przygotować. Wynoś się, ale już!

Mrugam skonfundowany. Ashley June – romantyczna do ostatniej chwili. Nawet gdy o włos uniknęła śmierci.



Godzinę później jest gotowa. Przez ten czas staram się czymś zająć. Przyglądam się triomom, zapoznając się z tą bronią. To proste w obsłudze urządzenia – zabezpieczenie po wewnętrznej stronie, łatwe do zwolnienia, oraz duży przycisk na górze obudowy. Oczywiście nie

strzelam na próbę. Mam tylko trzy strzały i żadnego nie chcę zmarnować.

Gdy oglądam triem, myślami powracam do heperów. Próbuję o nich nie myśleć, ale wspomnienia wracają jak bumerangi. W wyobraźni widzę, jak wędrują przez Bezkres z mapą, jak rozglądają się nerwowo za schronieniem, które nie istnieje. A kiedy zobaczą zachód słońca w oddali, rozumieją z przerażającą pewnością, co wkrótce nastąpi. Nawałnica szponów i kłów pchana szaleńczym pragnieniem.

Żałuję, że spotkałem tych heperów, że z nimi rozmawiałem. Sądziłem przecież, że to dzikusy niezdolne do mówienia i pozbawione inteligencji oraz człowieczeństwa. Myślałem, że to właśnie mnie od nich odróżnia.

Pojawienie się Ashley June w nowym stroju i makijażu szybko jednak wybija mi z głowy wszelkie myśli. Dziewczyna wygląda... z braku lepszego określenia – olśniewająco. Suknia została dopasowana przez krawców jak rękawiczka. Jedwabna, szyfonowa kreacja w kolorze płonącej czerwieni lawy, ozdobiona kryształkami przy dekolcie i eleganckimi piórkami. Jednak prawdziwym objawieniem jest jej twarz. Delikatnych, harmonijnych rysów nie psuje ostry podbródek, wręcz przeciwnie. A oczy... Głębokie i hipnotycznie zielone. Ich spojrzenie może nie tylko oczarować, ale i zaczarować. Naprawdę.

– Wolałabym... – mówi Ashley June trochę nieśmiało. – Wolałabym, żeby sukienka była trochę inna. Z odrobiną zieleni, żeby pasowała mi do oczu. I w trochę jaśniejszym odcieniu, żeby podkreślić kolor moich włosów.

– Jest niezła – zapewniam, ale wiem, że potrafię się zdobyć na lepszy komplement. – Wyglądasz nadzwyczajnie. Naprawdę.

– Tylko tak mówisz... – Spuszcza oczy, ale wiem, że wcale w to nie wierzy.

– Dla mnie to koniec. Wiesz o tym, prawda? Całą noc, przy wszystkich gościach i mediach, będę się na ciebie gapił z wytrzeszczonymi oczami, spoconymi dłońmi i łomoczącym sercem. Będiesz moją zgubą, Ashley June, to pewne.

Patrzy na mnie bez zrozumienia, jej gładkie czoło przecina zmarszczka.

– Wybacz – wzdycham. – Przesadziłem z tym romantyzmem?

– Nie, nie o to chodzi. Podobało mi się. Ale kto to jest Ashley June?

Spoglądam jej w oczy.

– To ty.



Pewnego dnia razem z ojcem spaliliśmy zapiski i książki. Zabraliśmy je z domu w południe i wynieśliśmy wszystko w jutowych workach. Byłem wtedy małym chłopcem i płakałem przez całą drogę. Nie szlochałem, nie wymsknęło mi się nawet ciche westchnienie, ale z kącików oczu płynęły strugi łez, a choć dzień był upalny, a odległość spora, te łzy nie wysychały.

W lesie znaleźliśmy polanę. Bolały nas już wtedy ramiona od dźwigania. Cieszyliśmy się, że możemy zrzucić ciężkie worki na ziemię. Ojciec kazał mi zebrać trochę chrustu, drobne gałązki i patyki, nic dużego. Kiedy wróciłem, klęczał i pochylał się tak nisko, że twarzą niemal dotykał ziemi – niczym pokutnik pogrążony w modlitwie. W dłoni trzymał szkło powiększające, którego używał, żeby skupić promień słońca na kupce liści. Kazał mi się nie ruszać, więc ani drgnąłem. Bez fanfar z suchych liści uniosła się cieniutka smużka dymu. Stawała się coraz grubsza i ciemniejsza. A potem nagle buchnął płomień i zaczął pożerać susz.

– Daj chrust. – Ojciec wyciągnął rękę.

Ogień rósł. Od czasu do czasu ojciec pochylał się i dmuchał w płomień, a wtedy

z paleniska gniewnie buchały iskry. Ojciec przysunął tam dwie połamane gałęzie, po czym się wyprostował. Płomień rozgorzał z taką gwałtownością, że cofnąłem się przestraszony. A ojciec powiedział, żebym przyniósł książki i zapiski.

Przez długi czas tomy i zeszyty leżały na mchu. Ojciec siedział w bezruchu. Uświadomiłem sobie, że zbiera resztki siły woli, aby dokonać tego nieodwołalnego, ostatecznego aktu. Poprosił, żebym podszedł, posadził mnie sobie na kolanach. Trzymałem książkę z obrazkami, należała do mojej siostry. Znałem każdy rysunek, każdy kolor psa i kota, domu i sukienki. Ojciec odetchnął głęboko, a ja pomyślałem, że zacznę mi jeszcze raz wyjaśniać, dlaczego musimy spalić książki. Ale tylko zatrząsł się, jakby próbował opanować czkawkę. Położyłem rękę na jego dużej dłoni, muskularnej i twardej pod szorstką skórą, i powiedziałem, że wszystko w porządku. Zapewniłem, że rozumiem, dlaczego musimy spalić książki – ponieważ siostra i mama zniknęły, nie możemy zatrzymać w domu nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, gdyby nas ktoś odwiedził. Nie mogliśmy pozwolić, aby o nie pytano. Powtórzyłem ojcu jego słowa, które powiedział mi przed tą wyprawą: *To zbyt niebezpieczne*. Nie rozumiałem ich ani przed wyruszeniem, ani potem, na polanie.

Myślę, że ojciec chciał przejrzeć te książki razem ze mną. Po raz ostatni. Ale z nieznanых powodów tego nie zrobił. Po prostu brał kolejne tomy i wrzucał je w ogień. Nadal pamiętam uczucie, które ogarnęło mnie, gdy ojciec wziął ode mnie książeczkę siostry. Nie stawiałem oporu, tom wysuwał mi się spod palców, ale miałem wtedy wrażenie, że tracę coś, czego już nigdy nie odzyskam.

Odeszliśmy godzinę później, kiedy z ognia – oraz książek – nie zostało nic poza dogasającym żarem i szarym popiołem. Ojciec też przypominał dogasające ognisko, twarz miał szarą jak popiół, a jego wewnętrzny żar stygł. Zanim odeszliśmy z polany, zawróciłem po jutowe worki, o których w porę sobie przypominałem. Leżały tuż przy popielisku. Kiedy pochyliłem się, żeby podnieść worki, coś mnie napadło – dmuchnąłem lekko w popiół, jak to podpatrzyłem u ojca. Wzbiłem tuman pyłu, który zaproszył mi oczy. Ale pomimo pieczenia i łez ujrzałem maleńki okruch żaru w czerni paleniska. Czerwono-pomarańczową, zmartwychwstałą iskrę. Jak błysk czerwcowego słońca w oceanie szarego popiołu.



Sporo czasu upłynęło, zanim ujrzałem znowu ten gorejący blask w szarości nocy. Było to na szkolnym podwórzu wiele lat później. Jej włosy miały taką właśnie barwę – włosy dziewczyny, którą wtedy ujrzałem po raz pierwszy i już nie mogłem oderwać oczu. Kiedy odwróciła się w moją stronę, nasze spojrzenia spotkały się pomimo dzielącej nas odległości i tłumy uczniów. Wśród przewijających się jak w kalejdoskopie twarzy nadal widziałem ten czerwony płomień gorejący wśród popielatej szarości niczym czerwcowy promień słońca.

I właśnie wtedy doznałem olśnienia. Ash – popiół i June – czerwiec.

Jej określenie to Ashley June, powiedziałem sobie w duchu.



Gdy jesteśmy jeszcze sami w bibliotece, spowitej poświatą księżycą, dzielę się tamtymi wspomnieniami z Ashley June.



Prasa czeka w gotowości, gdy wychodzimy z biblioteki. Po obu stronach na całej długości ceglanej ścieżki tłoczą się żurnaliści i fotografowie. Raz po raz błyskają jarzeniowe flesze, ale nam to nie przeszkadza. Eskorta prowadzi mnie i Ashley June nieznośnie powoli, musimy przystawać co parę kroków, żeby pozować do zdjęć lub odpowiedzieć na jakieś pytanie.

Ashley June nie puszcza mnie ani na chwilę, jej dłoń opiera się w zagięciu mojego ramienia. To wspaniałe uczucie. Gdybym był sam, nienawidziłbym uwagi mediów, ale z nią u boku czuję się swobodnie. Z Ashley June jest chyba tak samo. Dotyk jej ręki, przypadkowe muśnięcie biodrem, poczucie wspólnoty, gdy kroczymy czerwona ścieżką. Jesteśmy mistrzami w tej grze – grze pozorów i złudzeń – dlatego czujemy się dobrze w błyskach fleszy. Poza, krótka odpowiedź, wyobrażenie – to przecież nasza specjalność.

– Jak poszło wam szkolenie? Jesteście gotowi na łowy?

– Było wspaniale i na pewno wykorzystamy to, czego się dowiedzieliśmy.

– Czy to prawda, że zawiązaliście sojusz?

– To żadna tajemnica. Jesteśmy razem.

– Jak sądzicie, który z łowców okaże się dla was największym wyzwaniem?

I tak dalej, i tak dalej.

Krótki zazwyczaj spacer teraz zajmuje prawie godzinę, ale zainteresowanie dziennikarzy i gości bynajmniej nie spada, gdy docieramy do głównego budynku. Wchodzi tam coraz więcej osób, osobistości i przedstawiciele mediów, którzy przyjeżdżają powozami różnego rodzaju i rozmiaru. Odprowadzane do stajni konie są spienione i zmęczone.

W instytucie jest jeszcze tłoczniej. Gapiów i dziennikarzy oddzielają od przejścia dla łowców jedwabne sznury, a eskorta na szczęście od razu prowadzi nas dalej.

– Sala główna – oznajmia nasz przewodnik, po czym zerka na zegarek.

Widać, że na wystroju pomieszczeń bankietowych nie oszczędzano. Złote kandelabry zwisają z ozdobnego sufitu i rzucają przytłumione jarzeniowe światło na stoły. Srebrne sztuce z onyksowymi zdobieniami, porcelanowe talerze w stylu neogotyckim, kryształowe kielichy wysadzone diamentami na wyszywanych fioletem obrusach. Na każdym stole znajduje się kosz z kwiatami. Wysokie okna z atlasowymi kotarami górują nad salą. Goście tłoczą się przy tych od wschodu, zerkając na kopułę. Na krańcu sali bankietowej znajdują się wielkie schody wiodące na wyższą kondygnację. Leży na nich czerwony dywan, jaskrawy i miękki. Na górze znajduje się parkiet lśniący w jarzeniowej poświacie.

Łowcy zostają rozdzieleni do różnych stolików. Kiedy Ashley June puszcza moje ramię, mam wrażenie, że to tragiczne rozstanie. Przy stole zasiadają wysoko postawieni urzędnicy z Pałacu, ich małżonkowie zasypują mnie nudnymi pytaniami. Jedzenie podają kelnerzy w smokingach i kelnerki w sukienkach z falbankami, manewrują między stołami, niosąc na tacach krwiste mięso. Związujemy na szyjach długie serwety, sięgające kolan, aby nie pobrudzić wieczorowych kreacji. Na serwetach szybko pojawiają się plamy krwi. Od tyłu dni żywię się tylko surowym mięsem, że ledwie mogę znieść widok kolejnych porcji. Ledwie tknąłem czegokolwiek, ale przynajmniej mam usprawiedliwienie – podniecenie przed polowaniem odbiera mi apetyt.

Podczas podawania kolejnych dań zerkam na Ashley June. Widać, że jest w swoim żywiole – oczarowuje gości. Nawet przy głównym daniu, gdy serwowane są najtłuszczej kęsy mięs, potrafi przyciągnąć do siebie uwagę. To tylko powiększa przewagę dziewczyny. Przecież oszukiwała otoczenie przez całe życie. *Atak jest najlepszą obroną* – przypominam sobie jej słowa.

Po deserze – ciastkach i sufletach, których widok, jak zapewniam, przywrócił mi apetyt – zaczynają się przemowy najwyższych przedstawicieli władzy. Wykorzystuję ten czas na

przyglądanie się Ashley June, którą na szczęście mam w polu widzenia. Sukienka podkreśla jej szczupłe ramiona, srebrzyste światło odbija się na jasnej skórze. Odgarnia włosy na plecy z wystudiowanym wdziękiem, odsłaniając krzywiznę szyi. Zastanawiam się, czy myśli o mnie tak jak ja o niej – nieprzerwanie, obsesyjnie, beznadziejnie.

Nie tylko ja obserwuję Ashley June. Ponurak dwa stoły dalej też nie spuszcza z niej oczu. Upija trochę wina. Potem znowu, ale nigdy nie odwraca wzroku.

Ostatni na mównicę wchodzi dyrektor. Przypudrował sobie twarz, utapirował włosy i pomalował paznokcie na krwistoczerwony kolor.

– Drodzy szanowni goście, mam nadzieję, że nasz instytut, cieszący się zasłużoną reputacją, spełnił dzisiaj wasze wysokie wymagania. Ufam, że posiłek i wystrój tej wspaniałej sali zadowolili wasze gusta. Wiem, że tak szacowne grono jak wy zwykle nie musi podróżować, żeby wziąć udział w przyjęciu. Ale okazja jest przecież wyjątkowa, nieprawdaż? Ponieważ jutro w nocy rozpoczną się Wielkie Łowy!

Goście, większość już po kilku kieliszkach, odstawiają sztucce i szkło.

– A dzisiaj w nocy świętujemy na cześć naszego łaskawego, ukochanego Władcy, pod którego rządami możliwe było zorganizowanie tych wspaniałych łowów. Świętujemy jak należy! Bez ograniczeń! Ponieważ za dnia będzie dużo czasu, aby odespać dzisiejszą uroczystość!

Po sali niesie się skrobanie, gdy goście drapią się w nadgarstki.

Dyrektor chwycił się lekko i dopiero wtedy dociera do mnie, że chyba wypił więcej niż parę drinków.

– Na moich barkach jednak spoczywa też nieprzyjemny obowiązek. Muszę rozwiać nadzieje wszystkich, na wypadek gdyby ktoś wpadł na pomysł... pomysł, żeby... cóż, powiedzmy, żeby nieoficjalnie przyłączyć się do jutrzejszego polowania. Budynek instytutu zostanie całkowicie zamknięty na godzinę przed zachodem słońca. Co oznacza, że nikt z was nie będzie mógł stąd wyjść, dopóki łowy się nie zakończą.

Teatralnie kręci wino w swojej lampce, przyglądając się trunkowi w jarzeniowej poświacie.

– Tuż przed zamknięciem budynku łowcy zostaną przeniesieni do tajnej lokacji. Zaraz po zachodzie, gdy tylko się odważą, zostaną wypuszczeni w Bezkres, aby mogli ruszyć w pościg za heperami. A wtedy – dyrektor podnosi głos – wtedy rozpoczną się najwspanialsze, najbardziej podniecające, najkrwawsze i najbardziej brutalne Wielkie Łowy!

Przez salę bankietową przetacza się nawałnica syków, trzasków stawów i rozbijanego szkła.

Po przemówieniu, gdy goście wracają na miejsca, przy parkiecie zbiera się kwartet smyczkowy. Zaczyna grać barokową melodię, powoli i lekko, w typowej dla końca epoki aranżacji. Stopniowo parkiet zaczynają wypełniać pary tancerzy. W połowie pierwszej melodii dostrzegam Ponuraka, który wstaje od stołu. Patrzy na Ashley June i rusza do niej, oblizując wargi. Odsuwam krzesło i szybko podchodzę do dziewczyny, wyprzedziwszy Ponuraka. Ashley June siedzi prosto, z dłońmi na podolku i uniesioną w oczekiwaniu głową.

Gdy się zbliżam, dziewczyna zerka na mnie nieznacznie. Czy mi się zdaje, czy dostrzegam lekki uśmiech w kącikach jej ust i zapowiedź niewielkiego dołeczka na policzku? Podaję jej ramię, ujmuje je i wstaje z gracją. Idziemy na parkiet, pozostawiając Ponuraka stojącego samotnie i niezręcznie między stolikami.

Jakby na życzenie kwartet zaczyna bardziej romantyczną melodię. Wokół słychać szepty i pomruki, a potem kilka par wycofuje się z parkietu. Ashley June i ja tańczymy – para łowców. Parkiet jest nasz. I wszystkie oczy, rzecz jasna, skierowane są na nas. Paru fotografów zajmuje pozycje, unosi aparaty. Zerkam na Ashley June, na jej twarzy dostrzegam cień przerażenia.

Żadne z nas nie chce uwagi. Ale już za późno. Prostuję ramiona, dziewczyna znajduje się tak blisko, że czuję emanujące od niej ciepło. I wbrew okolicznościom tak właśnie jest dobrze. Ciągniemy do siebie, jakby nasze serca zmieniły się w potężne magnesy o przeciwnych biegunach.

Przypominam sobie wszystko, czego nauczyłem się w szkole, po czym przyciskam pięści do jej zaciśniętych dłoni, kłykcie do kłykci. Nie znośm lekcji tańca, obawiałem się, że z bliska ktoś mógłby zauważyć, że niezbyt dokładnie ogoliłem włoski na rękach. Ale z Ashley June nie mam się czego bać. I mogę czuć się swobodnie. Czuję dotyk jej skóry, bliskość jej ciała, oddech łaskoczący mnie w szyję. Patrzę w jej błyszczące zielone oczy. Szkoda, że nie mogę szeptać jej do ucha, ale zbyt wiele osób nas otacza, a muzyka jest za cicha. Zresztą co miałbym do powiedzenia?

Zatracam się w doznaniach, prawie zapominam, że powinienem przecież tańczyć. Przyciskam kłykcie mocniej do pięści Ashley June na znak, że zaczynamy. Lekkie pchnięcie na potwierdzenie i robimy pierwsze kroki. Jak na parę, która nigdy wcześniej razem nie tańczyła, wychodzi nam to zaskakująco dobrze. Nasze ciała poruszają się z płynną harmonią, utrzymujemy niewielki, lecz stały dystans. Poza paroma muśnięciami nogi nam się nie płaczą, stopy wybijają rytm o cale od siebie, ale nigdy bliżej. W szkole lekcje tańca stanowiły jedynie ćwiczenie do zaliczenia, sekwencję kroków do wykonania. Ale z Ashley June taniec to płynność ruchu – jakbym nabrał wiatru w żagle i dawał mu się nieść. Pod koniec melodii puszczam dziewczynę do trzykrokowego obrotu, a ona unosi szczupłe ręce i wiruje jak derwisz. Gdy się zatrzymuje po obrocie, włosy opadają jej uwodzicielsko na twarz, a zielone oczy błyszczą. Słyszę zaskoczone westchnienia od strony stołów.

– Łał – szepczę do Ashley June.

Zaczyna się kolejna melodia. Rozdzielamy się. Teraz muszę zatańczyć obowiązkowo z żonami oficjeli, które już tłoczą się blisko mnie. Ich mężowie nie są zainteresowani ani tańcem, ani swoimi partnerkami, nawet nie ruszają się od stołów. To męczące – niekończące się tańce i obowiązkowe pogawędki. Wkrótce zaczynam się pocić. Muszę zrobić sobie przerwę, ale w kolejce czeka zbyt wiele partnerek.

– Czujesz coś? – pyta jedna przede mną. Tańczyłem z nią przez parę minut, ale dopiero gdy się odzywa, naprawdę ją zauważam.

– Nie, raczej nie.

– Zapach hepera jest taki wyraźny. Nie wiem, jak możecie się skupić, gdy wokół czuć hepera. To takie rozprasające. Wiem, że szybko można do tego przywyknąć, ale zapach jest tak wyraźny, jakby dochodził stąd.

– Czasami zachodni wiatr niesie zapach spod kopuły – mówię.

– Nie wydaje mi się, żeby dzisiaj wiało. – Kobieta zerka w otwarte okno.

Kolejna kobieta jest jeszcze bardziej bezpośrednio.

– Zapewniam – oznajmia – w tej sali jest heper. Zapach czuć bardzo wyraźnie.

Mówię jej o wietrze spod kopuły.

– Nie, nie. Ten zapach jest tak silny, jakbyś to ty był heperem!

Drapię się w nadgarstek, ona również. Na szczęście.

Kolejna partnerka zbliża się, ledwie melodia się kończy. Kląnam się sztywno, ale wtedy ktoś mnie odbija. Ashley June. Jedno spojrzenie w jej oczy i wiem, że się martwi. Domyśla się, w czym problem. Inne kobiety nie są zadowolone, ustępują jednak, gdy dostrzegają, że to lowczyńni. Ashley i ja zaczynamy tańczyć. Znowu błyskają flesze.

Tym razem nie czujemy radości. Otacza nas zbyt wiele osób, za bardzo się boimy, że może nam wystąpić pot na czoła albo zapach stanie się zbyt wyraźny. Zbyt wiele tańczyłem.

Kiedy melodia dobiega końca, mówię dziewczynie – głośno, żeby wszyscy usłyszeli – że muszę iść do toalety. Nie mam pewności, czy to pomoże, ale wiem, że nie wolno mi się bardziej wysilać. Muszę się oddalić, ochłonać. Ashley June zapewnia, że poczeka.

Odpozywam i przy okazji się załatwiam, gdy do łazienki ktoś wchodzi. Staje przy sąsiednim pisuarze, chociaż wszystkie inne są wolne. Nikogo więcej tu nie ma.

– Jak długo zamierzasz wytrzymać? – pyta.

– Proszę?

– To proste pytanie. Jak długo zamierzasz wytrzymać?

Mężczyzna jest wysoki, barczysty. Robi wrażenie. Na nosie ma modne okulary, zupełnie niepasujące do umięśnionej sylwetki. Źle dopasowany, za mały frak marszczy mu się na ramionach i zbyt mocno opina płaski brzuch.

Postanawiam zignorować natręta, skupiam się na trafieniu naklejki w pisuarze. Tam właśnie należy celować, zapewne w strefę, gdzie mocz najmniej się rozpryskuje i najlepiej spływa. W większości publicznych toalet nalepka przedstawia muchę, pszczołę albo piłkę futbolową. Tutaj, w instytucie, to obraz kopuły.

– Długo czy krótko? – powtarza intruz.

– Co?

– Długo wytrzymasz czy krótko?

– Wybacz, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Mężczyzna pociąga nosem.

– Przewiduję, że krótko. Może pół godziny. Gdy tylko łowcy znajdą się poza zasięgiem wzroku, ruszą na ciebie. I na dziewczynę.

Reporter. Pewnie jakiś paparazzi, który próbuje użyć kłamstw, żeby uzyskać ciekawsze informacje niż z oficjalnych wywiadów. Właśnie tak pracują paparazzi – wymyślają oburzające historyjki, żeby wywołać reakcję, a potem opisują tę reakcję. Najlepiej ich ignorować.

Zapinam rozporek i podchodzę do podajnika z papierowymi ręcznikami przy drzwiach. Mężczyzna również cofa się od pisuaru i staje za mną. Wyciąga rękę do podajnika, blokując mi drogę. Urządzenie wypuszcza mu na dłoń niewielką serwetkę.

– Użyj triemu, tyle ci powiem. – Zgniatą ręcznik w dłoni. – Użyj go wcześniej i bez wahania. Łowcy, szczególnie ta para studentów, będą chcieli wyeliminować cię jak najszybciej z gry. Bądź ostrożny.

Ani razu mężczyzna nawet na mnie nie zerknie, oczy ma wbite w podajnik, jakby to był teleprompter.

– Kim jesteś? – pytam. I skąd wiesz o triemach?

– Posłuchasz dobrej rady? – nie odpowiada wprost. – Nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Weźmy na przykład dzisiejszą noc. Spójrz na przepych tego przyjęcia. Co ci powiedziano? Że zdecydowano się go wydać w ostatniej chwili? Popatrz na jedzenie, na wino, na wystrój, liczbę gości. I sam powiedz, czy to wygląda na imprezę, którą można przygotować w krótkim czasie? Pomyśl też o tej tak zwanej loterii, wymyślono naprawdę przebiegły podstęp. Myślisz, że znalazłeś się tutaj przypadkiem? Pozory mylą.

Kładzie rękę na kłamce, jakby wreszcie miał wyjść, ale zatrzymuje się i spogląda na mnie po raz pierwszy od początku rozmowy.

– I ta dziewczyna. Ślicznotka, z którą tańczyłeś. Uważaj na nią. – Spodziewam się, że w oczach mężczyzny zobaczę surowość, i nie myślę się. Ale przebłyskującej w nich życzliwości nigdy nie zdołałbym przewidzieć. – Musisz być czujny. Ona nie jest tym, kim myślisz. Nie pozwól, żeby ci przeszkodziła.

I z tymi słowami nieznajomy otwiera drzwi, po czym wychodzi.

Pokręcony dziwak, myślę sobie. Biorę ręcznik, żeby się przetrzeć pod pachami, ale wtedy do toalety wtacza się grupka gości, czterech lub pięciu. Są głośni i niezbyt pewnie trzymają się na nogach. Mocno podpici. Wychodzę szybko. Rozglądam się za paparazzim, ale nie ma go w zasięgu wzroku.

– Chodź ze mną – słyszę szept. To Ashley June. Pojawiła się jakby znikąd. – Spełniłmy już swój obowiązek na bankiecie. Wszyscy goście są tak pijani, że nie zauważą naszego zniknięcia. Chodź.

Ruszam za nią posłusznie.

Wyprowadza mnie z sali, jej szczupła sylwetka przemyka zwinnie między cieniami na parkiecie i stołami bankietowymi. Korytarze są puste, muzyka cichnie, gdy się oddalamy. Początkowo wydaje mi się, że dziewczyna prowadzi mnie do swoich kwater, ale na schodach mijamy trzecie piętro i wspinamy się wyżej, na sam szczyt. Tam Ashley June otwiera drzwi na końcu korytarza i przed nami pojawiają się gwiazdy.

– Byłam tu parę razy. Nikt inny nie przyszedł – szepcze.

Przed nami rozciąga się Bezkres jak zmarznięte morze. Równina wydaje się gładka i cicha. A wyżej migoczą gwiazdy, przypominając o jeszcze większej pustce nad nami.

Ashley June prowadzi mnie na środek dachu. Pod naszymi butami chrzęszczą małe kamyczki. Dziewczyna zatrzymuje się.

Staję tuż za nią. Nasze ramiona się stykają, gdy odwraca się do mnie, ale żadne z nas się nie wzdraga. Kiedy dziewczyna unosi na mnie spojrzenie, w jej oczach odbijają się gwiazdy.

– Czy twoi rodzice nadali ci określenie? – pyta.

Kiwam głową.

– Tak. Ale pewnego dnia przestali go używać. Tak po prostu.

– Pamiętasz to określenie?

– Gene.

Milczy przez chwilę. Widzę, jak porusza ustami, wymawiając moje imię, jakby uczyła się tego słowa na pamięć.

– A ty?

– Nie pamiętam – wzdycha. – Ale i tak nie powinniśmy zwracać się do siebie po określeniach od naszych rodzin. Moglibyśmy lekkomyślnie lub nieświadomie zrobić tak przy innych. A to przyciągnęłoby niepotrzebnie...

– ...uwagę – kończę za nią.

Musimy opanować uśmiech, który równocześnie pojawia się na naszych twarzach, jakby jej i moje usta należały do tej samej osoby. Jak zwykle przybieramy maski i zaczynamy drapać się po nadgarstkach.

– Ojciec powtarzał mi to nieustannie. *Nie przyciągaj niepotrzebnie uwagi.* Cały czas. Twój pewnie też.

Ashley June kiwa głową, przez jej twarz przemyka cień smutku. Razem patrzymy na Bezkres i na kopułę, która z tej odległości wydaje się taka mała. Z dołu słyszymy grupę gości idących zapewne właśnie pod kopułę. Ich niewyraźne, pijane głosy niosą się w nocnym powietrzu. Wreszcie cichną w oddali.

– Hej, pokażę ci coś – zmienia temat Ashley June. – Masz dziwaczne odruchy? Tylko najpierw musimy usiąść.

Siadamy, a wtedy dziewczyna unosi jedną stopę na palce i zaczyna trząść nogą, szybkim, wibrującym ruchem.

– Kiedy ogarnia mnie zniecierpliwienie lub zdenerwowanie, zwykle mam ochotę tak robić. Rodzice ostrzegali mnie, ale i tak robiłam to skrycie. Kiedy noga zaczyna drżeć, robi to jak

na autopilocie. Nawet o tym nie myślę, wszystko dzieje się samoczynnie.

Próbuję. Nie wychodzi.

– Za dużo o tym myślisz – poucza mnie Ashley June. – Odpręż się i nie myśl o tym.

Wykonuj szybsze, krótsze ruchy.

Po czwartej próbie się udaje. Noga zaczyna mi sama podskakiwać jak mały młotek.

– Ło! – wrywa mi się okrzyk zaskoczenia.

Dziewczyna uśmiecha się tak szeroko, jak jeszcze nie widziałem. Wydaje przy tym cichy dźwięk.

– To się nazywa śmiech – wyjaśniam jej.

– Wiem. Chociaż czasami rodzice nazywali to rechotem. Słyszałeś coś takiego?

Potrząsam przecząco głową.

– U nas to był po prostu śmiech. Nieczęsto się śmialiśmy. Mój ojciec... Zawsze się martwił, że mogę się zapomnieć i roześmiać publicznie.

– Tak, mój też.

– Każdego ranka przypominał mi: *Nie rób tego, nie rób tamtego. Żadnego śmiechu, żadnych grymasów, kichania albo marszczenia brwi.*

– Ale dzięki temu dotarliśmy tutaj. Mam na myśli, że nadal żyjemy.

– Chyba tak. – Odwracam się do niej. – Mój tata miał jedno dziwne powiedzenie. Może twoi rodzice też ci to powtarzali? *Nigdy nie zapominaj, kim jesteś.*

– *Nigdy nie zapominaj, kim jesteś?* Tego nie słyszałam.

– Ojciec powtarzał mi to rzadko, może raz na rok. Zawsze myślałem, że to dziwne. –

Spuszczam wzrok na swoje stopy.

– Kiedy twoi... no, wiesz...

– Moi rodzice?

Kiwa lekko głową.

Spoglądam na wschodnie pasmo gór.

– Matka i siostra wiele lat temu. Nie pamiętam ich za dobrze. Pewnego dnia po prostu zniknęły. Potem mój ojciec, ponad siedem lat temu. Został ukąszony.

Milknijemy potem, ukojeni tym, że dzielimy wspomnienia. Dochodzi do nas stłumiona muzyka z bankietu, obojętna i odległa o tysiące mil. W końcu nasze spojrzenia wędrują do kopuły, nieruchomej i lśniącej.

– Niewiedza to błogosławieństwo – szepcze Ashley June. – Dzisiaj w nocy śpią spokojnie, nieświadomi, co czeka ich jutro. Koniec życia. Biedactwa.

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć – odzywam się po dłuższym milczeniu.

– To znaczy?

– O heperach.

– Co takiego?

Milczę znowu przez chwilę.

– Kiedy poszedłem po wodę do stawu, nie wszedłem po prostu i nie wyszedłem.

Poznałem ich. Spędziłem z nimi trochę czasu. I wiesz co? Oni mówią. Potrafią nawet czytać. To nie dzikusy, jak mi się zdawało, ani trochę.

– Mówią? Czytają? – Dziewczyna spogląda z niedowierzaniem na kopułę. Nic się tam nie rusza.

– Co więcej, nawet to lubią. W lepiankach mają książki. Całe półki. I są uzdolnieni, potrafią rysować i malować.

Kręci głową.

– Nie rozumiem. Myślałam, że dorastali jak zwierzęta w oborze. Po co ich oswajać

i szkolić?

– Nie. Wiem, że trudno to pojąć, ale tu nie chodzi o osvajanie i tresowanie jak zwierząt w cyrku. Oni są zupełnie inni. Są... normalni. Myślą, rozumują, żartują czasami. Jak ty i ja.

Na czole Ashley June pojawia się zmarszczka. Dziewczyna milczy, przetrawia moje słowa.

– Ale nie powiedziałaś im o polowaniu? – pyta w końcu rzeczowo.

– Nie mają o tym pojęcia – zapewniam. – Czasami niewiedza naprawdę *jest* błogosławieństwem.

– A co powiedziałaś im o sobie?

– Że zastąpiłem tego szalonego naukowca. – Waham się. – To by było zbyt... dziwne, gdybym powiedział, że jestem łowcą heperów. Może powinienem ich ostrzec. Może nawet powinienem im powiedzieć o Wielkich Łowach.

– Nie, dobrze postąpili. Gdybyś im powiedział, co dobrego by z tego wynikło?

Niezależnie od wiedzy już nie żyją.

Przez głowę przemykają mi miliony myśli na sekundę. Wreszcie rzucam:

– Myślisz, że powinniśmy coś zrobić?

Ashley June podnosi na mnie wzrok.

– Bardzo zabawne.

– Pytałem poważnie. Zamiast zrealizować nasz plan, czy nie powinniśmy im jakoś pomóc?

Dziewczyna wytrzeszcza oczy, potem przymyka powieki.

– Co masz na myśli?

– Nie powinniśmy...

– Co?

– Zrobić czegoś, żeby im pomóc?

– Nie bądź śmieszny.

– Mówię serio. Oni są jak my. My jesteśmy jak oni.

W jej spojrzeniu widzę głębokie zdumienie.

– Nie, wcale nie. Oni są zupełnie inni niż my. Nie obchodzi mnie, czy potrafią mówić, to nadal tylko święte krowy. – Ujmuje mnie za rękę. – Gene, nie chcę uchodzić za zimnokrwistą morderczynię, ale nie możemy dla nich nic zrobić. Heperzy zginą jutro w nocy na łowach niezależnie od tego, czy ich wykorzystamy, żeby przeżyć, czy nie.

– Możemy... Możemy powiedzieć im... No nie wiem... żeby nie opuszczali kopuły. I że list z informacją o awarii kopuły to oszustwo. – Przeczesałam sobie włosy palcami, mocno. – To naprawdę trudne, Ashley June.

Kiedy dziewczyna się odzywa, jej głos brzmi łagodniej.

– Jeżeli jutro umrą zgodnie z planem, da nam to przynajmniej szansę na życie. Ale jeżeli będziemy siedzieć z założonymi rękami, ich śmierć okaże się nie tylko bez znaczenia, lecz także sprowadzi i na nas pewny koniec. Możemy przynajmniej sprawić, że nie umrą na próżno. Ich śmierć pozwoli nam żyć naprawdę, Gene. – Spogląda na mnie błagalnie. – *Nasze* nowe życie, Gene. Razem. Czy to źle starać się, żeby wynikło z tego coś dobrego?

Nic nie odpowiadam.

W jej oczach wzbierają łzy i pewnie po raz pierwszy w życiu Ashley June ich nie powstrzymuje. Unoszę rękę, żeby otrzeć wilgotne strużki rękawem, ale dziewczyna przytrzymuje mnie za nadgarstek i przysuwa sobie moją dłoń do policzka. Ma tak miękką skórę, a wilgotne łzy spływają mi pomiędzy palce. Serce mi mięknie zupełnie.

– Proszę – szepcze dziewczyna, a błaganie w jej głosie łamie mnie ostatecznie.

Nasze ramiona się stykają. Obracamy się do siebie równocześnie. Jesteśmy tak blisko, że widzę maleńki pieprzyk w kąciku jej oka. Pocieram go lekko kciukiem.

– To znamię. Nie da się wytrzeć – szepcze Ashley June.

– Nie próbuję go wytrzeć. – Właściwie nie wiem, co robię. Wiem tylko, że serce mi łomocze i wzlatuje, ale nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić.

Dziewczyna unosi lekko ramię. Oczy ma wielkie, zapraszające. Skóra jej pachy jest widoczna, Ashley June czeka. Zerka na mój łokieć, potem spogląda mi w oczy.

Najdelikatniej jak umiem wyciągam rękę i opuszczam jej ramię.

– Proszę – mówię cicho, ledwie słyszalnie. – Nie zrozum mnie źle... Ale... nigdy... nigdy to na mnie nie działało.

Na jej twarzy nie pojawia się zawód ani oburzenie, lecz wyraźna ulga.

– Ze mną jest tak samo. Zawsze udawałam, że to lubię. – Odwraca głowę. – Z moim chłopakiem, a potem z tobą w tym schowku. Czułam, że chyba coś ze mną jest nie tak...

Głos jej się rwie.

– Ale przecież nie jestem normalna. Jestem heperem – w ostatnim słowie brzmi ulga, ale też wyznanie winy.

Nie wiedząc, co robię, chwytam ją za rękę. Wyczuwam drobne kości, lekkie drżenie palców. Cofam dłoń, ale Ashley June mnie powstrzymuje. I kładzie swoją dłoń w mojej. Skóra do skóry, pełny dotyk. Patrzymy sobie w oczy. Doznanie, jak nic, co czułem wcześniej, jest oszałamiające. Nie śmiem nawet oddychać. Dziewczyna zamyka oczy, odchyła lekko głowę. Jej usta rozchylają się delikatnie, zaskakująco kuszące i zapraszające.

I wtedy spleta palce z moimi. Nigdy wcześniej tego nie widziałem, nigdy nie wiedziałem nawet, że tak można. Ten dotyk jest miękki i delikatny, pieszczotliwy. Czuję iskry pod skórą.

– Ashley June – szepczę.

Dziewczyna nie odpowiada od razu, siedzi nieruchomo z odchyloną głową i zamkniętymi oczyma.

– Wiem – odpowiada w końcu cicho. – Wiem.



Gwiazdy migoczą. Głowa Ashley June opiera się o moje ramię, ręka na mojej piersi nadal ściska mi palce. Nie puściliśmy się nawet wtedy, gdy kładliśmy się do snu. Słyszę cichy, spokojny oddech dziewczyny, czuję stłumione bicie jej serca na swoich żebrach. Oczy mam zamknięte. Znowu zapadam w sen.



Kiedy się budzę ponownie, niebo pojaśniało, a mrugające gwiazdy zaczęły blednąć. Zapach świtu unosi się w powietrzu. Ashley June nie ma przy mnie. Drobne kamyki chrzęszczą, gdy się podnoszę.

Nie ma jej na dachu. Zaniepokojony wychylam się za krawędź.

Widzę dziewczynę w oddali. Idzie powoli, pogrążona w myślach.

Wkrótce potem śpieszę za nią po ceglanej ścieżce. Wszędzie dostrzegam pozostałości po nocnym bankiecie – porozrzucane papierowe talerze, patyki od zakąsek, kieliszki, puste butelki. Nawet kałuże wymiocin. Gdy podchodzę bliżej, Ashley June zatrzymuje się i czeka na mnie.

– Hej – wita mnie słabym uśmiechem i sięga po moją rękę.

– Mam nadzieję, że nikt nas nie widzi.

– Nie, wszyscy są spici na umór.
– Oby. Co robisz?
– Coś mnie dręczyło. Musiałam się przejść, żeby oczyścić umysł. – Ściska mi dłoń. –
Cieszę się, że dołączyłeś. Chodź ze mną.
I prowadzi mnie do kopuły.

Ramię w ramię idziemy pod coraz jaśniejszym niebem, nasze ręce splatają się z zaskakującą łatwością i pasują do siebie idealnie. Skóra dziewczyny jest miękka pod moim dotykiem. Nasze ciała zbliżają się do siebie, gdy podchodzimy pod szklaną barierę. Łatwo zapomnieć, jaki to dzień. Dzień, który zakończy się polowaniem, przemocą i śmiercią.

A potem stajemy przed Pępowiną.

– Otwórz – nakazuje Ashley June.

W środku na wyłączonym taśmociągu leży wielka koperta. Zerkam na dziewczynę, a ona odpowiada mi skinieniem głowy i przenikliwym spojrzeniem.

Biorę kopertę i czytam drukowane litery na zamknięciu.

PILNE: OTWORZYĆ NATYCHMIAST!

– Tak sądziłam, że już tu będzie. To list informujący heperów o awarii kopuły. To przez ten list wyjdą stąd w Bezkres. Zmieniają się z chronionych zwierząt w zdobycz myśliwską. Dzięki temu łowy będą możliwe. Ten list zabije heperów.

Patrzę na nią, potem na kopertę.

– Dlaczego mi to pokazujesz? – pytam zdziwiony.

– Ponieważ wcześniej nie zachowałam się wobec ciebie uczciwie, Gene. – Próbuję jej przerwać, ale Ashley June kręci tylko głową. – Nie, to ważne, więc pozwól mi mówić. Mam wrażenie, że zmuszam cię, abyś zgodził się na coś, czego potem możesz żałować.

– Nie będę...

– Nie, Gene, słuchaj! Nie chcę, żebyś czuł się oszukany lub wmanewrowany. Dlatego chcę ci dać ostatnią szansę. Przemyśl to dobrze i sam zdecyduj, jak chcesz postąpić.

– O czym ty mówisz?

– Jeżeli włożysz ten list z powrotem do Pępowiny, odbędą się Wielkie Łowy. Ale możesz również go nie odkładać, tylko podrzeć na drobne kawałeczki. Wtedy heperzy przeżyją. Wszystko zależy od ciebie. Naprawdę tylko od ciebie. Mówię poważnie.

– Jeżeli podrę ten list, polowanie tylko się opóźni. Może o parę dni, najwyżej o tydzień. Nie przetrwam tak długo. Zostanę odkryty o wiele wcześniej.

– Wiem.

– Dlaczego to robisz?

– Ponieważ – głos jej drży – rozumiem, że taka sytuacja może cię dręczyć. Nie umiałabym spojrzeć sobie w oczy, wiedząc, że ci to zrobiłam. Ale teraz wszystko jest w twoich rękach, dosłownie. Twój wybór.

Przyglądam się kopercie, prostokątnej i grubej. Potrząsam głową. Nie mogę zdecydować.

– Nie rób tego – mówię, ale Ashley June odwraca głowę i przygryza usta, a w jej oczach znówu lśnią łzy. Patrzę na kopułę, na lepianki za szkłem, zamknięte jeszcze okna i drzwi. Myślę o heperach w środku, śpiących w swoich łóżkach, o ich unoszących się i opadających kłatkach piersiowych, zamkniętych oczach, skórze pulsującej w rytmie krwi.

Słońce wynurza się zza gór na wschodzie. Na Bezkresie pojawiają się pierwsze smugi różu i oranżu, odbijające się na szczycie kopuły i migoczące na tafli stawu. Nadchodzi świt.

Ashley June nie umie spojrzeć mi w oczy. Zerka tylko gdzieś ponad moim ramieniem. Wbijam wzrok w jej twarz i czekam, aż nasze spojrzenia wreszcie się spotkają. Wschód rozpala jej włosy żywym ogniem. I nareszcie dziewczyna podnosi na mnie oczy, migoczące od łez jak

szmaragdy.

I najwyraźniej tyle wystarczy, żeby mnie całkowicie przekonać, usunąć wszelkie wątpliwości. Ciepły blask jutrzeńki, najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałem, możliwość wspólnego życia, o jakim nigdy nie śmiałem nawet marzyć.

– Dobrze – szepczę. Otwieram drzwiczki i odkładam list na taśmociąg Pępowiny. Drzwiczki zamykają się z trzaskiem, który wydaje się ostateczny.



Odchodzimy potem szybko, nie chcemy, żeby zauważył nas któryś z budzących się wcześniej heperów. Wbrew pragnieniu, żeby być razem, decydujemy, że lepiej będzie wrócić do swoich pokoi osobno. Polecenie dyrektora, żebyśmy spali osobno – a raczej budzili się osobno – wydaje się bardzo stanowcze, a choć pewnie nikt nie zauważy, bo przecież wszyscy śpią, lepiej nie ryzykować. Poza tym musimy wypocząć przed wieczorem, nim zaczną się Wielkie Łowy, a z pewnością nie uda nam się zaznać snu, gdy będziemy razem. Rozstanie nam się przyda.

– Postępujemy słusznie – pociesza mnie Ashley June przy głównych drzwiach instytutu.

– Wiem – zapewniam ją, zapewniam siebie. – Wiem.

– Nie musisz mnie odprowadzać do pokoju. Stąd trafię sama. Słońce jest już na niebie, lepiej za często nie otwierać tych drzwi.

– Dobrze.

– Zobaczymy się za parę godzin. Dołączymy do łowców przed rozpoczęciem polowania.

W tym czasie wszyscy się już pewnie zorientują, że zamknięcie nie zadziałało. I zaczną się masowe szaleństwo. Znajdziemy sobie kryjówkę.

– Dobrze... – Marszczę brwi.

– O co chodzi?

– Zastanawiałem się, gdzie są inni łowcy. Eskorta powinna nas już dawno zawiadomić, gdzie mamy się stawić przed rozpoczęciem Wielkich Łowów.

– Nie przejmuj się. Na pewno nas powiadomi.

– W porządku.

– Och. – Dziewczyna zatrzymuje się jeszcze. – Gdybyś nie zastał mnie w pokoju, sprawdź Centrum Kontroli. Zajrzą tam, żeby anulować polecenie zamknięcia budynku. I chcę jeszcze sprawdzić monitoring, znaleźć najlepsze miejsce do ukrycia się przed masowym pędem.

Obejmujemy się, mocno i długo. Nasze ciała są zmęczone, lecz w sercach płonie ogień. Ashley June uchyla potem drzwi i wślizguje się do instytutu. Drzwi zatrząskują się cicho.



Zaraz potem wracam do biblioteki. Zatrząskuję drzwi. Ciemność w pomieszczeniu jest ponura, przenika wszystko. Oczy muszą przywyknąć do mroku. Powoli idę na środek biblioteki. Właściwie nie byłoby żadnej różnicy, gdybym zamknął oczy. Wreszcie w oddali dostrzegam plamkę światła. To wywiercony w okiennicach otwór. Jeszcze nie ma promienia, miną godziny, zanim słońce znajdzie się po tej stronie budynku. Na razie to tylko niewielka jasna plamka, jak podglądające mnie oko.

Zmęczenie ogarnia mnie jak wodospad. Wlokę się do sofy. Niewiele czasu minie, nim zasnę. Zapadam się w miękkie obicie, a powieki opadają mi jak kurtyna w teatrze, zaraz odpłynę w nicość. Zanim jednak sen ogarnie mnie zupełnie, budzi się we mnie myśl, że coś jest nie tak, coś jest nie w porządku.

Lecz już za późno.
Zasypiam.



Budzę się z kołataniem serca. Bez otwierania oczu wiem, że coś jest nie tak. Mięśnie mam napięte, kark sztywny. Powoli uchylam powieki. Początkowo dostrzegam tylko plamę światła po drugiej stronie pomieszczenia, niewyraźną, ale powoli się wyostrzającą. Dostrzegam też formujący się promień, jeszcze rozmyty, ale wydłużający się jak pęd.

Sądząc po jego intensywności i kierunku padania, spałem wiele godzin.

Jednak uczucie, że coś jest nie tak, wisi w powietrzu i robi się coraz wyrazistsze. Wstaję powoli, w kościach trzaska mi pragnienie i strach. Światło wydaje się poprzecinane i rozproszone, jak wtedy, gdy widzi się księżyc przez nagie gałęzie lasu zimą.

Ruszam do światła z wyciągniętymi ramionami. Nadal czuję senność, pomimo strachu. I wtedy...

Długie pasma włosów przesuwiają mi się po twarzy w obrzydliwie intymnej pieszczocie. Z ust wrywa mi się cichy pisk. To jak wejść w pajęczynę, tylko gorzej – pasma nie znikają przy zetknięciu, lecz suną wzdłuż mojego czoła, policzków i nosa.

Muszę zebrać wszystkie siły, żeby nie odgarnąć panicznie tych włosów. Przypadam do podłogi i spoglądam w górę. Ktoś śpi w pętłach. Pokazówka. Jej długie, ciemne włosy spadają kaskadą, biała twarz lśni nad nimi niczym ohydny księżyc. Reszta ciała niknie w mroku pod sufitem, przez co wydaje się, że w powietrzu unosi się tylko odcięta głowa.

Zamykam oczy, liczę sekundy i czekam, czy Pokazówka się poruszy. Nasłuchuję. Nic, tylko cichy trzask drewna z dalszej części pomieszczenia. Otwieram oczy. Widzę książki na podłodze, setki książek zrzuconych z półek. Leżą w stertach pod regałami jak śnieżne zasy po przejściu lawiny.

Fizol wisi do góry nogami na regale. Śpi głęboko. Nogi wsunął pod najwyższą półkę, czubki butów wcisnął w szczelinę, żeby mieć oparcie. Zrobił sobie pryczę.

I nie tylko on. Gdy w pomieszczeniu robi się jaśniej, dostrzegam Czerwonoustą parę półek dalej, również zwisającą z regału. Jest też Ponurak – przywiązał pasek do przewodu klimatyzacyjnego biegnącego pod sufitem i włożył nogi w prowizoryczną pętlę. Kwiecista Sukienka przywiązała się do największego zyrandola, który przechylił się pod jej ciężarem i cały czas powoli się obraca. Są tutaj wszyscy łowcy. Musieli przyjść w nocy. Nie jestem tylko pewien po co.

Spałem w gnieździe szerszeni.

Próbuję nie panikować. Rozglądam się ostrożnie. W pomieszczeniu czerń przeszła w szarość, wpadające przez otwór światło staje się coraz mocniejsze, a tworzony przez nie promień dłuższy. Dzięki temu widzę stos wyposażenia za półokrągłym biurkiem recepcji – peleryny przeciwsłoneczne, pary butów, opakowania maści przeciwsłonecznej, a także strzykawki z dopalaczami adrenaliny. Ekwipunek i akcesoria na Wielkie Łowy.

Łowcy stąd wyruszą na polowanie. Tutaj prześpią dzień, żeby nie znaleźć się w zamkniętym budynku instytutu. To biblioteka jest punktem startowym.

Ależ oczywiście. Jak mogłem się wcześniej nie domyślić?

Promień słońca wydłuża się i jaśnieje, a mnie ogarnia świadomość nieuchronnego końca, która zaciska mi się na szyi jak pętla. Wiem, co się zaraz stanie.

Najpierw drzemiący łowcy poczują lekkie pieczenie, nasilające się, im bardziej światło będzie drażnić ich powieki. Możliwe, że już ich to dopadło. Potem pojawią się mdłości

i oparzenia skóry. Łowcy obudzą się i odskoczą od światła z pianą na ustach. Pognają z krzykiem i sykiem na drugi koniec biblioteki, jak najdalej od słońca.

I tam pozostaną, kryjąc się przed nieznośnym światłem. Będą się zastanawiać – bo przecież do zmierzchu pozostanie jeszcze wiele godzin – dlaczego młody łowca, który tutaj spał, nigdy nie narzekał, że przeszkadza mu światło. Ten sam łowca, który zawsze, jeśli się zastanowić, roztaczał zapach hepera.

Potrząsam głową, odrywając się od ponurych myśli. Przecież jest jeszcze czas na działanie. Muszę tylko zasłonić otwór. I to szybko.

Cofam się ostrożnie od zwisającej Pokazówki, przechodzę przez pomieszczenie.

– Ach, tu jesteś. – Odwracam się. Dyrektor przygląda mi się, zwisając z sufitu w połowie przejścia między biurkami. – Szukaliśmy cię wcześniej. I nie mogliśmy znaleźć. Ani twojej ładnej dziewczyny. Mieliśmy ci przekazać, że łowcy mają się zebrać w bibliotece przed polowaniem. Ale, jak widzę, ktoś cię jednak powiadomił.

– Byliśmy...

– Nie, nie musisz mi się tłumaczyć. Cieszę się, że dotarłeś tutaj przed świtem. – Przygląda mi się, a potem patrzy za mnie. W jego oczach pojawia się niedowierzanie. – Zostawiłeś otwarte drzwi? Strasznie tu jasno.

– Nie, ja...

– Wyglądasz na podenerwowanego. W czym problem?

– Nie, nic takiego. To nie zdenerwowanie. Jestem tylko trochę podekscytowany. W końcu to już prawie łowy. Za parę godzin. Pięć, sześć? Nie jestem pewien, za ile dokładnie.

– Raczej za cztery godziny. Słyszałem, że nadejdzie paskudna burza. Wcześniej zrobi się ciemno. Wcześniej niż zwykle. – Zerka na mnie. – Nie trać głowy. Rozwaga będzie ci potrzebna.

– Wiem. Ale trudno się nie podniecać. Wielu zabiłoby, żeby znaleźć się na moim miejscu.

– Doprawdy?

– Tak, tak mi się zdaje.

– Dobrze. – Dyrektor kiwa głową. – Właśnie takie nastawienie jest ci potrzebne.

Zerka w dół i w lewo ode mnie.

– Triemy są pode mną. Pomyślałem, że lepiej je trzymać z daleka od innych.

– Oczywiście. – Skórzane teczki leżą o parę stóp dalej. A obok nich dziennik szalonego naukowca.

– Nie mogłem wcześniej zasnąć, więc zacząłem czytać dziennik, który leżał na biurku. – Dyrektor wbija we mnie wzrok. – Powiedz mi jedno, bo nie rozumiem...

I w tym właśnie momencie wysokie wycie przerywa ciszę. To Pokazówka. Promień nagle się wyostrzył i trafił ją w zwisającą dłoń. Wypalił czystą dziurę. Czuć smród palonego ciała, potem wybuchają wokół gardłowe wrzaski i wycie, gdy budzą się inni łowcy. Pokazówka wytrzeszcza oczy w dzikim bólu. Odwracam się. Dyrektor nadal zwisa z sufitu i wbija we mnie wzrok. Potem zerka w bok, widzi promień przecinający ciemność, czysty i jasny, tuż za mną. A ja stoję przy świetle niewzruszony. I wtedy w jego spojrzeniu pojawia się coś jeszcze poza bólem – zrozumienie i oskarżenie.

Zdradziłem się. Przez ten promień słońca. Nie sądziłem, że właśnie to mnie zdemaskuje. Zawsze wydawało mi się, że będzie to kichnięcie, kasznięcie lub ziewnięcie – coś, czego nie zdołam opanować, odruchy ciała.

Ale nie to – nie coś tak prostego, tak czystego, nawet pięknego. Zabawne, że w życiu właśnie to, co piękne, okazuje się najbardziej zdradliwe.

Cofam się, a wtedy uderzam stopą w teczkę z triemami i potykam się. Kopnięta teczka ślizga się po podłodze. Zerka w górę. Dyrektor znikł. Coraz głośniejsze krzyki, łomot

spadających ciał, skrzyp odpychanych mebli, drapanie paznokci po podłodze. A potem cisza.

Zamieram, czekając na kolejne hałasy. I wtedy słyszę długi, przenikliwy skowyt. Ze wschodniego skrzydła. Łowcy pognali właśnie tam, jak najdalej od światła. A potem rozlegają się szepty, zbiorcze, napięte, oskarżycielskie. Pojedynczy jęk, lecz już nie strachu, lecz narastającego pragnienia i głodu. Szybko dołączają do niego inne. Serce ściska mi panika, nawet gdy rzucam się do biegu. Łowcy się przegrupowują, ponieważ już wiedzą. Muszę uciekać.

Zrywam się na równe nogi. Promień słońca jest już silny – rozciąga się od okna do przeciwległej ściany jak gruba lina.

Wyczuwam ruch w moim kierunku – błyskawiczny – przeskoki z mebla na mebel. Rozmazana smuga, która spada z najwyższej półki regału z oszalamiającą szybkością. Pokazówka. Skoczyła jak błyskawica. Na mnie.

Zamykam oczy. Już nie żyję.

I wtedy rozlega się śmiertelnie przerażający wrzask, a zaraz potem skwierczenie. Bucha dym. Promień słońca – Pokazówka wylądowała dokładnie na jego drodze, światło wypaliło jej głęboką bruzdę na piersi. Łowczyni leży teraz na podłodze po drugiej stronie promienia, z dłońmi przyciśniętymi do oczu, z ustami wykrzywionymi w grymasie agonii. Górna warga jej drży.

Zrywam się, zataczam na biurko. Nawet gdy się przewracam, kątem oka wychwytyuję ruch, rozmyte kształty pozostałych łowców nadbiegających w moją stronę. Zasłaniają sobie oczy przedramionami, ale szybkość mają wręcz nieprawdopodobną. Ich jęki i syczące krzyki ranią mi uszy jak ostre pazury.

Upadam, uderzam głową o coś twardego i metalicznego. Z rany wypływa krew, a warknięcia łowców sięgają szczytu szaleństwa.

Skaczą na mnie ze zdumiewającą synchronizacją. Lewe przedramiona trzymają przy oczach, prawe wyciągają do mnie z rozcapierzonymi palcami o ostrych paznokciach. A z tak samo doskonałą synchronizacją warknięcia zmieniają się w krzyki bólu, gdy łowcy spadają na promień słońca. Cofają się jak jeden mąż.

W nozdrza uderza mnie ohydny smród spalonej skóry i zgnilizny. Powinienem się ruszyć, ale oślepia mnie krew, która spływa mi do oka z rozcięcia nad lewą brwią. Ocieram krew rękawem i wtedy widzę, jak łowcy zrywają się gotowi do akcji i oszalali z głodu. To krew, zapach mojej świeżej krwi doprowadza ich do szaleństwa. Znowu próbują się zbliżyć, ale tym razem są bardziej rozważni. Zamiast skakać przez promień, wspinają się po ścianach, żeby dostać się na drugą stronę po suficie.

To zmusza mnie do ruchu. Fala adrenaliny zalewa mnie tak nagle, że prawie tego nie zauważam. Teczka z triemami. Właśnie o nią rozbiłem sobie czoło. A pod teczką dziennik szalonego naukowca. Nie zastanawiając się, łapię dziennik i wsuwam pod koszulę. Twarde rogi oprawy wbijają mi się w brzuch. A potem sięgam po teczkę i zaczynam nią machać. Wokół znowu wybuchają skowyty i jęki, zarówno bólu, jak i pragnienia. Gnam do drzwi, przez wąski korytarz wiodący do foyer.

Ale...

Jeden z nich – Fizol – zeskakuje tuż przede mną. Uderzam w niego z zaskoczenia. Fizol sięga po mnie, gdy minąwszy go, biegnę dalej, chwyta mnie za ramię (zadrapał mnie, zadrapał mnie?) i obraca. Atakuje, choć nadal macham teczką.

Uderzenie rozbija napastnikowi twarz, ale teczka otwiera się. Wypada z niej triem. Toczy się po podłodze.

Siła uderzenia tylko na chwilę spowalnia Fizola. Nurkuję po triem, chwytam, a Fizol w tym samym momencie łapie mnie za kostkę i zaczyna ciągnąć tak mocno, że niemal wyrwa mi nogę ze stawu. Czuję, że jego paznokcie przebijają mi jeansy i skórę.

– A-ach! – krzyczę odruchowo, po czym zwalniam zabezpieczenie.

Fizol przyciąga mnie bardziej, unosi moją nogę na wysokość swojej twarzy, w otwartych ustach błyskają kły.

Naciskam spust i promień trafia mnie prosto w stopę. Tyle jednak wystarcza, żeby Fizol mnie puścił. Cofa się szybko, po czym znowu rzuca się do ataku.

Tym razem trafiam go prosto między oczy. Pada na plecy, jakby dostał młotem w czoło. Za nim jednak biegną następni.

Fizol wyje z bólu, ale wstaje. Z czoła spływa mu gęsta, żółtawa ropa. Gdyby triem był ustawiony na największe rażenie, pewnie wyrządziłby większą krzywdę. Ale nie mam czasu na zabawy z ustawieniami – jeżeli się zawaham, łowcy się na mnie rzuca.

Wyjąc jak hiena, atakuje mnie Czerwonousta.

Strzelam ostatni raz, trafiam ją w pierś. Upada, przyciskając dłonie do torsu i piszcząc z bólu. Ale zaraz wstaje. Twarz ma wykrzywioną w grymasie ni to cierpienia, ni żądy.

– Kto jeszcze? – wrzeszczę. – No kto?!

Zatrzymują się. Ich kły łączą z podłogą srebrzyste nici śliny. W oczach łowców błyszczy niepewność zmieszana z pragnieniem. Potrząsają szybko głowami, zgrzytają zębami.

– Kto jeszcze chce oberwać?!

To tylko brawura, wykorzystałem przecież swoje trzy strzały. Pozostało mi tylko blefować.

– Ty? – Mierzę bezużytecznym triemem w Ponuraka, który próbuje podejść bliżej. – A może ty?

Wymierzam broń w Kwiecistą Sukienkę, która skrada się z drugiej strony. Cofam się do drzwi.

Na każdy mój krok w tył łowcy podchodzą o jard. Ich ochryple warknięcia robią się głośniejsze, syki bardziej wilgotne, żądza krwi zaczyna tłumić lęk przed światłem. Fizol już kuca gotów do kolejnego skoku. Nie zamierza pozwolić mi się cofnąć ani kroku dalej.

– To wy jesteście zwierzętami! Heperami! – Z tym okrzykiem odwracam się, rzucając w nich triemem.

Odpowiadają chóralnym szaleńczym krzykiem.

W ostatecznym rozrachunku ratuje mnie to samo, co grozi śmiercią – niespożyta żądza krwi łowców. Gdy łowca na czele skacze, zostaje przygnieciony przez pozostałych. Atakują mnie ławą, tratując Fizola. To daje mi dwusekundową przewagę. Nie potrzebuję więcej.

Dobiegam do drzwi, pięć jardów dalej – choć czuję paznokcie łowców na karku – dopadam klamki. Dotyk chłodnego metalu to coś, czego nigdy nie zapomnę. Z rozpędu naciskam klamkę i drzwi się otwierają. Oślepiająca jasność wypełnia mi pole widzenia. Nie znam cudowniejszego bólu niż klucie światła w oczy.

Wrzaski łowców, jeszcze niedawno wypełnione żądzą krwi, teraz tłumi agonia i cierpienie. Słyszę pośpieszny odwrót całej gromady.

Ale jeszcze z nimi nie skończyłem. Ani trochę. Otwieram drzwi na oścież – dostrzegam przy tym odskakujących łowców – i blokuję je teczką. Do biblioteki wpada dość światła, nawet do najdalszych zakamarków, żeby reszta dnia była bolesna i bezsenna dla uwięzionych w środku łowców.

– Słodkich snów, zwierzaki! – wołam na odchodnym.

I wtedy słyszę głos, ochrypli i rwący się z wściekłości, odbijający się echem w korytarzu. Ponurak.

– Myślisz, że uciekniesz? – wrzeszczy z półmroku biblioteki. – Myślisz, że nas pobieś, durny heperze? Wydaje ci się, że jesteś sprytny? Hej, ty śmierzący, spocony, śpiewający

heperze! To dopiero początek! Lepiej uciekaj! Słyszysz mnie? Bo o zmierzchu zaczną się łowy! A wtedy ruszymy za tobą, dopadniemy i rozszarpiemy! Słyszysz mnie? Przyszedłeś na łowy? Więc będziesz miał łowy! Czaisz, heperze?! *Będziesz miał swoje łowy!*



W głównym budynku instytutu wszyscy jeszcze śpią. Moje kroki odbijają się echem w ciemnych, pustych korytarzach. Mijam salę bankietową. Wygląda jak jaskinia nietoperzy – mroczne sylwetki zwisają w grupkach z żyrandoli niczym zjełczałe, gnijące grona. Dalej na przewodach wentylacyjnych śpią reporterzy, aparaty, które nosili na szyi, teraz kołyszą się tuż nad podłogą.

Ashley June nie odpowiada, gdy pukam. Otwieram drzwi. Jej pokój jest pusty.

A zatem poszła do Centrum Kontroli, jak uprzedziła. Pewnie siedzi przed monitorami i kręci głową, żeby wszystko widzieć.

– Hej – mówię cicho w progu centrum. Nie chcę jej przestraszyć. Promienie słońca wdzierają się do pomieszczenia, Centrum Kontroli skąpane jest w świetle. Podchodzę do Ashley June.

– Powinieneś spać. – Dziewczyna obraca się do mnie. – Chyba znalazłam idealną kryjówkę...

– Ashley June.

– O co chodzi? – Dopiero teraz dostrzegam wyraz mojej twarzy.

Potrząsam głową.

– Gene, o co chodzi?

– Przykro mi.

Dziewczyna spogląda mi głęboko w oczy, jakby chciała odczytać moje myśli.

– Powiedz, o co chodzi, Gene.

– Stało się coś okropnego.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Co się stało?

– Dla mnie to już koniec.

– Co masz na myśli?

Wyjaśniam jej. Opowiadam o łowcach w bibliotece, o promieniu słońca, o odkryciu, kim jestem. Na twarzy Ashley June maluje się czujność.

– To koniec – powtarzam. – Gdy tylko zajdzie słońce, łowcy ruszą w pogoń za mną.

Dziewczyna wstaje, odchodzi parę kroków. Jej ramiona są sztywne, głowa spuszczone w głębokim namyśle.

– Dostaliśmy triemy. Możemy wrócić do biblioteki, załatwić łowców...

– Ashley...

– Nie, posłuchaj. Możemy to zrobić. Nikt więcej nie wie o tobie, tylko ta grupa w bibliotece.

– Ash...

– Jeżeli ich zabijemy, nikt się nie dowie, twoja tajemnica się nie wyda.

– To misja samobójcza...

– Zabierzemy triemy...

– Pozostał nam tylko jeden triem, drugi zużyłem. A ten jeden leży gdzieś w bibliotece, nie wiem nawet, gdzie dokładnie. Łowcy mają przewagę liczebną nad nami, są szybsi, silniejsi, mają też kły i szpony...

- Znajdziemy ten triem, a potem ustawimy na najsilniejsze rażenie, jest fatalne w...
- Nie uda się go znaleźć!
- Możemy...
- Ash...
- Co! – krzyczy. Głos jej się rwie. – Co mam powiedzieć? Myślisz, że mamy jakiś

wybór?

Zaczyna szlochać.

Wyciągam do niej rękę, obejmuję mocno. Ciało Ashley June jest zimne, dziewczyna drży.

– Musimy spróbować, musimy to jakoś rozwiązać... – powtarza.

– To koniec. Staraliśmy się najlepiej jak umieliśmy. Ale nic więcej nie da się zrobić.

– Nie! Nie zamierzam w to wierzyć! – Wrywa się z moich objęć z krzykiem. Zaciska pięści. A potem jej oddech się uspokaja, ciało zastyga w doskonałym bezruchu. Bezruchu kogoś, kto podjął decyzję.

– Moglibyśmy żyć w kopule – mówi cicho. Stoi plecami do mnie, spogląda w panoramiczne okno.

– Co?

– W kopule. Przeżyjemy tak jak inni heperzy. Możemy tam żyć latami.

– Nie ma mowy. Nie wierzę...

– To może się udać. Kopuła działa automatycznie. Unosi się o zmierzchu, opada o świcie.

Zawsze będzie nas chronić.

Patrzę w jej plecy. Nie mogę tego znieść. Podchodzę, chwytam ją za ramię, odwracam do siebie.

Twarz dziewczyny zdradza, że bezruch i opanowanie były tylko złudzeniem. Po policzkach płyną jej łzy.

– Ashley...

– To jedyna możliwość, jaka *nam* pozostała. – Spogląda mi w oczy. – I doskonale o tym wiesz, prawda?

Nam. To słowo dźwięczy mi w uszach.

– Nie pozwolę ci... Oni chcą dopaść tylko mnie – odpowiadam jej. – Ty możesz żyć dalej normalnie...

– Nienawidzę tego życia! Bardziej niż ty.

– Nie, jesteś w tym dobra. Widziałem. Poradzisz sobie, możesz nadal...

– Nie! *Nienawidzę* tego życia do szpiku kości. Nigdy nie wrócę, żeby zostać znowu sama.

Udawanie, tłumienie pragnień. – W oczach Ashley June błyskają dzikie emocje. Początkowo wydaje mi się, że to gniew, ale wtedy słyszę jej słowa: – To przez ciebie, Gene. I teraz nie mogę wrócić, nie sama, nie bez ciebie. – Pociąga nosem. – Kopuła. Tylko tak możemy być teraz razem.

– Kopuła to więzienie. Tutaj przynajmniej będziesz wolna.

– Tutaj jestem uwięziona we własnej skórze. Stłumione odruchy, opanowane uśmiechy, fałszywe drapanie się w nadgarstki, fałszywe kły to pręty o wiele gorszego więzienia.

Myśli przemykają mi przez głowę, krążą w szaleńczym tańcu. Ale jej spojrzenie sprawia, że zwalniam, zaczynam się uspokajać. Podchodzę bliżej, nie wiedząc, co jeszcze mogę zrobić. Dotykam jej policzków. Moje dłonie na jej skórze, opuszki palców na kościach jarzmowych, kciuk na pieprzyku mokrym od łez.

– Dobrze. – Uśmiecham się wbrew ponurym okolicznościom. – Dobrze, zróbmy to.

Odpowiada mi uśmiechem, zaciska powieki, płynie więcej łez. Przyciąga mnie blisko, obejmuje kurczowo.

Na zewnątrz rozlega się przenikliwy wrzask. Spoglądamy na siebie. Kolejny krzyk, tym

razem wypełniony agonialnym cierpieniem. I cisza. A potem jeszcze jeden piekielny wrzask. Ashley June i ja rzucamy się do okna.

Komuś udało się wydostać z biblioteki. Fizolowi. Trzyma nad głową pelerynę przeciwsłoneczną. Jednak ta peleryna nie została przeznaczona do użytku w pełnym słońcu – światło przenika ją z niszczącą siłą. Fizol potyka się, wstaje, przebiera szybko nogami, które zaczynają przypominać gąbkę. Gdy się zbliża, dostrzegam jego skórę – lśniąca niemal radioaktywną bledością – w silnym słońcu zaczyna parować. Z oczu łowcy płynie gęsta ropa. Fizol wrzeszczy znowu i jeszcze raz, nawet wtedy, gdy jego krtań zaczyna się już roztopiać. Jednak peleryna, choć niedoskonała, wystarcza – łowcy uda się dotrzeć do instytutu. A tutaj będzie mógł powiedzieć o mnie innym, wyjaśnić, że jestem heperem w przebraniu i że ten heper znajduje się w budynku.

Ashley June przyjmuje sytuację z zimną krwią.

– Możemy już nie mieć czasu do zmierzchu.

Przyglądamy się z niedowierzaniem, jak Fizol otwiera frontowe drzwi i przeskakuje próg. Jest już w środku. Jest w środku.

Nie mogę uwierzyć. Kręcę głową.

– Musisz iść. Łowcy wiedzą tylko o mnie. Nie mogą cię ze mną zobaczyć. Ciebie też uznają za hepera i oskarżą o współudział.

– Zostaję z tobą, Gene.

– Nie. Wydostanę się na dwór. Uda mi się, jeśli się pośpieszę. A ty wyjdiesz, gdy tylko będziesz mogła, jeżeli nie dziś, to jutro. Spotkamy się pod kopułą. Nic ci nie grozi, dopóki żaden łowca cię nie podejrzewa. Oni gonią tylko mnie.

Przerażający skowyt niesie się po korytarzach, skrzek, który wstrząsa budynkiem instytutu. Wzdłuż ścian słychać szmery. Odległe łomoty. Kolejny skowyt, cichszy, ale bardziej niepokojący.

Ashley June zamiera. Widzę, jak uderza ją świadomość tego, co się dzieje. Dziewczyna sztywnieje. Ze strachu.

– Co jest?

Odwraca się ode mnie. Kiedy mówi, głos ma niepewny. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

– Gene, idź na tyły. Popatrz na ekrany monitoringu, sprawdź, czy widać, co się dzieje.

– A co ty zamierzasz zrobić?

– Zostanę tutaj. – Oczy jej ciemnieją, głos drży.

Cofam się do monitoringu. Przyszła, jestem ciekaw, co się teraz dzieje w instytucie. Początkowo na ekranach prawie nie widać ruchu. Wszyscy jeszcze śpią. Wszędzie jest szaro i spokojnie. Ale na ekranie z boku wychwytyuję poruszenie. W foyer, gdzie Fizol konwulsyjnie rzuca się po podłodze i kopie nogami pustkę. Usta łowcy są otwarte jak przy ziewaniu. Ale wiem, że to nie ziewnięcie. To dźgający do szpiku kości wrzask. Na monitorze pokazującym salę bankietową wiszące na żyrandolach sylwetki zaczynają się przeciągać. Żyrandole się już kołyszą. Podobnie wygląda to na ekranach, które pokazują śpiące grupki zwisające z przewodów wentylacyjnych na korytarzach. Tamci już otwierają oczy.

– Muszę iść! – wołam do Ashley June. Odwracam się od monitorów, żeby ruszyć biegiem do wyjścia.

Ale Ashley June w sali już nie ma.



Nie wiem, co sądzić o jej nagłym zniknięciu. Słyszała, co jej powiedziałem, myślę, lecz

jakoś mnie to nie przekonuje. Tu chodzi o coś więcej.

Otwieram drzwi, wychodzę z Centrum Kontroli. Korytarz jest pusty.

– Ashley June! – wołam ile sił w płucach. Nie przejmuję się już, że inni mogą mnie usłyszeć. Odpowiada mi jedynie echo mojego krzyku.

Nie ma chwili do stracenia. Pędzę przez kolejne korytarze. Po jasnym świetle w Centrum Kontroli tutaj jest ciemno jak w bezksiężycową noc. Jeżeli uda mi się dotrzeć do Fizola przed innymi, będę mógł się go pozbyć. Dosłownie i w przenośni. Przynajmniej go uciszę i zyskam trochę czasu. Do zmierzchu.

I nagle rozumiem, gdzie poszła Ashley June. Do foyer, żeby pozbyć się Fizola. Wiedziała, że jej na to nie pozwolę.

Zdenerwowanie i szaleńcza troska dodają mi sił. Pędzę przez kolejny korytarz, wpadam na schody. Z góry, jak w mrocznej studni, niosą się krzyki i skowyty. W oddali trzaskają drzwi. Tupot butów i plaskanie bosych stóp odbijają się od ścian.

Już za późno.

Wiedzą. Wszyscy już wiedzą.

Jak armatni wystrzał w dole słychać huk otwieranych drzwi. Szaleńczy tupot stóp na chromowanych stopniach, klikanie długich paznokci na metalowej poręczy. Idą do góry. Do mnie. Chóralny syk przypomina brzęczenie roju os lub much, które lecą w moją stronę. A potem triumfalny pisk niesie się po schodach – łowcy mnie wywęszyli. Złapali mój trop.

Odwracam się na pięcie i uciekam. Wracam drogą, którą przybiegłem. Z powrotem do Centrum Kontroli. Pogoń jest szybka i zajadła, jej wściekłe wrzaski zagłuszają inne odgłosy. Tylko dwa korytarze do przebycia. Tylko dwa.

Mijam pierwszy i skręcam za róg, gdy słyszę trzask drzwi od klatki schodowej. Szybciej, szybciej...

Chwytam klamkę drzwi do Centrum Kontroli. Próbuje ją nacisnąć, ale jest zbyt śliska. Ujmuję ją oburącz i ściskam z całych sił. Drzwi otwierają się, przetaczam się przez próg i kopnięciem zatrzasnę je za sobą.

Zaraz potem z drugiej strony rozlega się głośnie: łup! Trwa wyścig do klamki. Zrywam się, naciskam guzik blokady zamka. Niemal natychmiast klamka opada, szarpnięta na próżno. Słyszę przeraźliwy skowyt. A potem kolejne łup! Ścigający próbują wyważyć drzwi siłą.

Zataczam się, gdy idę na koniec pomieszczenia. Drzwi nie wytrzymają długo. Może z tuzin uderzeń. A potem puszcza i wleje się przez nie fala alabastrowych ciał o lśniących kłach i wytrzeszczonych żądzą oczach. Moi oprawcy chętnie zniosą oparzenia i tymczasową ślepotę, jeżeli w zamian będą mogli posmakować choć kropli mojej krwi. Krwi hepera.

Ekran monitoringu na tyłach Centrum Kontroli, które jeszcze niedawno pokazywały tylko bezruch, teraz pulsują chaosem. Na każdym monitorze widzę postacie w pidżamach i szlafrokach. Oczy im lśnią. Wiedzą. Wszyscy już wiedzą, że ukryłem się w Centrum Kontroli.

Łup! Uderzenie w drzwi jest bardziej donośne. Więcej ciał, większa siła. Słysząc też drapanie paznokci, wycie i krzyki. I dyszenie oraz powarkiwanie. Szaleństwo.

Chwytam stalowe krzesło i wymierzam nim w okno. Odbija się od szkła jak piłeczka pingpongowa. Rozglądam się w panice za inną drogą ucieczki. Nie ma żadnej.

Na każdym monitorze widać teraz kłębiące się bestie. Na każdym poza jednym. W trzecim rzędzie, ekran po prawej przyciąga moją uwagę. Nie ze względu na ruch, lecz przez jego brak. Widać tam tylko samotną postać, pochyloną lekko podczas pisania.

Ashley June. Ogarnia mnie ulga i swoista duma – udało jej się wydostać. Sądząc po garnkach i patelniach, które wiszą na widocznej dalej ścianie, dziewczyna dotarła do kuchni. Widzę, jak Ashley June unosi nagle głowę, jakby coś usłyszała. Ja również to słyszę. Mrozący

krw w żyłach skrzek, wibrujący na ścianach budynku. Ashely June nieruchomieje, po czym wraca do pisania. Przystaje znowu, unosi głowę, rozchyła usta.

Właśnie do niej dotarło. Ma olśnienie.

Ponownie pochyła się nad kartką, jej dłoń niemal się rozmywa, gdy pośpiesznie kreśli słowa.

Przez budynek przetaczają się coraz głośniejsze wrzaski i piski.

Dziewczyna przestaje, krzywi się z niezdecydowaniem. Po czym potrząsa głową, odrzuca gniewnie długopis i składa pośpiesznie papier. Odwraca się do ściany, otwiera klapę, wkłada tam kartkę. Naciska duży guzik. Zapala się światełko, twarz Ashley June robi się wyraźniejsza. Po policzkach płyną jej łzy. Unosi głowę z grymasem przerażenia. Dziewczyna też to słyszy. Ten skowyt żądzы krwi, żądzы mojej krwi.

ŁUP! To uderzenie jest o wiele silniejsze od poprzednich, wyszczerbia drzwi. Górne zawiasy rozrywają się jak złamana kość przebijająca skórę. Wytrzymają jeszcze najwyżej kilka uderzeń.

Postanawiam, że właśnie tak umrę. Odwrócony plecami do drzwi, wpatrzony w obraz Ashley June na monitorze. Niech to będzie ostatnie, co zobaczę. Oby moja śmierć nastąpiła szybko...

Wtedy jednak widzę, że dziewczyna robi coś dziwnego. Wyjmuje nóż z kompletu stojącego na blacie – długie ostrze do cięcia. Przykłada je do dłoni i przyciska.

Wargi Ashley June wykrzywia ból, który zmienia się w krzyk.

I wtedy zaczynam rozumieć. I krzyczę:

– Ashley June!

Na monitorze dziewczyna upuszcza nóż i ucieka.

ŁUP! Drzwi się wyginają, ale jeszcze wytrzymują. Ledwo, ledwo. Kolejne uderzenie będzie ostatnie.

Wtedy jednak gorączkowe, przenikliwe wycie przebija się z drugiej strony, a zaraz potem słyszę skrobanie paznokci na ścianach, podłodze i suficie. Coraz dalej od drzwi. Nieoczekiwanie zapada cisza. Napastnicy odeszli. Wszyscy.

Patrzę na monitor. Ashley June z rozwianymi włosami pędzi po schodach. Przeskakuje je po kilka. Ledwie wylądowuje, już zrywa się do kolejnego skoku. Kieruje się na dół, do Prezentatorium.

Na innych monitorach widzę hordy gnające w tym samym kierunku.

Chcą dopaść dziewczyną heperkę, skosztować jej krwi, pożreć ciało.

Łowcy poruszają się jak jeden mąż – gorączkowo, bez słów. Rozmazują się w dzikim pędzie. Nawet na monitorach wygląda to oszalamiająco. Grawitacja dodaje im tylko szybkości, gdy biegną po schodach. Spadają jak czarny deszcz.

Ashley June gna po schodach, jej twarz wykrzywia panika. Na każdym zakręcie chwytając lewą ręką poręcz, przerzuca się na schody i skacze po kilka stopni.

Czarny deszcz spada coraz bliżej.

Dziewczyna dociera na najniższą kondygnację. Twarz ma zaczerwienioną, na skórze perli się pot, który tworzy ciemną obręcz brzegu dekoltu. Kosmyki spoconych włosów przywierają do szyi, Ashley June oddycha szybko, płytko. Musi dobiec do drzwi Prezentatorium.

Czarna, żarłoczna kaskada rozbija się na schodach i ścianach. Łowcy są tuż za dziewczyną.

Ashley June przeciska się przez wąskie drzwi – cudem chyba nie zostały zamknięte. Tuziny łowców zeskakują w to miejsce ułamek sekundy później. Są tak stłoczeni i splątani, że liczebność nie pozwala im precyzyjnie przycisnąć się tą samą drogą równie łatwo jak dziewczynie. Ashley

June zyskuje parę sekund, może to ostatnie sekundy jej życia.

Zerkam na kolejny monitor. Dopiero teraz rozumiem, co zaplanowała. Biegnie do schronu, gdzie mieszkał stary heper. Mija jeden ze słupów, ciemne smugi na ziemi, do uniesionej klapy. Trojgu ścigającym, dwóm mężczyznom i kobiecie, udało się wślizgnąć na arenę. Są zupełnie nadzy, pewnie stracili ubrania podczas gonitwy, pędzą za dziewczyną. Usta mają obrzydliwie rozwarte w krzyku – sam go nie słyszę, ale na pewno rozrywa uszy Ashley June. Dziewczyna ma parę jardów przewagi. Ślizgiem wpada do otworu, chwyta krawędź zamknięcia i pociąga za sobą w dół. Kłapa zatrząskuje się, wzbijając kurz. Trójka ścigających doskakuje tam w okamgnieniu, napina mięśnie, wsuwa palce pod krawędź, próbując unieść zamknięcie.

Ze zgrozą widzę, że kłapa zaczyna się podnosić. Dziewczyna nie zdążyła jej zablokować. Stalowe drzwi unoszą się na tyle, aby łowcy mogli pewniej wsunąć palce...

Ale wtedy dopada ich reszta pościgu. Kłębowisko nagich ciał, przebijanie się łokciami na lepszą pozycję, wyrzucane przypadkowo nogi i ramiona. Kłapa znowu opada. Tym razem, nawet gdy tuziny rąk próbują wsunąć się pod krawędź, nie ustępuje. Ashley June zdążyła.

W głowie kołacze mi już tylko jedna myśl – uciekać. Ale nogi mam jak wrośnięte w ziemię, a oczy przyklepione do monitora. Muszę mieć pewność, że Ashley June nic nie jest.

Nic jej nie jest, myślę. Zamknęła się, nie można jej dopaść. Wszyscy to wiedzą.

Albo wkrótce się dowiedzą. Przekonają się, że nie ma sposobu, żeby dobrać się do młodej, dziewiczej heperki.

I wtedy przypominam sobie, bardzo szybko, że w Centrum Kontroli nadal znajduje się młody, dziewiczy heper. I w przeciwieństwie do heperki ten młody heper jest dostępny.

Uciekaj, Gene! – nakazuję sobie w duchu. Nie słyszę w myślach swojego głosu, lecz Ashley June. *Uciekaj! Teraz masz szansę się wydostać!*

Właśnie dlatego przecięła sobie rękę. Dlatego pociągnęła za sobą pogoń do Prezentatorium. Żeby dać mi choć maleńką szansę na wydostanie się z budynku.

Uciekaj, Gene!

Uciekam.



Przez chwilę korytarze są dziwnie ciche. Nawet z klatki schodowej dochodzi ledwie pomruk, echo syków i skowytów. Muszę zejść cztery piętra, cztery piętra bliżej łowców, żeby dotrzeć na parter i wydostać się z budynku.

Stawiam stopę na pierwszym schodku i... jakbym nieświadomie nacisnęła jakiś guzik, który wyzwala erupcję skrzeczenia i gniewnych krzyków oraz warknięć – frustracji, zrozumienia sytuacji, żądy krwi. A potem pojawiają się odgłosy pościgu: skrobanie paznokci, zgrzytanie zębów, tupot nóg po podłodze, ścianach i suficie. Zbliżają się do mnie.

Wkrótce będą bardzo blisko.

Przeskakuję na niższe piętro – bliżej pościgu – a siła uderzenia wibruje mi nie tylko w nogach i kręgosłupie, lecz także odbija się od ścian. Gdy skakała tak Ashley June, wydawało się to łatwe. Chwytam poręcz po lewej i naśladując dziewczynę, przerzucam się na schody. Nadal wszystko się we mnie trzęsie po poprzednich skokach.

W dole wrzaski stają się głośniejsze. Pogoń czuje mój zapach przesiąknięty strachem. Przeskakuję na kolejne załamanie schodów, zostaje jeszcze tylko jedno. Pogoń gna w górę, do mnie. Skaczę. Siła uderzenia przy lądowaniu jest jak cios w brzuch. Opadam na kolana i kulę się, przyciskając dłonie do pasa. Widzę przed sobą mgłę, potem czerwień i czerni.

Zacisnąwszy zęby, wstaję i zataczam się na parter. Zerkam jeszcze w dół schodów – na

poręczy widzę dłonie z długimi paznokciami, a wyżej oczy lśniące w ciemności. Czarna maź wzbiera coraz wyżej, coraz bliżej mnie.

Wybiegam przez drzwi po lewej, zmuszam nogi do pracy. W prawo, w prawo, w lewo i będę w foyer. Droga zajmie dwadzieścia sekund.

Pościg jest o pięć, dziesięć sekund dalej.

Chociaż nogi bolą mnie od zakwasów, pcham kolejne drzwi, lekceważąc matematyczną pewność mojej śmierci. Właśnie tak o tym myślę: matematyczna pewność mojej śmierci.

Skręcam w prawo, wiedząc, że zostały mi najwyżej dwie sekundy życia. Gnam korytarzem – nie przejmuję się już niczym, jestem jak szmaciana lalka, której niezdarne kończyny popycha tylko przerażenie.

Pięć sekund później skręcam w ostatni korytarz przed foyer. Nadal żyję. Niemal chciałbym zamrugać ze zdumienia.

Pogoń musiała minąć parter, pewnie z myślą, że nadal siedzę w Centrum Kontroli. Jestem bezpieczny, zdążę...

Eksplodujący huk. Łowcy wypadają zza drzwi na parter i gnają do mnie korytarzami – śmiertelnie szybcy, wściekli i dyszący żądzą krwi, ale też przerażeni, że mogą mnie stracić, jeżeli wydostaną się na słońce. Napływają jak fala czarnego kwasu.

Czuję pod stopami gruby dywan w holu. Skręcam w lewo. Tutaj. Dwuskrzydłowe drzwi frontowe obrębione cieniutkim konturem słonecznego światła z zewnątrz. Dwadzieścia jardów do wolności.

Pomimo wyczerpania znajduję siły na ostatni bieg.

Urywane głosy za plecami, skrobanie paznokci po marmurze, tupot i skrzypienie.

Jeszcze dziesięć jardów. Wyciągam już ręce do klamki...

Szarpnięcie za kostkę.

Dłoń jest lepka, ciepła i wilgotna. Ale wystarczająco mocna, żeby mnie zatrzymać, rzucić na ziemię.

Upadam z łomotem, tracę dech w piersi.

To Fizol. Gąbczasta ręka, a w każdym razie to, co z niej zostało, zaciska się na mojej kostce. Fizol przysuwa się. Żółta ropa spływa z jego przypominającej pizzę twarzy. Częściowo bezzębne usta otwierają się do syku, zęby, które wypadły, wbiły się w tors łowcy lub leżały na dywanie. Nie słyszę jednak syku, lecz nieartykułowany charkot.

Kopię Fizola, ale to tylko zachęca go do zaciśnięcia palców.

– Ha-ach! – krzyczę. – Hach!

Kopię ponownie wolną nogą. Nie udaje mi się trafić w rękę, lecz dosięgam pizzowatej twarzy. Stopa zapada mi się niemal bez oporu w gąbczastej, rozpuszczonej masie. Czuję na łydce oczy łowcy, nim trafiam na kość. A przynajmniej to, co było kością. Głowa Fizola nie tyle eksploduje, co spływa z karku.

Nie mam czasu do stracenia. Zrywam się na równe nogi, chwytam klamkę, pcham skrzydło frontowych drzwi. Jasność jest oślepiająca, lecz nie próbuję się nawet zatrzymać. Zbyt wyraźnie słyszę za plecami krzyki wściekłości i żądy. Pędzę na oślep, rozpryskując piach. Chcę tylko znaleźć się jak najdalej od drzwi, jak najdalej – nie zwalniam nawet wtedy, gdy wiem, że brak mi sił. Przy każdym wysiłonym kroku powtarzam:

– Hach-hach-hach!

Nie wiem, czy to z gniewu, czy z triumfu, z poczucia porażki, czy z miłości albo przerażenia. Po prostu krzyczę nieustannie, dopóki krzyk nie zmienia się w szloch, gdy upadam w piach z wyczerpania. Dłonie zaciskam odruchowo, piasek wpada mi do nosa, do ust, do gardła. Słyszę tylko swój ochryply oddech, a moje łyzy wsiąkają w splekaną, skapaną w cudownym,

bolesnym i oślepiającym blasku słońca ziemię.



Nie ma sił ani na myślenie, ani na uczucia, gdy w końcu udaje mi się podnieść. Ruszam do kopuły. Kości bolą mnie od skoków po schodach. Sprawdzam kostki – nie są spuchnięte ani, co ważniejsze, podrapane lub pokaleczone przez Fizola. Wokół panuje cisza, nie ma nawet wiatru. Omijam bibliotekę szerokim łukiem. Nie martwię się, że któryś z łowców spróbuje mnie ścigać, zwłaszcza że peleryna przeciwsłoneczna została już wykorzystana, ale wolę nie ryzykować. Wydaje mi się, że słyszę syczenie, wilgotne i złośliwe, ale cichnie, gdy zbliżam się do kopuły.

W osadzie heperów też panuje bezruch i cisza.

– Hej! – Cisza. – Hej!

Zaglądam do jedynej z lepianek. Pusto, jak przypuszczałem. Podobnie w sąsiedniej. Tylko kurz wiruje w promieniach słońca.

Wszędzie jest tak samo. Pusto. Żadnego hepera w zasięgu wzroku. Ani przy grządkach warzywnych, ani pod drzewami owocowymi, ani na placu, ani w którejś z lepianek.

Odeszli. I, o ile mogę ocenić po tym, co widziałem, odeszli w pośpiechu. Niedojedzone śniadanie – nadgryzione kromki chleba, resztki mleka w szklankach. Rozglądam się po równinie, wypatrując poruszających się punkcików lub kłębow kurzu. Nikogo w zasięgu wzroku.

Mogę odpocząć nad stawem – potrzebuję wody. I przestrzeni, światła oraz ciszy. Piję, potem kładę się nad brzegiem i zanurzam w wodzie prawą rękę i nogę. Za jakieś cztery godziny podniosą się ściany kopuły, choć w środku nie będzie mieszkańców. Ich miejsce zajmie nowy mieszkaniec... Nie, nie mieszkaniec – więzień. Właśnie tak będę się czuł, sam za szklanymi ścianami. Taki sam więzień jak Ashley June na dnie budynku instytutu, w podziemnym schronie.

Jak długo tam wytrzyma? Powiedziano nam, że stary heper zebrał tam jedzenia i wody na miesiąc lub dłużej. Ale ile można się tam ukrywać, w ciemności i chłodzie, zanim straci się nadzieję? I czy uda się nie oszaleć od nieustannego skrobania i walenia w klapę?

Dlaczego Ashley June to zrobiła?

Znam odpowiedź, jest oczywista, ale nie rozumiem.

Dziewczyna zrobiła to dla mnie. Gdy tylko zobaczyła Fizola podchodzącego do budynku w pelerynie przeciwsłonecznej, wiedziała, że zginę w parę minut, jeżeli czegoś nie zrobi. Więc zrobiła wszystko, co mogło mnie ocalić.

Przesuwam dłońią po żwirze, czuję ukłucia ostrych kamyków. Przygryzam usta. Mam nieodparte wrażenie, że umyka mi coś niezwykle ważnego. I że nie wolno próżnować, muszę działać. Powiniennem coś zrobić – ale co? Z irytacją rozpryskuję wodę, krople spadają mi na twarz, na kark.

Siadam. O czym zapomniałem? Wspominam wszystko, co zrobiła Ashley June, tylko w odwrotnej kolejności – skok do schronu, bieg do Prezentatorium, ucieczka po schodach, kartka zapisywana w kuchni i włożona do piekarnika...

Zrywam się.

To nie był piekarnik.

To była Pępowina.

Ruszam do urządzenia. Nawet z odległości paru jardów widzę błyskające zielone światelko. Podbiegam, chwytam rączkę, otwieram drzwiczki.

Jest. Niewielki arkusz złożonego papieru.

Kartka szeleści cicho, gdy ją rozkładam. Krótki list pisany w pośpiechu, szaleńczym

pośpiechu.

Gene,
jeżeli to czytasz, udało ci się. Nie złość się na mnie. Albo na siebie. To było jedyne wyjście.

~~*Nie mi nie będzie. Daleś mi coś, czego nigdy nie zapomnę, nieważne, jak wokół będzie ciemno i samotnie. Zawsze pozostaną mi wspomnienia, którymi się dzieliliśmy. Te kilka godzin, kiedy byliśmy*~~

Nadal jest czas. Przyrowadź z powrotem heperów. Kiedy wrócisz, wykorzystaj łowy, gdy wszyscy rzucą się w pogoń, żeby mnie uwolnić.

W Prezentatorium pod klapą czekam

szybko stajnia

nigdy nie zapominaj

I na tym list się kończy, urwany w pół zdania. Śpieszyła się pod koniec, jej słowa są chaotyczne, pozbawione interpunkcji. Nierówne litery zdradzają panikę.

Czytam list raz po raz, dopóki nie wyrzeje mi się w pamięci i dopóki nie dociera do mnie, jak niewykonalne zadanie zostało mi powierzone.

Przyrowadź z powrotem heperów. Słyszę te słowa w wyobraźni, jakby to Ashley June je wypowiedziała z przerażającą wyrazistością. Słyszę stłumione, ale niecierpliwe tony w jej głosie. Ale przecież nic nie mogę zrobić – dziewczyna musi sobie z tego zdawać sprawę. Nie mogę przyrowadzić heperów. Heperzy odeszli, nie mam pojęcia, gdzie mogą być. Przecież nie mogę błąkać się po Bezkresie w nadziei, że trafię na nich przypadkiem. To równie skuteczne jak przesypywanie piasku na pustyni, żeby znaleźć dawno zagubioną monetę. A jeżeli pozostanę poza kopułą, gdy zapadnie noc, będzie to mój koniec. Łowcy wywęszą mnie równie łatwo i ruszą na łowy jak za resztą heperów.

Otwieram oczy, patrzę w słońce – może oślepiające światło wymaże mi z pamięci słowa Ashley June. Wracam na plac, szukając czegoś, na czym będę mógł wyładować frustrację, włóczę do złamania lub sztyletu do wbicia w ścianę lepianki. Ale niczego nie znajduję. Kopię kamienie, rzucam nimi jak najdalej w Bezkres. Ale wrażenie, że coś mi umyka, nie mija. Dręczy mnie, że o czymś zapomniałem, że nie dotarło do mnie to, co najważniejsze.

Przyrowadź z powrotem heperów.

Ignoruję to zdanie, podnoszę parę kamyków. Ruszam do drzew owocowych, żeby sprawdzić, czy...

Przyrowadź z powrotem heperów.

– I niby jak mam to zrobić? – krzyczę w niebo. – Nawet nie wiem, gdzie są!

szybko stajnia

Zgniatam papier obiema rękami, rzucam najdalej jak się uda.

szybko stajnia

Słyszę niemal głos Ashley June. Ale przecież nie uciekła do stajni!

Po chwili podchodzę i podnoszę arkusz. Żałuję swojego wybuchu hysterii.

List jest teraz bardziej popękany niż rozbite lustro, słowa wyginają się i łamią w nim.

Długie załamane rozdziela dwa słowa: *szybko* i *stajnia*.

Unoszę głowę, gdy spada na mnie olśnienie. Nareszcie rozumiem.

To ja mam iść do stajni!

Stajnie znajdują się w dobudówce przy południowym skrzydle instytutu. Staję przy wzmocnionych metalem wrotach i nasłuchuję uważnie. Cisza. Żadnych powarkiwań, skowytów czy syków. Bębnię palcami w udo, niepewny, czy wejść. W końcu pociągam za klamkę, ale nie mogę otworzyć. Wrota zostały solidnie zamknięte.

I wtedy słyszę parskanie. Dziwne, dochodzi z zewnątrz, zza przybudówki. Idę tam ostrożnie. Stoi tam czarna dwukółka. Do dyszla nadal przywiązany jest arab. Zaprzęg należy zapewne do gościa, który przyjechał już po wyjściu stajennych, żeby dołączyć do bankietu. Zostawili mi wymarzony podarunek.

Wiem, że nie wolno zachodzić koni od tyłu – to może je przestraszyć. Zbliżam się z boku, głośno szurając nogami. Koń podnosi łeb, obraca w moją stronę, rozchyła chrapy.

– Dobry konik, miły konik... – mówię cicho, kojąco.

Arab prycha nerwowo, rozpryskuje kropelki śliny. Jego nozdrza są mokre i rozszerzone niczym wytrzeszczone oczy. Wydaje się zdziwiony, jakby pytał: *Czyżby to heper?*

I dobrze. Koń, który potrafi wywęszyć hepera – tego właśnie mi trzeba.

Wyciągam rękę, żeby mógł powąchać. Włosy przy chrapach kłują mnie w palce, są krótko przycięte. Głaszczę araba po szyi, z włosiem i pod włos, nie za lekko, żeby dotyk nie łaskotał, lecz ujawniał pewność i stanowczość. Koń jest dobrze utrzymany i wyszczotkowany, a sądząc po jego wysoko zadartym ogonie, wygiętej szyi, widocznych mięśniach i mocnym zadzie, pochodzi z dobrej linii. Co znaczy, że na pewno jest doskonale ułożony.

Arab początkowo zachowuje się nerwowo, ale szybko się uspokaja. Kiedy wyczuwam, że jest gotów, odwiązuję lejce od koniowiązu. Podkowy zwierzęcia chrzęszczą głośno na żwirze, ale się tym nie przejmuję. Nikt nie wyjdzie na słońce, żeby mnie dopaść.

– Dobry konik... Jesteś dobrym konikiem, prawda?

Arab obraca łeb, żeby mi się przyjrzeć. Oczy ma duże i inteligentne.

Dwukółka również jest w doskonałym stanie. Dobrze naoliwiona, koła obracają się bez trzeszczenia i skrzypienia. Koń prycha z niechęcią, pewnie myślał, że zabiorę go do stajni na odpoczynek.

– Jeszcze nie teraz, koniku. Musimy jeszcze trochę dzisiaj pojeździć.

Prycha, tym razem protestując. Ale kiedy głaszczę go po chrapach, po gwiazdce i po szyi, uspokaja się. Kiedy go prowadzę, rusza za mną tylko z lekkim oporem. Dobry koń. Mam szczęście.

Wspinam się na siedzisko dwukółki, kładę dziennik szalonego naukowca obok, a potem ujmuję lejce. Koń powinien zostać nakarmiony, zanim odjedziemy, ale obrok jest zamknięty w stajni. Nie mogę ryzykować. Zresztą nie mam czasu.

– Wio! – wołam i potrząsam lejcami.

Koń stoi.

– Wio! WIO! – wołam głośnie. Na arabie nie robi to najmniejszego wrażenia, ani drgnie. Nie wiem, co robić. Zawsze jeździłem wierzchem, nigdy nie powoziłem.

– Proszę – mówię cicho. – Ruszajmy.

Bez zwłoki koń rusza stępa. Unosi wysoko głowę, zadziera ogon i zaczyna truchtać pewnie i dumnie.

Kocham tego konia.



Zatrzymuję się przy kopule, żeby arab mógł się napić ze stawu. Wyciągam trochę ubrań heperów z lepianki. Kiedy wracam, koń nadal pije, chrapy ma na wpół zanurzone w wodzie. Na mój widok podnosi głowę i parska z wdzięcznością. Wyczuwszy, że arab jest w nastroju do współpracy, przysuwam mu pod nos części ubrań. Koń zdaje się rozumieć, przyciska nozdrza najpierw do koszuli, potem do szortów, wachając głęboko, dopóki dobrze nie zapamięta zapachu. Potem unosi łeb, prycha, rozpryskując wodę i flegmę. Jak stary mędrzec spogląda swoimi

wielkimi, smutnymi oczyma na widnokrąg. Mruga raz, dwa razy. A potem bez dalszej zwłoki rusza truchtem, nie czekając na mnie. Chwytam za bok dwukółki i wskakuję na siedzisko.

Przyprowadź z powrotem heperów.

Znowu przypominam sobie słowa spisane ręką Ashley June.

Próbuję, chcę jej powiedzieć. Staram się to zrobić jak najszybciej.

Tak wiele chciałbym jej powiedzieć. Szkoda, że nie mogę. Powiedziałbym jej, że żyję, że jej poświęcenie nie było nadaremne, że dostałem jej list. I że teraz staram się ją uratować. Chciałbym posłać swoje myśli do bunkra, przez zwały ziemi, które nas dzielą, przez cement, metal i klapę prosto do jej umysłu.

Szybko.

Nie wiem, chcę jej przekazać. Nie wiem, czy zostało dość czasu. Nie wiem, czy znajdę heperów i zdołam ich przekonać do powrotu. Nie wiem, czy uwierzą, gdy zrozumieją, że wcześniej ich okłamałem. Nie wiem, czy uwierzą, że nie użyję ich jako przynęty i że przyprowadzenie ich z powrotem do gniazda os, gdzie znajdują się tak kusząco blisko, że nikt – ani łowcy, ani goście, personel, stajenni, strażnicy, eskorta, kuchty, krawcy, reporterzy i dziennikarze – nie zdoła się oprzeć, że to nie pułapka. Bo przecież musi popłynąć krew heperów, wsiąknąć w ziemię, aby w powietrzu uniósł się jej zapach. Wtedy nie tylko uprawnieni łowcy, lecz cała reszta rzuci się do polowania...

Ale nawet wtedy, Ashley June, nie wiem, czy wystarczy mi czasu, żeby się prześlizgnąć i ruszyć ci na ratunek.

Szybko.

– Jazda! – krzyczę i trzaskam lejcami o wiele mocniej, niż koń zasługuje. – Jazda!

A koń przyśpiesza – ziemia rozmywa się pod nami, sploty mięśni napinają pod skórą. Przyśpieszenie zapiera mi dech w piersi, porywa mi go w pędzie, niemal nie mogę wypełnić płuc. Instytut znika za nami, budynek maleje do niewyraźnej kropki, gdy wdzieramy się coraz bardziej w niezbadane rejony Bezkresu. Czuję uniesienie. Może to przez wiatr targający mi włosy i słońce na mojej twarzy, może to przez góry na wschodzie, które wydają się trochę bliższe, albo lśniąca, rozwianą grzywę czarnego jak węgiel rumaka. Ale to nie tylko widoki tak mnie urzekają. To zestawienie przeciwieństw, sprzeczność – oto w tej niewysłowionej grozie możliwe jest tak nieoczekiwane piękno. Piękno okolicy, piękno konia w cwale. Z oka spływa mi łza. Nie wiem, jak sobie poradzić z tą sprzecznością.

– Jazda! – krzyczę ile sił w płucach. Pył wzbijany kopytami konia sprawia, że głos mam chrapliwy i stłumiony. – Jazda!

Przyprowadź z powrotem heperów.

Już pędzę, Ashley June. Pędzę.

Wielkie Łowy

Szafirowe niebo rozciąga się nad nami, gdy gnamy coraz głębiej w Bezkres. Pojedyncze obłoki przypominają białe plamy na malarskim płótnie. Gdy teren zmienia się w twardy i kamienisty, koń rozpędza się jeszcze bardziej, cwałuje z dziką, niezmożoną furją. Dwukółka podskakuje na wybojach tak mocno, że wyrzuca mnie z siedzenia – przez parę sekund po prostu szybuję.

Rozglądam się uważnie, na ile to możliwe w obecnych warunkach. Poza rzadko pojawiającymi się drzewami Jozuego nic nie zakłóca monotonii trawiastej równiny i połąci żwiru. Żadnych dzikich zwierząt, choćby hieny czy psa. Tylko sępy krążą nad pustynią, niepokojąco blisko mnie.

Pół godziny męczącej jazdy i ani jednego hepera w zasięgu wzroku.

– Stój, koniku, stój! – wołam, ściągając lejce. Rumak zwalnia do kłusa, potem się zatrzymuje. Na jego czarnej sierści lśni pot, strużki wilgoci spływają po baryłkowatym torsie i nogach. – Dam ci trochę odpocząć, dobrze, koniku?

Sięgam po dziennik i otwieram na pustej stronie. W pełnym słońcu kolory i linie mapy zaczynają wypełniać stronę. Ostry wiatr szarpie za kartki, muszę je przytrzymać, żeby nie furkotały. Określam swoje położenie, używając stosu głazów po prawej jako punktu odniesienia. Detale na mapie robią na mnie jeszcze większe wrażenie – widać na niej nie tylko kolor głazów (szary), lecz także dokładną ich liczbę (cztery).

Gdzie są heperzy? Nie mogli odejść tak daleko, nawet gdyby biegli. Powiniennem już ich dostrzec.

Biorę ubrania heperów z siedzenia powozu i podsuwam koniowi do powąchania. Ale arab ani myśli współpracować. Krople śliny zwisają mu z pyska, gorący oddech bucha z nozdrzy. Żadnego węszenia, nie ma mowy.

– W porządku, koniku, dobrze się spisałeś. Odpoczniemy trochę, co?

Zwraca na mnie inteligentne oczy, mruga, a potem spogląda w dal.

Wspinam się na kozioł i staję, żeby raz jeszcze przyjrzeć się bezkresnej równinie. Przedemną wznoszą się ośnieżone szczyty gór na wschodzie, wydają się większe niż wcześniej, a po prawej i po lewej ciągnie się naga pustynia, nieruchoma po horyzont. Zerkam na konia. Czyżby zabrał mnie tylko na próżną przejażdżkę? Może nie miał pojęcia, dokąd tak dziko pędził, a ja pomyliłem błysk szaleństwa z inteligencją...

Jakby słysząc moje myśli, arab podnosi łeb i obraca na mnie lewe ucho. A potem wyciąga chrapy i węszy. Wiatr szemrze wokół nas, wzbija tumany piasku. Włoski przy nozdrzach konia drżą. Arab rzy cicho, po czym po prostu rusza. Ledwie mam czas, żeby usiąść i chwycić lejce, bo znowu gnamy przez równinę, tym razem bardziej na południe. Skręcamy coraz bardziej, niemal o dziewięćdziesiąt stopni.

Teraz naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy ten koń na pewno wie, co robi. Nie pędzi już z taką pewnością siebie, częściej zwalnia do kłusa i węszy, potem zmienia kierunek i przyśpiesza. Ale może to przez wiatr, który wieje z różnych stron – raz ze wschodu, potem z północy i z południa. To by wyjaśniało, dlaczego arab ma problem z podążaniem za zapachem.

Kiedy dostrzegam na niebie czarny punkt, biorę go początkowo za odległe stado sępów. Ale punkt rośnie, aż staje się atramentową chmurą. Za nią kłębią się kolejne, czarne jak maść

mojego konia.

Szybko.

Wiatr uderza mnie w twarz, z ogromną siłą szarpie kartami dziennika, niemal je wyrywa.

– Jazda! – wołam, trzaskając lejcami. Koń rozumie, mocniej uderza kopytami, jakby moja narastająca panika udzieliła się również i jemu. Tumany piasku suną nad równiną z zaskakującą prędkością, żółto-brązowe kłęby wirują nad ziemią.

Szybko.

Rozglądam się gorączkowo w nadziei, że wypatrzę jakiś ruch w zanikającym świetle. Ale nic z tego. Wydaje się, że nie ma znaczenia, jak daleko wjadę w Bezkres, krajobraz w ogóle się nie zmienia.

– Wio, koniku! – krzyczę. Ale rumak robi się coraz bardziej zdenerwowany, zwalnia. Oddycha ciężko, biegnie mniej płynnie. Wreszcie się zatrzymuje. Zeskakuję z siodła, łapię ubrania. Tym razem arab jest mniej chętny, odpycha nosem przysuwane mu części strojów. Uderza gniewnie kopytami w twardą ziemię. Niebo ciemnieje. Wkrótce chmury zakryją słońce i zapadnie ciemność, przez co znalezienie heperów zrobi się jeszcze trudniejsze.

– Musimy próbować...

Koń unosi łeb. Gwałtownie. Coś wyczuł. Rozwiera wilgotne chrapy, po czym rusza. W ostatniej chwili wskakuję do powozu, porzuciwszy ubrania heperów.

Na szczęście arab już ich nie potrzebuje. Cwałuje prosto, bez wahania wybierając kierunek. Podkowy wybijają pewny rytm, jakby koń chciał nadrobić stracony czas i rozumiał groźbę niesioną przez ołowiane chmury.

Dziesięć minut później widzę ich. Rząd niewyraźnych kropek przypominających wędrujące mrówki.

– Tam, koniku! Tam! – Ale wierzchowiec nie potrzebuje zachęty ani wskazówek.

Gdy docieram do heperów, zbijają się w obronną grupkę. Wstrzymuję konia, skręcam nieco. Nie chcę najechać na nich zbyt szybko ani gwałtownie.

Wyglądają na zmęczonych, ale na twarzach maluje się też gniew.

Kiedy się odzywają, zwracają się do siebie, nie do mnie.

– Mówiłem, żeby sprawdzić stajnie. Powóz byłby przydatny jakieś... no nie wiem, sześć godzin temu? – rzuca złośliwie Epap.

– Sprawdziłam – odpowiada Sissy. – Kiedy wy, chłopaki, pakowaliście swoje cenne rysunki. Stajnie były zamknięte. Jak zawsze.

– Ale *on* znalazł konia i powóz.

Patrzą teraz na mnie podejrzliwie, zwłaszcza Epap i Sissy. Niosą ciężkie plecaki, mają noże i włócznie, a także butelki wody. I skórzane teczki, pięć sztuk. Kurz i piasek przyprószył im włosy, twarze i ubrania.

– Musicie iść ze mną – mówię. Głos mam piskliwy, zdradzający fałsz, który czuję w sercu. Heperzy patrzą na mnie bez słowa.

– Już – nalegam. – Nie ma chwili do stracenia.

Epap występuje krok przed pozostałych.

– Gdzie? – pyta zaczepnie.

– Z powrotem. Do kopuły.

Chłopak otwiera usta, zaraz jednak krzywi się gniewnie.

– Ten list... – Sięga do tylnej kieszeni. – Dostaliśmy ten list przez Pępowinę dziś rano.

Ostrzega nas, że kopuła ma awarię. Zniszczony czujnik światła. Kopuła nie zamknie się na noc.

– Więc powiedzieli, żebyście szli do schronienia. Dali mapę i kazali się śpieszyć. Schron ma być około sześciu godzin marszu od kopuły – kończę. – A jeżeli powiem wam, że to

kłamstwo? Kopuła nie ma awarii. I nie ma żadnego schronienia.

Łatwo jest mówić z przekonaniem, jak dotąd każde moje słowo to przecież prawda. A heperzy to wyczuwają. W ich oczach pojawia się strach, napina im ramiona. Dostrzegam, że Ben spogląda z troską w dal. Żadnego schronienia w zasięgu wzroku, chociaż już dawno powinni na nie trafić. Wiedzą, że mówię prawdę.

Sissy, która dotąd milczała, pyta:

– Dlaczego to robią?

– Wsiadajcie do powozu. Wyjaśnię podczas jazdy. Ale musimy się pośpieszyć.

– Nie wsiądę, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. Ten powóz to pewnie trumna – warczy

Epap.

Więc wyjaśniam. Mówię wszystko o Wielkich Łowach. Dlaczego heperzy dostali broń. Dlaczego ostatnio w instytucie tyle się działo.

– Brednie – prycha Epap. – Mamy uwierzyć w te nonsensy, które ten koleś opowiada?

Sissy przygląda mi się uważnie, po czym rzuca:

– Mów dalej.

– Musimy wrócić do kopuły. Nie ma żadnej awarii. – I teraz zaczyna się kłamstwo. – Będziecie tam bezpieczni. Dotrzemy tam przed zmierzchem, ściany się podniosą. Wyobraźcie sobie zaskoczenie łowców, gdy wyruszą na polowanie, a wtedy okaże się, że zdobycz siedzi bezpiecznie pod kopułą i piecze prawoślaz przy ognisku.

Epap odwraca się do innych, patrzy na Sissy.

– Nie możemy mu wierzyć. Jeżeli kłamie i wrócimy, będziemy martwi. Słońce zajdzie, kopuła się nie podniesie... i po nas.

– A jeżeli mówię prawdę i nie wrócicie, zginiecie tutaj.

– Nie możemy mu ufać!

– A myślicie, że jak zginęli wasi rodzice? – wybucham. – To nie była wyprawa po owoce. To były Wielkie Łowy! Posłano ich, żeby stali się zdobyczą na polowaniu! Tak samo jak teraz was! Nie rozumiecie? Czy to nie oczywiste? To dzieje się znowu. List, który posyła was w Bezkres, poza kopułę. Jak możecie być tak łatwowierni?

Na twarzy Sissy maluje się wyraźne rozdarcie.

– Sissy, nie słuchaj go – krzyczy Epap. – Mógł nam powiedzieć o tych łowach wczoraj, ale tego nie zrobił, prawda? Dlaczego teraz mamy mu wierzyć? Założę się, że nie jest wcale następcą naukowca!

Na wzmiankę o naukowcu świta mi głowie pomysł.

– Czekaście.

Pędzę do powozu, wydaję dziennik.

– Ten dziennik napisał naukowiec. Jest tu wszystko o Wielkich Łowach. Sama oceń, czy kłamie. – Podaję książkę Sissy. Dziewczyna obraca ją w dłoniach, zerka na mnie podejrzliwie, po czym otwiera na pierwszej stronie. Pozostali tłoczą się przy niej.

Są cisi, gdy czytają, ale napinają się z każdą stroną. Na twarzy Sissy pojawia się groza, niedowierzanie, w końcu gniew.

– Teraz wierzycie? – pytam cicho.

Żadne się nie odzywa. Wreszcie prostuje się David.

– Nie wiem, w co wierzyć, w twoje słowa czy w list. Ale według mapy z listu schronienie znajduje się niedaleko. A w powozie będziemy mogli pokonać większy dystans i szybciej tam dotrzeć. Jeżeli nie znajdziemy schronienia, wrócimy do kopuły.

– Ta mapa to oszustwo. Nie ma schronienia.

Nagle robi się ciemno. Odwracam się, spoglądam w słońce. Przesłania je cienka jak jelito

chmura.

Szybko.

– Ruszajmy! – podnoszę głos.

– Nie! – sprzeciwia się Epap.

– No to popatrzcie na moją mapę! Tę w dzienniku. Nie pokazuje żadnego schronienia.

A jest na niej każdy krzew, każdy kamień i skała. Nie wydaje wam się dziwne, że tak dokładna mapa nie pokazuje czegoś tak sporego jak schron? Idźcie, jeżeli chcecie. Nie zamierzam was dłużej przekonywać, że schronienie to kłamstwo.

To już zupełny bluff. Chcę ich zmusić, żeby pojechali ze mną, ale skończyły mi się argumenty.

Sissy podnosi głowę znad mapy w dzienniku.

– Zrobimy, jak mówi David. Poszukamy azylu, a jeżeli nie zdołamy go znaleźć, wrócimy do kopuły. W ten sposób...

– Nie ma czasu! – przerywam jej. – Musimy się śpieszyć. Widzicie te chmury? Za godzinę będzie ciemno jak w nocy. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, co to oznacza. – To nie bluff. Potężne obłoki gromadzą się na niebie, grożąc przedwczesnym zapadnięciem mroku.

– Zamknij się! – Twarz Epapa robi się czerwona z wściekłości. – Nie masz prawa głosu! Rusza na mnie, kościste ramiona ma sztywne i kabłąkowate w łokciach.

– Spokojnie – ostrzegam go. To go bynajmniej nie powstrzymuje.

– Nie potrzebujemy cię. – Zerka na resztę heperów i przywołuje ich machnięciem ręki. – No chodźcie. Przecież możemy mu zabrać powóz.

Wyciągam do niego rękę, ale ją odpycha.

– Przestańcie – pada spokojny, cichy rozkaz. – Trzymamy się razem. Wszyscy.

Sissy przenosi spojrzenie za nas, na zachód, tam, gdzie znajduje się instytut.

– Nie możemy mu ufać – oponuje znowu Epap.

– Możemy i będziemy. Nie mamy już czasu. Te chmury to poważny problem.

Epap słuwa na ziemię.

– Dlaczego tak chętnie mu wierzysz?

Sissy spogląda na niego długo, jakby chciała mu dać szansę na samodzielne wyprowadzenie oczywistego wniosku.

– Ponieważ – oznajmia w końcu, ruszając do powozu – nie musiał tu przyjeżdżać, nieprawdaż?



Ben siedzi obok mnie na koźle. Pozostali tłoczą się za nami, gdy pędzimy do instytutu. Siedzą cicho, spoglądają przez okna. Sissy wsadziła nos w dziennik i studiuje zapiski szalonego naukowca.

– Jak ma na imię koń? – pyta Ben.

– Nie wiem.

– Może razem wymyślimy mu jakieś imię.

– Nie sądzę. Bądźmy cicho, dobrze? – odpowiadam surowo. Nie mam ochoty na rozmowę. Przeszkadza mi myśl, że chciałem posłać tego chłopaka na śmierć.

Ben przez chwilę milczy.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Gdy tylko zobaczyłem tuman kurzu, wiedziałem, że to musisz być ty. Pozostali się przestraszyli, bo myśleli, że to któryś z łowców. Ale ja wiedziałem, że to niemożliwe. Nie w pełnym słońcu. – Z podziwem spogląda na araba. – To niesamowite, że

przyjechałeś powozem. Od dawna próbowaliśmy ukraść konia ze stajni.

Wbrew wszystkiemu ogarnia mnie ciekawość.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Sissy chciała wyjść. Nienawidzi kopuły. Nazywa ją więzieniem.

– Dlaczego nie uciekliście wiele lat temu? Przecież mogliście wyjść każdego ranka, gdy tylko ściany kopuły opadły. I powędrować w siną dal.

Ben potrząsa głową ze smutkiem, który nie pasuje do kogoś tak młodego.

– Nie zaszlibyśmy daleko. Nawet latem, gdy słońce świeci przez czternaście godzin, zdołalibyśmy odejść najwyżej na czterdzieści mil. A gdy tylko zapadłaby noc, w trzy godziny dopadliby nas tamci. Zresztą nie ma dokąd iść. Wszędzie jest tylko pustynia. Bezkrzes.

Wiatr znowu się wzmacnia, gna ciemne chmury coraz szybciej. Coraz większe tumany pyłu wirują nad równiną, niczym duchy bojące się własnego cienia. Od czasu do czasu ostry podmuch wdziera się do powozu i śwista radośnie w środku.

Kłębiąca się ściana obłoków przesłania słońce. Jeszcze przez chwilę przesączają się przez nią smugi światła, potem znikają zupełnie.

Nad Bezkrzesem rozciąga się szarość zmierzchu.

Ben z lękiem ściska mi udo.

Zerkam na tę rękę, pulchną i drobną. Powóz podskakuje na wybojach, ruch przyciska nas do siebie mocniej.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

– Co?

– Wszystko będzie dobrze – powtarzam głośniejszym głosem. – Nic się nie stanie.

Wbija we mnie wzrok, oczy ma zmrużone, usta zaciśnięte. Na twarzy ma wyraźne smugi przecinające warstwę kurzu na skórze. Kiwa głową raz i drugi, nie spuszczając ze mnie spojrzenia.

A we mnie coś się załamuje. Odwracam głowę.

Szybko.

Łatwo jest coś zaplanować, ale realizacja to zupełnie co innego.

Nigdy nie zapominaj.

Szarpię lejce, zatrzymuję konia. Ben patrzy na mnie pytająco.

– Słuchaj, musisz usiąść z tyłu – mówię, nie odwracając głowy.

– Nie ma miejsca.

– Jest. Muszę być teraz sam, rozumiesz?

– Dlaczego stoimy? – Epap wychyla się z okna.

– Ben do was dołączy – odpowiadam rzeczowo. – Tu nie ma miejsca.

Zeskakuję z kozła i nakazuję gestem, aby Ben zrobił to samo.

– Tu też nie ma miejsca – odpowiada Epap. – Zdaje się, że dotąd sobie poradziłeś.

– Czemu po prostu się nie zamkniesz? – warczę.

Reszta heperów wysiada, napięcie wisi między nami w powietrzu. Zerkam na Davida i Jacoba stojących obok Epap.

– Zawsze potrzebujesz pomocy, gdy musisz walczyć? – rzucam.

– Zamknij się! – krzyczy Epap.

– Spokojnie, Epap. – Sissy jako ostatnia opuszcza powóz. – On cię tylko prowokuje.

– I zawsze potrzebujesz jej, żeby mówiła ci, co robić? – pytam Epap. Ten napina się, chce się na mnie rzucić. Widzę, jak ugina nogi, rozchyła usta...

I wtedy po pustyni niesie się głos rogu. Dobiega z zachodu, od instytutu.

Tak nas to zaskakuje, że po prostu zamieramy w bezruchu, tylko na siebie patrzymy.

A potem powoli odwracamy głowy.

Nic nie widzimy. Tylko szarość rozciągającą się po horyzont.

Róg odzywa się ponownie. Samotna, smętna i rozedrgana nuta niesie się daleko.

– Co się dzieje? – pyta Epap. – Co to za dźwięk?

Wszyscy heperzy patrzą na mnie.

– Wielkie Łowy – odpowiadam. – Właśnie się zaczęły. Łowcy ruszają na polowanie.

– To złudzenie, po prostu wiatr świszcząc wśród głązów. – Epap wskazuje na stos pięciu dużych głązów po lewej.

Nikt nie odpowiada.

– Tam. – Ben stojący na kozle wyciąga rękę i pokazuje przed siebie jak drogowskaz.

Dokładnie w stronę instytutu. Głos ma spokojny, niemal obojętny.

– Nic nie widzę, Ben – dziwi się Sissy.

– Tam! – w głosie chłopaka przebijają teraz emocje, głównie strach. I wtedy wszyscy to dostrzegamy. W oddali unosi się kłęb kurzu.

Mam wrażenie, jakby wnętrzości nagle mi się zapadły w wilczy dół.

Nadchodzą łowcy. I to szybko.

Próbuję nie myśleć o Ashley June, nadal w ciemności, w zimnej celi, trzymającej się resztek nadziei...

Ktoś łapie mnie za kark.

– Masz sporo do wyjaśnienia. – To Epap. – Co się dzieje?

– Zostaw mnie! – Wrywam się i uderzam z łokcia w tył. Trafiam go w policzek. Głowa mu odskakuje, po czym Epap pochyla się, w jego oczach błyska gniew. Oddaje cios pięścią, zaskakująco mocno. Zanim zdążę odpowiedzieć, atakuje mnie serią uderzeń w brzuch. Tracę równowagę. Zataczam się, padam na kolana. Ale Epapowi to nie wystarcza. Kopie mnie w żebra. Przed oczyma wybucha mi biel.

– Ty draniu! Jesteś tylko mięczakiem, marna podróbko! Nie zdmuchnąłbyś dmuchawca, nawet gdyby od tego zależało twoje życie.

Przyprowadź z powrotem heperów.

– Powiedz, co się dzieje! – krzyczy Epap.

Wypluwam krew na piasek. Rozpryskuje się w kurzu, rozdziela jak ślady łap gołębia. Zamykam oczy, nadal widzę niemal wyłącznie biel.

– Nadchodzą – mówię.

– Kto?

– Łowcy!

Zapada milczenie. Nie potrafię podnieść głowy i spojrzeć heperom w oczy.

I wtedy znowu to słyszę. Tym razem nie pojedynczy skowyt, lecz chóralne wycie.

Moja krew. Łowcy wyczuli już zapach.

– No to teraz nas załatwiłeś, kretynie – stwierdzam spokojnie. – Teraz łatwiej im będzie nas znaleźć.

– Nie nas. Ciebie. – Epap odwraca się do pozostałych. – Powinniśmy go tutaj zostawić. Zabierzemy powóz. To da nam...

– Nie – mówi cicho Sissy.

– Ale, Sissy, przecież...

– Nie, Epap! Masz rację, nie możemy mu ufać. Nie mówi nam wszystkiego, co wie. Ale właśnie dlatego nie możemy też go zostawić. Potrzebujemy jego wiedzy.

Podchodzi bliżej, jej kroki wzbijają kurz, który spada na mnie.

– On przeżył – mówi Sissy. – To wiemy na pewno. A skoro jemu udało się przeżyć, to

trzymanie z nim zwiększa nasze szanse na przeżycie.

Wbijają we mnie płonące oczy.

– Więc zacznij mówić. Co mamy robić?

Podnoszę się. Moje złamane serce zaczyna się goić.

– Staniemy przeciw nim i będziemy walczyć. – Otrzeputuję piasek z ubrania. –

Zaskoczmy łowców, jeśli nie uciekniemy. Bo właśnie tego nie będą się po was spodziewać.

Myślą, że jesteście słabi, tchórzliwi, niezorganizowani. Nie możecie stawić im czoła, odpowiedzieć ciosem na cios. To ich zaskoczy.

– Nie mamy szans... – wtrąca Epap, ale nie pozwalam mu skończyć.

– Owszem, mamy. Widziałem, jak sobie radzicie ze sztyletami i włóczniami. Możecie wyrządzić sporą krzywdę. Łowcy nie sądzili, że okażecie się tak sprawni, ta broń miała służyć tylko celom dekoracyjnym. Ale wcale tak nie jest. Mamy przewagę liczebną. Zostało tylko trzech łowców. A nas jest sześcioro. I mamy jeszcze pięć cholernych triemów. Uda nam się. Pokonamy ich. A wtedy nic nie stanie nam na przeszkodzie, żeby wrócić bezpiecznie do kopuły.

– Odbiło ci, wiesz? – krzyczy Epap. – Nie masz pojęcia, do czego są zdolni. Każdy z nich jest dziesięć razy szybszy i silniejszy od nas. To nie my mamy przewagę liczebną, kretynie, lecz oni. Trzydziestu na sześcioro. Liczniejsi, silniejsi i szybsi. Walka z nimi to zwyczajne samobójstwo.

Epap ma rację, wiem to doskonale. Nie pokonamy łowców, zero szans. Ale jeżeli uda mi się jakoś przedrzeć przez łowców i dotrzeć do instytutu, może zdołam uratować Ashley June. To moja jedyna nadzieja. Żeby jednak się to udało, muszę najpierw przekonać heperów do walki i odwieść ich od ucieczki. Jeżeli uciekniemy, Ashley June umrze. To proste. Lecz dopóki walczymy, pozostaje iskierka nadziei, nieważne, jak mała.

Epap odwraca się do Sissy.

– Musimy uciekać. Już. Zostawmy tego kolesia, zyskamy czas, zdążymy się oddalić.

Tylko kręcę głową.

– Nie łapiesz, co? Jeżeli zaczniecie uciekać, zyskacie najwyżej dwadzieścia minut, może mniej. Koń jest zmęczony, biegał cały dzień. Łowcy dościgną nas wcześniej niż później.

Heperzy milkną po tej przemowie. Wiedzą, że mam rację. W powozie Ben zaczyna płakać. Nawet koń, zerkając na chmury, zaczyna rzeć.

Sissy podchodzi do mnie dwa kroki bliżej.

– A co z mapą?

Zaskakuje mnie spokój w jej cichym głosie, tak niepasujący do sytuacji.

– To znaczy?

– Mapa pokazuje łódź na północy. Przycumowaną do pomostu. Jeżeli dotrzemy tam na czas, może będziemy mieli szansę.

– Oszalałaś? Nie możesz ufać tej mapie. Naukowiec był szalony.

– Nie dla nas. Nam wydawał się rozsądny.

Spoglądam na północ, gdzie może znajdować się łódź.

– Skoro ta łódź istnieje naprawdę, dlaczego nigdy wam o niej nie powiedział?

Między jej brwiami pojawia się zmarszczka.

– Nie wiem. Ale wszystko inne na tej mapie oddaje ze szczegółami to, co widzimy.

Rozpadliny, góry, wszystko jest tam, gdzie pokazuje mapa. Nawet te głazy. – Wskazuje na stos kamieni. – Więc dlaczego nie łódź?

Potrząsam głową.

– Nawet jeżeli ona istnieje, a nie istnieje, nigdy nie dotrzecie tam na czas.

– Mimo wszystko chcę spróbować.

Nie możemy uciekać, musimy zostać i walczyć, napominam się w duchu. Jedyna nadzieja, żeby ocalić Ashley June, to walczyć z łowcami.

Podnoszę głos.

– A ja twierdzę, że jest tylko jedno wyjście, żeby przeżyć: walczyć.

Epap prostuje się z pogardą.

– Chodź, Sissy. Ruszajmy. Zostawmy go.

Heperzy nie są głupi. Wiedzą, że to walka skazana z góry na przegraną, uważają, że ucieczka da im większe szanse przeżycia. Muszę wymyślić plan. Taki, który przekona ich, żeby zostali i walczyli. Zerkam na heperów. Strach wykrzywił im twarze, na tle Bezkresu wydają się mali i wrażliwi na ciosy, pozbawieni ochrony, jaką dawała kopuła. I wtedy coś do mnie dociera. Łowcy przecież nie wiedzą, że jestem z heperami. Pewnie sądzą, że zostałem sam, oddzielony od heperów, samotny uciekinier. Nie ma powodu, żeby myśleli inaczej. A zapach mojej krwi zaciera ślady zapachowe pozostałych na wiele mil wokół.

Patrzę na heperów, na ich broń – triemy. I na stos głazów, wysoki i pełen szczelin. Mrugam. I mam. Mam plan.

Sissy podchodzi blisko, staje tuż przede mną z nieskrywaną ciekawością.

– O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś wpadł na jakiś pomysł.

Raz jeszcze podnoszę wzrok na grupę, tym razem każdemu heperowi po kolei patrzę w oczy.

– Zmykajcie z podwiniętym ogonem, jeżeli tak się boicie. Ale jeżeli wolicie przyłączyć się do mnie i walczyć, to mam plan – oznajmiam twardo.



Noc jest ciemna. Żadnych gwiazd migoczących na niebie, skryły je olbrzymie chmury niczym ponury, skłębiony mrok. Wschodnie pasmo gór znikło, rozplynęło się w czerni.

Jestem sam. Siedzę na ziemi oparty o głaz. W dłoni ściskam włócznię, którą wręczyła mi Sissy, zanim zniknęła w ciemności. Przysuwam szpic włóczni do wnętrza dłoni i zamieram. Przede mną jest tylko pustka, Bezkres rozciąga się w nieskończonej szarości, która jeszcze nie zmieniła się w całkowitą czerń. Towarzystwa dotrzymuje mi tylko kamień pod plecami. Jego powierzchnia jest zimna i chropowata, ale w bezmiarze niematerialnego mroku twardość głazu wydaje się dziwnie pokrzepiająca.

Przyciskam ostrze do skóry i tę.

Pozostawia małe skaleczenie, z którego spływa zaledwie kropelka krwi. Ale dla ścigających mnie łowców tyle wystarczy, to dla nich jak błyskawica na czarnym niebie.

I zaledwie parę sekund później ciszę Bezkresu rozdziera ryk żądy. Bardzo blisko, o wiele głośniejszy niż wcześniej, wyraźnie brzmiący dzikim pragnieniem. Łowcy będą tu wkrótce, mniej niż w minutę.

Zaciskam dłoń. Spływa więcej krwi. Dość, żeby oszołomić i znieczulić ich powonienie – nie ma szans, żeby wyczuli zapach innych heperów. Czują pulsowanie w skaleczeniu, napór krwi na krawędzie rany, zaskakująco niesynchroniczny z trzepotem mojego przestraszonego serca.

Heperzy zostawili mnie z tą włócznią i niczym więcej.

Szmer piasku i syk docierają do moich uszu.

Przybyli łowcy.

Wstaję, choć kolana mi się trzęsą.

Niewyraźna smuga w ruchu, przesuwająca się z lewa na prawo. Potem kolejna w przeciwnym kierunku, na granicy mojego pola widzenia. Z mroku wychodzą trzy postacie,

początkowo niewyraźne.

Pokazówka.

Czerwonousta.

Ponurak.

A po nich, jakby materializowały się z szarości, zarysowują się jeszcze dwie sylwetki, początkowo podobne duchom, potem przerażająco realne.

Kwiecista Sukienka.

Dyrektor.

Spodziewałem się trojga łowców, nie pięciorga.

Wszyscy są makabrycznie nadzy, wysmarowani maścią przeciwsłoneczną, która wygląda na ich skórze jak zmarznięty lukier. Tam, gdzie specyfik nie zadziałał, widoczne są otwarte rany niczym krater, lśniące żywą czerwienią nawet w zapadających ciemnościach. Skutki przebywania przez cały dzień w bibliotece rozświetlonej słońcem. Ale to oczy łowców są najbardziej przerażające. Lśni w nich czysty gniew, dzika nienawiść zmieszana z żądzą krwi, która pulsuje w moich żyłach.

– Nie wyglądacie najlepiej – mówię.

Przysuwają się bliżej, warcząc. Podkradają się powoli, po kilka jardów.

Coś jest nie w porządku. Nie tak wyobrażałem sobie tę chwilę. Łowcy są zbyt opanowani. Wyobrażałem sobie szaleńczę, nieokiełznaną żądzę, wyszczerzone kły, rozpędzone ciała, skaczące, żeby mnie dopaść i rozszarpać. Myślałem, że w okamgnieniu zostanę rozczłonkowany na tysiące kawałeczków. Ale to opanowanie wydaje się za bardzo metodyczne.

– Nie wypalicie się? – rzucam ironicznie. – Okropnie wyglądacie.

Łowcy rozciągają się w półkole.

Nie spuszcza z nich oka, zwłaszcza z dyrektora dokładnie naprzeciw mnie. Jest najspokojniejszy z całej grupy, oddycha powoli, porusza się z gracją po wysuszonej ziemi. Lewą dłoń ma opuszczoną, długie paznokcie delikatnie uderzają w udo, prawe ramię podejrzenie skrywa za plecami.

– Postanowiliśmy zagrać w grę – oznajmia.

– Doprawdy.

Najdalej po lewej ode mnie stoi Ponurak, kucnąwszy nisko, co nie przeszkadza mu w powolnym przesuwaniu się po łuku.

– Próbuję się zdecydować, jak nazwać tę grę. Zapewne gra w dzielenie albo gra w smakowanie.

Kwiecista Sukienka przesuwa się powoli po prawej, w jej oczach lśni wilgotne oczekiwanie. Uda ma grube, obwisłe. Obnaża zęby, syczy. Przesuwa się, dopóki nie uderzy w głaz.

Podobnie jak Ponurak po lewej. Każdy z łowców zajmuje pozycję, po czym zerka na dyrektora, czekając na dalsze instrukcje. A potem podchodzą bliżej, krąg zaciska się wokół mnie.

– Bo widzisz, musimy zrobić z ciebie przykład – wyjaśnia spokojnie dyrektor. – Zadrwiłeś z łowów, z instytutu i z Władcy. Co za ekspert od heperów, skoro nie potrafi nawet wykryć jednego z nich pod własnym nosem?

Po raz pierwszy jego głos zdradza emocje. Rozdarcie.

– Nie wystarczy cię po prostu pożreć. To by było za szybko, dla nas i dla ciebie. Więc zdecydowaliśmy, oczywiście dzięki mojej sugestii, żeby się tobą podzielić i delektować. Powoli. Z przyjemnością. Kawałek po kawałku.

Nadal się zbliżają, zerkając na prawo i lewo, szacując mnie i otoczenie.

Czerwonousta skacze w ataku.

– Stop! – wrzeszczy dyrektor i kobieta zamiera w przysiadzie z wyprostowanymi plecami jak zaskoczony kot. I dopiero teraz dostrzegam, że dyrektor ściska w prawej ręce triem wycelowany w Czerwonoustą. To musi być triem Ashley June, ten, który został w bibliotece.

Czerwonousta cofa się do szyku.

– To trudna gra, ponieważ nasze podniecenie może ją zepsuć. – Dyrektor kiwa głową na łowców. – Kontynuujcie.

Łowcy podkradają się jeszcze bliżej, krąg się zaciska, ale wszyscy trzymają szyk. Nieustannie strzelają oczami.

– Rozczłonkujemy cię kończyzna po kończyźnie – zapowiada dyrektor. – Dwaj łowcy wyrwą ci ramiona, a dwie łowczynie nogi. Po kolei. Postaramy się to przedłużyć, może między kolejnymi kończynami zrobimy pięciominutowe przerwy? Upewnimy się, żebyś nie umarł za wcześnie. To będzie wspaniały element książki, nie sądzisz? Rozciągnie koniec, a napięcie przykuje czytelników do ostatniej karty. Zapierająca dech kulminacja, nieporównywalna z żadną inną. – Spogląda na mnie, oczy mu błyszczą, jakby się śliniły. – Końcówka będzie moja. Urwę ci głowę.

– A co potem?

Dyrektor prostuje się, drapie w nadgarstek w dzikim szale.

– Naprawdę pytasz, co potem? Potem będziesz martwy! – Przerzywa, żeby mi się przyjrzeć. – Och, chodzi ci o twoich kumpli? Troszczysz się o pozostałych heperów? Nie martw się. Dopadniemy ich w końcu. Nawet na tej ogromnej pustyni na pewno ich odnajdziemy.

Nie wiedzą, gdzie są pozostali heperzy, myślę.

– A potem wrócimy po twoją dziewczynę i opowiemy jej, co się z tobą stało! – warczy Ponurak. Ślina spływa mu z ust.

– Tak właśnie uczynimy – wtrąca ostro dyrektor. Posyła Ponurakowi zimne spojrzenie. Na twarzy maluje mu się irytacja, jak u kogoś, komu odebrano okazję do wygłoszenia błyskotliwej sentencji, zachowywanej na właściwą chwilę. – A potem to samo zrobimy z nią. Kończyna po kończyźnie. Gra w smakowanie. Och, podoba mi się coraz bardziej ta nazwa. Chyba tę właśnie wybiorę.

Krąg zaciska się jeszcze bardziej. Ciała łowców emanują wygłodniałym podnieceniem, głowy opadają i podnoszą się, ramiona drgają konwulsyjnie, a z ust dobywa się dziwaczne cmokanie.

– Jak myślisz, kto będzie krzyczał głośniejszy, ty czy ona? Ta dziewczyna ma w sobie pasję, może zatem ona. Ale też ma silną wolę, nie sądzisz? Pewnie tak, sądząc po tym wyczynie, którego dokonała. Wcale nie przypomina innych heperów, którzy umknęli jak szczury i zostawili ją w samotności.

Pokazówka krzyczy z irytacji i zniecierpliwienia.

– Dość gadania! Bierzmy się już za niego! – Wysuwa język chropawy jak korek i przesuwa nim po spękanej dolnej wardze. – Pozwól nam ruszać!

Przykuca nisko, gotowa do ataku.

Dyrektor unosi głowę, rozgląda się po okolicy, jakby się upewniał, że wszystko gotowe.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że możesz wyrwać tylko lewą nogę, nic więcej. Pozostali zostają w szyku. – Dotyka triemu. – Każdy doczeka się swojej kolejki. A teraz w imię przyjemności naszego najwspanialszego Władcy i dla szczęścia jego dobrych poddanych ogłaszam...

Zanim jeszcze kończy mówić, Pokazówka rzuca się na mnie. Wybija się z czterech kończyn jak rozszalała hiena, włosy opadają jej na plecy nieprawdopodobnie gładką kaskadą. A chociaż porusza się błyskawicznie, czas wydaje się zwalniać. Widzę wyraźnie każdy szczegół – ostre zęby na tle czarnej dziury rozwartych na pół twarzy ust, błysk czerwieni w oczach. Widzę

też pozostałych łowców, zrywających się sekundę później, niezdolnych się opanować. Ich nogi uginają się jak u gepardów, wyrzucają ich wyprężone ciała w powietrze, paznokcie i pazury wbijające się w splekany grunt przy lądowaniu i dające oparcie do kolejnego susa. Poruszają się z gracją tak niepasującą do ich dzikich zamiarów.

Widzę dyrektora. Twarz ma bez wyrazu, ale w oczach błyszczy gniew, gdy unosi triem i wymierza w Pokazówkę i Czerwonoustą. Ręce mu drżą z wściekłości i zaskoczenia.

Pokazówka wykonuje ostatni sus – wyciąga ramiona w locie, ślina i flegma ciągną się za nią. Przechyla głowę, jakby zamierzała wgryźć mi się dokładnie w jabłko Adama.

Ostry promień światła przecina mrok. Biały, oślepiający błysk. W noc niesie się wrzask. Czuję w nosie smród spalenizny. Pokazówka leży na ziemi i krzyczy, a tam, gdzie był jej obojczyk, zieje dziura.

Dyrektor wpatruje się tępo w swój triem. Nie rozumie.

Kolejny promień przecina noc – zza mnie i znad mojej głowy. Strzela ktoś, kto stoi na głazie. Tym razem światło uderza w Czerwonoustą, przepala jej udo już po wyskoku.

– Ha! – woła Czerwonousta, sięgając na próżno do rany ręką. Z uda unosi się dym.

– Gene! Na ziemię! – wrzeszczy Sissy.

Opadam na kolana tuż przed pędzącą na mnie Kwiecistą Sukienką. Rozpęd przerzuca ją nade mną, paznokcie rozrywają mi koszulę. Kwiecista Sukienka ląduje w eleganckim saltie, po czym rusza do kolejnego ataku.

Kolejny strzał z góry, mocno chybiony – uderza tylko w pustynny piach.

Kątem oka dostrzegam ruchomy kształt. Ponurak wspina się po głazach.

– Jacob! – wołam. – Pilnuj boków, próbuje nas zająć z flanki! Po twojej stronie!

Kwecista Sukienka skacze znowu do mnie, wykrzywia usta prawie jak w uśmiechu, warczy. Słyszę za plecami krzyk – David? Ben? – czystego, wibrującego strachu.

Kolejny promień przecina ciemność. Tym razem pada z daleka od głazów i trafia w niebo.

– Sissy! – rozpoznaję głos Epapa. – Pomóż mi tutaj!

Słowa rwą się w panice.

A potem seria błysków wywołuje efekt stroboskopowy. Atak Kwecistej Sukienki staje się szarpany w tempie staccato. A potem nagle widzę ją nad sobą, wielka i ciężka spada na mnie z góry. Oczy ma wbite we mnie jak namiętna kochanka.

Krąg światła pada z góry i jej ramiona się rozświetlają. W połowie upadku jej ciało wiotczeje.

Uderza w ziemię obok mnie, drżąc. Odpycham ją z odrazą, smród spalenizny i rozkładu wywołuje mdłości. Z tyłu głowy Kwecistej Sukienki unosi się smuga dymu. Podnoszę wzrok. Sissy spogląda na mnie ze szczytu głazów, a potem odwraca się na słowa Epapa:

– Nie mam strzałów, Sissy. Wykończyłem pierwszy triem!

Odwracam się i rozglądam uważnie. Tylko Kwecista Sukienka leży nieruchomo.

Pokazówka i Czerwonousta zerwały się już na równe nogi, ciała mają poparzone, ale adrenalina, wściekłość i głód popychają je do działania. Pędzą do sterty głazów, zamierzają się tam wspiąć.

Jacob, na samym szczycie, pochyła się nad swoim triemem. Na próżno naciska spust. Zabezpieczenie, zapomniał zwolnić przycisk zabezpieczenia. Nie udało mu się oddać ani jednego strzału. To jedna z przyczyn, dlaczego plan tak beznadziejnie zawodzi. O jardy dalej Ponurak już dotarł na tyle blisko, by rzucić się na Jacoba.

Nic nie przebiega zgodnie z planem. Przez niezdolność heperów do użycia triemów straciliśmy wszelką przewagę – zasadzkę dzięki strzelcom na górze, element zaskoczenia, siłę wspólnego, skoordynowanego ataku. Mój plan został rozdarty na kawałeczki. Za chwilę to samo

stanie się z nami, o ile czegoś się nie zrobi. I to szybko.

– Jacob! – wrzeszczę. – Rzuć mi triem!

Chłopak odwraca się do mnie z przerażeniem w oczach. Z drugiej strony sterty głazów padają spanikowane błyski – to Epap bezsensownie traci strzały drugiego i ostatniego triemu. W świetle promieni widzę łzy na policzkach Jacoba i jego wykrzywione usta.

– JUŻ, Jacob! Rzuć mi triem!

Rzuca mi broń. To idealny rzut. Musi taki być. Odblokowuję zabezpieczenie i strzelam, jeszcze unosząc ramię. Promień trafia Ponuraka prosto w nos. Ale broń ustawiona jest nadal na najmniejszą siłę rażenia, strzał jedynie zaskakuje łowcę i pozbawia go równowagi. Ponurak przewraca się zdumiony, ale zaraz zrywa i rusza do ponownego ataku.

Zwiększam siłę rażenia, unoszę głowę. Ponurak już znowu jest prawie na szczycie, blisko Jacoba. Strzelam po raz drugi. Promień mija Ponuraka o jard po lewej. Łowca odwraca się, warczy na mnie. Wymierzam prosto między jego oczy i strzelam po raz ostatni. Promień chyba zaledwie o włos nad jego głową, parę cali za wysoko. Ale światło oślepia łowcę, przynajmniej na parę sekund.

– Złaz z głazów! – krzyczę, odrzuciwszy bezużyteczny już triem. – Wycofajcie się! Przegrupujemy się na dole.

Dostrzegam, jak heperzy zsuwają się na ziemię, ich twarze są napięte ze strachu. Epap łąduje obok mnie. Chwytam go za kołnierz i niemal podnoszę.

– Gdzie twoje triemy? – pytam.

Potrząsa tylko ponuro głową.

Sissy zeskakuje zaraz za nim, prosto ze szczytu sterty. Brutalnie ściąga ze sobą Jacoba. Przewracają się, a Epap i ja pomagamy im wstać.

Nikt nie ma już triemu.

Wycofujemy się natychmiast, jak najdalej od głazów. Epap chwyta włócznię, którą porzuciłem, po czym rzucamy się do biegu.

Łowcy zeskakują z głazów. Ponurak łąduje na bezwładnej nadal Kwiecistej Sukience, wykorzystując jej ciało jak amortyzator. Wszyscy pozostali łowcy są poranieni przez promienie z triemów, ale ból tylko wzmacnia żądzę krwi.

– Teraz, David! Potrzebujemy cię! Już! – woła Sissy w powietrze.

Łowcy przykucają, po czym zaczynają pędzić na nas z przesywającym uszy skrzekiem.

– Gdzie on jest? – krzyczy Epap, biegnący po prawej. Rozgląda się. – David?!

– Potrzebny nam triem! – wołam.

– Chrzańcie triem! – wrzeszczy Sissy i sięga po sztylety przypasane w talii.

W okamgnieniu wyjmuję nóż, odpycha mnie, unosi ramię na wysokość piersi i miota ostrzem z lewej do prawej. Ledwie wyprostowała rękę, sztylet pomknął spod jej obróconej w dół dłoni. W locie rozmył się w błyszczącą smugę. Sissy nawet nie zerka, czy ostrze zmierza do celu, sięga po kolejny sztylet, wyjmuję, rzuca, po czym wypuszcza jeszcze jeden. Trzy noże w powietrzu mkną przez mrok w stronę ścigającej nas trójki łowców.

Potrzebny nam triem, myślę. Sztylety na nic się nie zdadzą...

Pierwsze ostrze wbija się Czerwonoustej w nogę. Ku mojemu zaskoczeniu łowczyni wrzeszczy z bólu, potyka się i przewraca, chwyciwszy za udo, skąd wystaje rękojeść.

Drugi sztylet trafia Pokazówkę w ramię. Łowczyni obraca się w miejscu jak smagnięta niewidzialnym batem, po czym z piskiem zwała się na ziemię. Sztylet przebił ją na wylot, czubek klingi wystaje spod łopatki.

Jak ona to robi? Jakim cudem nóż mógł wyrządzić tak silne obrażenia?

Zaraz jednak dociera do mnie, jak Sissy tego dokonała. Wycelowała dokładnie w miejsca,

gdzie łowcy mieli już głębokie i ciężkie rany zadane triemami. Tam, gdzie ciało zrobiło się gąbczaste, a mięśnie rozpuściły się w mętną, żółtawą ropę. W obojczyk Pokazówki, w udo Czerwonoustej. Tylko tam sztylet mógł wyrządzić dalsze szkody.

Ale nie ten trzeci. Leciał prosto w nos Ponuraka, który dostrzegł, co się stało łowczyniom. Dlatego w ostatniej nanosekundzie uchylił się i ostrze przemknęło o włos nad jego głową. Ponurak nawet się nie zawahał, nadal długimi susami pędzi prosto na nas. Zwłaszcza na Sissy – chce ją dopaść, zanim dziewczyna rzuci kolejny sztylet.

I zapewne mu się uda. Sissy jest szybka i zwinna, gdy sięga do pasa po kolejny nóż, ale nie dość szybka. Ani trochę. Dziewczyna wyciąga broń, zaciska palce na ostrzu, ale Ponurak już skacze. Sissy unosi głowę, zamiera. Wie, że jest za późno.

I wtedy z boku Epap robi zamach.

Włócznia mruży w powietrzu nocy. Piękny rzut, bez śladu wahania. Trafia prosto w nos Ponuraka. Śmiertelnie dokładnie.

Słychać przerażające plaśnięcie. Ponurakowi głowa odskakuje w tył, nogi bezładnie odrywają się od ziemi. Łowca zamiera w pół ruchu, jego ciało leci płasko, po czym upada. Włócznia wystaje mu z twarzy jak przesadzony nos bajkowego Pinokia.

Łapię Jacoba i Epapa za ramiona, ciągnę naprzód. Sissy dała nam trochę czasu, ale nic więcej. Wszyscy to wiemy.

– David! – woła. – Potrzebujemy cię! Już!

I nareszcie słyszymy tupot kopyt na piasku. Nadjeżdża powóz.

– Co tak długo? – krzyczy Epap.

– Głupi koń... – David zamiera na widok łowców jęczących na ziemi. – Źle skręcił i nie chciał zawrócić.

– Proszę, jedźmy już. Po prostu jedźmy. – To Ben wychyla się z powozu. Na policzkach ma smugi rozmazanych łez.

– W porządku, już odjeżdżamy, wszystko będzie dobrze – uspokaja go Epap.

Wciskamy się na siedziska. Jednak coś jest nie tak. Coś jest nie tak, tylko nie wiem co.

– Czekaście – wołam. Łapię Epapa za ramię, żeby powstrzymać go przed wspięciem się do powozu. – Wysiadać!

– Co jest? – W jego oczach nie ma gniewu, choć właśnie tego się spodziewałem. Ale dostrzegam tylko strach.

Odwracam się, próbując się zorientować. Napotykam spojrzenie Sissy. Odbija się w nich to samo – przecucie nadchodzącego niebezpieczeństwa, przekonanie, że o czymś zapomnieliśmy...

O kimś.

– Dyrektor – szepczę.

Odwracam się znowu, wzrokiem próbuję przebić ciemność. Nic.

– Niech nikt się nie rusza – nakazuję szepcem.

Zamieramy, ledwie ośmielamy się oddychać. Dyrektor jest tutaj, obserwuje nas zza zasłony mroku. Czuję to. Czeka, aż skończy nam się broń, aż zmęczymy się walką z pozostałymi łowcami. Obserwuje i czeka, aż stłoczemy się w powozie jak owce w zagrodzie, a wtedy przyleci na zamkniętą orgię. Jego kły i pazury będą ciąć z szaleńczym rozmachem, zmieniając powóz w krwawą trumnę.

Sissy też to wie. Nie porusza się, tylko szepcze:

– David, podaj mi triem, który ci zostawiłam.

– On nie działa – odpowiada David. – Próbowałem strzelić, ale nie wypalił...

– Zabezpieczenie – wyjaśnia Sissy. – Gene mówił, żeby odbezpieczyć...

– Jak?! Nie mam pojęcia jak...

Koń nagle rzuca łbem w lewo, jego chrapy rozwierają się w panice.

Z ciemności wyskakuje mroczny kształt, zbliża się zatrważająco szybko. Dyrektor gna na nas na czworakach, w milczeniu, susami po dwadzieścia jardów. Pęd rozciąga mu policzki i wargi, obnaża kły, co przypomina jowialny uśmiech, tyle że przerażający. Dyrektor skręca lekko. Najpierw zamierza rzucić się na mnie.

Zamykam oczy w oczekiwaniu na śmierć.

Jednak parę sekund mija, a ja wciąż żyję. Otwieram oczy. Dyrektor stoi może o dziesięć jardów przed nami. Nie patrzy na mnie. Ani na Sissy. Patrzy dalej.

Odwracam się. David stoi na koźle z triemem wymierzonym w dyrektora. Dyrektor nie widzi, ale ja tak – broń nadal jest zabezpieczona.

– Ustawilem na największą siłę strzału – ostrzega David z napięciem. – Zabójczą.

Dyrektor drapie się w nadgarstek.

– Chłopczyk bawi się w bohatera. Jak słodko.

– Triem, który masz przy pasie na plecach – ignoruje prowokację David. – Rzuć go tutaj.

– Czyli do ciebie? Pewnie nie mógłbym cię nim skrzywdzić...

– Rzuć, ale już! – woła David, nie kryjąc strachu. Zerka na stertę gładów. Przy nich ciemne postacie powoli zaczynają się podnosić z ziemi.

– Ach, rozumiem. – Dyrektor dostrzega to spojrzenie. – Martwisz się pozostałymi łowcami.

– Nie – odpowiada David. – Tylko tobą. W tej chwili tylko ty mnie martwisz. I właśnie dlatego zamierzam do ciebie strzelić, jeżeli w ciągu trzech sekund nie oddasz triemu.

Ton głosu Davida chyba go przekonał, bo dyrektor posłusznie wykonuje rozkaz. Triem upada do stóp Sissy. Dziewczyna podnosi szybko broń.

– Co teraz? – syczy dyrektor. Spogląda Davidowi w twarz. – Naprawdę chcesz mnie zabić? Przecież znam cię od urodzenia. Widziałem, jak dorastasz, pamiętam cię jako dziecko. To ja przysyłałem wam wszystkim prezenty na urodziny, książki, torty. Pamiętacie to? Naprawdę...

– Tak – przerywa mu Sissy i strzela prosto w pierś.

Dyrektor cofa się tak szybko, że jego kształt rozmywa się w oczach. Promień przemyka mu po torsie, ale to tylko powierzchowna rana. Wystarczy jednak, aby go spowolnić. Dyrektor cofa się w mrok.

Sissy gestem nakazuje nam wejść do powozu. Wskakuję na kozioł, ujmuję lejce. Sissy siada przy mnie, nieco bokiem, ze wzrokiem wbitym w ciemność i palcem na spuście triemu.

– Myślicie, że wam się udało? – głos dyrektora huczy wśród nocnej ciszy. – Myślicie, że nas pokonałście? Wy? Wy *cuchnące* hepery.

Zerkam na Sissy. Dziewczyna kręci głową – nie widzi go.

– Tylko odwlekacie nieuchronny koniec. Słyszycie to?

Nie słysząc nic oprócz wiatru.

A potem coś jeszcze. Szmer. Cichy szelest, jaki mogłyby wydawać wyschnięte jesienne liście poruszane wiatrem. Tyle że dochodzi jeszcze ostry, przenikliwy brzęk metalu na odłamkach szkła. Sissy odwraca się w stronę źródła hałasu, w stronę instytutu. Na twarzy maluje jej się czysta zgroza.

Niewyraźna ściana głębszej ciemności wznosi się jak fala tsunami i pędzi prosto na nas.

– Nadchodzą dobrzy obywatele – syczy dyrektor. – Wszyscy goście, personel, przedstawiciele mediów. Setki łowców. Ktoś zwołał zabezpieczenie i budynek nie został zamknięty. Gdy tylko dobrzy obywatele zorientowali się, że mogą wyjść, nic nie mogło ich powstrzymać. Mogłem mieć tylko nadzieję, że ich wyprzedzę z grupą wybranych łowców, dzięki

ekwipunkowi, który pozwoli wcześniej wyruszyć. Niestety... – wzdycha teatralnie.

Z oddali dochodzi coraz większy hałas, krzyki i piski żądy krwi.

– Wielkie nieba, potraficie sobie wyobrazić szaleństwo, gdy się dowiedzą, że wszyscy heperzy nadal żyją?

Ściskam mocniej lejce i szarpię. Koń rusza. Został nam już tylko jeden kierunek. Do łodzi. O ile w ogóle istnieje.

Przykro mi, Ashley June, wybacz mi...

– Nadchodzą! – wrzeszczy dyrektor. Jego głos ściga nas, gdy pędzimy przez pustynię. – Nadchodzą! Nadchodzą, nadchodzą, nadcho...



Gnamy przez surowy teren, koń pędzi jak wiatr. Lecz jego cwał stracił już grację i płynność, zrobił się nierówny, desperacki i przepełniony strachem. Z każdą minutą napięcie staje się coraz bardziej widoczne.

Ścigająca nas fala kurzu nieco się rozwiła. Złudzenie tworzone nie przez zwiększający się dystans, lecz przez zapadającą coraz głębszą ciemność. Warknięcia i krzyki stają się tylko głośniejsze. Sissy siedzi obok mnie i patrzy w mapę. Słońce dawno zaszło, więc zarysy mapy na karcie rozmywają się, kolory blakną i rozlewają się w biel. Palce dziewczyny przesuwają się po arkuszu, gdy rozgląda się za znakami, że wybraliśmy dobrą drogę.

– Musimy jechać szybciej – krzyczy mi do ucha.

Krew nadal płynie z rozcięcia na mojej dłoni. Staram się to powstrzymać, na ile mogę, przyciskając kawałek tkaniny do rany. Niełatwo sobie z tym radzić, gdy trzeba powozić.

Czuję dotyk palców, które zsuwają mi prowizoryczny opatrunek. Sissy ciasniej zawiązuje szmatkę.

– Musisz przestać krwawić – stwierdza.

– W porządku, to nawet bardzo nie boli.

Dziewczyna przyciska tkaninę mocniej.

– Nie chodzi o ból. Twoja krew zdradza naszą pozycję, a to mnie martwi.

Ściągam opatrunek.

– Nie ma się co martwić o zapach krwi. W tej ciemności łowcy widzą nas jak na dłoni.

Sissy spogląda w tył, a kiedy się odwraca, na jej twarzy dostrzegam troskę. Nie muszę pytać, o co chodzi. Z minuty na minutę odgłosy masowej pogoni robią się coraz głośniejsze.

– Mapa zniknęła – oznajmia Sissy ponuro.

– Nie szkodzi. – Nie odwracam oczu od pustyni przed nami. – Już jej nie potrzebujemy. Musimy tylko jechać prosto, aż dotrzemy do rzeki. A potem wzdłuż rzeki na północ i wkrótce trafimy na łódź. To proste.

– Proste – powtarza dziewczyna, po czym kręci głową. – Tak samo mówiłeś o swoim planie ataku na łowców. A to była katastrofa. Twierdziłeś, że będzie ich troje, nie pięcioro.

– A wy mnie zapewniliście, że poradzicie sobie z triemami. Po czym Epap spanikował i wystrzelał wszystko, co miał, w pięć sekund na początku starcia. A Jacob nawet nie zdołał oddać choć jednego strzału. Ile razy miałem powtórzyć, żeby odblokować zabezpieczenie?

Sissy odwraca głowę. Chyba ugryzła się w język.

Po paru minutach przerywam milczenie.

– Dziękuję, że mnie nie opuściliście. I że zostaliście, żeby walczyć.

– Nie postępujemy w ten sposób.

– Co?

– Nie opuszczamy swoich. Nie postępujemy w taki sposób.

– Epap mówił..

– Tylko tak gadał. Znam go na tyle dobrze, że wiem. Nie opuszczamy swoich.

Jej słowa zapadają mi głęboko w serce. Teraz to ja milczę. Przypominam sobie o Ashley June, samotnej w ciemnym schronie. I przypominam sobie oskarżycielskie słowa dyrektora o heperach uciekających jak szczury i pozostawiających dziewczynę w samotności.

Strzelam lejcami, żeby zachęcić konia do szybszego biegu. Rumak dyszy, ale przyśpiesza, choć cały lśni od potu.

Skowyt niesie się czysto pod mrocznym niebem. Zbyt głośno, zbyt blisko, zbyt szybko.

I wtedy to czuję. Krople deszczu rozpryskujące się na moich policzkach. Podnoszę głowę z przerażeniem. Ciemne chmury kłębią się i nabrzmiwiają. Wilgoć zmiękczy grunt, koń będzie musiał biec w kleistej brei.

Sissy też czuje deszcz. Odwraca się do mnie, spogląda w oczy, jakby chciała zapytać: *Czujesz deszcz? Czujesz te krople deszczu?* W moim milczeniu nietrudno jej odczytać odpowiedź. Dziewczyna przygryza usta.

A potem nagle wstaje, choć powóz podskakuje i kołysze się na wybojach, gdy koń galopuje. Jej ubraniem szarpie wiatr, łopocze dziko za plecami Sissy. Deszcz zaczyna padać na dobre, krople rozpryskują się na jej nagich ramionach, szyi, twarzy jak miniaturowe gwiazdy.

– Tam! – woła dziewczyna. Wyciąga ramię, długie, muskularne i gładkie jak z brązu.

Wskazuje miejsce dokładnie przed nami. – Widzę ją, Gene! Rzeka! Tam jest ta przeklęta rzeka!

– A łódź? Widzisz łódź?

– Nie. – Siada obok mnie. – Ale to tylko kwestia czasu.

Hałas za nami jest coraz głośniejszy, coraz wyraźniej słyszeć warknięcia i syki. Łowcy są tak blisko. Zerkam do tyłu, ale widzę tylko ciemność. *To tylko kwestia czasu.* Sissy ma rację. Tak czy inaczej, teraz to tylko kwestia czasu.



Rzeka jest cudowna. Już z oddali słyszymy jej szum pomimo trzeszczenia powozu na wybojach i odgłosów pościgu, cichy chłopot, który jednak wydaje się głęboki i donośny. Kiedy dojeżdżamy, zaskakuje nas jej wielkość – brzegi szerokiego koryta oddalone są od siebie na co najmniej dwieście jardów. Jednak pod ciężkim niebem i skłębionymi chmurami rzeka wydaje się mała, migocząca lekko, jakby niosła na falach chmury świetlików. Woda płynie powoli, przypomina unoszące się i opadające tafle wypolerowanego metalu.

Koń wyraźnie zwolnił. Oddycha z coraz większym trudem, krok mu się skraca. Parę razy arab chwieje się niebezpiecznie nad stromym brzegiem, zanim odzyska równowagę. Za bardzo go zmęczyłem. Koń przechodzi w stępa, potem się zatrzymuje. Trzaskam lejcami, ale wiem, że na próżno. Arab potrzebuje wypoczynku.

– Dlaczego stoimy? – woła Epap z powozu. Gdy nie słyszy odpowiedzi, wychyla się nerwowo. – Co się dzieje? Nie możemy sobie pozwolić na postój.

– Nie możemy sobie pozwolić na dalszą jazdę – oponuję. – Koń zaraz padnie, jeśli nie odpocznie. Poczekajmy minutę, dajmy mu złapać oddech.

– Nie mamy minuty. Za minutę łowcy nas dogonią! – Wskazuje w mrok, skąd dobiegają piski podniecenia.

Ignoruję Epapę, choć wiem, że ma rację, i zeskakuję. Koń drży konwulsyjnie, czuję to, gdy dotykam jego uda.

– Dobry konik, bardzo dobry... Za wiele od ciebie wymagałem, co?

Epap odwraca się do mnie z niedowierzaniem.

– Nie do wiary! Widzicie go? Zebrało mu się na zabawę w zaklinacza koni właśnie teraz!
Sissy, dokąd to?

Sissy podbiega do rzeki. Kuca tuż przy brzegu, potem wraca z pełną miską. Koń zanurza wargi i siorbie wodę. W parę sekund opróżnia miskę. Rzy o więcej.

Sissy głaszcze go po szyi.

– Chciałabym cię napić, ale nie ma czasu. Ruszaj, znajdź nam łądz, a obiecuję, że dostaniesz tyle wody, ile zechcesz. Ale najpierw znajdź nam łądz. Szybko. Szybko! – ostatnie słowa wykrzykuje i uderza konia w zad. Arab mruga, rzy, po czym zrywa się do biegu. Wskakujemy do powozu. Znowu jedziemy.

Odgłosy pogoni są coraz bliżej. Deszcz pada coraz mocniej, ciężkie krople uderzają w ziemię.



Brniemy wzdłuż rzeki. Najpierw w przenośni, potem zupełnie dosłownie. Ziemia staje się wilgotna i miękka, koła powozu i kopyta konia zapadają się w niej jak w gąbce. Nawet wiatr jest przeciwko nam, ostry i silny, dmucha nam prosto w twarz i spowalnia, do tego niesie nasz zapach prosto do zbliżającej się hordy, co tylko zachęca ją do większych wysiłków. Deszcz zaczyna w twarz.

Na dodatek ciemność nocy skrywa zupełnie konia. Tylko ciężki oddech i toczący się naprzód powóz świadczą o jego obecności.

Sissy zamilkła w zamyśleniu. Gdy zerkam, widzę jedynie jej zaciśnięte wargi i zmrużone oczy, próbujące przeniknąć deszcz. Kosmyki włosów przyłgnęły jej do czoła i przesłaniają twarz. Skowyt niesie się po równinie zatrważająco blisko. Dziewczyna patrzy na mnie, a ja kiwam głową.

Przewiesza mi triem na szyi, po czym bierze drugi i ścisza mocno w palcach.

Warkot i syk, który dołącza do falangi, nie brzmi za nami, lecz obok.

Sissy zwalnia blokadę triemu.

Grzmot wibruje na nieboskłonie. Unoszę głowę, czując przyływ nadziei.

Przez huk przebija się skowyt pełen niezadowolenia.

I wtedy błyskawica przecina niebo, szarpiać ostre, oślepiające światło. Na okamgnienie widać okolicę – czarno-biały obraz z mrocznym pasmem gór na wschodzie i rzeką migotliwą jak płynne srebro. Zerkam do tyłu, zanim znowu wszystko spowije mrok, i dostrzegam ich. Niezliczony tłum, który gnał za nami, przewrócił się jak domek z kart. Łowcy zasłaniają się przed błyskiem. Ale jest ich tak wielu. Tak blisko. O rzut kamieniem. Ich oczy błyszczą dziko, kły lśnią.

Ziemią wstrząsa potężny grzmot. Oddalającemu się łomotowi towarzyszą wrzaski bólu i wściekłości oślepionych łowców. Dzięki błyskawicy zyskaliśmy trochę czasu. Najwyżej minutę, nie więcej.

– Widziałeś to? – krzyczy do mnie Sissy, podskakując na koźle. – Widziałeś!

– Wiem, wiem, ale nie przejmuj się...

– łądz! – przerywa mi dziewczyna piskliwie. – Widziałam ją! Widziałam ją, naprawdę tam jest!

Odwraca się do pozostałych heperów.

– Widziałam łądz, jest przed...

Powóz trafia w błoto, koła zapadają się w mazi i nieruchomieją. Sissy wyrzucona

z siedziska znika wśród nocy. Mnie też szarpnięcie zrzuca z kozła, ale natrafiam stopami na przednią barierkę i ląduję na grzbiecie konia – jego sierść jest mokra od potu i deszczu.

Kręci mi się w głowie, gdy wstaję. Nie wiem, gdzie jest góra, dół, prawo, lewo, północ, południe... Wszystko mi się miesza i zlewa. Obok słyszę krzyk chłopca – Bena. Podbiegam do niego, podnoszę z błota. Jest usmarowany wilgotną breją tak samo jak ja.

– Ben, w porządku!? Coś cię boli? Złamałeś sobie coś?

Kłapanie zębów i warczenie słychać coraz bliżej. Ben nie odpowiada, ale patrzy na mnie i kręci głową. Pomagam mu wstać.

– Musimy ruszać! Sissy? Gdzie jesteś?

Błyskawica rozświetla okolicę. Za krótko, aby zobaczyć coś jeszcze poza heperami, którzy już podnoszą się z ziemi. Poza Sissy, dalej leżącą w błocie. Podbiegam do niej i zmuszam, by wstała.

– Musisz wstać, Sissy! Idziemy!

Jest oszołomiona upadkiem, ale stoi pewnie.

– Sissy! – krzyczę, a wtedy podnosi oczy. Błyska w nich panika.

– Gdzie reszta? Co z nimi? – pyta dziewczyna.

– Nic im nie jest, ale musimy uciekać. Wskaż, gdzie widziałaś łódź!

– Nie! Potrzebujemy ekwipunku i triemów!

– Nie mamy czasu! Pogoń depcze nam po piętach!

– Nie przeżyjemy bez...

Przez szum deszczu przebija się śmiech jak wycie hieny. Tak blisko, że można rozróżnić pojedynczych łowców po intonacji wilgotnych sylab.

– Sissy! – Wskazuję na heperów. – Oni mnie nie posłuchają. Tylko ciebie. Każ im biec do łodzi. Każ im...

Kolejna błyskawica rozświetla niebo. I oto widzę łódź – na szczęście blisko, może o sto jardów od nas. Ale widzę też przerażające masy łowców...

Już nas prawie dopadli. Nawet w krótkim błysku dostrzegam ich blade, lśniące sylwetki pędzące prosto na nas jak ciśnięte kamienie odbijające się od powierzchni wody.

Wszyscy jednak przywarli do ziemi, gdy tylko błysnęło, cofnęli się, skowycząc z gniewu.

– Ruszaj, Sissy!

Ale dziewczyna nie potrzebuje mojej zachęty, biegnie już, a za nią pozostali. Zrywam się jako ostatni, błoto cmoka przy każdym moim kroku. Nogi grzęzną mi w mokrej brei, przez co bieg przypomina raczej powolny spacer.

Znowu ciemność. A potem seria grzmotów toczących się wśród chmur. Znowu zaczynają się do nas zbliżać okrzyki i wycie pełne żądzы krwi.

Łowcy nadchodzą.

Słyszę cmokanie błota tuż za plecami. I szepty, szepty, szepty tuż przy karku.

– Dobry Boże! – krzyczę. Tych słów nie wypowiadałem od lat. Nauczyłem się ich od matki, gdy jeszcze była przy mnie i co noc przytrzymywała mi złożone dłonie z ciepłym uśmiechem. Teraz słowa te wróciły z zakamarków pamięci pod wpływem nieopisanego strachu.

– Dobry Boże!

Tym razem to nie pojedyncza błyskawica, lecz cała seria, która rozświetla nieboskłon oślepiającą siecią przecinających się wyładowań. Robi się tak jasno, że nawet ja tracę na chwilę wzrok, wszystko rozplywa mi się w nieprzeniknionej bieli. Ale nie przestaję biec, choć muszę zamknąć oczy. Pod powiekami jednak widzę obraz, czarno-biały negatyw łodzi.

– Nie zatrzymujcie się! – przekrzykuję skowyt i krzyki wściekłego bólu. Gdy otwieram oczy, jestem przy przystani.

– Tutaj!

Ale heperzy są tam przede mną. Pędzą po pomoście, ich stopy wybijają głuchy rytm na deskach. Biegnę za nimi. Wskakują na pokład, Sissy rzuca już cumę, Epap trzyma długą tyczkę z hakiem na końcu i używa jej, żeby odepchnąć burtę od brzegu.

Ponieważ biegłem na końcu, tylko ja mogę dostrzec, co jest nie tak. Bardzo, bardzo nie tak.

Odwracam się, próbuję zobaczyć, co dzieje się za przystanią. Ale jest za ciemno.

– Wsiadaj! – krzyczy do mnie Epap. – Na co czekasz?!

Uginam kolana do skoku, zaraz jednak nieruchomieję.

– Wsiadaj!

A ja stoję jak wrośnięty w ziemię, niezdolny do skoku. Znowu się obracam. Pomost nadal jest pusty.

Skowyt narasta. Wkrótce łowcy znowu ruszą w pogoń. Zostało mi parę sekund.

– Ruszajcie beze mnie – wołam. – Dogonię was!

– Nie, Gene, nie bądź głupi, zostaw konia...

Ale ja już gnam z powrotem przez pomost.

Błyskawice, nieco słabsze niż apokaliptyczny rozbłysk wcześniej, przecinają niebo. To wystarczy, aby zatrzymać łowców na parę sekund dłużej. Dzięki rozbłyskom mogę się lepiej rozejrzeć.

Tam. Przed powozem. Nie koń.

Ben.

Chłopak szaleńczo rozpina uprzęż, próbując uwolnić konia. Twarz ma usmarowaną błotem, łzy i deszcz wymyły w brudzie jaśniejsze smugi. Ben otwiera usta, dobywa się z nich urywany, niewyraźny szloch.

– Ach, nie, nie, proszę, uch...

Chwytam go i przerzucam sobie przez ramię. Nawet gdy się odwracam, chłopak nadal nie przestaje się szarpać z uprzężą. Koń wreszcie jest wolny. Oczy ma wytrzeszczone z przerażenia, zaraz rzuci się do panicznego galopu. Odruchowo chwytam za uzdę, zanim arab zacznie uciekać.

Za plecami słyszę plusk błota i jęki pożądania.

Sadzam Bena na grzbiecie konia.

Przenikliwy wrzask przebija mi niemal uszy. Łowcy atakują, atakują mnie.

Uginam nogi, gotując się do skoku.

Koń zrywa się do cwału, zostawia mnie. Widzę jeszcze Bena kurczowo ściskającego grzywę, po czym chłopiec i zwierzę znikają w ciemności.

Chwytam triem przewieszony przez szyję, zwalniam zabezpieczenie.

Dziki wrzask rozrywa powietrze.

Zaczynam biec, ściskając w ręku gotową do strzału broń i spoglądając czujnie w tył. Byle się nie zgubić, byle nie stracić nad sobą panowania. Brzeg mam po prawej, zbliżam się tam.

Szybko.

Zerkam za siebie. Ciemne kształty wznoszą się i opadają jak fale. Jeden zbliża się szybciej, blade ciało lśni jak mokry marmur, obnażone kły zdają się świecić. Strzelam. Za pierwszym razem chybiam, ale za drugim promień trafia łowcę prosto w brzuch. Napastnik upada mi do stóp, zwijając się i zaciskając powieki z bólu. Jego wrzask jest nieznośnie przeszywający. Czuję, jak kościste palce chwytają mnie za kostkę, ciepły oddech łaskocze łydkę.

– Spadaj! – wrzeszczę, wrywając nogę. Biegnę dalej.

Po lewej słyszę syk. Odwracam się i...

Robię unik. Łowca przelatuje nade mną, ląduje zgrabnie obok. Odwraca się. I już jest na

mnie, zaciska mi ręce na szyi, otwiera usta. Widzę kły, potem ciemną otchłań gardła. Jeżeli chybię, moje ciało i krew zatoną w tej paszczy jak w czarnej studni.

Promień trafia prosto w otwarte usta i przepala gardło. Łowca nie krzyczy. Nie może.

Odrzucam bezużyteczny już triem. I znowu biegnę. Widzę już pomost.

Fala łowców zachodzi mnie od lewej. I z przodu. Chcą odciąć mi drogę. Część pogoni skoczyła na przystań, żeby dopaść łódź, reszta próbuje mnie okrążyć. Pułapka się zamyka, myśliwi są wszędzie: po lewej, przede mną i z tyłu.

Tylko nie na rzece.

Skręcam gwałtownie w prawo, prosto na brzeg. Ci, którzy gonili mnie z tyłu, teraz są po prawej i odcinają mi drogę z dziką szybkością.

Zostało mi trzydzieści jardów.

A sto jardów ode mnie łowcy wylewają się z prawej strony jak mroczna rzeka, która przerwała tamę.

Jeszcze dwadzieścia jardów. Uda drżą mi z wysiłku.

A potem koniec. Tak po prostu. Odcięli mnie. Widzę, jak wybiegają przede mną wzdłuż brzegu i przykucają, gotując się do ostatniego skoku. Na mnie.

Nie zatrzymuję się. Chociaż oczy mam załzawione, a nogi niemal załamują się pode mną, chociaż płuca palą jak zalane kwasem, nie zwalniam. Nie zamierzam stać i czekać na śmierć. Nie umrę na kolanach. Umrę w biegu, walcząc do ostatniej kropli krwi. Stawię czoła łowcom. Zalewa mnie fala gniewu, gorętsza i jaśniejsza od błyskawicy, która przecina niebo. Czuję napływ sił.

Nigdy nie zapominaj – z pamięci napływa głos Ashley June, tak czysty, jakby stała obok.

Nigdy nie zapominaj, kim jesteś – a to już głos mojego ojca, głęboki i poważny.

Z krzykiem rzucam się na łowców.

Biegną do mnie.

A wtedy skaczę wysoko, wyżej, niż kiedykolwiek zdołałem, przelatuję nad nimi i szybuję do rzeki. Woda wychodzi mi na spotkanie.

Zakazane nurkowanie! – myślę.

I już jestem pod powierzchnią. Woda okazuje się zaskakująco ciepła. Cudowna cisza pozwala mi odetchnąć od nieustannych wrzasków i skowytu. Słyszę tylko bulgotanie i odległy szum. A potem plusk, jeden po drugim. Łowcy skoczyli za mną.

Wynurzam się, wyciągam ramię, prostuję i zagarniam pod siebie wodę. Czuję, że posuwam się do przodu. Potem zaczynam uderzać nogami, wyciągam drugie ramię i znowu zagarniam wodę. Zawsze chciałem tak pływać, zawsze czułem, że tak właśnie powinno się pływać. Unoszę głowę. Łowcy są w wodzie, ale nie mogą mi zagrozić. Przy mnie, zwinnym jak delfin, przypominają niezdarnie pływające psy.

Łódź oderwała się już od pomostu i bezpiecznie dryfuje z prądem na środku rzeki. Na przystani stłoczony tłum syczy i warczy z wściekłości. Widzę Epapa i Jacoba pracujących przy tyczkach. Łódź nabiera prędkości.

Próbuję do nich wołać, ale głos tonie w deszczu, plusku wody i gniewnych wrzaskach. Krzyczę głośnie. Niestety, wiatr porywa słowa z daleka od heperów. Płynę jeszcze kawałek, ale choć jestem szybki, niesiona nurtem łódź okazuje się szybsza. Oddala się, a ja tracę siły. Ciało wydaje mi się nieopisanie ciężkie, ramiona i nogi napotykalają opór przy każdym ruchu. Z trudem łapię oddech.

– Hej! – krzyczę. – Czekaście!

Dopiero teraz dociera do mnie, że to ubranie utrudnia mi ruchy, a przesiąknięta wodą tkanina staje się ciężarem ciągnącym mnie na dno. Nie mam jednak czasu, żeby się rozebrać, muszę płynąć. Macham rękami, zagarniam wodę najmocniej jak mogę, ale na próżno – łódź i tak

się oddała.

Opuszczają mnie. Heperzy.

Obracam się na plecy. Jestem zbyt zmęczony. Krople deszczu rozpryskują mi się na twarzy. Nareszcie rozumiem, co to znaczy zostać porzuconym. Czułem to przez całe życie, ale dopiero teraz pojmuję w pełni.

Ashley June wspomniała, że kusiło ją, aby skaleczyć się w palec na boisku szkolnym i pozwolić się dopaść. Wreszcie się poddać. Tłum zadałby przecież miłosierdzie szybką śmierć.

Ale gdybym teraz uległ, oznaczałoby to porzucenie jedynej osoby, która nie chciała mnie opuścić. Ashley June.

Obracam się znowu na brzuch, zmuszam do poruszania ramionami. Ruchy mam niezborne, ramiona wydają się sztywne jak bryły błota spadające w wodę.

Zaczynam tonąć.

I wtedy obok słyszę plusk.

Silne dłonie chwytają mnie i obracają na plecy. Ręka obejmuje mnie przez tors. Spod wody wynurza się głowa, tuż obok słyszę:

– Mam cię. Leż, nie ruszaj się. Trzymam cię.

Jestem wykończony i mam wrażenie, że to głos Ashley June szepczącej wśród fal. Czuję jej ciepły, urywany oddech. Chcę zapytać, jak wyrwała się ze schronu, jak dotarła tu tak szybko...

I wtedy zostaję wyciągnięty jak ryba w sieci. Heperzy kładą mnie na środku łodzi. Widzę nad sobą zatroskane twarze. David. Jacob. Obok opada jeszcze jedno ciało, ciemne i mokre jak foka.

Sissy.

– Obróćcie go na bok – mówi, wypluwając wodę.

Czuję pod policzkiem drewno desek, starych i wygładzonych, słyszę cichy plusk wody pod nimi. Podnoszę się i siadam.

Łódź to raczej duża tratwa, szeroka i prosta. Na środku pokładu stoi kabina, przypominająca prymitywny szałas. Na rufie Epap i Jacob pchają drągi, utrzymując łódź w nurcie, z dala od brzegu. A dalej dostrzegam Bena. Siedzi pod daszkiem nadbudówki z podkulonymi kolanami. Twarz ma nadal brudną i poznaczoną smugami łez, ale spogląda na mnie i uśmiecha się lekko, po czym wskazuje kciukiem za siebie. Ten ostatni gest rozumiem dopiero po chwili, gdy zza ściany słyszę ciche rżenie i głuchy stukot kopyt o drewno.



Przez całą noc setki łowców śledzą nas wzdłuż brzegu rzeki. Warczą z nienawiści, gniewu i oburzenia, że zostali oszukani, narzekają na wyrządzoną im niesprawiedliwość. Ta noc wydaje się nie mieć końca – tylko deszcz, mrok i nieustanne dzikie wrzaski. W końcu jednak ulewa mija, a chmury zaczynają się rozpraszać. Niebo rozświetlają gwiazdy i jasny księżyc, w ich blasku widzimy tłum stłoczony na brzegu. Oczy łowców wytrzeszczone są nawet teraz z niepokonanej żądz krwi. Księżycowa poświata ich denerwuje, ale nikt nie myśli, żeby nas opuścić. Wreszcie niebo zaczyna się rozjaśniać, jak zawsze przed świtem, i ciemność nocy zmienia się w szarość. Stopniowo łowcy odchodzą, najpierw kilku, potem z chóralnym skowytom wściekłości i niezaspokojonej żądz, który trwa dobrą minutę, łowcy jak jeden mąż odwracają się i rzucają do biegu. Wracają do instytutu, do bezpiecznej ciemności wśród murowanych ścian.



Postanawiamy spędzić dzień na zmianach – dwóch pracuje przy żerdziach, jeden obserwuje, reszta śpi w szałasie. Przynajmniej taki był plan.

Heperzy pozwalają mi opuścić pierwszą zmianę, ale jestem zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Spędzam ten czas na moczeniu koszuli w rzece i pozwalaniu koniowi, żeby wysysał z niej wodę. Jak pozostali nie przestają obserwować Bezkesu w poszukiwaniu najdrobniejszego ruchu, choć wiem, że gorące i jasne słońce stanowi dla nas wystarczającą ochronę. Godzinę później nogi się pode mną uginają i kładę się w szałasie. Sen ogarnia mnie jak motyl, to zbliżając się, to umykając nerwowo.

Ale kiedy się budzę, jest już późne popołudnie. Heperzy pozwolili mi przespać dwie zmiany. Obok mnie pochrapuje Epap, a Ben mamrocze niezrozumiale przez sen. Sissy prowadzi obserwację z dziobu. Dołączam do niej.

– Oni wrócą dziś w nocy – stwierdza dziewczyna.

Przytakuję skinieniem głowy.

– I jutro w nocy też. I może jeszcze pojutrze.

Sissy pociera nos.

– Miejmy więc nadzieję, że ta rzeka ciągnie się dalej. Jeżeli skończy się dzisiaj albo jutro... – Nie musi kończyć.

Milczymy przez chwilę.

– Czy łowcy przestaną kiedyś nas ścigać?

– Nie. – Spoglądam na pasmo gór na wschodzie. – Dopóki wiedzą, że gdzieś tu jesteśmy, będą przychodzić. Nigdy nie przestaną. Zbudują schronienia w połowie drogi, żeby mieć osłonę przed słońcem, użyją kamieni do przeprawy przez rzekę. Będą iść za nami coraz dalej.

Sissy nabiera wody do miski i pije. Potem patrzy na pustynię.

– Możemy się zatrzymać w dzień – zmienia temat. – Żeby poszukać jedzenia. Jeżeli znajdziemy jakąś zdobycz, spróbujemy ją upolować... Potrzebujemy jedzenia.

– Mamy broń?

– David zabrał włócznię. A ja mam sztylety. Tylko to nam zostało.

– O ile wystarczy nam czasu – dodaję.

– Mogliśmy lepiej sobie poradzić. Ja mogłam lepiej sobie poradzić. Nic nie wzięłam.

A przecież nawet Epap przy ucieczce zdołał złapać dziennik naukowca. A Jacob wziął jego torbę. Nie ma w niej wiele, tylko trochę ubrań i szkicownik, ale przynajmniej *coś* zabrał.

– Uciekaliśmy w panice – mówię cicho. – Na nic nie było czasu.

Woda rytmicznie uderza o burty łodzi. Dziewczyna spuszcza oczy na swoje dłonie, szura stopami.

– Dziękuję, że wróciłeś po Bena – mówi cicho, po czym odwraca się i idzie na rufę.



Kiedy zapada noc, łowcy znowu tłoczą się na brzegu, więcej niż wczoraj, wygłodzeni i pełni nienawiści tak silnej, że ledwie mieści mi się to w głowie. Przez tłumy na brzegu rzeka przypomina szpaler tortur. Nie śpimy całą noc, czujni i przerażeni. Martwię się, że rzeka zrobi się węższa albo w ogóle się skończy. Na szczęście nic podobnego się nie dzieje, przynajmniej jeszcze nie tej nocy. A kiedy księżyc zniża się ku zachodowi i niebo wkrótce ma poszarzeć, kończą się wrzaski. Jeden po drugim łowcy odwracają się i odchodzą.



Wstaje słońce. Przez noc krajobraz się zmienił. Nie otacza nas już tylko surowa, rdzawa pustynia, przecinają ją pasma zielonej trawy. Około południa widzimy już tylko bujną zieleń łąk z kępami rododendronów i zonkili. Wysokie drzewa rosną w rzadkich grupach, tu i tam wypatrzeć można pieski preriowe. Przybijamy do brzegu. Koń jest wdzięczny za tę odmianę, wybiega na łąkę tak pośpiesznie, jakby chciał opuścić nas na zawsze. Ale okazuje się, że był tylko głodny, ponieważ potem trzyma się blisko nas, podgryzając kępki trawy. Kiedy godzinę później wracamy do łodzi, koń truchta na pokład bez oporu. Odbijamy. Nieważne, jak przyjazna i piękna jest okolica, zależy nam na szybkim oddaleniu się od łowców.



Tej nocy przybywają wiele godzin po zachodzie słońca. Dotarcie do nas zajmuje im o wiele więcej czasu. A i tłum wyraźnie się przerzedził, zostało tylko parę tuzinów młodych i najbardziej sprawnych łowców. Zostają na brzegu tylko na parę godzin, muszą odejść jeszcze w nocy, przy blasku gwiazd i księżyca, żeby zdążyć wrócić przed świtem do bezpiecznego schronienia.



Stoję na warcie, gdy wschodzi słońce. Stłumiony pomarańczowy blask, na tyle słaby, że można na niego patrzeć, rozlewa się nad wschodnim pasmem gór.

– To koniec? – Zaspany Ben podchodzi do mnie. – Nie przyjdą więcej? Widzieliśmy ich ostatni raz?

Już mam potwierdzić, że to ostatni raz, ale nie zapomniałem, nawet teraz, że za tą zieloną krainą, daleko od wody i poza zasięgiem promieni słońca, w ciemnym i zimnym lochu czeka dziewczyna, która pierwsza ujęła mnie za rękę.

– No powiedz... – nalega Ben.

Odwracam głowę, niezdolny wykrztusić słowa.



Po południu znowu przybijamy do brzegu. David wypatrzył zająca i wkrótce potem, może po dziesięciominutowym polowaniu, przebił go włócznią. Zając był szary i gruby. David podbiegł do nas z szerokim uśmiechem, dumnie unosząc zdobycz.

Sissy sprawdza położenie słońca i mówi, że mamy czas.

– Zróbmy ognisko, będzie ucza.

Ben podskakuje z radości, jego okrzyki niosą się po łące.

Wszyscy biorą się do pracy. Sissy i David sprawiają zająca. Ben i Jacob odchodzą poszukać drewna na opał, choć niewiele mogą znaleźć – tylko trochę suchej trawy i parę gałązek. Epap szaleńczo pociera dwa patyki, próbując uzyskać iskrę. A ja stoję z boku i staram się wyglądać na zajętego. Pada propozycja, żeby wyłamać trochę drewna z tratwy, ale pomysł szybko zostaje porzucony.

– Mój szkicownik – podsuwa Epap. – Moglibyśmy użyć go na rozpałkę. Przynajmniej jedną kartkę.

– Na pewno? – pyta David.

– Jasne – uspokaja go Epap i wstaje.

– Ja przyniosę. – Chcę się na coś przydać. – Jest w twojej torbie, tak?

I pędzę na łódź, zanim ktoś mnie powstrzyma.

Torba Epapa leży w kącie szafasu. Rozwiązuję sznurek i podnoszę klapę. Szkicownik w skórzanej, starej oprawie jest duży, z trudem go wyciągam. Podmuch wiatru otwiera go na rysunku kopuły. Podnoszę go z ciekawością. Trzeba przyznać, że Epap jest niezłym artystą. Kreskę ma czystą, oszczędną, ale pełną ekspresji. Odwracam kartę, potem kolejne. Na większości widzę portrety heperów podpisane imionami u góry. David. Jacob. Ben. Sissy. Na większości rysunków widnieje Sissy. Jak gotuje, czyta książkę, biega z włócznią, pierze ubrania przy stawie. Śpi, oczy ma zamknięte, linie twarzy miękkie i spokojne. Zaczynam kartkować do początku, cofając się do wcześniejszych szkiców. Znowu heperzy, tylko młodszy.

– Hej, Gene, czemu to tyle trwa? – woła z oddali Epap.

– Już idę! – Odwracam kolejną stronę i już mam zamknąć szkicownik, ale mój wzrok przyciąga podpis nad rysunkiem.

Inne imię u góry kartki. Czytam uważniej. *Naukowiec*.

Spoglądam na portret...

I szkicownik wypada mi z rąk.

To mój ojciec.

Podziękowania

Chciałbym podziękować wyjątkowym osobom, które zachęcały mnie i inspirowały przez lata.

Moim nauczycielom – panu Pope ze szkoły King George V oraz profesorowi Danowi McCallowi z Cornell University. Ich miłość do opowieści była oszałamiająca i zaraźliwa.

I tym, którzy jako pierwsi wspierali moją karierę pisarską: Terry’emu Goodmanowi, Peterowi Gordonowi i Many’emu Ly.

Przyjaciołom i kolegom z biura prokuratora w okręgu Nassau, zwłaszcza Tammy Smiley, Robertowi Schwartzowi, Douglasowi Nollowi, Jasonowi Richardsowi i Mehmetowi Gokcemu.

Wspaniałej Catherine Drayton, która nie tylko spełniła wszystkie wymagania, jakie mogłem postawić agentce, ale też je przekroczyła, a także zespołowi Inkwell Management, zwłaszcza Lyndsey Blessing, Charlie’emu Olsenowi i Kristanowi Palmerowi.

Mojej cudownej redaktorce, Rose Hilliard, której czujne oko, mądre rady i serdeczne wsparcie sprawiały, że chciałem się starać każdego dnia bardziej, a także wydawcy, Matthew Shearowi, który sprawił, że czułem się nie tylko dobrze, ale wręcz wyjątkowo w St.Martin’s Press.

Moim synom, Johnowi i Chrisowi, którzy poszerzyli, pogłębili i wzbogacili moje życie, oraz przede wszystkim Ching-Lee, której ta książka jest dedykowana.

